

MAREK STELAR

CO MUSI SIĘ STAĆ,
ŻEBY CZŁOWIEK ZMIENIŁ
SIĘ W **POTWORA?**

SEKETA

FILIA

**MAREK
STELAR**

SEKTA

FILIA

Nie ma większej siły niż prawdziwa miłość.

Seneka Młodszy

PROLOG

maj 2018

– Jak było w pracy?

– Jak zwykle. Znowu boli mnie głowa.

– To ta chemia. Wdychasz to wszystko, więc nic dziwnego, że boli cię głowa. No i jesteś przemęczony. Pamiętaj, ile masz lat.

Zamknął oczy.

– Nie pamiętam drogi do domu, wiesz? – powiedział. – Nie pamiętam niczego, co działo się po drodze...

– A o czym wtedy myślałeś?

– O wszystkim naraz. O tobie też...

– Hmm... – Uśmiechnęła się i spuściła skromnie oczy. – Miły jesteś.

Uwielbiał, gdy tak robiła. Czuł wtedy, że jest wyłącznie jego, że nigdy nie ośmieli się spojrzeć na innego, a nawet nie tyle ośmieli, ile po prostu nie przyjdzie jej to do głowy. To niewłaściwe. Tak się nie robi swojemu mężczyźnie. Nigdy.

– Tylko dla ciebie oddycham, wiesz? – Ujął jej drobną, szczupłą dłoń.

Spod cienkiej skóry prześwitywały błękitne sploty żył. Naczynia oplatały ścięgna, tworząc pod skórą wybrzuszenia przywodzące na myśl topografię delty ogromnej rzeki. Ale nie chciał jej tego mówić. I tak cierpiała fizycznie, nie mógł dodawać jej bólu. Nie jej.

– To dlatego nic nie pamiętasz – stwierdziła wesoło. – Syndrom motorniczego. Automatyzm. Ciągłe cię nie ma, spędzasz poza domem kawał życia...

– Muszę pracować, kochanie. Pamiętaj, że robię to również dla ciebie. A może nawet przede wszystkim dla ciebie...

– Wiem, ale chodzi mi o to, że robisz to automatycznie, poświęcając temu tylko tyle uwagi, żeby tę pracę dobrze wykonać. A jej resztę skupiasz na ważniejszych rzeczach. Na przykład na mnie. – Uśmiechnęła się.

– Co ty we mnie widzisz? – zapytał.

– Spokój i oparcie. Wytrwałość i silną wolę. I wiem, że mnie kochasz nad życie. Że zawsze ze mną będziesz.

– To prawda – przytaknął. – I to, że cię Kocham nad życie, też.

– Chyba już czas na zastrzyk?

Spojrzał na zegarek.

– Tak, oczywiście... Najwyższy.

Stół zastawiony był buteleczkami, leżały na nim strzykawki, gaziki, staza, środki dezynfekujące. Tak było łatwiej. Kiedyś nieostrożnym ruchem przewrócił wózek, na którym zwykle był cały sprzęt, obecnie mu to nie groziło. Zastrzyk przygotował już wcześniej, teraz wystarczyło go tylko zrobić. Delikatnie poklepał jej dłoń ze skłutymi żyłami i zdecydowanie wbił igłę, a potem nacisnął tłok.

– Masz wprawę. – Oczy żony uśmiechnęły się przyjaźnie, usta nie mogły im towarzyszyć, bo były ściągnięte bólem.

– Już trochę czasu to ćwiczymy, co? – Również się uśmiechnął, bo co innego mógł zrobić.

Odłożył strzykawkę i delikatnie wytarł gazikiem odrobinę bezbarwnego płynu, który został na skórze.

– Obejrzymy coś w telewizji? – zapytał, gasząc światło w pokoju.

Zrobiło się ciemno. Tu zawsze było ciemno, niezależnie od pory dnia.

– Pewnie. Tylko nic krwawego, dobrze? Może Planete? Jakiś dokument?

Też miał ochotę na coś mądrego. Chyba oboje dość mieli sieczki, którą karmiła ich niemal każda stacja.

Sięgnął po pilota, włączył telewizor i zaczął przeskakiwać po kanałach. Kątem oka zerkał, jak rozdzielane ciemnością obrazy migają kolorowymi refleksami na szarej twarzy żony. Dodawały jej na moment życia, a potem znikwały zastąpione po chwili kolejnymi. Zatrzymał się na TVP Kultura.

- Może być? – zapytał.
- A co to?
- Dokument o jakiejś grupie artystycznej. Zostawić?
- Tak – szepnęła, przymykając powieki i lekko kiwając głową, tak lekko, że nie był nawet pewny, czy to skinienie, czy mignięcie cienia podbródka na szyi. – Może być.

Chcieliśmy być w opozycji, totalnej kontrze, rozumiesz to? W totalnej kontrze do wszystkiego. Byliśmy za młodzi, żeby obalać komunę, za starzy, żeby ogarniać cyberprzestrzeń, taką, jaką objawił wszystkim Matrix, który dziś już też jest przestarzały. Byliśmy gdzieś pomiędzy. Czyli tak naprawdę nigdzie. Pokolenie X, Y, Z, JPII, chuj z tym, my mieliśmy na to wszystko wywalone. My, humaniści, trochę zagubieni w świecie, z głowami w chmurach, chcieliśmy znaleźć własne miejsce i zmienić świat po swojemu, chcieliśmy... Chociaż... Nie, my chyba nie chcieliśmy niczego zmieniać. My mieliśmy tę zdrową świadomość, że nie zawróci się rzeki, zwłaszcza rzeki szerokości Odry przepływającej przez Szczecin, w którym spędzaliśmy wesoły studencki czas. Wiedzieliśmy, że nie da się zawrócić rzeki nawet u źródła, kiedy jest szerokości strumyka, bo to bez sensu, właśnie dlatego, że się nie da. Rozumiesz? My tylko chcieliśmy pokazać wszystkim, że płynięcie pod prąd, zamiast z prądem jak byle gówno, jest możliwe. I o wiele ciekawsze. Twórcze. Rozwojowe. Sprawcze, rozumiesz to? I jeszcze chcieliśmy, rozumiesz, pokazać im wszystkim, jaki ten pieprzony świat jest, kurwa, bez sensu. Dlatego na US-ie powstał HA!TAK. To był tylko po części ruch literacki, literatura z racji profilu studiów była naturalnym środkiem ekspresji. Ale wśród nas byli też plastycy, filozofowie, ludzie muzyki, z innych ośrodków akademickich, z korzeniami w Pomarańczowej Alternatywie, Totarcie i cholera wie czym jeszcze, rozumiesz? I dlatego byliśmy interdyscyplinarni, robiliśmy wszystko: performance'y, happeningi, wjeżdżaliśmy na spotkania literackie i robiliśmy tam prowokacje, totalną siarę. Chcieliśmy, żeby dadaizm i surrealizm, którymi się jawnie inspirowaliśmy, były jednak przy naszym stylu grzeczną zabawą. My nie przekraczaliśmy granic, my ich po prostu nie uznawaliśmy i nie mieliśmy. I to był właśnie nasz głos. Miał się odbijać echem od szklanych fasad biurowców, miał sprawiać, żeby pękały, żeby na

ulice sypało się szkło. Krzyczeliśmy najgłośniejszym, jak tylko potrafiliśmy. Rozumiesz to?

– Zmienimy jednak na coś innego? – zapytała.

– Poczekaj – szepnął, ściskając mocniej pilota, jakby bał się, że mu go zabierze, choć przecież nie mogła się ruszać.

– Interesuje cię to, naprawdę? – W jej głosie usłyszał lekkie zdumienie.

Nie odpowiedział, wpatrzony w ekran. Ciemna postać skąpana w niebieskiej poświacie czytała wiersz. Nagranie było słabej jakości, w rogu ekranu widniał napis „materiały z archiwum prywatnego Pawła Wakuły”. Widać było tylko zarys sylwetki. Poprzez szmery publiczności przebijały się wolno wypowiedane słowa:

Żyję w czasach zamiany.
Zamieniają mi ubranie na nagość,
Pamięć narodu na pamięć w telefonie,
Podstępem przemieniają mnie w siebie,
Ci młodzi, przekonani, że nie będą starzy,
Ci młodzi, co nie urwą łba hydrze,
Ani nie zduszą centaurów.
Miast odnawiać oblicze tej ziemi,
Miast wprowadzać nowy ład,
Czy choć ciskać brukiem w kordony,
Pokazują w sieci swoje kutasy i pizdy.

– Co to za bełkot?

– To wiersz, kochanie.

– Wiersz?

– Zależy, jak na to spojrzeć. – Uśmiechnął się, wpatrzony w ekran. – Sztuka, prawdziwa sztuka jest niejednoznaczna. A wtłoczenie sztuki w jakieś ramy zawsze w końcu oznacza jej upadek. I śmierć.

– Takich słów nie używa się w sztuce – zwróciła uwagę. – Wiersz jest o miłości, o uczuciach, o pięknie świata, a nie o, za przeproszeniem, kutasie. O, popatrz! – Roześmiała się. – Popatrz tylko. Czy to jest sztuka?

Zobaczył, jak na scenie zapala się światło, mężczyzna z kartką w rękę odwraca się i widać wyraźnie, że jest nagi. Białą skórę na klatce piersiowej i podbrzuszu porastało trochę nędznych włosków, zbitych w kępki. Był młody, szczupły, wręcz chudy, genitalia zostały wypikselowane przez realizatora. Kiedy się ukłonił, na widowni rozległ się śmiech i nieliczne brawa. Mężczyzna na scenie miał kamienną twarz.

On się nie śmiał. Nic nie mówił. Czuł w głowie szum. Coś się z nim działo. Czy to udar? Zerknął na żonę. Oglądała spokojnie film, lekko się uśmiechając, ten kutas i reszta wyraźnie ją rozbawiły. Założył ramiona na piersi, poprawił się na krześle i oglądał dalej, próbując się uspokoić. Poszczególne wątki historii HA!TAK-u rozdzieliły się i autor filmu podążał każdym z nich po kolei. Jednym z jej bohaterów przybyło zmarszczek, tłuszczu i siwizny, inni zniknęli w ogóle. W pewnym momencie poczuł, jak robi mu ciemno przed oczami. To było niczym objawienie. Wstał z krzesła jak robot, ze wzrokiem wbitym w telewizor.

– Wszystko w porządku? – Jej głos dochodził do niego jak zza ściany. – Dobrze się czujesz?

Wyschło mu w ustach, czuł kołatanie serca, a szum w głowie był już dwunastostopniowym sztormem szalejącym na całego. Plamy zimna i gorąca pełzały po jego skórze.

– Przepraszam cię na chwilę – wybełkotał i poszedł do łazienki.

Czuł na sobie wzrok żony, ale nie odwracał się. Nie chciał, żeby widziała jego twarz. Nie teraz. Sam chyba też nie chciał jej widzieć, więc zmusił się, będąc już w łazience, żeby otworzyć oczy i spojrzeć w nie w lustrze. Zobaczył nie tylko siebie, ale jeszcze kogoś. Stał za nim: ciemna postać w miękkiej poświacie telewizora wpadającej przez drzwi. Nie widział jej twarzy, ale nie musiał. Wiedział, jak wygląda.

– Myślę, że dowiedziałeś się już wystarczająco dużo... – Głos brzmiał echem w jego głowie.

Nie mylił się. Znał go. Boże, jak dobrze go znał i jak dawno go nie słyszał... Poczuł, jak w jego serce wlewa się fala zimna. Struchlał ze strachu. Nie o siebie.

– To nie ma sensu... – wydusił.

– Nie? To gdzie jest sens? GDZIE-JEST-SENS?

W pytaniu była zawoalowana groźba i coś jeszcze. Zdumienie. Jakby był zaskoczony, że można w ogóle podawać w wątpliwość jego istnienie.

– Nie wracajmy do tego. – Szept ledwo przeciskał się przez ściśniętą krtani. – Nie jestem gotowy...

– Już czas. Najwyższy czas.

– Nie. – Podniósł ręce i chwycił się za głowę. – Nie...

Nagle poczuł, jak gdzieś za oczami, w głębi czaszki, rozbłysła supernowa i jego głowa eksplodowała.

1

sierpień 2020

Rędzia wracał do domu. Był z żoną; dziś odstawili chłopaków do dziadków do Stargardu, po powrocie do Szczecina zrobili duże zakupy, a w drodze do domu zahaczyli o osiedle Książąt Pomorskich, gdzie mieszkał Jarek Berdak. Berdak powoli kończył kwarantannę. Jego żona miała kontakt z osobą zakażoną koronawirusem i teraz oboje tkwili w przymusowej izolacji, zdani na łaskę sąsiadów i Rędzi. Razem z kwarantanną Berdakowi kończyły się zapasy między innymi piwa, które uwielbiał. Rędzia, jako jego najbliższy współpracownik, czuł się w obowiązku wspomóc nieformalnego partnera z zespołu przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu Wydziału Kryminalnego KMP Szczecin, więc razem z niezbędną spożywką zawiózł mu kilka butelek wskazanych wcześniej marek. Rozumiał pasję Berdaka do złocistego trunku, więc nie widział przeciwwskazań, żeby jechać specjalnie po nie do „Elysium” w śródmieściu, gdzie pozostający w dobrej komitywie z obsługą Jarek zamawiał sobie przeróżne wynalazki z rzemieślniczych browarów z całej Polski. Bożenie się to nie podobało, chciała już wrócić do domu i dziwiła się, że nie może tego piwa kupić w Lidlu.

– Czemu nie kupujesz perfum w kiosku Ruchu? – zadał jej pytanie, którego intencją było wyjaśnienie subtelnej różnicy.

A może i nie subtelnej, w każdym razie Bożena zrozumiała.

Ściemniało się, a wciąż trwająca przebudowa węzła Łękno, który od jakiegoś czasu kojarzył się komisarzowi niemal wyłącznie z trupem kolegi z licealnej klasy, wymusiła objazd przez Ostrawicką i Reymonta.

Rędzia minął więc plac budowy, odruchowo zerkając w stronę willi Sarneckiego, potem zjechał na lewy pas skrzyżowania Wojska Polskiego z Ostrawicką i Wincentego Pola i skręcił w stronę parku Łyczywka i kawiarni „Biancafe”. Elementy zawieszenia zadudniły na powoli pogrążających się w ziemi betonowych płytach ułożonych między szynami torowiska tramwajowego, potem zaświszczały opony ślizgające się lekko po mokrym bruku ulicy. Kiedy Rędzia minął swoją dawną podstawówkę i zbliżał się do ryneczku Pogodno, zobaczył błyski. Refleksy kogutów kreśliły niebieskie mazaje na elewacjach samy i pierzei niskich budynków w zabudowie szeregowej po lewej stronie. Rędzia pomyślał, że zaraz dostanie oczopląsu.

– Coś się stało? – Bożena zmarszczyła brwi, a Rędzia tylko pokiwał głową.

Ktoś kiedyś dał mu serdeczną radę, że nie należy wpierdalać się w nie swoje sprawy. Dostał ją kilkakrotnie w ciągu swojego życia, dwa razy rada ta okupiona była bólem i utratą niedużej ilości krwi i choć Rędzia cenił dobre rady, tej jednej nigdy nie wziął sobie jakoś do serca.

Teraz też nie zanosilo się, żeby cokolwiek w tej kwestii miało się zmienić.

Zjechał na bok i zatrzymał samochód.

– Tomasz, co ty robisz? – Brwi Bożeny zmieniły pozycję na czole: teraz były niemal na jego środku.

– Sprawdzę tylko, poczekaj chwilę – mruknął i wysiadł.

Zanim drzwi się zatrzasnęły, zdążył usłyszeć coś o kimś niezastąpionym. Zgadzał się z Bożeną, ale tylko częściowo. Nie czuł się niezastąpiony. Nie miał kompleksu boga, nie wiedział wszystkiego najlepiej i nie musiał mieć kontroli nad wszystkim. Chodziło wyłącznie o to, że skoro już wlaź w to bagno, musiał konsekwentnie w nim brodzić, godząc się na pobrudzenie: wszystkie przysięgi, jakie złożył w życiu, traktował śmiertelnie poważnie. Tę policyjną również i dlatego nie był jednym z tych, którzy zapominali o tym, że są gliniarzami, natychmiast po wyjściu z pracy. Zdarzyło mu się co prawda potknięcie, jeśli chodzi o przysięgę małżeńską, ale był tylko człowiekiem.

Przecież się z tego powodu nie powiesi...

Ulica była jak wymarła, rynecek był już nieczynny, sam przyjmował pewnie ostatnich klientów, i to takich, który snują się przy półkach z alkoholem. Rędzia zapiął kurtkę. Lato było jakieś dziwne w tym roku, jakby nie mogło się zdecydować, czy chce być wiosną, czy jesienią, w ogóle cały ten rok był jakiś do dupy i mało kogo obchodziło lato: wszyscy i tak szykowali się na drugą falę pandemii, która miała nadejść z początkiem roku szkolnego. Wypad do Chorwacji czy jakiegokolwiek kraju o cieplejszym klimacie był loterią, jeśli chodziło o kwestię powrotu.

Pogotowie musiało przyjechać dosłownie chwilę wcześniej wąskim łącznikiem od strony ulicy Grzegorza z Sanoka, bo ratownicy dopiero wyciągali z karetki wózek i deskę ortopedyczną. Rędzia miał wrażenie, że kłujące w oczy refleksy świateł karetki wpadają przez źrenice do wnętrza jego głowy i tańczą tam tarantelę. Mrużąc powieki, podszedł do miejsca, w którym na ziemi leżał nieruchomo jakiś człowiek. Był nieprzytomny, w pozycji na wznak, z rękami zgiętymi w łokciach przyciśniętych do boków, jakby zastygł w trakcie obrony przed razami oprawców. Jego twarz spowita pomarańczową poświatą latarni ulicznych co chwila zmieniała kolor na trupi malachit, kiedy omiatał ją błysk koguta. Jej rysy skryte były za maską z długich włosów zlepionych krwią. Kępy skołtunionej, zaniedbanej brody sterczały na boki. Mężczyzna był w płaszczu, którego rozpięte poły zmieszane z błotem wyglądały teraz jak wdeptana w ziemię gazeta. Pod spodem miał sweter z włóczki. Wyglądał na bezdomnego. Widok był doprawdy smutny i przejmujący. Rędzia wolał już rany od noży i rozbitych butelek u kiboli, którzy przynajmniej wiedzieli, na co się piszą. A ten był bez winy. Biednemu zawsze wiatr w oczy. Oraz pięści i fleki.

– Maciusia pobili, skurwysyny. – Głos mężczyzny pochylającego nad ratownikami klęczącymi przy ofierze załamywał się z emocji.

– Jak z nim? – zapytał Rędzia jednego z ratowników.

– A pan kto?

Rędzia sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i podstawił ratownikowi pod nos swoją blachę. Metalowa gwiazda rozjarzyła się na ułamek sekundy zimnym blaskiem odbitego światła.

– Jeszcze chwila – odparł paramedyk i komisarz nie wiedział, czy ma na myśli przewidywaną długość życia ofiary, czy to, że jeszcze nie zdążyli ocenić jej stanu.

Miał nadzieję, że to drugie.

Rozejrzał się. Wszystko musiało zdarzyć się niedawno. Gdzieś daleko, od strony Mickiewicza usłyszał jęk syreny; przypuszczał, że właśnie nadjeżdża patrol.

– Pan go zna? – zapytał mężczyznę stojącego z boku; tego, który przeklinał napastników.

Nie chcąc przeszkadzać ratownikom, odszedł kawałek na bok, nacierając przy tym lekko na świadka, który odruchowo się cofnął w stronę sklepu „Społem”.

– Tak, to znaczy nie do końca, ja... Ja wiem, kim on jest, mniej więcej. – Mężczyzna najwyraźniej nie mógł się skupić. – Z samu wracałem, bo ja tu mieszkam niedaleko, i zobaczyłem, jak go tłuką. To ja zadzwoniłem na policję – dodał jeszcze takim tonem, jakby za to przeproszał. – On nie jest stąd. Wszyscy wołają na niego Maciuś, ale nie wiem, jak się nazywa ani czy ktoś go zna lepiej. Pytałem kiedyś różnych sąsiadów, wiedzą tyle, co ja. Ktoś go kiedyś widział w centrum, ktoś inny w Dąbiu, pewnie jeździł po mieście bez celu, żeby zabić czas, a tu, u nas, na Pogodnie było mu najlepiej. Jak miał lepszy dzień, odpowiedział „dzień dobry”, czasem sam się ukłonił, a jak miał gorszy, to nic nie mówił, tylko bykiem patrzył. Raz mu colę w sklepie postawiłem, bardzo lubił, dziewczyny w samie mówiły, że często bierze puszkę, zawsze coca-coli, nigdy pepsi. Pieniądzy nie miał wtedy przy sobie chyba, bo stał przy półce i wgapiał się w tę colę jak sroka w gnat. To zapytałem, czy chce; chciał. I tyle...

Potok słów wysechł i zapadła cisza.

– Ilu ich było? Sprawców? – zapytał Rędzia.

– Dwóch. Młodzi, wysocy, w czapkach z daszkiem i kurtkach z kapturem. To nie byli tutejsi, inaczej bym poznał. Kopali go, jak już leżał. Wszędzie, po całym ciele i po głowie. Jeden z nich już chciał mu nawet skoczyć na głowę, widziałem, jak się do tego szykuje, ale zacząłem krzyczeć i się wystraszyli, chociaż ja sam w strachu byłem. Wie pan, ja za duży nie jestem i raczej pokojowo nastawiony, ale na coś takiego to mi się krew wzburzyła... I uciekli w stronę Mickiewicza. Takich skurwysynów powinno się wieszać od razu na najbliższej latarni, sam im bym pętlę na szyję włożył, przysięgam.

Rędzia słuchał go i obserwował ratowników. Ich ruchy były szybkie, zgrane i pewne, mruclili do siebie monosylabami, jakby doskonale rozumieli się bez słów i tak pewnie było. Komisarz stwierdził, że jednak woli swoją psią robotę.

– Niczego więcej pan o nim nie wie? – zapytał mężczyznę.

– Nie. Ale wie pan co? Niech pan pójdzie do Wiącków, pod sześćdziesiąt sześć „a”. Raz widziałem, jak Wiąckowa przytuliła go przed drzwiami.

– Kogo? – Rędzia zmarszczył brwi i wskazał nieprzytomnego. – Jego? Przytuliła?

– No wie pan. – Mężczyzna stropił się lekko. – Nie w sensie, że to jakieś in flagranti... Wiąckowie są po osiemdziesiątce. Ona to bardziej robiła jak matka, która przytula syna, zresztą on płakał wtedy, a ona głaskała go po głowie... Widziałem to z za żywopłotu, z psem szedłem.

– Wtedy też tak wyglądał? – zapytał Rędzia.

– Ma pan na myśli, że jak żul?

– Powiedzmy, że to mam na myśli. Przytulenie obcego, który wygląda jak ten pobity, wydaje mi się dość dziwne.

Mężczyzna namyślał się przez chwilę.

– Wyglądał trochę lepiej – sapnął. – Ale to było ze dwa lata temu.

– I z za tego żywopłotu, wtulonego w Wiąckową pan go tak dobrze widział?

– Nie, nie wtedy, tylko jak przebiegał obok mnie ulicą.

– Doprecyzuje pan?

– Z domu wybiegł Wiącek i zaczął wrzeszczeć, i mu wygrażać, to uciekł. Płakał, znaczy Maciuś, Wiąckowa też. Każdy by się takiego wrzasku wystraszył. Oni są jak dwa bieguny w magnesie, Wieśka to złota kobieta, to może tłumaczyć trochę to przytulanie, a Zdzisiek z kolei jest we wrzątku kąpany. Nawet nie w gorącej wodzie, tylko właśnie we wrzątku, wie pan, o co mi chodzi? Jak oni się dobrali, to ja nie mam pojęcia. Córkę jedynaczkę stracili parę lat temu i mocno ich to trzepnęło, ale kogo by nie trzepnęło, w sumie, nie?

– I dalej tu przychodził ten Maciuś? W te rejony?

– Przez jakiś czas w ogóle go nie widziałem. A ostatnio... Widywałem go tu kilka razy w miesiącu. Chyba zapomniał o tym Wiącku, w ogóle jakiś

taki bardziej przymulony był. Już nie chodził tak szybko, tylko tak, jakby szedł gdzieś bez celu. Nawet nie na spacer, tylko przed siebie, tak... Bezrozumnie. Jak naćpany jakiś. Już mi się nigdy nie odkłonił.

– Dobrze. – Rędzia się rozejrzył. – Pan poczeka chwilę z boku, okej?

– Przepraszam, a czy mogę zapalić?

– Jeśli jest pan pełnoletni, to tak – walnął, na co świadek roześmiał się nerwowo.

– Nie, no wie pan, ja zdenerwowany jestem i nie wiem, czy...

– Może pan sobie zapalić, oczywiście, tylko gdzieś z boku, dobra? – rzucił Rędzia może nieco zbyt nerwowo. – I niech pan nigdzie nie ucieka. Zaraz przyjedzie patrol, wszystko im pan opowie jeszcze raz.

Zostawił świadka i podszedł do ratowników, którzy właśnie przenieśli bezwładne ciało na deskę i teraz przypinali je pasami. Pochylił się nad nimi i zajrzał mężczyźnie w twarz.

– Jak? – zapytał krótko.

Ratownik wzruszył ramionami.

– Zabieramy go na Unię.

Przy Unii Lubelskiej mieścił się duży szpital kliniczny.

– Na SOR?

– Tak, mamy zespół bez lekarza.

Rędzia wiedział, że tylko lekarz mógł podjąć decyzję o skierowaniu pacjenta bezpośrednio na konkretny oddział, w przypadku karetka z zespołem składającym się wyłącznie z ratowników pacjent trafiał na Szpitalny Oddział Ratunkowy.

– Ale nie wygląda to dobrze. – Ratownicy podnieśli deskę z ofiarą i położyli na wózku.

Kiedy wsuwali go w łóżko, podwozie złożyło się z chrzęstem, a Rędzia aż się wzdrygnął na ten dźwięk.

– Dokumenty jakieś ma? – zapytał.

– Nie. Nic. Ani portfela, ani dokumentów.

Komisarz wzruszył ramionami. To oznaczało dla chłopaków z komisariatu więcej roboty i więcej czasu, który trzeba będzie poświęcić na papierologię.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli jęk syren przybrał na sile i po chwili z piskiem opon tuż przy nich zatrzymał się szary opel astra. Krótkie,

niebieskie błyski strzelały spomiędzy szczelin atrapy z przodu auta. Syrena zamilkła, błyski zostały i Rędzia nagle sobie przypomniał, że w jego samochodzie czeka Bożena. Czasami miewała takie błyski w oczach. Teraz pewnie też.

Z opla wysiadło dwóch krótko ostrzyżonych mężczyzn ubranych niemal identycznie, w ciemne zamszowe kurtki, bluzy z kapturem wyłożonym na plecy i bojówki oraz sportowe buty. Na kilometr czuć ich było gliniarzami, choć gdyby włożyli czapki z daszkiem, wyglądałoby wypisz wymaluj jak opisani przez świadka sprawcy pobicia. Od zbirów odróżniały ich jednak beznamiętny wyraz twarzy, opanowanie i brak wyzywającej pozy podwórkowego koguta, jaką zwykle przybierają nabuzowane zbiry przekonane o własnej niezniszczalności.

Rędzia, pełniąc niejako honory domu, przedstawił siebie i świadka, a potem pokrótce historię, którą opowiedział mu przed chwilą ten ostatni. Zerknął w bok; facet kończył właśnie papierosa, chowając go we wnętrzu dłoni jak nastolatek na tyłach szkoły. Odprowadzając wzrokiem odjeżdżającą karetkę, komisarz podszedł do niego.

– Przejedzie się pan z nimi po okolicy? – zapytał, wskazując policjantów.

– Teraz? Po co?

– Objedziecie kilka ulic, może uda się wpaść na tych gnojków. Tylko pan ich widział, może ich pan rozpozna?

– Wie pan, ciemno było. – Mężczyzna rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu kosza na śmieci i nie widząc go, dyskretnie rzucił niedopałek na ziemię i zaczął starannie wdeptywać go w trawę czubkiem buta.

– Nikogo innego tu nie było prócz pana. – Rędzia wzruszył ramionami. – Mówił pan, że widział, jak wyglądają. A zatem jest pan jedyną szansą dla tego człowieka, żebyśmy mogli chociaż spróbować znaleźć sprawców jego pobicia. Jeśli na pobiciu się skończy... Niech pan z nimi pojedzie.

– Nooo dobra...

Wsiadł z tyłu opla, na koniec częstując jeszcze Rędzię pełnym wyrzutu spojrzeniem. Sygnały świetlne zgasty, a samochód ruszył gwałtownie i pojechał w stronę Mickiewicza. Komisarz zobaczył po chwili, jak mknie w stronę Krzekowa, a potem opel zniknął mu z oczu za rogiem apteki.

Wrócił do auta i walnął się z ulgą na fotelu, opierając głowę o zagłówek. Bożena była chyba zbyt zmęczona, żeby robić mu jakieś wyrzuty. Rędzia zerknął na zegarek; nie było go dobre dziesięć minut. Dla niego ten czas upłynął błyskawicznie, ale jej, siedzącej samej w aucie, musiał się dłużyć niemiłosiernie. Odruchowo zabrał ze sobą kluczyki i Bożena nie mogła nawet włączyć radia.

– Chce ci się robić obiad? – zapytał ją.

W tym całym zamieszaniu z podróżą do Stargardu, zakupami i piwem dla Berdaka nie mieli nawet czasu zjeść czegoś porządnego.

– A co, ty chcesz zrobić? – Roześmiała się, autentycznie ubawiona.

– Skoczmy na chińczyka, tu niedaleko, na Poniatowskiego? – zapytał i dodał: – Berdak poleca.

Jarek miał namierzone wszystkie warte uwagi żarłodajnie na obszarze całego miasta.

– Dobrze. – Bożena westchnęła. – Żołądek owinął mi się wokół kręgosłupa. Zjem wszystko i dam wszystko, żeby dziś nie gotować.

Rędzia przekręcił kluczyk w stacyjce i ostatni raz spojrzął w miejsce, skąd zabrano skatowanego człowieka. Zanim włączył się do ruchu, zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył w nim swoje oczy. Kilkadziesiąt metrów dalej zatrzymał się na skrzyżowaniu z Mickiewicza, żeby przepuścić tramwaj.

– Dziwne to jakieś – mruknął, czekając, aż jadąca w stronę Krzekowa „siódemka” minie przejazd.

– Co: dziwne? – zapytała Bożena.

– Ten pobity. Facet kupę czasu szwenda się po dzielnicy, wszyscy go kojarzą, ale nikt go nie zna, są tylko pewni, że nie mieszka w okolicy. Nie wiedzą, jak się nazywa ani skąd jest. Sprawia wrażenie bezdomnego, choć raczej nim nie jest, bo może nie wygląda jak ikona mody czy klient stylisty fryzur, ale nie śmierdzi. Ani brudem, ani alkoholem.

– Skąd wiesz?

– Nachylałem się nad nim.

– Dotykałeś go? – zapytała z niepokojem.

Spojrzął na żonę z kpiną.

– Nie, ale polizałem.

– Głupek – mruknęła. – Może umył się w schronisku albo w noclegowni?

– Nie wiem, może... No i był raczej trzeźwy. Wiem, że akurat to nie jest wyznacznik czegokolwiek, ale w połączeniu z tym, o czym mówiłem przed chwilą... Dziwne.

– Jak z tego wyjdzie, to go zapytasz. – Wzruszyła ramionami. – Skoro ci tak zależy.

Rędzia pokiwał w zamyśleniu głową.

– Jeśli w ogóle z tego wyjdzie... – mruknął, ale tak cicho, że nie miał pewności, czy żona go w ogóle usłyszała.

Koniec końców wylądowali na pizzy w „Peperoni”, również na Poniatowskiego, bo okazało się, że Bożena jednak nie zje wszystkiego, a szczególnie chińszczyzny.

Rędzia też nie miał ochoty na chińszczyznę. Szczerze mówiąc, jedyne, na co miał ochotę, to zalec na kanapie ze słuchawkami na uszach i wylogować się na godzinę, może dwie. Albo chociaż pół.

2

2008

– Wstań, bracie, od tej chwili jesteś jednym z nas.

Podniósł głowę i z lekkim wahaniem wstał z klęczek. Rozejrzał się wokoło, lekko zawstydzony uwagą, jaką skupiali na nim ludzie zgromadzeni w sali. Czuł na sobie ich wzrok, przyjazny i pełen radości, jakby jego przybycie tutaj wniosło ją niespodziewanie do tego domu. Nagle wszyscy zaczęli bić brawo. Dłonie uderzały o siebie najpierw w beładnym rytmie, potem stopniowo z chaotycznego staccato odgłos klaskania przeszedł w regularny rytm towarzyszący pieśni, którą zaintonowała jedna z sióstr. Jej czysty głos wypełnił salę, po chwili dołączyły do niego inne głosy, jednak ten jej prowadził pozostałe; mocny, wibrujący, pełen uniesienia i autentycznej wiary.

Powiedz ludziom, że kocham ich,
że się o nich wciąż troszczę,
jeśli zeszli już z moich dróg,
powiedz, że szukam ich.

Mężczyzna w białej, powłóczystej szacie podszedł do niego, chusteczką startł mu z czoła niewielką plamę, którą miał tam od miesiąca, a potem objął go serdecznie i przytulił. Poczł zapach perfum, na swoim policzku jego szorstki zarost, a na skroni zimno metalowego zausznika okularów, które nosił ów człowiek nazywający siebie Ojcem.

– Przeszedłeś próbę i wyraziłeś gorącą i szczerą wolę pozostania w naszej wspólnotcie, która odtąd będzie również twoją wspólnotą. Narodziłeś się dziś na nowo i z tego względu nadaliśmy ci nowe imię, Dawid, które odtąd będzie twoim jedynym imieniem, a które znaczy: „ukochany”. Chcę: ja tego chcę i wszyscy we wspólnotcie chcemy... – potoczył ręką po zgromadzonych – ...żeby Bóg Najwyższy ukochał cię jak syna, tak jak kocha nas wszystkich, choć przecież nie wszyscy na to zasługujemy. Ty też musisz na to zasłużyć: ciężką pracą i służbą bliźniemu, a wszystko to na chwałę Najwyższego. Amen. – Uśmiech rozjaśnił twarz Ojca. – I jak się czujesz, nasz bracie, nowo narodzone dziecko boże?

– Trudno mi to nawet wyrazić – szepnął i poczuł, jak łzy szczęścia płyną mu po policzkach.

Był wzruszony, tak bardzo wzruszony. Czuł, jak serce i klatkę piersiową rozpiera mu bezbrzeżne i niewysłowione szczęście, czuł ogarniające go poczucie bezpieczeństwa, niemal fizyczne, jak u niemowlęcia wtulonego w matkę. Był teraz z ludźmi, których myśli biegły tym samym torem co jego myśli, wszyscy też robili to samo, co miał robić wkrótce on: służyli człowiekowi, a tym samym Bogu. Miał nową rodzinę.

Miał rodzinę...

Zamknął oczy i wrócił wspomnieniami do nieodległych chwil, które zaczęły jego drogę do tego budynku, do tych ludzi i do niego – do Ojca.

Szedł wtedy ulicą otoczony dźwiękami świata, który powoli przestawał rozumieć. Ten świat zmieniał się szybciej, niż ktokolwiek umiał przewidzieć. On za nim nie nadążał i nawet nie próbował, wiedząc, że taka próba z góry skazana jest na niepowodzenie. Znał siebie, wiedział, czego chce, a czego nie. Wiedział też, na co go stać. Na wiele w wymiarze duchowym, na niewiele w materialnym. Te dwa aspekty rozmijały się i tego też był świadomy. Nie mógł mieć i być jednocześnie, mógł tylko być. I wtedy to zobaczył. Zwykłą, białą kartkę papieru formatu A4 przyklejoną do skrzynki transformatorowej. Przypominała klepsydrę, bo były na niej krzyż i wieniec oraz gołębica, ale właśnie swoją prostotą pośród okalających ją krzykliwych, kolorowych ogłoszeń przykuła jego wzrok. Znak. Taki niepozorny i nijaki. Uznał potem, że to musiał być palec boży i tak też powiedział Ojcu, na co ten stwierdził: „Umiejętność właściwego odczytywania znaków to ważna rzecz, synu, i wiedz, że nie trafiłeś tu

przypadkiem”. A potem, zerkając na niego znad czerwonych szkielec okularów, uśmiechnął się szeroko i dodał: „Nikt z was nie trafił tu przypadkiem, uwierz mi, nikt! To On was tu przyprowadził, nie widzisz tego?”.

Nie widział, ale zaczynał dopuszczać taką możliwość.

I tak był na świecie sam. Nie miał nikogo, z kim mógłby się pożegnać. Jedni nie żyli, inni byli mu już całkowicie obojętni, stanowiąc element przeszłości, od której chciał uciec i którą chciał zatrzeć w pamięci jako życiowy, całkowicie zbędny bagaż. Podjął tę decyzję pod wpływem chwili, ale nie musiał się zastanawiać, tak bardzo był jej pewny. Wsiadł więc w autobus i pojechał do Załomia z walizką. W niej miał trochę bielizny, ubrań, przyborów toaletowych i ani jednego zdjęcia wiążącego go w jakiś sposób ze światem, który opuszczał przecież na własne życzenie.

Kościół Jedynie Prawdziwego Objawienia Syna Bożego. Taki napis widniał nad zadaszeniem wejścia do wielkiego budynku mieszkalnego, wyrastającego niespodziewanie zza ściany zieleni. Sam dom wyglądał jak wrzucona w las monstrualna kostka – kompletnie abstrakcyjny widok, niepasujący do otoczenia, a wielki napis na rozpiętym na elewacji banerze pogłębiał tylko to wrażenie. To też potraktował jako znak. Czytelny i nie do przecoczenia.

Wreszcie trafił do domu.

Stojąc przed drzwiami i wahając się, czy wcisnąć przycisk dzwonka, jeszcze tego nie wiedział. Nie miał pewności, co go czeka. W Boga nigdy nie wierzył. Rodziców stracił w dzieciństwie, wychowywała go babcia. Od paru lat dopiero uświadamiał sobie, jak bardzo przez całe życie staruszka rozdarta była między wpojona przez swoją matkę i księdza wiarą w Boga a wiarą w zabobony, którą od wieków przesiąknięci byli wszyscy w jej rodzinie i jej wsi. I równocześnie wszystko to, w co wierzyła, napawało ją lękiem: zarówno zabobony, jak i Bóg. Kiedy umarła, a on ostatnie trzy lata przed osiągnięciem pełnoletności spędził w domu dziecka, wiedział, że i wiara w Boga, i w zabobony są równie bezcelowe. Nie wierzył ani w Boga, ani w duchy, utopce czy moc wiejskich znachorów. Nie wierzył w nic oprócz siły ludzkiego rozumu, a potem nawet to mu przeszło, kiedy po wyjściu z domu dziecka zobaczył więcej świata i poznał więcej ludzi. W chwili obecnej nie wierzył już w nic i to sprawiało, że nie miał w życiu

oparcia, kotwicy, która nie pozwalałaby mu dryfować, tylko osadzała twardo w rzeczywistości. Nie miał oparcia ani w żadnym człowieku, ani w jakimkolwiek miejscu, a w związku z tym dręczyło go dojmujące poczucie bezsensu i bezcelowości życia. Przeniknięty nim na wskroś, jak kiedyś babcia lękiem przed utopcami i Bogiem, płynął przez życie bez celu i tylko wrodzony lub wyuczony szacunek dla wszystkiego, co żyje, nie pozwalał mu skończyć tej wędrówki na swoich zasadach. Zbliżał się do trzydziestki i chyba wciąż po cichu liczył na to, że ten cel gdzieś jest, a on go w końcu odnajdzie.

Czy był za tymi drzwiami?

Chciał się przekonać, chciał spróbować, nic innego mu nie pozostawało.

Postawił walizkę obok nogi i wcisnął dzwonek. Nie wiedzieć czemu spodziewał się czegoś w rodzaju kościelnego dzwonu, dźwięku odpowiadającego powadze miejsca, tymczasem wewnątrz rozległ się przeraźliwy terkot, który pewnie obudziłby umarłego. Może to dlatego, że dom był tak duży? Minęło kilkanaście wlokących się jak ślimak sekund, podczas których wyobrażał sobie możliwy przebieg zdarzeń, łącznie z tym, że zostanie zrzucony z tych schodków jako natręt. Już schylał się po walizkę, kiedy drzwi uchylły się nieznacznie.

– Słucham? – padło zza nich pytanie.

W ciemnej, wąskiej szparze bacznie łypało tylko czyjeś oko.

– Ja... – Chrząknął i zaczął ponownie, już mocniejszym głosem. – Ja widziałem ogłoszenie na mieście i... Pomyślałem, że mógłbym zostać członkiem waszego Kościoła. Właściwie to jestem zdecydowany.

Jeszcze przez chwilę czuł na sobie czujny wzrok, a potem drzwi uchylły się szerzej i zobaczył drobnego, starszego mężczyznę ubranego na biało. Miał sterczące na boki białe włosy, druciane okulary z okrągłymi szklami i wyglądał jak skrzyżowanie doktora Browna z Powrotu do przyszłości z Mahatmą Gandhim.

– Proszę wejść i poczekać tutaj – powiedział cicho, wpuszczając go do środka. – Za chwilę zejdzie Ojciec.

Chwycił więc rączkę walizki i wszedł do sieni. Drzwi zamknęły się i wszystko niemal zniknęło w półmroku.

– Proszę nie iść dalej – dodał jeszcze mężczyzna, unosząc ostrzegawczo palec.

Pokiwał głową, nie śmiąc odstawić nawet walizki, która ciążyła mu w dłoni, chwycił więc rączkę drugą ręką i oparł walizkę o kolana.

Zamknęły się drugie drzwi, te prowadzące z przedsionka do wnętrza domu, i został sam, teraz już niemal w kompletnej ciemności. Pociągnął lekko nosem i poczuł ledwie wyczuwalną woń stęchlizny pomieszanej z zapachem środków czystości. Po jakimś czasie usłyszał szmer rozmów i drzwi się otworzyły. Przez chwilę jego wzrok znów przyzwyczajał się do światła i kiedy mógł już przestać mrugać, zobaczył w nich kolejnego mężczyznę.

Był niski, korpulentny, ale wyglądał na raczej krzepkiego. Ogorzała skóra twarzy porwana była bruzdami i drobnymi bliznami po ospie, przydającymi mu lat i niepokojącego wrażenia jakiejś niebezpiecznej zadziorności. Mięsiste usta niemal pozbawione czerwieni wargowej odstaniały dolne zęby, równiutkie jak rząd ziaren w kolbie kukurydzy. Na wydatnym nosie mężczyzny tkwiły okulary, też w drucianej oprawce, jednak osadzone w niej szkła nie były bezbarwne, nie były też całkiem ciemne; mniej więcej od połowy znaczyła je jasna, przełamana brązem czerwień, sięgająca na górze odcień karminu. Szeroka głowa osadzona była na krótkiej szyi i potężnym karku. Mężczyzna uniósł ręce w powitalnym geście i jego dłonie wysunęły się z szerokich rękawów czegoś w rodzaju białego płaszcza przepasanego czerwonym sznurem.

– Nazywają mnie Ojcem, bo jestem ojcem wszystkich zebranych tu braci i sióstr. – Uśmiechnął się i zerkając na jego walizkę, dodał: – Nie jesteś żadnym dziennikarzem, prawda?

Słyszając to pytanie, uniósł wysoko brwi.

– Nie, skąd – odparł i wyjaśnił: – Widziałem ogłoszenie.

– Ogłoszenie, powiadasz? Dobrze, dobrze. – Ojciec pokiwał głową, a wraz z nią poruszyło się wszystko: ramiona, tułów i sznur, którego końce ozdobione były złotymi frędzelkami.

– Postaw na razie walizkę tutaj i chodź. – Wziął go pod ramię i wprowadził do środka.

Znaleźli się w długim, wąskim korytarzu. Po obu jego stronach jaśniały prostokąty otwartych na oścież drzwi, a na ścianach wisały wielkie, oprawione w antyramy plakaty, których kolory i tematyka kojarzyły mu się z okładkami „Strażnicy”, czasopisma dla świadków Jehowy. Przez

chwilę błysnęła mu myśl, że może trafił do ich zboru, ale doszedł do wniosku, że nie kryliby się z tym w ogłoszeniu, a poza tym... Poza tym było mu wszystko jedno.

– Na pewno nie jesteś dziennikarzem? – Ojciec uśmiechnął się chytrze, przypatrując mu się uważnie.

Szli obok siebie wąskim korytarzem, dotykając się wzajemnie ramionami, czuł jego ciepło i czuł coś jeszcze: woń perfum, która nie pasowała do zapachu z przedśionka. Nie znał się na perfumach, ale te mu się podobały.

– Na pewno nie jestem dziennikarzem – potwierdził poważnym tonem.

– Wiesz, przychodzą tu czasem tacy – wyjaśnił Ojciec poufale, czyniąc lekceważący ruch ręką. – Są jak hieny. Chcą za wszelką cenę udowodnić, że nie da się żyć we wspólnocie takiej jak nasza. Nasyłają na nas policję i inne takie... – Złożył mięsiste usta w ciup i rozległo się głośne cmoknięcie. – Nieważne. Chcesz jabłko?

Nie wiadomo skąd w ręku Ojca pojawił się wielki, czerwony owoc, wyglądający na wyjątkowo słodki i soczysty. Poczował ból ślinianek. Nie jadł dziś śniadania i był wściekle głodny, choć uświadomił to sobie dopiero w tej chwili. Wziął jabłko i wbił zęby w twardą skórkę.

– Powiedz mi teraz, co cię tu sprowadziło? – poprosił Ojciec.

– Ogłoszenie... – odparł niewyraźnie.

– To już wiem. Ale czytały je setki ludzi przed tobą. A jednak przyszedłeś ty, a nie oni. Dlaczego?

Przełknął kęs i oblizał usta ze słodkiego jak miód soku.

– Bo ja nie wiem, jak żyć. To znaczy wiem, ale nie potrafię, nie tam. Nic mi nie sprawia przyjemności, nie widzę celu, do którego mógłbym dążyć. To był impuls. Chciałem coś zmienić. W sobie. – Spuścił wzrok.

Ojciec spojrzał na niego rozpromieniony.

– Niepotrzebnie czujesz się skrępowany. Wszyscy, którzy przyszli tu przed tobą, mówili to samo. Wszyscy bez wyjątku, i to jest fascynujące. Może nie identycznymi słowami, ale wyrażali dokładnie to samo: pragnienie spotkania z Bogiem. Bo to właśnie czujesz, choć nie umiesz tego określić. Wszyscy jesteśmy jego dziećmi. Zagubionymi. A ty się właśnie odnalazłeś. To nasz dom. Nasz Kościół. Teraz jest tu pusto, bo prawie wszyscy są na zewnątrz, ale później ich poznasz. To wspaniali,

bogobojni ludzie. Gorliwi chrześcijanie i cudowni kompani. Skromni i cisi, skupieni na pracy ku chwale bożej, poświęceni jej niemal bez reszty. Uczciwie pracują na owoce, które zbiorą w niebie. Widzisz, synu... Przepraszam, przyzwyczajenie, mam nadzieję, że się nie obrazisz... – Ojciec zerknął na niego, więc na wszelki wypadek od razu odparł:

– Absolutnie!

– Cieszę się i mam nadzieję, że wkrótce będę mógł się tak do ciebie zwracać oficjalnie... Bo widzisz, synu, w tej wspólnocie nie ma miejsca na blichtr i przepych katedr i kościołów katolickich; zamiast ociekających złotem kielichów, pater i paten proste drewniane naczynia, z jakich jadał prawdziwy, jedyny Chrystus – mówił ojciec. – Zamiast górnolotnych sformułowań i alegorii brzmiących pusto i fałszywie jak pęknięty dzwon proste i skromne słowa. Wróciliśmy do korzeni. Dzisiejszy Kościół wzrósł tak bardzo i tak wysoko, że nie widzi tego, co go karmi. Myśli, że chodzi o sięganie koroną ku niebu i Bogu, ale zapomina, co jest esencją, co jest sednem i istotą. My. My jesteśmy jego korzeniami. My go karmimy. My, ci najmniejsi. A kościół, ten instytucjonalny, odcina te korzenie, rozumiesz? Robi to rękami biskupów ukrytych za murami swoich rezydencji. On nawet nie podcina gałęzi, na której siedzi, bo z tego można się wykaraskać, spaść na niższą gałąź i znów się piąć. A on odcina korzenie, skazując się na śmierć, bo każde drzewo umrze, kiedy podetnie się mu korzenie. Odciał nas, ale z tych korzeni wyrasta nowe drzewo. Zdrowe. Takie, jakie wcale nie musi być wielkie i wyrastać ponad inne drzewa, tylko musi być zielone i trwać mimo wichrów i burz. To drzewo to my, a współczesny Kościół to druga wieża Babel. Przeznaczone jej jest runąć, jak runęła ta pierwsza, zburzona gniewem bożym. My nie budujemy wieży, tylko skromny dom dla dusz wielbiących Pana gorliwie, ale prosto i skromnie.

– Nie potrafię się modlić – wyznał. – Nigdy tego nie robiłem.

Nie powiedział, że nie wierzy, tylko że nie umie się modlić. Bał się, że zostanie wyrzucony za drzwi.

– Nie szkodzi. Nie szkodzi, synu. Nauczysz się. I nie mówię o klepaniu pacierza. Tu modlimy się prosto i z głębi serca. Poza tym praca to też modlitwa, pamiętaj o tym. Modlimy się tu naprawdę dużo. Zacznieś od

prac domowych. Będziesz pomagał w kuchni, przygotowywał posiłki, zmywał. Potem znajdziemy ci pracę na zewnątrz.

– Na zewnątrz? – zdziwił się.

– Myślałeś, że to klasztor? – Grube wargi Ojca rozciągnęły się w uśmiechu, ukazując również górne zęby: były niemal dokładnie takie same jak dolne, jak ich lustrzana kopia.

– Nie wiem – mruknął, spuszcżając głowę. – Nic nie myślałem.

Powieki mrugnęły przyjaźnie za czerwonymi szkłami.

– Służba Boga to służba ludziom, synu. W końcu stworzył nas na swoje podobieństwo, prawda? Wykonał ciężką pracę, żeby stworzyć nas, żeby stworzyć wszechświat. A więc my odwdzięczamy Mu się za to i służymy ludziom, jak umiemy najlepiej. Wyjaśnię ci, jak to działa. Prawie wszyscy z nas pracują. Ale to nie jest zwykła praca. Nie jesteśmy księgowymi, menedżerami, urzędnikami, lekarzami czy adwokatami. My pracujemy w szpitalach, przytułkach, zakładach pogrzebowych, firmach sprzątających et cetera – wyliczył na palcach. – Wynagrodzenie za pracę przeznaczamy na działalność Kościoła. Wam pieniądze nie są do niczego potrzebne, bo wszystko macie tu. Jedzenie, spanie, pranie, ubrania. Pieniądze są środkiem, nie celem, rozumiesz? – Uznał, że Ojciec oczekuje teraz potwierdzenia, więc pokiwał głową. – Bo celem jest właśnie służba. To robimy: służymy. Większość ludzi pogardza takimi jak my. Pracujemy w brudzie, smrodzie, biedzie, ludzkich odchodach, wykonujemy najgorzej płatną i niechcianą pracę, jakiej nie chce wykonywać nikt inny. Ludzie marszczą nosy, kiedy nas mijają, nie zaszczycają nas spojrzeniem, bo przecież omija się wzrokiem coś, co nie jest warte uwagi. Często nami pogardzają, nie mając świadomości, że to właśnie my jesteśmy z nimi, kiedy chorują, kiedy umierają, kiedy rodziny oddają ich ciała ziemi. Wtedy dalej nas nie zauważają, ale to nie ma znaczenia i mam nadzieję, że zrozumiesz to jak najszybciej, jeśli to wciąż cię dziwi. Nie interesuje nas uznanie w oczach ludzi, a wyłącznie w oczach Boga. – Uśmiech Ojca nagle zniknął jak zdmuchnięty, jego twarz zmieniła się z jowialnej w śmiertelnie poważną. – Więc jak, dalej chcesz z nami zostać?

– Tak – odparł mocnym, pełnym przekonania głosem. – Chcę. Chcę spróbować. Wierzę, że dam radę, a jeśli nie, to przynajmniej spróbuję.

Oczy Ojca rozszerzyły się, brwi wyjechały zza czerwieni szkieł i mógł je teraz zobaczyć po raz pierwszy.

– Noo, synu, to mi się podoba! – krzyknął Ojciec. – To się nazywa uczciwe postawienie sprawy. Będą z ciebie ludzie, będzie z ciebie dobry chrześcijanin, zobaczysz, ja ci to mówię. Przez miesiąc będziesz trwać w czymś w rodzaju nowicjatu. To będzie czas próby. Sprawdzimy, czy podołasz. Nie tylko my: sam siebie sprawdzisz, synu. Jeśli stwierdzisz, że to nie dla ciebie – zrozumieć. Odejdiesz w pokoju i nikt nie będzie miał do ciebie pretensji. Tak bywa i nic nie dzieje się przypadkowo. Ale mam nadzieję, że jednak wytrwasz. Jeśli tak, podążysz ścieżką, którą podążają wszyscy w tym Domu Bożym. Ścieżką zbawienia poprzez pracę, bo to praca czyni wolnym. Naprawdę wolnym. Nie mistycyzm buduje relację i więź z Najwyższym, tylko praca. Mistycyzm to zasłona, fasada, mająca ukryć brak prawdziwej, gorącej wiary. Zerwałem ją, jak Pan zerwał zasłonę w świątyni Salomona. Nie skupiaj się na nieistotnym, choćby nie wiem jak atrakcyjnym. Ufaj Bogu. Przez ten miesiąc będziesz milczał. Nikomu nie zdradzisz swego imienia, bo jeśli do nas przystaniesz, nie będzie ono miało znaczenia. Dostaniesz nowe, którym będziesz się tu posługiwał, a stare będzie ci potrzebne wyłącznie do funkcjonowania na zewnątrz. To podstawowa zasada tego domu, a my tu przestrzegamy zasad, synu, bezwzględnie. Sprzeniewierzenie się zasadom grozi wydaleniem z naszej wspólnoty. To bardzo poważna kara, więc przemyśl to, zanim przyjdzie ci do głowy postąpić wbrew regułom. U nas nie ma żółtych kartek. Będę cię obserwował. Będę patrzył, jak ci idzie. Wszyscy przez miesiąc będą traktować cię tak, jak inni ludzie traktują nas tam, na zewnątrz. Będziesz sprzątał, prał, mył podłogi i łazienki, gotował, robił to wszystko, po pierwsze, żeby się nauczyć to robić dobrze, a po drugie, żeby się sprawdzić. Nie będziesz wychodził z domu, chyba że ze śmieciami lub zebrać warzywa czy zioła z naszego ogrodu. Aż miesiąc, lub tylko miesiąc, synu. Musisz to wytrzymać. Musisz udowodnić, że jesteś gotowy służyć ludziom i Bogu. Udowodnić to sobie, mnie i Najwyższemu. – Spojrzał mu w twarz. – I co, dalej chcesz tu zostać, mój synu?

– Tak.

Mówił prawdę. Teraz chciał tego nawet bardziej niż przedtem. Chciał tego, bo wreszcie w jego życiu pojawił się ktoś, kto pokazał mu cel.

– To dobrze. – Ojciec westchnął. – To bardzo dobrze...

– Mogę dokończyć jabłko? – zapytał go.

Resztę dnia spędził sam w małym pokoiku. Ojciec zostawił mu Pismo Święte, poradził, żeby wybrał jakieś fragmenty, przestudiował je, a potem, wieczorem, porozmawiają sobie o Bogu i o tym, co wyczytał. Kiedy zapadł zmierzch, faktycznie wrócił z miską strawy dla ciała, jak to określił. „Nakarmiłeś duszę, teraz pora nakarmić ciało, synu” – powiedział z szerokim uśmiechem, a jego oczy śmiały się do niego z nad czerwonych szkieł. Rozmawiali jeszcze dobrą godzinę, choć właściwie to Ojciec mówił, a on słuchał, skupiając się jednak bardziej na jedzeniu niż na jego słowach. Był zmęczony, oszołomiony i w pewnym momencie, kiedy kolejny raz machinalnie przytaknął Ojcu z nad miski z zaprawionym sosem pomidorowym makaronem, ten spojrzął na niego uważnie i zmarszczył brwi.

– Chyba za dużo atrakcji jak na jeden dzień, synu – powiedział. – Musisz się położyć. Pozwolę ci się wyspać, jutro pobudka o szóstej, co ty na to?

Wiedział, że nie ma wyboru, ale jakoś nie miał problemu z akceptacją. Pokiwał więc zgodnie głową. Ojciec wstał od stoliczka.

– Chodź – powiedział, wyciągając rękę. – Zaprowadzę cię do twojej norki. Tam będziesz na razie spał.

Podał mu dłoń i dał się prowadzić jak dziecko.

A potem nadeszła noc. Jego pierwsza noc w nowym miejscu, niemal bezsenna. Znowu był sam, znowu w małym pokoiku wielkości schowka na miotły, gdzie ledwo mieściły się jego walizka i to krótkie łóżko, na którym teraz leżał, wpatrując się w sufit. Pomieszczenie nie miało nawet okna, tylko przez szparę pod skrzydłem drzwi do środka sączyła się odrobina światła z korytarza. Nie miał prawa spać z braćmi w dormitoriach. Jeszcze nie. Na razie musiał być sam. Tak powiedział Ojciec, a jemu nie pozostawało nic innego, jak się zastosować.

Leżał na plecach z ręką na rozgrzanym od emocji czole i rozmyślał.

A więc zrobił to. Zostawił za sobą wszystko, choć tak naprawdę tam, na zewnątrz, nie miał nic. Z zaskoczeniem zauważył, że mówi już tak samo jak Ojciec. Na zewnątrz. To określenie brzmiało pejoratywnie i równocześnie nadawało zupełnie nowe znaczenie miejscu, w którym

przebywał teraz. Jakby to, co znajdowało się za płotem otaczającym dom i ogród, było obce i niebezpieczne. Jak gdyby wszystko, co tam było, wystawiało na pokusę grzechu. A tu, wewnątrz, było bezpiecznie i swojsko. Zaczął wspominać babcię, jej niezachwianą, choć podszytą lękiem wiarę w Boga, jej wiernopoddańczy stosunek do proboszcza, który był we wsi nawet nie tyle pierwszym po Bogu, ile Go zastępował. Podobało mu się w Ojcu to, że wciąż podkreślał więź z Bogiem, traktując ją nie jako uległość, tylko relację ojcowsko-synowską. Umniejszał swoją rolę nawet jako przewodnika ludzi mieszkających w tym domu. I ci ludzie nie byli jego wyznawcami, tylko wyznawcami Boga.

Leżąc tak, pomyślał, że wszystko przyjdzie z czasem. Wiara też. Ważne, że zakotwiczył na stałe w miejscu, które było jak stworzone dla niego. Czuł spokój i odprężenie.

Czuł, że wreszcie żyje.

3

październik 2020

– Nie zaginął wam czasem pacjent? – zapytał Rędzia, patrząc na wciśnięte we wnękę zwłoki mężczyzny i usiłując zignorować słodkawy i mdlący smród, który snuł się wokół nich.

Dyrektor szpitala spojrział na niego podejrzliwie.

– To żart, panie komisarzu?

– Absolutnie nie. – Rędzia wzruszył ramionami. – To się wcześniej zdarzało, prawda? Nie wiem, czy w tym szpitalu, ale jednak. Niektórych znajdowano potem martwych na przykład w kotłowni.

Konarski, dyrektor szpitala, milczał wyraźnie wstrząśnięty.

Stali w ciasnym, ciemnym korytarzu dawnych pomieszczeń Zakładu Medycyny Nuklearnej szpitala klinicznego przy Unii Lubelskiej. Przyniesiony przez pracownika technicznego mocny pięciusetwatowy halogen używany przy remontach oświetlał miejsce, gdzie odkryto ciało, do którego właściwie doprowadził kogoś ten nieznośny smród. Długie i mocne dzięki ostremu światłu postacie tańczyły po zakurzonych ścianach jak podczas spektaklu japońskiego teatru cieni. Każdy z przybyłych miał swój odpowiednik: komisarz Rędzia, technik kryminalistyczny, prokurator z rejonówki Szczecin-Zachód nazwiskiem Bojko, z którym komisarz miał już kiedyś okazję współpracować przy dwóch zabójstwach, oraz doktor Konarski, pełniący również funkcję dyrektora szpitala.

– Te pomieszczenia są nieużywane, odkąd powstał budynek Centrum Diagnostyki i Leczenia Nowotworów Dziedzicznych. – Głos dyrektora był

lekką zachrypniętą, z trudem wydobywał się i z gardła, i zza maseczki. – Nikt tu nie wchodził, bo nie było po co...

– Te drzwi – prokurator wskazał drzwi, którymi wszyscy się tu dostali – były zamknięte?

– Oczywiście.

Komisarz dotknął starej aluminiowej klamki tkwiącej w skrzydle z płyty paździerzowej.

– To i tak nie miało chyba znaczenia. – Nacisnął lekko klamkę. – Nawet dziecko by je otworzyło. Sandałkiem.

Dyrektor tylko wzruszył ramionami. Prokurator Bojko również.

– Nie było potrzeby wstawiania mocniejszych – wyjaśnił Konarski. – Wszystko jest puste.

– Rozumiem, nie musi się pan tłumaczyć. – Rędzia uśmiechnął się za służbową maseczką. – Stwierdzam tylko fakt. Skoro tu się znalazł, to chyba nie miał z tym problemu.

– Pan poważnie pytał o tych zaginionych pacjentów? – rzucił dyrektor.

– Tak.

– Mam to sprawdzać?

– Poproszę. – Rędzia zerknął na prokuratora, który tylko skinął głową. – Dmuchamy na zimne. Denat jest ubrany w koszulkę, więc nie był z zewnątrz.

– Mógł zostawić ubranie w szatni.

– Proszę spojrzeć na jego spodnie, są z cienkiego materiału, to chyba piżama, więc najprawdopodobniej to jednak pacjent. W przypadkach, o których wspominałem, zgon następował z przyczyn naturalnych, ale temu tutaj wyraźnie ktoś pomógł. – Wskazał na głowę denata: z boku, tuż obok skroni, widniało wyraźne, nieduże wgniecenie.

Rana gniła już, latały wokół niej małe muchy, a Rędzia zastanawiał się, skąd muchy u progu zimy.

– Od razu?

Rędzia drgnął, wyrwany z zamyślenia pytaniem Konarskiego.

– Od razu – wyręczył komisarza Bojko. – Tutaj i tak pan nam nie pomoże.

Patrzyli za dyrektorem, który ciężkim krokiem ruszył ku drzwiom prowadzącym do głównego korytarza, a potem zniknął w ich jasnym

prostokącie. Technik kryminalistyczny mógł przystąpić wreszcie do pracy. Od czasu ujawnienia zwłok minęła ponad godzina, ale to w zasadzie nie miało znaczenia, bo po pierwsze widać było, a właściwie czuć, że od śmierci minęło już sporo czasu, a po drugie, miejsce było dosłownie zdeptane przez wszystkich, którzy byli tu od momentu odkrycia denata. Czyli sprzątaczkę, która się na niego natknęła, dwóch studentów, których zwabił jej krzyk, dyrektora i pewnie parę innych osób, o których Rędzia nie miał zielonego pojęcia.

– Tu coś jest – powiedział nagle technik, wciskając rękę w fałdy ubrania skulonego trupa.

Po chwili wyciągnął ją przed siebie: na granatowej smyczy wisiał identyfikator.

– Identyfikator – stwierdził Bojko, jakby nikt poza nim tego nie wiedział, zbliżył twarz do plakietki, poczekał, aż sama obróci się ku światłu i odczytał. – Sławomir Dworzak. Personel porządkowy, firma Thomarex, SPSK numer jeden.

– Czyli nie pacjent, a spodnie nie od piżamy – mruknął Rędzia. – Zakładając, że identyfikator faktycznie był jego.

Sam fakt, że znaleźli go przy ciele, nie oznaczał jeszcze, że należał do denata.

– Ano nie pacjent. – Bojko odsunął się poza krąg światła rzucanego na wnękę z trupem i jego cień zniknął. – Czyli zakładając, że to on, szukamy zaginionego salowego. Skoro jest w ubraniu roboczym, to oznacza, że w momencie zgonu był w pracy.

– Co tu robił? – zapytał Rędzia. – Skoro tu nikt nie sprzątał, bo nie było takiej potrzeby?

– Otóż to. – Bojko zerknął na zegarek, podstawiając przedramię pod snop światła, i w tej samej chwili na trupie pojawiły się czarne szpony.

Pochylony nad zwłokami technik obejrzał się z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy i wrócił do roboty. Nagle w korytarzu rozległ się dźwięk telefonu. Wszyscy odruchowo zaczęli sięgać do kieszeni, ale to był telefon prokuratora.

– Bojko – rzucił do telefonu, odwracając się plecami.

Stał tak kilkanaście sekund, nic nie mówiąc, tylko słuchając swojego rozmówcy. Potem rzucił krótkie: „za kwadrans, dwadzieścia minut”,

rozłączył się i spojrzął w telefon, a jego twarz stężała w grymasie lekkiego zaskoczenia. Kiedy Bojko schował komórkę do kieszeni płaszcza, wrócił do nich i sapnął, wyraźnie poruszony.

– Dobra, panie komisarzu. – Poprawił poły płaszcza. – Proszę mnie poinformować o dalszym przebiegu oględzin, potem załatwimy niezbędne formalności. Proszę też o rozpytanie personelu i sporządzenie notatki, a w razie pojawienia się istotnych faktów, proszę o przesłuchanie do protokołu... – Zerknął na zwłoki. – I tyle... Drugie zabójstwo, uwierzy pan? Tu salowy, tam jakiś dziennikarz. A miał być taki spokojny dzień. Jak, kurwa, zwykle...

Odwrócił się na pięcie i dół płaszcza zakręcił mu się wokół nóg, wzbudzając podmuch powietrza. Smród gnijących zwłok znów przybrał na sile, a potem delikatny przeciąg złagodził go do stężenia, które dało się jakoś tolerować.

Rędzia poczekał chwilę, a ponieważ technik doskonale wiedział, co ma robić, zostawił go i wyszedł śladem Bojki, robiąc jeszcze nieboszczykowi zdjęcie aparatem z komórki. Zewnętrzny korytarz był jasny, kręciło się po nim kilkoro studentów w białych kitlach. Komisarz wyszedł na zewnątrz bocznymi drzwiami i długo wdychał świeże powietrze. Kiedy już oczyścił płuca i nozdrza z powietrza przesiąkniętego trupim odorem, poszedł do budynku administracyjnego i ustalił, gdzie znajdzie człowieka odpowiedzialnego za personel sprzątający. Okazało się, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, bo szpital współpracował w tym zakresie z firmą zewnętrzną i to jej pracownicy, a nie szpitala, wykonywali usługi. Komisarz zadzwonił pod podany w administracji numer i skontaktował się z osobą odpowiedzialną za nadzór z ramienia szpitala. Wyjaśnił, o co chodzi, i poprosił o ustalenie kilku szczegółów, a potem umówił się na kolejny telefon i spotkanie w miejscu, które miało zostać ustalone po uzyskaniu informacji o Dworzaku. Pół godziny później Hubert Grzelak oddzwonił i zaprosił Rędzię do skrzydła, gdzie mieścił się centralny blok operacyjny, tak zwany „stary”.

Mieli spotkać się koło wind, w rozszerzeniu korytarza. Komisarz, czekając na niego, zobaczył, jak zza rozsuwanych automatycznie drzwi na oddział urazowy wyjeżdża prowadzone przez dwie pielęgniarki łóżko, na którym leży mały chłopiec. Płakał, tuląc do policzka burego misia, wołając

co chwila: „Mamo, chcę do mamy!”. Starsza z pielęgniarek podeszła do drzwi bloku operacyjnego, przyłożyła kartę do czytnika, a drugą ręką pogłaskała małego po potarganych włosach, mówiąc: „Niedługo zobaczysz mamę, nie płacz”. Widząc to i słysząc, Rędzia pomyślał, że mogłaby się bardziej postarać, i wtedy usłyszał, jak drzwi windy rozsuwają się za jego plecami. Przełknął rosnącą mu w gardle gulę i odwrócił się.

– Pan Rędzia? – zapytał zaferowany mężczyzna wychodzący z windy.

Grzelak był niewysokim mężczyzną z rzadkimi, siwiejącymi włosami, ubranym w koszulę i bezrękawnik z mnóstwem kieszeni, z których wystawały różne rzeczy: długopisy, latareczka i mały laserowy dalmierz. Sprawiał wrażenie zalatanego, nerwowe ruchy mogły być wynikiem zarówno usposobienia, jak i wiecznego pośpiechu, w jakim trwał ze względu na obowiązki zawodowe. Albo wynikiem informacji o odkryciu trupa, jaką dostał niedawno.

– Dzwoniłem już do Thomarexu – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Dworzak pracował dla nich, jego rejon był w Centrum Leczenia Urazów Wielonarządowych. – Wskazał napis nad wejściem na oddział. – Jest dziś w pracy jego kolega, który był wtedy z nim rozpisany. Zapyta pan go o wszystko.

– Co to znaczy: wtedy? – zapytał Rędzia.

– Kiedy zniknął z dyżuru.

– Kiedy to było?

– Mówili, że dwudziestego trzeciego września. Wieczorem jeszcze był, rano, przed raportem, już nie.

Mówiąc to, Grzelak wbijał kod na klawiaturze przy wejściu na blok operacyjny, a Rędzia doszedł do oczywistego wniosku, że Dworzak musiał leżeć w tym korytarzu prawie dwa tygodnie. Długo. Dokładniejszy czas zgonu pozna po sekcji, ale już teraz mógł być pewien, że to wtedy został zabity. Nie ukrywał się przecież Bóg wie ile czasu nie wiadomo gdzie.

Grzelak wprowadził go na blok. Komisarz poszedł za nim dalej, aż dotarli do jakiegoś pomieszczenia, gdzie już czekał wysoki, chudy i blady mężczyzna o skórze białej jak papier. Rzadki zarost pstrzył jego podbródek i wąski pas skóry między nosem a górną wargą, a potargane włosy sterczały w nieładzie. Siedział smętnie wpatrzony w wąskie okno z rękami założonymi na piersi i dłońmi wciśniętymi pod pachy.

Rędzia przedstawił się i poprosił Grzelaka, żeby zostawił ich samych, a potem wyciągnął notatnik.

– Jak pan się nazywa? – zapytał.

– Oparczyk. – Mężczyzna miał anemiczny głos i przeciągał głoski, wypowiadając każdą z namysłem.

– Pan miał dyżur z Dworzakiem tej nocy, kiedy zniknął?

– Tak. – Oparczyk pokiwał głową i ten ruch był taki sam, jak jego mowa i głos: powolny.

Rędzia wyciągnął telefon.

– To najpierw jeszcze rozwiejemy wszelkie wątpliwości. – Pokazał salowemu zdjęcie twarzy trupa. – To Dworzak?

Oparczyk zerknął na ekran i skinął głową. Jeszcze wolniej niż poprzednio.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Pan opisz okoliczności jego zniknięcia, dobrze? – poprosił komisarz.

– Noo... – Salowy wzruszył ramionami. – Normalnie, chciałem iść na fajkę i nie mogłem go znaleźć. Nie odbierał telefonu, potem okazało się, że został tu, w socjalnym, ładował się. I do rana się nie znalazł. To wszystko, co tu więcej do opowiadania?

– Nie mówił wcześniej, dokąd idzie? Albo że chce się gdzieś z kimś spotkać?

– Nie, ale jak pan już o tym wspomniał, to powiem, że Sławek ostatnio chodził jakiś markotny. Pytałem go o to, ale nie chciał na początku powiedzieć. Potem bąknął, że przeszłość go dopadła. Że wyrzuty sumienia go zjadają, bo kiedyś był świadkiem czegoś złego i zachował to w tajemnicy, zamiast powiedzieć prawdę. I że spotkał tu kogoś, kto mu te wydarzenia przypomniał, i dlatego jest taki smutny i nie za bardzo wie, co ma robić.

– Czego to dotyczyło? Jakich wydarzeń?

– Nie mam pojęcia. Niczego więcej nie powiedział.

– To i tak był rozmowny, skoro na początku nie chciał nic powiedzieć.

– Nooo, ciągnąłem go za język. Jakoś tak lubię ludzi poznać.

– Długo pan go znał?

– A ze siedem lat.

– Jak blisko?

– No, pogadało się czasem na nocce, ale żeby się odwiedzać w domach, to nie.

– Miał kogoś? Żonę, dziewczynę?

– O ile wiem, to nie. On za piękny nie był i jakiś taki do kobiet nieśmiały, ale mówił, że mu baby nie brakuje. Że nie ma TYCH potrzeb, pan rozumie? Żył sam, nawet matki, ojca ani rodzeństwa nie miał. Sam jak palec. Nawet mieszkania też nie miał, wie pan? Mieszkał na sublokatorce, gdzieś na Niebuszewie, chyba na Gdyńskiej. On niczego nie miał, tylko skuter sobie za uskładane z tej naszej pożal się Boże pensyjki kupił. Bardzo religijny był, jeszcze panu powiem. Jak pacjent na oddziale był już jedną nogą po tamtej stronie, to się modlił nad nim, jak nikt nie widział. Czasem w nocy Pismo Święte, takie małe, sobie czytywał, choć z czytaniem to u niego krucho było, w sensie, że okropnie dukał. No, ale czytał tam sobie, jak już się z robotą obrobił. Tylko że do kościoła nie chodził. Psioczył na klechów, że hej.

– A to się nie kłóci jakoś jedno z drugim?

– On chyba inszy katolik był. Nie za bardzo chciał o tym gadać, ale jak kiedyś w gazecie pisali o procesie tego guru kościelnego z Załomia, co narkotykami handlował, to cholernie się denerwował, że plują jadem na niewinnego dobrego człowieka. Aż się czerwony robił z tych nerwów... A potem to nie chciał o tym już gadać.

Rędzia jak przez mgłę pamiętał sprawę Kościoła Jedynie Prawdziwego Objawienia Syna Bożego prowadzonego przez niejakiego Gajdamowicza; wedle jego wiedzy to była po prostu sekta.

Oparczyk ożywił się nagle lekko.

– I pamiętam też, że kiedyś go busem takim białym przywozili do pracy i po niego przyjeżdżali, a potem przestali, to może faktycznie z nimi trzymał? – powiedział i oklapł. – Potem, z pięć lat temu, to sobie ten skuter kupił, i nawet zimą nim jeździł do roboty, taki zajadły był.

Rędzia westchnął. Nie obiecywał sobie za wiele po tej rozmowie, ale mimo wszystko miał nadzieję na jakieś istotne fakty, które pozwolą mu ruszyć z miejsca, po prostu od czegoś zacząć. Wyglądało na to, że nic z tego. Poczuł, jak w kieszeni wibruje mu komórka. Zanim odebrał, zerknął na numer: dzwonił technik, który „obrabiał” Dworzaka.

– Panie komisarzu, dyrektor szpitala do pana. Przekazuję telefon.

– Halo?

– Tak?

– Konarski. Mam te informacje, o które pan prosił. O pacjentach, którzy zrezygnowali z leczenia, nie powiadamiając lekarza prowadzącego.

– Czyli zniknęli.

– Proszę pana. – Konarski się zachnął. – Ludzie nie znikają. Uciekają, gubią się, ale nie znikają...

Rędzia miał inne doświadczenia, ale nic nie powiedział, tylko rzucił krótko:

– Dobrze, już do pana idę.

Zapisał telefon do Oparczyka i lekko zniechęcony opuścił blok operacyjny. Wrócił do auli wykładowej, przy której kiedyś funkcjonował Zakład Medycyny Nuklearnej, na szczęście Konarski czekał na niego przy wyjściu. Trzymał w ręce jakieś papiery i je wertował.

– O, jest pan. – Kątem oka zauważył komisarza i podniósł wzrok. – Dwudziestego szóstego września zniknął pacjent oddziału neurochirurgii.

– Dobrze, dziękuję. W zasadzie ta informacja jest już nam niepotrzebna w świetle ostatnich ustaleń.

– No właśnie, panie komisarzu... – Dyrektor poprawił okulary. – Bo ten pacjent... Nie wiem, czy to ważne, ale on się nazywał Dworzak.

– Jak się nazywał?

– Dworzak.

Rędzia uniósł brwi.

– O... A imię?

Komisarz widział wyraźnie, jak usta Konarskiego, składając się do wypowiedzenia słowa, ruszają się pod opinającym je materiałem. Kiedy je wypowiedział, jego głos przypominał jęk.

– Sławomir. Sławomir Dworzak...

4

październik 2020

Mimo że ten rok jego życia obfitował w przypadki jak nigdy wcześniej, Rędzia nie chciało się jakoś wierzyć, że oto wystąpił kolejny. Coś nie grało. Wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do Berdaka.

– Słuchaj, Jarek, wrzuć mi na bęben człowieka: Dworzak, Sławomir Dworzak. Chodzi mi głównie o PESEL. To ten denat znaleziony w Zakładzie Medycyny Nuklearnej, ale to jest jakiś dziwny temat.

– Bo? – Rędzia usłyszał w telefonie klikanie klawiatury.

– Takie samo nazwisko nosi pacjent, który zniknął ze szpitala jakiś czas temu.

– Jak to zniknął? Nie strasz mnie, szwagierkę mam w szpitalu.

Następny, pomyślał Rędzia.

– Uciekł, dokonał samowolnego oddalenia, nie wiem, no... – warknął. – Zniknął.

– W takim razie może to ten pacjent? Nie wpadłeś na to?

– Denat to salowy. Pracował tu. Jego dane, włącznie z PESEL-em, są w papierach z kadr.

– Zbieżność nazwisk?

– Teoretycznie możliwe, choć to by było dziwne. Ani imię, ani nazwisko nie są zbyt popularne, a ja wyczerpałem już limit przypadków na ten rok. Obaj zniknęli w odstępie trzech dni. Już?

– Już. – Berdak podał mu PESEL, a Rędzia poczuł, że rozumie jeszcze mniej niż przed chwilą.

Ale przynajmniej nie był to przypadek.

– Kurwa – mruknął. – Nie pomyliłeś się?

– Podać jeszcze raz?

– Podaj...

Berdak jednak się nie pomylił. To był ten sam numer.

– Nie ma innych osób o tych personaliach? – zapytał komisarz.

– Jest jeszcze dwóch, ale z PESEL-u wynika, że jeden ma dziewięćdziesiąt trzy lata, a drugi jedenaście.

– Czyli nie jest to ten sam człowiek, bo nie może być, ale obydwaj mają te same personalia i ten sam PESEL – potwierdził komisarz, ale takim głosem, jakby sam w to nie wierzył.

I faktycznie, tak właśnie było.

– Chcesz powiedzieć, że uciekinier ma te same dane jak trup znaleziony we wnęce w tym reaktorze?

– Zakładzie Medycyny Nuklearnej...

– Zwał, jak zwał. Czyli to salowy leżał jako pacjent na oddziale, bo już się gubię?

– Nie, salowy był w pracy, zaginął przed ucieczką tego pacjenta oddziału neurochirurgii. I salowy na pewno nazywał się Sławomir Dworzak, rozpoznał go kolega z pracy. Powtarzam, to są dwaj ludzie.

– To już nic nie rozumiem. Jak to możliwe? O co tu chodzi?

– Aaa, tego to ja nie wiem. Dobra, kończę, dzięki, muszę pogadać z ordynatorem oddziału. Może on mnie oświeci.

* * *

Szef kliniki neurochirurgii miał swój gabinet na poddaszu, gdzie mieściły się także praktycznie wszystkie pomieszczenia personelu oddziału – lekarzy i fizjoterapeutów. Rędzia wszedł do sekretariatu kliniki i poprosił o natychmiastowe spotkanie z ordynatorem, a prośbę swą poparł odznaką, którą pokazał dziewczynie za wysokim kontuarem. Za oknem rozciągał się widok na skąpane w słońcu zielone dzielnice Szczecina, rozmyty jesiennym, przesiąkniętym już wilgocią powietrzem. Procedura, którą Rędzia obserwował w wykonaniu różnych ludzi setki razy, powtórzyła się: sekretarka zrobiła lekko zdziwioną minę, wstała, wyszła zza kontuaru i przeszła do gabinetu profesora, by zniknąć za

drzwiami. Kiedy znów się w nich pojawiła, chłód nie zniknął z jej twarzy, ale gest, który wykonała, miał komisarza zachęcić do wejścia. Poczł się zachęcłony i wszedł.

Kiedy drzwi się zamknęły, Rędzia wyjaśnił, z czym przychodzi, i przyjemnie się zdziwił, bo profesor bez chwili zwłoki poprosił o zajęcie miejsca w fotelu i odrobinę cierpliwości, po czym wyszedł, zostawiając go w gabinecie. Wrócił po jakichś dziesięciu minutach i zapewnił, że w ciągu następnych dziesięciu będzie miał wszystkie materiały o tajemniczym pacjencie. Przez ten czas toczyli niezobowiązującą pogawędkę na aktualne tematy, co w zasadzie sprowadzało się do jednego, najbardziej aktualnego. Co ciekawe, ordynator nie nosił maseczki. Może nie wierzył w koronawirusa, może miał inne dane na temat warunków jego transmisji, w każdym razie Rędzia uznał, że też nie musi jej mieć i co więcej, nie musi nawet o to pytać. Siedzieli w rozsądnej odległości, okno było uchylone, słońce przyjemnie grzało w plecy komisarza. W końcu do gabinetu weszła sekretarka z teczką, którą wręczyła szefowi. Ten przejrzał ją pobieżnie w milczeniu, potem zamknął, położył sobie na kolanach i spojrział na Rędzię z uśmiechem mówiącym: „już”.

– To co, powie mi pan coś więcej na temat tego zaginionego? – zagaił komisarz. – Dworzaka numer dwa?

Profesor pokiwał głową i zsunął okulary na czubek nosa.

– No właśnie, widzi pan, na początku nie znaleźmy jego danych. To był enen. Przywieziony z pobicia, przeszedł operację neurochirurgiczną, leżał w śpiączce na CLUW-ie, potem, kiedy jego stan się poprawił, został przeniesiony do nas. Jeszcze wciąż jako enen.

Rędzia zastygł w swoim fotelu.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Na CLUW-ie, czyli w Centrum Leczenia Urazów Wielonarządowych. To oddział w naszym...

– Nie, nie to... Z pobicia?

– Tak. Był ofiarą brutalnego pobicia.

– Kiedy to było?

– Kiedy co było? Pobicie?

– Kiedy on został przywieziony do szpitala?

Ordynator zerknął do teczek i przewrócił parę stron.

– Czternastego sierpnia. – Przeniósł wzrok na wiszący na ścianie kalendarz z maleńkimi cyferkami i wielkim zdjęciem pola kwitnącego rzepaku i dodał: – To był piątek.

Komisarz gapił się w ścianę, zastanawiając się, czy może faktycznie istnieje ktoś, kto ma realny wpływ na wszystko, co dzieje się we wszechświecie i jakiś czas temu zdecydował: oto Tomasz doświadczyz rzeczy, jakich nigdy byś się nie spodziewał, bo mam ochotę się pośmiać. Nie pamiętał konkretnej daty, ale pamiętał, że kiedy wracali z Bożeną od Berdaków i natknęli się na ratowników zabierających pobitego bezdomnego, był sierpniowy, piątkowy wieczór.

I jak się też właśnie okazało, limit przypadków wciąż pozostawał niewyczerpany. Gdyby był teraz sam i gdyby nie okoliczności, komisarz pewnie by się roześmiał.

Ocknął się z zamyślenia i zobaczył, że profesor przygląda mu się ciekawie.

– Coś się stało? – zapytał, a Rędzia niemal poczuł, jak profesor obmacuje oczami jego głowę.

– Nie, dziękuję za troskę. – Uśmiechnął się lekko samymi ustami. – Wróćmy do naszego enena. Nikt nie skojarzył, że pacjent nosi takie samo imię i nazwisko jak pracownik?

– To był salowy, z zewnętrznej firmy, to po pierwsze. Po drugie, taka zbieżność nazwisk to nic dziwnego. Pielęgniarka oddziałowa zna cały personel, zna nazwiska pacjentów, ale przecież nie znała PESEL-u salowego, prawda? Poza tym, ten salowy pracował na CLUW-ie, a nie u nas na oddziale. Enen został zgłoszony przez szpital, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, zresztą policja była przy przyjęciu i to wy mieliście ustalić jego tożsamość.

– Ale nagle udało się to ustalić wam? Jak?

– Pacjent przypomniał sobie swoje dane. Podał je razem z numerem PESEL, mimo że nie miał dokumentów, na tej podstawie został wpisany do systemu EWUŚ i system wykazał, że taki człowiek istnieje. A następnego dnia pacjent zniknął. Nikt już nie zgłaszał tego na policję.

– Dlaczego?

– To się zdarza, że pacjenci nie chcą być dłużej hospitalizowani. Z różnych względów. Jedni wypisują się na własne żądanie, a inni... –

Ordynator wzruszył ramionami. – Muszą panowie zrozumieć, że nie wszyscy pacjenci to ludzie na jakimś poziomie, którym można coś wytłumaczyć. W szpitalu wszyscy są równi: profesorowie i krety, bogaci i biedni, leżą w takiej samej pościeli i załatwiają się do takich samych kaczek. I tych drugich jest o wiele więcej niż pierwszych, jak pan się domyśla. Są jak z innego świata, nie da się z nimi rozmawiać, nie rozumieją prostych poleceń, są dodatkowo otumanieni okolicznościami i przytłoczeni sytuacją, w której się znaleźli i której do końca nie pojmują. Kiedy dojdą do wniosku, że już wystarczy, po prostu wychodzą...

– W piżamie?

– Można powiedzieć, że robią to z pomocą rodziny. Bliscy przynoszą im ubranie i zabierają ich ze sobą. Zdarzało się.

– On nie miał nikogo bliskiego?

– To fakt, nikt taki się nie zjawił przez cały okres pobytu tego człowieka na oddziale. Pacjent z sąsiedniego łóżka nikogo nie widział ani wcześniej, ani w dniu zniknięcia, zresztą oni ze sobą w ogóle nie rozmawiali, tamten był wyjątkowym milczkiem.

– Skąd pan wie? Rozmawiał pan z tym pacjentem?

– On jeszcze jest hospitalizowany.

– Będę chciał z nim potem porozmawiać, ale na razie wróćmy do naszego enena.

– To może ja jeszcze skończę się tłumaczyć, panie komisarzu. Samowolne wyjście pacjenta to jedno wyjaśnienie naszej opieszałości w tej sprawie, a drugim jest covid. Coraz więcej zachorowań, coraz więcej pracy, personel nie jest w stanie ogarnąć wszystkiego. Mamy tu sporo na głowie, a wszystko i tak na niej stoi. Rzeczy najmniej istotne są odsuwane na dalszy plan, więc ja rozumiem, że policja zajmowała się tą sprawą, ale skoro pacjent przeżył... – Ordynator rozłożył ręce.

Rędzia lekko się skrzywił. Nadeszły takie czasy, że niemal wszystko można było zwalić na pozbawiony iskry życia kawałek przekazywanego drogą kropelkową materiału genetycznego, który niemal rozpieprzył świat w drzazgi.

– Przyjmuję do wiadomości. – Pokiwał głową. – A wracając do enena: skoro nie miał ubrania, bo pewnie zostało zniszczone podczas przygotowania do operacji albo było w magazynie odzieży, to musiał

wyść na zewnątrz w samej piżamie? We wrześniu? Nikt nie zwrócił na to uwagi? Ochrona? Ktokolwiek?

Ordynator uśmiechnął się półgębkiem.

– Ależ pan się wszystkiemu dziwi. – Pokręcił ze zdumieniem głową.

– Taki mam zawód – odparł Rędzia. – A wyjaśni pan to, skoro to jednak nie takie dziwne?

– Oczywiście. Proszę się przejść po szpitalu, a zauważy pan dwie rzeczy. Pierwsza to tabliczki: na terenie szpitala obowiązuje całkowity zakaz palenia.

– Zauważyłem. A druga?

– Ubrani w szlafroki ludzie chowający się po krzakach z papierosami. A często nawet się z tym nie kryją. To pacjenci, których nałóg wykopał z łóżek. A ponieważ wciąż jest ciepło jak na październik, to nawet teraz jest to dość powszechny widok, który nikogo już nie dziwi. A wrzesień, bo o wrześniu mówimy, był naprawdę ciepły. Ja nie będę tego komentował, takiego idiotycznego postępowania tych ludzi, bo mimo że sam palę, to czegoś takiego bym nie zrobił. Ale tak się dzieje. Tyle wyjaśnienia. Wie pan, ja nie twierdzę, że nic się nie stało, że pacjent oddalił się z oddziału bez kontroli, ale to nie więzienie. A on był dorosły.

– W jakim stanie był? Chodzi mi o stan zdrowia, już później, kiedy wyszedł z najgorszego.

– Ogólnie dobrym. Bardzo dobrze reagował na leczenie. Po operacji utrzymywany był w śpiączce farmakologicznej, obrzęk mózgu minął, po wybudzeniu nic nie pamiętał: ani jak się nazywa, ani jaki mamy rok. Rehabilitował się ładnie, przypominał sobie stopniowo różne rzeczy, miał być niedługo wypisany, choć był problem, bo nie pamiętał, gdzie mieszka. Był za to pewien, że jest sam. Imię i nazwisko, a nawet PESEL przypominał sobie tuż przed zniknięciem.

– Nikogo to nie zastanowiło?

– A co w tym dziwnego?

– Tylko pytam. Dla mnie to trochę dziwne: nagle sobie przypomnieć takie ważne rzeczy... I jeszcze PESEL. Kto zna na pamięć swój PESEL?

– Ja.

– No dobra, ja też, ale w świetle tego, co pan mówił o kretynach...

– Może to nie był kretyn? Pamięta pan historię profesora Wilczura?

Rędzia poczuł, jak lekko drgają mu kąciuki ust, ale nie pozwolił sobie na uśmiech.

– Czyli to nie jest takie dziwne? – zapytał lekarza.

– Nie, panie komisarzu. Jeśli chodzi o ludzki mózg, to wszystko może się zdarzyć. Ostatnie badania naukowe dowodzą, że ma znakomite zdolności regeneracji, a zdolność uczenia wcale nie maleje z wiekiem aż tak bardzo, jak sądzono wcześniej. Całkiem dobrze znamy jego budowę i funkcje, jednak wciąż jest pełen tajemnic i zagadek. I zaręczam panu, że pozostanie tak jeszcze wiele lat.

– Czy jego obrażenia mogły skutkować jakimiś... Nie wiem, następstwami, które uniemożliwią mu funkcjonowanie? Albo wręcz przeciwnie: nagle odkryje w sobie jakieś niezwykle moce intelektualne? Proszę mi to spróbować wytłumaczyć jako laikowi.

– Nie mam pojęcia. Powiedzmy, że to możliwe, w obie strony. A do czego pan zmierza?

– Zabił...

– To już pewne? – Ordynator zerknął na Rędzię znad okularów, a potem zaczął mu się przyglądać.

Rędzia wytrzymał spojrzenie, choć znów czuł ten niemal fizyczny dotyk jego oczu na sobie.

– To hipoteza śledcza, oczywiście, ale bardzo prawdopodobna.

– Niech panu będzie. – Ordynator splótł palce i przyjrzał się im, zanim wrócił wzrokiem do Rędzi. – Obrażenia były poważne, mówimy o uszkodzeniu płatów czołowych, i to w ich przyśrodkowych częściach. To oczywiście duże uogólnienie, niemniej uszkodzenia tych obszarów mózgu skutkują zwykle deprecjacją uczuć, upośledzeniem funkcji związanych z emocjami, empatią, prawidłową oceną postępowania, zarówno własnego, jak i interpretacją zachowań innych, czy przewidywaniem konsekwencji działań. Ale również można mówić o kłopotach z podejmowaniem decyzji, czy ogólnie z pamięcią dotyczącą na przykład wyuczonych działań ruchowych. Tylko że nie możemy mieć pewności, jaki wpływ na to wszystko miały pobicie i operacja u tego człowieka. Skutki nie były oceniane tak szeroko, dopiero z tego wychodził. Nie stwierdziliśmy na pewno morii, czyli wesołkowatości, miał zaburzenia pamięci i trudności w koncentracji, ale nie prezentował zachowań

agresywnych. Trudno, naprawdę trudno mi w tej chwili cokolwiek powiedzieć... Wiem tylko z całą pewnością, że bardzo szybko dochodził do siebie. Nadzwyczajny przypadek, rzekłbym...

– To jego ubranie, ewentualnie resztki, jest jeszcze w magazynie?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Taka jest praktyka, że nawet zniszczoną odzież przechowujemy, a potem oddajemy pacjentom lub rodzinom, ale czasem się zdarza, że jest ona w takim stanie, że nie ma czego przechowywać. Rozpada się niemal w rękach podczas przygotowania pacjenta do badania, więc zostaje zniszczona. Wie pan, w jakim stanie są czasem ci ludzie: to chodzące bomby biologiczne. Sprawdzę, ale nie liczyłbym na to.

Rędzia westchnął. Urywała się następna nić, która mogła go doprowadzić do enena.

– To mam jeszcze jedno pytanie: wiem, że czasem pacjentom pobiera się próbki krwi, ale chodzi nie o wyniki, które są potrzebne do ustalenia planu leczenia. Mówię o próbkach do badań naukowych na przykład nad nowymi lekami, prowadzonych przez szpitale we współpracy z firmami farmaceutycznymi. Wiem, że to zwykle trwa, aż zbierze się grupa i krew jest przechowywana nawet przez długi czas w zamrażarkach. Może pobrano od niego taką próbkę i jest teraz gdzieś w laboratorium?

Ordynator uśmiechnął się lekko.

– Niestety, przy takich badaniach wymagana jest świadoma zgoda pacjenta na udział.

– Nie był nieprzytomny przez cały czas – zauważył Rędzia. – Może później?

– To był uraz mózgu, a nie choroba na przykład układu odpornościowego czy pokarmowego, gdzie takie badania mają sens.

– A miał jakieś choroby współistniejące?

To wyrażenie od wiosny było bardzo popularne w mediach i służyło uspokojeniu opinii publicznej i przekonaniu jej, że na covid umierają niemal wyłącznie osoby obciążone takimi chorobami. Ale zadając to pytanie, Rędzia miał określony cel. Jak na razie musiał traktować enena jako potencjalnego sprawcę i zebrać wszystkie dane, które pozwolą ustalić miejsce jego pobytu lub okoliczności mogące mieć wpływ na

podejmowane przez niego działania. Rzadka, nietypowa choroba wymagająca wizyty u specjalisty mogła być czymś takim.

– Poza urazem głowy ten człowiek był zdrowy jak koń – ordynator niestety rozwiął jego nadzieje.

– Rozumiem. – Komisarz westchnął i wstał. – Czy mogę porozmawiać z tym pacjentem, który z nim leżał na jednej sali?

* * *

Arkadiusz Pawelczyk, pacjent oddziału neurochirurgii, miał około czterdziestki i niezłośliwego guza mózgu, który usunięto mu jakiś czas temu. Krótco ostrzyżony, z gazikiem przyklejonym do boku czaszki, ubrany w szary dres leżał na łóżku i rozwiązywał sudoku. Poza nim na sali nie było nikogo, trzy pozostałe łóżka były starannie zaścielone i przykryte folią.

Rędzia wszedł za pielęgniarką oddziałową i zamknął za sobą drzwi.

– Panie Arku, ten pan jest z policji i chce z panem porozmawiać, ordynator się zgodził – powiedziała oddziałowa i przesunęła się krok w prawo, odsłaniając Rędzi pacjenta i pacjentowi Rędzię.

Komisarz przedstawił się i poczekał, aż pielęgniarka wyjdzie. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, usiadł na stołku pod ścianą, kilka metrów od łóżka, i zapytał:

– Jak zdrowie?

– Dziękuję, dobrze. Jutro wychodzę do domu.

– To świetnie. – Rędzia poprawił maseczkę i uznał, że wystarczy kurtuazji. – Nie zajmę dużo czasu. Chciałbym pana tylko zapytać o człowieka, który leżał z panem na sali.

– O Dworzaka?

– Tak się panu przedstawił?

– Leżał tu jako pacjent nieznan, ale byłem przy tym, kiedy sobie przypomniał, jak się nazywa.

– Jak to było?

– Leżał, bawił się tymi swoimi kulkami i nagle spojrzał na mnie i powiedział: nazywam się Sławek Dworzak.

– Kiedy to było?

– Tuż przed jego zniknięciem.

– Zniknął dwudziestego szóstego września.

– No to było jakiś dzień przed tym, góra dwa. Wie pan, tu wszystkie dni są podobne jeden do drugiego jak krople wody.

– Rozumiem. – Rędzia znów poprawił maseczkę, która zsuwała mu się z nosa, co niemiłosiernie go irytowało. – Wspomniał pan o jakichś kulkach?

– No tak, on miał takie kulki, bez przerwy nimi szurał.

– Co robił?

– Szurał. Były z kamienia, te kulki, rehabilitant kazał mu ćwiczyć dłonie: chwytać dwie naraz i przesuwać wokół siebie. I one wtedy wydawały takie szuranie, nie wiem nawet jak ten dźwięk nazwać, ale był tak denerwujący, że nie dało się spać. To nie było głośne, wie pan, ale w nocy, w absolutnej ciszy, nie dało się tego wytrzymać. Do szału mnie to doprowadzało. Prosiłem go kilka razy, żeby przestał.

– I co?

– Wie pan, niby przestawał, choć patrzył na mnie wtedy tak, że bałem się zasnąć. A potem znowu zaczynał, jakby zapomniał. Musiałem prosić siostrę o coś na sen. Pudełko po tych kulkach miało jakieś chińskie czy japońskie krzaczkę, było drewniane i wyłożone taką czerwoną gąbką w środku. Raz mu upadło i je podniosłem, to widziałem...

– Dobra... Potrafiłby go pan opisać rysownikowi?

– Komu?

– Spróbowaliśmy z pana pomocą stworzyć portret pamięciowy tego człowieka. Co pan na to?

– Nooo...

– Przyjedzie do pana spec od portretów pamięciowych, posiedziecie razem godzinkę... – kusił. – Przynajmniej ten dzień nie będzie taki sam jak inne.

– W sumie czemu nie...

Rędzia wstał, popatrzył na Pawelczyka i uśmiechnął się szeroko pod mokrą od oddechu szmatką. Pożegnał się i wrócił jeszcze na poddasze. Pomachał sekretarce, która już otwierała usta, żeby go powstrzymać, i bez pukania otworzył drzwi do gabinetu ordynatora.

– Jeszcze jedna prośba, panie profesorze, jeśli można. – Nie wchodził do środka, tylko tam zajrzał.

– Tak?
– On miał robioną tomografię, prawda?
– Oczywiście.
– Poprosilibyśmy państwa o zdjęcia.
– Ale po co? To rentgen, tam nie widać twarzy, są to wyłącznie obrazy przekrojowe.

– Nie szkodzi. – Komisarz się uśmiechnął. – Zapewniam pana, że to i tak będzie fantastyczna pomoc. Ktoś od nas się z panem skontaktuje w tej sprawie, może nawet jeszcze dziś, więc jeśli nastąpi szybki odzew, to będę bardzo zobowiązany.

Schodząc na dół, rozmyślał o enenie. Zastanawiał się, jak to jest, że ktoś w takim stanie potrafi wymyślić taką intrygę, nawet jeśli rekonwalescencja przebiega bezproblemowo i szybko. Bo on wcale nie przypominał sobie zniecka, jak się nazywa. Może nawet wciąż tego nie wiedział. On najpierw zamordował Dworzaka, ukrył ciało w zakamarkach opuszczonej części szpitala, podał jego dane pielęgniarce, odczekał jeszcze dzień, dwa i uciekł, zanim odkryto ciało jego ofiary. Pewnie poznał je z zabranego ofierze dowodu, skoro znał nawet PESEL. Być może nawet znali się, ale Rędzia jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że morderca znał także ten numer. I znów nie mógł sobie darować, że wtedy nie przyjrzał się enenowi uważniej, ale gdyby człowiek wiedział, że się przewróci, toby się wcześniej położył.

Kiedy wyszedł ze szpitala, wiedział już, jaki będzie jego następny krok. Miejsce, które zamierzał odwiedzić, nie było daleko. Z Unii Lubelskiej zjechał dawną Szenwalda, na dole skręcił w prawo, w Reymonta, a kiedy minął małe rondo z olbrzymimi kasztanowcami na skrzyżowaniu z Przybyszewskiego, zwolnił i zaczął się przyglądać zabudowie.

Nie pamiętał numeru domu, który podał świadek; z jego opowieści pamiętał tylko, że przed nim był żywoptot. Pierwszy dom z żywoptotem, na który się natknął, znajdował się po prawej stronie, w rzędzie niskich, pozlepianych ze sobą segmentów, niedaleko szkoły. Rędzia zaparkował na jedynym wolnym miejscu, czyli tuż przed bramą wyjazdową ze znakiem zakazu zatrzymywania się i postojem z podkreśleniem mocy przekazu w postaci tabliczki z samochodem odholowującym drugi samochód. Wysiadł, a kiedy podszedł do domu, minął niewysoki żywoptot

z bukszpanu i dotarł do kilkustopniowych schodków o metalowej konstrukcji, które zabujały mu się pod nogami, kiedy wbiegał na górę. Zadzwoił i po chwili drzwi uchylły się nieznacznie.

– Dzień dobry, czy pan Wiącek? – zapytał Rędzia mężczyznę w podeszłym wieku, który wyglądał zza nich nieufnie.

– Tak, o co chodzi? – Stary człowiek spojrział na Rędię nawet nie tyle podejrzliwie, ile z pełnym i nieukrywanym przekonaniem, że przybysz, czegokolwiek by chciał, jest dla niego upierdliwcem, którego będzie się chciał pozbyć jak najszybciej.

Jego wzrok i mowa ciała oznajmiały wprost: spieprzaj, i to tak dobitnie, że Rędzia zaczął się zastanawiać, po co Wiącek z takim nastawieniem w ogóle otwierał te drzwi.

– Nadkomisarz Tomasz Rędzia, KMP Szczecin. – Pokazał odznakę, starając się wypowiadać swoje dane głośno i wyraźnie, żeby uniknąć ewentualnych, choć bardzo prawdopodobnych zarzutów o niedopełnienie obowiązków.

W dzisiejszych czasach mnóstwo było prawników hobbystów z dyplomem internetów, usiłujących udowodnić stróżom prawa, że znają się na nim lepiej od nich. Rędzia miał jakieś dziwne przeczucie, że przed nim stoi wręcz „profesor”.

– W jakiej sprawie? – Drzwi uchylły się trochę szerzej.

– Jakiś czas temu, pod koniec sierpnia, przy samie bardzo ciężko pobito człowieka.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Nie twierdzę, że pan ma, i prosiłbym, żeby dał mi pan dokończyć. Nie znamy jego tożsamości, nie miał przy sobie dokumentów. Ludzie mówili na niego Maciuś, kojarzy pan?

– Nie. Nie kojarzę.

– Nie? Podobno był u was kiedyś. Pana żona z nim rozmawiała.

– Niczego takiego nie pamiętam. Może nie było mnie wtedy w domu.

– Sąsiedzi pamiętają. I był pan wtedy w domu.

– Gówno tam pamiętają. Niech się zajmą własnymi sprawami, tak?

– Mogę porozmawiać z żoną? Może ona pamięta lepiej.

– Nie może pan z nią porozmawiać. Jest w łóżku, źle się czuje, nie jest w stanie panu w niczym pomóc, jeśli chodzi o tego włóczęgę.

– Ja nie powiedziałem, że to był włóczęga – stwierdził Rędzia. – Mówiłem tylko, że podobno ma na imię Maciuś i nic więcej.

Włożył ręce do kieszeni spodni i czekał. Wiącek obrzucił go złym spojrzeniem i zgarbił się lekko.

– Dobrze, kojarzę go, ale nigdy z nim nie rozmawiałem, nie wiem, jak się nazywa, skąd jest i po co tu przyjeżdżał. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Ma pan jakiś nakaz?

– Nie potrzebuję żadnego nakazu, żeby zadać panu kilka pytań. – Rędzia westchnął cicho: zaczynał się wykład z prawa. – Ten Maciuś... Wrósł podobno w lokalny krajobraz.

– Nie interesuje mnie, w co wrósł. Nic więcej nie wiem. Coś jeszcze?

Rędzia przyjrzał się uważniej starej, pomarszczonej twarzy. Zawsze był przekonany, że ludzie w podeszłym wieku, czyli siłą rzeczy doświadczeni życiem, są bardziej empatyczni od młodych. Przed nim stał albo wyjątek potwierdzający regułę, albo po prostu wymykający się wszelkim próbom klasyfikacji wredny stary skurwysyn.

– Skrzywdzono człowieka – powiedział spokojnie. – Nie martwi to pana? Zapraszam na zajefajna.com

– Pilnuję swoich spraw i do cudzych się nie wtrącam. Poza tym co to pana obchodzi, czy mnie coś martwi, czy nie? Martwienie się jest już obowiązkowe w tym popieprzonym kraju?

– Nic. – Rędzia zajrzał mu ponad ramieniem do wnętrza domu. – Nic mnie to nie obchodzi. Chcę ustalić tożsamość tego człowieka, a pańska żona może mi w tym pomóc.

– Coś słabo z refleksem u was. Tyle czasu minęło, a wy dopiero teraz o niego pytacie?

Rędzia nie zareagował, choć poczuł, jak napinają mu się mięśnie prawej nogi; tej, której zwykle używał podczas haratania w gałę.

– Pan się doskonale zna na pracy policji, jak widzę – wycedził, patrząc Wiąckowi prosto w wodniste oczy.

Stary prychnął.

– Powtarzam panu, nie wiemy: ani ja, ani moja żona, kim jest ten człowiek. Łazi po okolicy, jest wariatem, puka czasem do przypadkowych drzwi, gada pod nosem do siebie i tyle. Każdy tutaj powie panu to samo. Czy w czymś jeszcze mogę panu pomóc?

– To pan mi już wcześniej pomógł? – zdziwił się nieszczerze Rędzia. – Do widzenia.

Odwrócił się i zbiegł po schodkach, znów czując, jak stopnie bujają się pod jego ciężarem. Wrócił do komendy i jak burza wpadł do swojego pokoju, w którym był już Berdak.

Komisarz Rędzia po prostu tak miał. Był z natury zadaniowy. Kiedy widział światełko w tunelu: na przykład dostawał istotną informację, która mogła popchnąć sprawę naprzód, jak w tym wypadku, łapał wiatr w żagle, nie tracąc czasu na nic.

– Jarecki, trzeba się skontaktować z chłopakami z komisariatu Pogodno, którzy prowadzili sprawę tego pobicia. Mają dane gościa, który widział całą akcję i z którym wtedy rozmawiałem. On dobrze znał, choć tylko z widzenia, tego naszego pieprzonego enena. Poza tym jeden pacjent leżał z nim na neurochirurgii. Z ich pomocą sporządzimy portret pamięciowy.

– Myślisz?

– Myślę. Myślę nawet, że efekt może być niezły.

– Bo?

– Ze szpitala dostaniemy zdjęcia tomografii głowy enena. Tak, wiem, Jarecki, że tam widać tylko kości. Ale właśnie o to chodzi. Rysownik będzie znał kształt czaszki, rozstaw oczu, mniej więcej kształt oczodołów, żuchwy... Skarbnica danych. A jeśli będzie to robił ten gość, który zrobił nam na wiosnę Adolfa, to sukces murowany. – Rędzia nie był może do końca przekonany co do tego ostatniego, ale szansa była duża, tak uważał.

– Aleś wymyślił... – Poziom entuzjazmu Berdaka, podpompowany ekscytacją komisarza, nieco opadł.

– Czegoś musimy się złapać, prawda? Musimy mieć jakiś punkt zaczepienia, do cholery, bo na razie nie mamy niczego.

– Zaraz, przecież ty go widziałeś.

– Owszem, ale przez sekundę, poza tym było ciemno, a on był zakrwawiony. Pamiętam tylko tę brodę i włosy, a nie twarz, Jarecki. – Rędzia spojrział na Berdaka. – Pamiętam go mniej więcej tak samo jak panią ze żłobka.

– Ja nie chodziłem do żłobka – mruknął Berdak.

Rędzia westchnął.

– No właśnie, ja też nie...

5

2008

Siedzieli w jego pokoiku, ledwie się w nim mieszcząc. Ojciec wyciągnął z kieszeni swojej szaty małe puzderko, podobne do tych, które miewały w torebkach kobiety. Otworzył błyszczące wieczko i zanurzył opuszkę w brązowej mazi, która w nim była, następnie podniósł palec i dotknął nim jego czoła, tuż nad nasadą nosa.

– Codziennie rano masz sobie robić ten znak w tym samym miejscu. – Zamknął wieczko i wcisnął mu puzderko w dłoń, zaciskając na nim jego palce. – Nie zgub.

– Po co mam to robić? – Zmarszczył brwi.

– To znak. Piętno. Wszyscy mają wiedzieć, kim jesteś. Nowym.

– Przecież będą wiedzieć – zdziwił się.

– To symbol.

– Symbol?

– Tak, symbol. Nie dyskutuj, po prostu stosuj się do tego, o co cię proszę, dobrze?

– Dobrze.

– No... – Ojciec chrząknął i zerknął na niego. – Co tak patrzysz, synu?

– Ja... Chciałem jeszcze o coś zapytać, jeśli Ojciec pozwoli.

– Oczywiście, pytaj. Dlaczego miałbym nie pozwolić?

– Czy mam dostarczyć akt chrztu, zaświadczenia o komunii, bierzmowaniu?

– Synu. – Ojciec odchylił się do tyłu i rozłożył szeroko ramiona, na tyle, na ile pozwalała niewielka odległość między ścianami, jakby chciał, żeby

mu w nie wpaść. – Czy ty mnie aby uważnie słuchałeś? Przychodząc do tego domu, zerwałeś wszystkie więzi łączące cię z tamtym Kościołem! I bardzo dobrze, bo dzięki temu nie zatoniesz razem z nim. To jest twój nowy Kościół, do którego teraz należysz, a tamten dla ciebie nie istnieje. Nie interesują mnie żadne świstki. – Zbliżył twarz do jego twarzy i wyszeptał: – Interesujesz mnie ty, synu. I to, co masz w sercu.

Ojciec odsunął się, obrzucił spojrzeniem jego postać, poprawił kołnierz i zadowolony z inspekcji rzucił rażącym tonem:

– No, chodź, zacznasz nowe życie...

Weszli do sali zgromadzeń. Na jej środku stał rząd stołów zestawionych bokami i tworzących wielki, pusty w środku prostokąt. Jeden z dłuższych boków był przerwany tak, aby można było dostać się do środka. Tam właśnie weszli z Ojcem. Wszyscy mieszkańcy z wyjątkiem kilku, którzy byli w pracy, stali pod ścianami, przypatrując się im, a właściwie jemu. Ubrani byli w jednakowe, odświętne, powłóczyste szaty, kilka obecnych wśród nich kobiet miało na głowach czepki ukrywające upięte pod nimi włosy. W oczach niektórych była ciekawość, inni mieli w nich wyraźne zmęczenie.

Ojciec popchnął go lekko, potem odwrócił przodem w stronę wejścia do sali.

– Moi drodzy, to jest nowicjusz. – Objął go mocno, zaciskając palce na jego ramieniu, aż zabolęło. – Zgodnie z tradycją zwracamy się do niego imieniem Kaina, syna Adama i Ewy, skazanego przez Boga za zabójstwo brata na wieczną tułaczkę, a piętno, które ma na czole, niech świadczy o tym przez następny miesiąc. Ponieważ jest wśród nas inny nowicjusz, któremu okres próby kończy się za niecałe dwa tygodnie, od tej chwili tamten będzie Kainem pierwszym, a ten oto młody człowiek... – znów mocny uścisk – ...drugim. Życzymy mu, aby ten czas zleciał mu szybko i aby swoją postawą zmył owo piętno i wkrótce stał się jednym z nas.

– Amen – zaszemrali zgromadzeni.

– Kainie. – Ojciec zdjął ramię z jego barków. – Brat Mamert objaśni ci wszystko. Będzie twoim przewodnikiem po naszym domu, dopóki wszystkiego się nie nauczysz, możesz także prosić o radę każdego z braci i każdą z sióstr. Myślę, że zajmie to kilka dni, a potem będziesz tu już czuł się jak u siebie. Po śniadaniu dowiesz się od niego wszystkiego. –

Odwrócił się do zgromadzonych i oznajmił: – Kochani, teraz modlitwa dziękczynna, a potem jemy...

Słuchał słów modlitwy, której nie znał. Nie była długa, za to żarliwa: spodziewał się chóralnego mruczenia i połykania głosek z pośpiechu, tymczasem aż sam poczuł dreszcze. Potem zjadł śniadanie, czując na sobie spojrzenia zgromadzonych w sali jadalnej ludzi. On patrzył prosto w talerz, starając się jeść powoli, ale kątem oka zauważył, że rozmowy przy stole są nieliczne, a wszyscy raczej starają się zjeść jak najszybciej. Kiedy odsunął od siebie talerz, poczuł za sobą czyjąś obecność.

Obejrzał się.

– Witaj, Kainie, jestem Mamert – powiedział starszy pan.

Był to człowiek, który otworzył mu drzwi. Skojarzenie z Gandhim nasiliło się jeszcze bardziej, kiedy Mamert się uśmiechnął.

Wstał od stołu i stał tak przez chwilę, nie wiedząc, co robić. Mamert ujął go pod ramię, co chyba było tutaj praktykowane nader często, i poprowadził w kierunku wyjścia z sali.

– Wszystko w tym domu jest doskonale zorganizowane – zaczął wyjaśnienia swoim zgrzytliwym głosem. – Praca, odpoczynek i modlitwa. Mamy dyżury, każdemu z nas przydzielana jest praca na rzecz domu, według specjalnego grafiku. Kiedy nie pracujemy na zewnątrz, pracujemy tutaj, dla dobra wspólnoty. Przy okazji: to brat Łukasz rozwozi część z nas do pracy w mieście, reszta jeździ komunikacją miejską. Brat Mateusz zaś jest od zarządzania zasobami ludzkimi, podobno kiedyś był księgowym, w każdym razie ustala co tydzień grafik dla każdego, uwzględniając pracę poza domem. Brat Mateusz dba o to, żeby nasza wspólnota działała jak sprawny mechanizm. Bóg lubi porządek, tak twierdzi Ojciec, i coś w tym jest... Każdy w tym domu ma jakieś zdolności: jeden nieźle gotuje, inny jest złotą rączką i wtedy przydziela mu się głównie zadania odpowiadające tym zdolnościom, ale to nie reguła. Trzeba spróbować wszystkiego, dlatego dobrzy kucharze i złote rączki również sprzątaj. Jesteśmy trochę jak mrowisko, a Ojciec jest jak nasza królowa. Jest naprawdę ciężko, ale nie narzekamy. W ciągu tygodnia powinienes poznać braci i siostry. – Przystanął nagle i odwrócił się w jego stronę. – Porządek dnia: wstajemy o czwartej trzydzieści. Krótka modlitwa z mszą świętą, mycie, śniadanie o piątej trzydzieści, wyjazd do pracy lub praca

w domu, a jeśli ktoś pracuje na nocną zmianę, ma specjalny grafik, uwzględniający to. Brat Mateusz bardzo szybko wprowadza zmiany, ma wszystko tak poukładane, że nie ma przestojów. Siedemnasta trzydzieści obiadokolacja. Modlitwa wieczorna i o dwudziestej drugiej trzydzieści spać. Dobry odpoczynek to podstawa, Kainie, to dar od Boga. Pilnuj tego...

Na początku miał ciężko. Najgorsze było to, że nie mógł wyjść na dwór. Uwielbiał naturę, ale pozwalano mu jedynie wyrzucać śmieci, zbierać zioła w ogrodzie i zrywać warzywa w szklarni. Stał czasem w wielkim oknie sali jadalnej i tęsknie spoglądał na las, ale nie mogło to trwać długo, bo zaraz musiał wracać do pracy. Sprzątanie, pranie, zmywanie, krótka noc, pobudka bladym świtem i znowu to samo. Podczas porannej mszy i wieczornej modlitwy prawie zasypiał, nieraz przed upadnięciem na podłogę chroniło go szturchnięcie jakiegoś brata, które sprawiało, że na chwilę dochodził do siebie. W pewnym momencie był przekonany, że jednak nie da rady. Dni zlewały się ze sobą, tylko w niedzielę po obiedzie, który był o piętnastej, do wieczora był czas wolny, ale w praktyce oznaczało to niewiele, bo część wyznawców była wtedy na dyżurach w swoich miejscach pracy. I nagle, któregoś dnia, wstał jak zwykle obudzony dzwonkiem i stwierdził, że czuje się świetnie i nie może doczekać się swoich codziennych obowiązków. Nie wiedział, skąd ta energia, dopóki nie wyjaśnił mu tego Ojciec.

Zaczepony któregoś dnia po wieczornej modlitwie, kiedy szedł do swojego pokoiku, powiedział mu o tym.

– To wejście w rytm, synu – odparł Ojciec. – Jesteś na właściwym torze. Teraz będzie już z górki. A kiedy pójdziesz do pracy na zewnątrz, będzie ci jeszcze łatwiej. Wiem, jak to brzmi, ale zaufaj mi, we wszystkim można znaleźć upodobanie, kiedy robi się to z pasją i przede wszystkim, kiedy się wierzy. I pamiętaj o tym, synu: wiara, nadzieja i miłość to największe dary, jakie Bóg dał człowiekowi. Korzystajmy z nich, jak tylko się da.

6

październik 2020

Funkcjonariusz z komisariatu Szczecin Pogodno prowadzący sprawę pobicia mężczyzny o nieustalonej tożsamości okazał się skory do pomocy, jednak problem w tym, że dochodzenie stało w miejscu od samego początku. Okazało się, że enenowi pobrano wymazy do analizy DNA, niczego to jednak nie dało: system GENOM nie wykazał połączeń, a próbka została jedną z wielu, które składały się na zbiór prowadzony przez Centralne Laboratorium Kryminalistyczne. Jediną korzyścią było to, że odpadł problem z ubraniem enena, które miało być wykorzystane właśnie w celu pobrania próbek do analizy. Niestety, zdjęcie zrobione przez funkcjonariuszy na SOR-ze, kiedy czekano na wyniki pierwszych badań i kwalifikację do dalszego postępowania, też na niewiele się zdało. Enen był już obmyty z krwi, jednak jego twarz okolona gęstą brodą była tak zniekształcona, że ledwie przypominała ludzkie oblicze. Powieki i wargi były sine i opuchnięte, a nos złamany. Rędzia miał obawy przed pokazywaniem komukolwiek fotografii, zdając sobie sprawę, jakie wywoła odczucia.

– No, Hagrid – stwierdził, pokazując zdjęcie Berdakowi.

– Co ty, znasz go? – Jarek spojrzał na Rędzię ze zdumieniem.

Komisarz oddał spojrzenie: Berdak nie miał dzieci i ten fakt mógł go jakoś tłumaczyć.

– Rumcajs, Jarecki. – Westchnął. – Miałem na myśli, że wygląda jak Rumcajs. Rumcajsa kojarzysz? – upewnił się.

– Niewątpliwie jego wygląd jest bardzo charakterystyczny. – Berdak wzruszył ramionami. – Nie mówię o tym, co tu teraz widać, tylko ogólnie: te włosy i broda. Na pewno zwraca uwagę i to może być nasza szansa.

– Możliwe – zgodził się Rędzia. – Tylko pamiętaj, że miał obrażenia głowy. Ogolili go do operacji na zero, rozumiesz? I teraz wygląda normalnie, bo taką fryzurę, czyli brak fryzury, ma dziś co trzeci facet. Dlatego nikt nie zwróci na niego uwagi. Ale spróbujemy z tymi zdjęciami z tomografii i zrobimy również wersję bez włosów i brody, bo takiego widział go ten pacjent, który leżał z nim na jednej sali. Może to coś da... – Popatrzył jeszcze chwilę na zdjęcie i westchnął. – Tamten facet przy samie, ten świadek, powiedział, że gdyby mógł, sam założyłby pętle na szyje tym gnojom, którzy to zrobili. A ja teraz tak sobie myślę, że chętnie bym go w tym wyręczył... Co to praca robi z człowiekiem...

– To nie praca – odparł Berdak. – To ludzie. Gdyby nie oni, nie mielibyśmy tej pracy, co nie?

Komisarz skinął głową, odłożył zdjęcie do teczki na akta i zamknął ją lekko zniechęcony.

Nie mieli niczego, co mogłoby im pomóc spróbować ustalić tożsamość enena, który był prawdopodobnie zabójcą Dworzaka. Pozostało tylko czekać na wyniki analizy śladów biologicznych sprawcy, znalezionych na miejscu ujawnienia zwłok. Jeśli w ogóle jakieś będą: skoro technicy twierdzili, że na miejscu nic nie ma, mógł liczyć jedynie na te pod paznokciami ofiary.

Jeszcze tego samego dnia Rędzia wykonał kilka telefonów do szpitala, rozmawiał z sekretarką ordynatora i lekarzami oddziału neurochirurgii, żeby przyspieszyć sprawę zapisów TK głowy enena. Potwierdzał, że doskonale zdaje sobie sprawę, jaka jest obecnie sytuacja we wszystkich szpitalach, przekonywał, że on też nie ma łatwo i że chodzi o ludzkie życie, aż wreszcie wydębił te zdjęcia, przekonany, że jest najbardziej znienawidzoną osobą na świecie przez zespół oddziału, i mając nadzieję, że jeśli kiedykolwiek trafi do szpitala na Unii, to nie na neurochirurgię. Niezwłocznie wysłał pliki do rysownika, który zdążył już odwiedzić świadka z Pogodna oraz Pawelczyka w szpitalu i zrobił wstępne portrety oraz zobowiązał się, że na cito wykona finalny portret z wykorzystaniem materiałów od Rędzi, zarywając nawet noc.

Chłopak spełnił obietnicę i następnego dnia rano Rędzia miał w służbowej skrzynce mailowej świeżutkie jak gorące bułeczki wizerunki enena. Były jak żywe, co zauważył również Berdak, jednak problem tkwił w tym, że bardzo się różniły. Podobieństwa kończyły się na rozstawie oczu i odległościach rozmieszczenia elementów twarzy: ust, nosa i właśnie oczu. Jeden portret przedstawiał zarośniętego brodacza z wąskim, orlim nosem, i to właśnie te dwie rzeczy zwracały uwagę, sprawiając, że reszta wydawała się kompletnie nieistotna. Na drugim był szczupły mężczyzna z nosem boksera, ostrzyżony na krótkiego języka, z zapadniętymi policzkami i widoczną szramą na ustach. Rędzia pomyślał, że gdyby miał określić wiek mężczyzny, nie miałby pojęcia, co powiedzieć. Zaniedbany trzydziestolatek? Czterdziestolatek? Dobrze wyglądający pięćdziesięciolatek? Na pierwszy rzut oka mężczyzn z obu wizerunków dzieliło kilkanaście lat.

– Co on, przesłał nam jakieś inne portrety? – zdziwił się Berdak, patrząc na wydruki.

– Przed pobiciem enen miał wszędzie włosy, a po pobiciu nie. Nos po złamaniu wygląda inaczej niż przed, szrama na ustach też jest wynikiem obrażeń. Po dwóch miesiącach na szpitalnym wikcie, plus śpiączka, stracił pewnie z dziesięć kilo. To dlatego tak się różnią. Faktycznie, jak dwie inne osoby.

– A jakby nałożyć jeden na drugi – zaproponował Jarek.

Rędzia cmoknął z niesmakiem.

– To już w ogóle wyszedłby jakiś mutant. No nic, zawsze coś...

* * *

Siedziba Działu Pomocy Osobom Bezdomnym szczecińskiego MOPR-u mieściła się przy Wojska Polskiego, za stacją BP. Przed wejściem stał biały van, z którego dwóch mężczyzn wyładowywało jakieś skrzynki i popakowane w zgrzewki słoiki i butelki z wodą. Korzystając, że drzwi były otwarte, Rędzia wśliznął się do środka i w holu napotkał jedną z urzędniczek.

– Kamil jest? – zapytał, mijając ją.

– Kierownik na kwarantannie.

– O! – Zatrzymał się w pół kroku. – A kto go zastępuje?

– Ostatnie drzwi, przed jego gabinetem. Pani Ewa.

Rędzia bywał w tej komórce MOPR-u raz na kilka tygodni przy niemal każdej sprawie, która dotyczyła odnalezienia zwłok o nieustalonej tożsamości i wyglądzie sugerującym bezdomność. Urzędnicy znali sporą część tego środowiska, zapytania policji dotyczyły nie tylko zwłok, ale i osób poszukiwanych przez sądy czy prokuratury celem złożenia zeznań, często dotyczących spraw, przez które ci ludzie znaleźli się na ulicy. Niedofinansowanie tej sfery działalności miasta było powszechnie znane, choć dużo mniej zrozumiałe, jednak tym razem Rędzia nie miał dojmującego poczucia beznadziei, które ogarniało go za każdym razem, kiedy odwiedzał dawną siedzibę tej komórki przy Jana Kazimierza. Tu przynajmniej pracownicy mieli lepsze warunki niż tam.

Komisarz minął szerokie, ażurowe schody i wszedł w wąski korytarz. Odnalazł właściwe drzwi, zapukał w nie i od razu nacisnął klamkę, a wchodząc do pomieszczenia, zdążył odczytać nazwisko widoczne na wiszącej na ścianie tabliczce. Ewa Krugły. Zamknął za sobą drzwi i odruchowo obrzucił pokój spojrzeniem. Był niewielki, umeblowany tanimi meblami z przetargu i nie było w nim w zasadzie nic, co sprawiało, że miejsce pracy stawałoby się w jakiś sposób przytulne.

– Pan w jakiej sprawie?

Kobieta miała na twarzy przyłbicę, a w zasadzie półprzyłbicę, obejmującą dół twarzy. Była prawie niewidoczna i Rędzia pomyślał, że też musi sobie taką sprawić. Mignął odznaką: nigdy wcześniej nie widział tu Ewy Krugły; nie widział jej w ogóle, choć wiedział, że była pracownikiem MOPR-u.

– Czy mogę zdjąć maseczkę? – zapytał, dotykając wilgotnego kagańca.

– Jeśli usiądzie pan pod ścianą, to tak. – Uśmiechnęła się, pokazując ładne i równe zęby.

Miała ciemne włosy, niezbyt długie i kręjące się swobodnie; okalały ładną i miłą twarz.

Usiadł więc pod ścianą i z ulgą zdjął swoją maseczkę.

– Mam enena do ustalenia. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa. – Sięgnął za pazuchę kurtki po kopertę i wyciągnął ją. – Podejrzany jest nieznany mężczyzna. Z naszych ustaleń wynika, że może być osobą

bezdonną i być może pozostaje pod państwa opieką. Jedyne wizerunek, jakim dysponujemy, to portrety pamięciowe. One... eee... Różnią się od siebie co nieco, ponieważ ten człowiek doznał obrażeń twarzy, w związku z czym pojawiły się istotne różnice w wyglądzie sprzed pobicia i po nim.

Wyjął wydruki z koperty, wstał, pochylił się i wyciągnął rękę, starając się nie przekroczyć niewidzialnej, ale coraz bardziej wbijającej się w ludzką świadomość granicy dystansu społecznego. Położył wydruki na biurku, dał krok do tyłu i usiadł.

– Nie pytam, czy pani go poznaje – powiedział. – Prosiłbym tylko o udostępnienie wizerunków pracownikom, którzy mają bezpośredni kontakt ze środowiskiem osób bezdomnych.

– Roześle je pocztą służbową. – Krugły wzięła zdjęcia, obróciła je i obejrzała. – Faktycznie, jak dwóch różnych ludzi, choć widać pewne podobieństwa. No nic, zaraz poproszę kogoś o zeskanowanie i wysyłkę.

– Bardzo się cieszę i bardzo dziękuję. – Uśmiechnął się i wstał, nie spuszczać jej z oczu.

Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że patrzy na nią odrobinę za długo.

Spotykając osoby, które przeszły kiedyś traumę, zawsze zastanawiał się, ile z tego w nich zostało. Też przeżył w życiu kilka nieciekawych zdarzeń, po których musiał odbębnić sesje z policyjną psycholożką, i mimo pozornie nonszalanckiego stosunku do nich, który prezentował wszystkim zainteresowanym, w tym psycholożkom, w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że musiały odcisnąć na nim jakieś piętno. Gdzieś, w najgłębiej położonych pokładach jego świadomości znalazły sobie niszę, małą jaskinię, w której się przyczaiły i być może tylko czekały na moment, kiedy będą się mogły objawić z całą mocą, kalecząc jego psychikę, żłobiąc w niej rysy i uniemożliwiając normalne funkcjonowanie. Kiedy to nastąpi? Za rok, za dziesięć lat? I czy w ogóle? A może czekały tylko, aż dołączy do nich jakieś kolejne zdarzenie, będące jak kropla, która przeleje czarę, jak ostatni kamyk, który powoduje lawinę? Znów akcja jak w porcie, kiedy miał nóż na gardle, a pociski wystrzelone przez antyterrorystów minęły go o centymetry? Znów czarna, lodowata woda jak w marinie? Ale on był mężczyzną, miał dość mocną konstrukcję psychiczną, choć z wiekiem zauważał pierwsze pojawiające się w niej drobne rysy, a teraz patrzył na

kobietę. Jak ona to zniosła? Jak głęboko utkwiała w niej trauma z przeszłości? Czy upiorne wspomnienia wracają, na przykład w snach, jak u niego, kiedy usiłuje złapać choć jeden, najmniejszy oddech, a potem topi się w czarnej jak smoła wodzie?

– Proszę pozdrowić Roberta – powiedział i znów się uśmiechnął.

– O, zna pan męża? – Odpowiedziała uśmiechem.

Nawet gdyby uśmiechy były ukryte za maseczkami, to oczy bez żadnych wątpliwości potwierdziłyby, że oba są szczerze i przyjazne.

– Kojarzemy się – odparł Rędzia. – Kiedyś pracowałem w wojewódzkiej. Do widzenia, pani Ewo. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Wyszedł na zewnątrz. Zanim wszedł do samochodu, skoczył do sklepu na stacji benzynowej i kupił sobie gorącą czekoladę. Wypił ją w samochodzie zaparkowanym pod ścianą budynku, gapiąc się na panele i faceta odkurzającego swoje audi i słuchając głuchych uderzeń w trzepane dywaniki. Potem wyrzucił pusty kubek do kosza na śmieci i pojechał do komendy.

* * *

Kilka dni później mieli pierwsze wyniki z laboratorium i z sądówki. Przyczyną śmierci Dworzaka był uraz głowy spowodowany uderzeniem w okolicę skroniową skutkujący wgłobieniem odłamów kostnych do jamy czaszki, stłuczeniem płata skroniowego oraz wtórnym wgłobieniem w kierunku pnia mózgu w wyniku nagłego wzrostu ciśnienia śródczaszkowego. Tego wszystkiego Rędzia dowiedział się w Zakładzie Medycyny Sądowej od Tomka Knapika, znajomego medyka sądowego, który przeprowadził sekcję sądowo-lekarską.

– Mężczyzna rasy białej w wieku około pięćdziesięciu lat, to już wiesz, bez znaków szczególnych, budowa ciała prawidłowa, lekkie niedożywienie, bez zmian chorobowych i urazowych. Nie ma jeszcze toksykologii, ale podejrzewam, że nic się nie zmieni, jeśli chodzi o przyczynę zgonu. Rana spowodowana była uderzeniem twardym, ale raczej niedużym narzędziem o obłym zakończeniu, cios zadano z dość dużą siłą, ciężar przy małych rozmiarach spowodował kumulację siły przyłożonej, w dodatku w bardzo wrażliwym miejscu głowy. – Knapik

popukał się w skroń. – W zależności od tego, jak na to spojrzeć: ofiara miała pecha, albo morderca szczęście, jeśli jego celem było zabicie. Bo to mógł być przypadek, prawda? – Spojrzał na Rędię.

– Mógł – przyznał komisarz. – Rzeczywiście, to mogła być jakaś sprzeczka i kogoś poniosło. Tylko co oni tam robili, najprawdopodobniej w środku nocy, w nieużywanych pomieszczeniach?

– Seks?

– Sądzisz, że zabiła go kobieta?

– Tego nie powiedziałem...

– No dobra, ale sam wspomniałeś, że siła nie była duża.

– Ale to jeszcze nie oznacza, że to musiała być kobieta. Równie dobrze sprawca mógł być niedużym facetem. Sprzeczka kochanków?

Rędzia przypomniał sobie, co mówił Oparczyk o Dworzaku: że nie miał potrzeb seksualnych, ale rozważania dotyczyły płci przeciwnej. Chyba, bo nie dopytał o to.

– Co to mogło być za narzędzie? – zapytał.

Knapik się skrzywił.

– Myślałem na początku o takim młotku do wyoblania blach. Ale teraz już nie wiem. Cios młotkiem wbiłby kości czaszki głębiej w struktury mózgu.

– Dobra, ślady sprawcy? Mój technik twierdził, że jest czysto, paznokcie miał takie, jakby chwilę wcześniej wyszedł od manikiurzystki.

Medyk rozłożył szeroko ręce, aż zapięty pod szyję kitel napiął się na tułowiu i rozszedł na zatraskach, pokazując zieloną koszulę, którą mężczyzna miał pod spodem.

– Dupa – oznajmił. – U mnie tak samo. Żadnych otarć, zsinień, zadrapań, niczego, co mogłoby świadczyć o walce i gdzie mógłby zostawić swoje ślady. Najprawdopodobniej nie mieli kontaktu fizycznego i sprawca nosił rękawiczki. Znaczący kontakt jakiś był, bo przecież nawet jeśli facet przyszedł do tych piwnic z własnej woli, to przecież nie wcisnął się w tę wnękę sam, a potem dał uderzyć w skroń... Mam na myśli, że pod paznokciami faktycznie nie było żadnych śladów krwi czy naskórka. A to stawia pod znakiem zapytania teorię o sprzeczce kochanków, bez względu na płć tej drugiej osoby, i przypadkowym ciosie. Seks z reguły wiąże się z kontaktem cielesnym, prawda? Denat nie miał jednak śladów

biologicznych świadczących o odbyciu stosunku hetero- czy homoseksualnego, ani jako aktywny, ani jako pasywny, ale mogli jeszcze nie zacząć...

– Pięknie to wymyśliłeś, ale prawdopodobnie chodziło o jakieś zaszłe sprawy.

– A to wyklucza seks? – zdziwił się Knapik.

– Aleś się czepił tematu...

Knapik spojrzał na Rędzię krzywo.

– Tyle lat siedzimy w tym gównie, a ty jeszcze nie wiesz, jak często wszystko rozbija się o dupę? Pieniądze sprawiają, że świat się kręci, ale kręci się mimo wszystko wokół dupy. Może nie mój czy twój świat, ale wielu ludzi tak. Śmiem nawet twierdzić, że znakomitej większości.

Rędzia westchnął i zapatrzył się w pokrytą białą glazurą ścianę za plecami Knapika.

– Jak na razie wygląda na to, że ofiara spotkała w szpitalu kogoś, z kim miała kontakt w przeszłości. Od momentu spotkania w szpitalu do momentu śmierci, też w szpitalu, minął jakiś czas i wszystko wskazuje na to, że tą osobą był zaginiony pacjent o nieznanym tożsamości, który najpierw leżał na oddziale, gdzie pracowała ofiara. Po zabójstwie wykorzystał okazję, podając personalia swojej ofiary, i zniknął. Rozpłynął się. – Rędzia skupił wzrok na Knapiku i wygiął wzgardliwie usta. – Pachnie mi to po prostu zwykłą zemstą. Cholera, mogłem ustalić, która pielęgniarka miała wtedy dyżur, i spytać, czy nie pamięta, żeby ktoś kręcił się po korytarzu oddziału.

– Przecież tam ciągle ktoś się kręci, nawet w nocy – zauważył Knapik. – Mówię o pacjentach. Do toalety chodzą, spać nie mogą... Przecież to nie więzienie. W szpitalu nigdy nie leżałeś?

– Ilu ich mogło tak chodzić? Dwóch, trzech?

– Pielęgniarki i tak pewnie śpią, kiedy nikt niczego od nich nie chce. – Medyk machnął ręką. – Przypuszczalnie i tak nic by to nie dało.

Rędzia pokiwał w zamyśleniu głową. Knapik zapewne miał rację. Pożegnał się z nim i z Pomorzan od razu pojechał do centrum. Pamiętał, że gdzieś w okolicach katedry był sklep ezoteryczny. Znalazł go na placu Orła Białego, który zmienił się diametralnie, odkąd był na nim ostatni raz. Jeden z piękniejszych placów Szczecina był poligonem doświadczalnym

w starciu dwóch sił: zwolenników uwolnienia części miasta od ruchu samochodowego i stworzenia przestrzeni miejskiej przyjaznej mieszkańcom oraz kierowców, klnących jak szewc podczas objeżdżania jednokierunkowymi uliczkami kolejnych kwartałów Starego Miasta w poszukiwaniu wolnego miejsca do zaparkowania. Obecnie wygrywali ci pierwsi i Rędzia w zasadzie nie miał nic przeciwko, pomijając fakt, że też w ciągu ostatnich kilkunastu minut rzucił dwa razy mięsem i musiał iść tu spory kawałek od miejsca, gdzie wyszedł zwycięsko z walki o miejsce parkingowe, którą stoczył z kierowcą jakiegoś volkswagena.

Sklep „Pod gwiazdami” mieścił się w niskiej, usługowej przybudówce, przylepionej do budynku mieszkalnego z lat sześćdziesiątych, będącego efektem kolejnych starć, tym razem na koncepcje urbanistyczne. Za wielkimi witrynami Rędzia ujrzał zegar kulkowy oraz mnóstwo przedmiotów, których przeznaczenie było mu bliżej nieznane. Wszedł do środka i przywitał się z panią za kontuarem, i tym razem legitymacja pozostała w kieszeni.

– Wie pani – nie bardzo wiedział, jak zacząć – szukam takich kamiennych kul, które daje się pacjentom, żeby ćwiczyli sprawność rąk, nie bardzo wiem, jak to się nazywa...

– Kule zdrowia.

– Hmm, dlaczego sam na to nie wpadłem? Ma pani coś takiego?

– Tak. Jaki rozmiar?

– To one mają rozmiary?

– Niech pan pokaże rękę – poprosiła kobieta.

– Nie wierzę we wróżenie z dłoni.

– Ale ja tu tylko sprzedaję. – Roześmiała się. – Niech pan podniesie.

Komisarz podniósł dłoń, ona zrobiła to samo, i chociaż nie dotknęli się, Rędzia zrozumiał, o co jej chodzi. Właśnie okazało się, że rozmiar jednak ma znaczenie.

– Proszę średnie, jeśli takie są. Chciałbym tylko zobaczyć.

Schyliła się pod kontuar i wyciągnęła czerwone pudełko, a Rędzia zaczął się zastanawiać, czy rehabilitant, który dał enenowi kule, też zaopatrywał się tutaj i czy refunduje to NFZ.

– Ile one kosztują? – zapytał, wiedziony impulsem, kiedy otworzył pudełko i zobaczył tkwiące w wygodnych gniazdkach z czerwonej gąbki

beżowe, błyszczące idealną gładzią kamienne kule trochę mniejsze od piłeczek pingpongowych.

– Trzydzieści dwa złote.

Zdecydował się. Trzy dychy nie majątek. Zapłacił i ściskając pudełko w dłoni, wrócił do samochodu, po czym pojechał z powrotem na Pomorzany. Knapik był jeszcze w pracy. Komisarz wszedł do jego kanciapy i pokazał mu pudełko.

– Dobrze się składa, że jesteś, bo zamierzałem właśnie dzwonić: mam coś ciekawego dla ciebie. – Wzrok Knapika był wyraźnie rozbawiony.

– Pozwól, że ja pierwszy, dobra?

– Pozwalam. – Spojrzenie medyka zrobiło się jeszcze bardziej rozbawione. – Co to?

– Otwórz.

– Prezent? Dla mnie? Kochany jesteś, wiesz?

– Otwórz.

Knapik uchylił wieczko, zajrzał i jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Jezu, zawsze marzyłem, żeby to mieć! – zawołał. – Tylko powiedz mi jeszcze, co to jest? Kule gejszy?

– Wyciągnij jedną – poprosił Rędzia.

– Ciężka. – Lekarz zmarszczył brwi, a jego głos wyrażał lekkie zaskoczenie.

– Czy on mógł to zrobić czymś takim? – zapytał komisarz. – Może trochę większą, bo są dostępne większe? Nawet ściskając ją w rękę?

Knapik podrzucił kulę w dłoni i spojrzał na niego.

– Cholera, bo ja wiem... – Wzruszył ramionami. – Kurwa, no niewykluczone. Tylko że...

– Tylko że?

– Problem w tym, że moim skromnym zdaniem na czasce są tylko dwa miejsca, w których uderzenie tym przedmiotem trzymanym przez człowieka skutkować może śmiertelnymi obrażeniami. Właśnie tam, gdzie dostał ten twój Dworzak.

– A drugie miejsce?

Knapik spojrzał na niego niemal z odrazą.

– Panie komisarzu, kurwa, no błagam...

– Dobra, zdekoncentrowałem się. – Rędzia pomasaował sobie nasadę nosa. – Czyli jeśli to jednak była taka kamienna kula, co jest bardzo prawdopodobne, i mówię tu o swoich ustaleniach, to faktycznie mamy chyba do czynienia z afektem. Przypadkowym zabójstwem.

– Niekoniecznie. – Knapik wyciągnął z szuflady biurka gruszkę i wytarł ją o fartuch.

– Bo?

– Bo on mógł wiedzieć, w które miejsce głowy dokładnie uderzyć, tak jak na przykład ja to wiem...

– To dość mało prawdopodobne. Nie sądzę.

– Nie? To powiem ci coś jeszcze, ale lepiej, żebyś usiadł.

– Jestem już dużym chłopcem, proszę pana, i wiele wytrzymam – rzucił sarkastycznie Rędzia.

– Jak chcesz. Nie wiem jak tam u was w wydziale z komunikacją, ale mój kolega robił ostatnio zwłoki z identyczną raną. Dosłownie identyczną i dokładnie w tym samym miejscu głowy, w okolicy skroniowej. Jakiś dziennikarz. – Knapik obejrzał gruszkę pod światło, potem ugryzł ją, wskazał nią stojące pod ścianą krzesło i wybełkotał niewyraźnie z pełnymi ustami: – Tamto jest wolne...

7

2008

Dziś po raz pierwszy miał pracować na zewnątrz. Zasnął niemal natychmiast po tym, jak wyjechali z Domu. Spał przez całą drogę do Szczecina, kołysany bujaniem i kojony mruzeniem silnika. Miał ogromny deficyt snu, z czego zaczynał zdawać sobie sprawę, ale traktował to jako element poświęcenia, jakiego wymagał Ojciec. I Bóg. Współbracia pracowali tak samo ciężko, nawet ciężiej, bo mieli jeszcze swoją pracę na zewnątrz, i on teraz miał też taką dostać.

Kiedy Ojciec oglądał kilka dni temu jego dłonie, na jego twarzy zobaczył wyraz powątpiewania. Nigdy nie pracował fizycznie. Nie tam, na zewnątrz. Bo tu, w Domu, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zrobił tyle rzeczy własnymi rękoma, że sam się dziwił, jak to w ogóle możliwe. A jednak. Nie zmieniło to jednak stanu rzeczy na tyle, by Ojciec nie miał wątpliwości.

– No nic, synu – rzekł w końcu, wzdychając lekko. – Początki zawsze są trudne. Sprawdzimy, jeśli okaże się, że nie dasz rady w miejscu, do którego chciałbym cię posłać, zastanowimy się nad zmianą. Możliwości jest kilka, więc nie przejmuj się jakby co. To też możesz na razie potraktować jako test...

Busik zajechał pod bramę cmentarza i kiedy Ojciec odsunął drzwi, on obudził się nagle, wyrwany ze snu ich hurgotem. To było dziwne wrażenie. Znow zobaczył samochody, ludzi, budynki, tramwaje. Coś, co jeszcze kilka miesięcy temu było czymś najnormalniejszym w świecie i nad czego obecnością wokół siebie nawet się nie zastanawiał, nagle

jawilo się jako niemal kuriozum. Uświadomił sobie, że nie tęsknił za tym. Za ludźmi, za miastem, za maszynami. Że mimo skrajnego zmęczenia fizycznego, jakie odczuwał codziennie wieczorem w nowym domu, czuł się wspaniale psychicznie. Wyciszył się wewnątrz. Uspokoił. Pozbył wątpliwości. Widok za oknami busa był potwierdzeniem tego. Hałas ulicy, który docierał przez otwarte drzwi, też.

– Chodźmy. – Ojciec wyskoczył z busika i przywołał go ruchem ręki.

Wysiadł i rozejrzał się. Cmentarz Centralny zawsze go w jakiś sposób fascynował. Rozległy, zadbane, zaprojektowany od podstaw z pomysłem, z pięknie urządzonej zielenią kontrastującą z dzikimi rejonami, gdzie można było nawet spotkać dzikie zwierzęta. Atmosfera spokoju tego miejsca, połączenia parku i cmentarza, enklawy ciszy i spokoju w środku tętniącego życiem miasta, była cudowna. Uśmiechnął się do siebie.

– Podoba ci się? – zapytał Ojciec z lekkim zaskoczeniem w głosie.

– Zawsze uwielbiałem to miejsce – powiedział.

Ojciec rozłożył ręce w tym swoim charakterystycznym, kapłańskim geście.

– Nic nie dzieje się bez przyczyny, synu. Uwielbiam, kiedy Bóg daje mi takie dyskretne znaki, jak twój uśmiech teraz. To oznacza, że miałem rację, kierując cię tutaj. Kiedy oswoisz się z tą robotą, już nic nie będzie dla ciebie trudne. Chodź, przedstawię cię komuś...

Weszli do budynku w bocznym skrzydle wielkiego, ceglanego, krytego dachówką założenia bramnego głównego wejścia na cmentarz. Mieściła się tam administracja. Niewielka sala tętniła życiem, interesanci załatwiali swoje sprawy, ale Ojciec bez wahania minął ją i skierował się w stronę drzwi z boku pomieszczenia. Widział, jak kilka osób patrzy ze zdziwieniem na człowieka ubranego w coś na kształt białej sutanny i w czerwonych okularach na nosie, i Ojciec też to musiał widzieć, jednak zupełnie się tym nie przejmował. Otworzył drzwi i przekraczając próg, obejrzał się, czy on idzie z nim, więc z lekkim wahaniem również wszedł do środka.

– Oto on. – Ojciec pokazał go jakiemuś człowiekowi siedzącemu za biurkiem i poczuł się przez chwilę jak na targu niewolników.

Ale to wrażenie natychmiast minęło, kiedy mężczyzna wstał, podszedł do niego, chwycił obie jego dłonie w swoje ręce i potrząsnął nimi energicznie.

– Witaj – powiedział z nieukrywanym, wręcz przesadnym, jak mu się wydawało, entuzjazmem. – Jeśli Broniek mówi, że jesteś dobrym człowiekiem, to ja mu wierzę bez zastrzeżeń. Mam dla was ogromny szacunek. Nie znam ludzi pracowitszych od was. Chodźcie, przejdziemy się do kaplicy. Pokażę ci twoje nowe miejsce pracy. Papiery załatwimy później, zresztą ty nie musisz się o nic martwić...

Zajrzał przed drzwi obok i rzucił do kogoś ukrytego za nimi:

– Pani Ewo, wychodzę na pół godzinki!

– To Włodek Klimczak, kierownik Wydziału Usług Cmentarnych Zakładu Usług Komunalnych – szepnął mu Ojciec. – Mamy z nim bardzo dobre stosunki. Nie zepsuj ich. – Podniósł ostrzegawczo palec i zerknął na niego znad okularów, które błysnęły czerwienią.

– Na pewno nie – przyrzekł.

Ojciec uśmiechnął się szeroko i klepnął go w ramię.

– Wiem. Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, synu.

Klimczak zatarł ręce i podszedł do nich.

– Dobrze, gotowi? Idziemy.

Poszli.

Do głównej kaplicy cmentarnej, będącej początkiem głównej osi urbanistycznej cmentarza, było stamtąd około pół kilometra. Szli poprowadzoną lekkim łukiem i wysadzaną wielkimi platanami aleją. Klimczak na początku szedł z nimi, ale kiedy zadzwonił jego telefon, przyspieszył, wysforował się naprzód o parę kroków i zajął się rozmową.

Ojciec wziął go pod rękę i przycisnął do siebie. Przez chwilę dostosowywał rytm swoich kroków do jego i kiedy zaczęli iść jak żołnierze w szyku, Ojciec zbliżył twarz do jego twarzy.

– Pamiętaj, synu – powiedział cicho. – Obowiązują cię tu zasady Domu. Zachowujesz się na zewnątrz jak na członka naszej wspólnoty przystało, chociaż chwilowo znajdujesz się poza nią, rozumiesz? Nie mów za dużo o nas i o Kościele, najlepiej nie mów o tym w ogóle. Rób to, co do ciebie należy, nie odpowiadaj niepytany, pytany odpowiadaj wyłącznie na pytanie, nie odpowiadaj na pytania nie dotyczące twojej pracy i zadawaj wyłącznie takie, które jej dotyczą. Pamiętaj, że na tym świecie są ludzie, którym nie w smak idea Boga, którzy zaprzeczają Jego istnieniu i walczą z tymi, co w Niego wierzą. Mamy wynikający wprost z Pisma Świętego

obowiązek nadstawiania drugiego policzka, ale to przecież nie oznacza, że musimy najpierw dać się uderzyć w pierwszy, prawda? Unikajmy tego, nadstawianie jest ostatecznością. Jesteśmy ludźmi cienia, ale tego ziemskiego, bo tam, w królestwie Boga Ojca, czeka nas wieczny blask. A ci, którzy tu, na tym świecie, łakną ziemskiego blasku, nie zaznają go w niebie: ich czeka tylko cień Szatana. Trzymajmy się w naszym cieniu, by zasłużyć na niebiański blask, a co robią inni, nas nie dotyczy. Zrozumiałe? – Odsunął się, ale nie puścił jego przedramienia.

– Oczywiście, Ojcie. – Poważnie skinął głową i zapytał: – Co właściwie będę tu robił?

– Zobaczysz. – Ojciec puścił jego ramię i lekko zwolnił. – Włodek zaraz wszystko ci pokaże.

Po chwili znaleźli się w pobliżu neoromańskiej kaplicy, przed którą parkowały samochody, autokary i kilka karawanów. W sąsiedztwie głównego wejścia, a także przed bocznymi stały grupki żałobników, na ławkach i posadzce leżały wielkie wieńce z białymi wstęgami.

– Przerób jak zwykle, jeden za drugim. – Klimczak westchnął, kierując się w lewo.

Do budynku dostali się od tyłu, najpierw zeszli po wąskich schodkach do piwnicy, w gdzie mieściły się ciasna sala rozpoznania, chłodnia na ciała i tak zwana salka sekcyjna, która nie służyła jednak do przeprowadzania sekcji zwłok. Wszystkie ściany pomalowane były na biało, posadzki zaś wyłożone brązową lub brudnobiałą terakotą, pamiętającą chyba jeszcze czasy PRL, a może nawet nadburmistrza Hermana Hakena.

W sali sekcyjnej był mężczyzna ubrany w gumowany fartuch. Stał przy stole z nierdzewnej stali, na którym leżało nagie ciało starszej kobiety. Zrobiło mu się gorąco na ten widok, mimo że temperatura była zdecydowanie niższa niż na zewnątrz. Pod ścianą stał olbrzymi, metalowy regał ze słoikami, butelkami i mnóstwem innych naczyń oraz zwojami białego materiału.

– Coś nie w porządku? – Klimczak zmarszczył brwi, spoglądając na niego, a potem na Ojca.

– Nieee, wszystko w porządku, czemu miałyby być nie w porządku? – odparł zdziwiony Ojciec.

– No jak tak, to nie ma o czym mówić. – Klimczak wzruszył ramionami i podszedł do człowieka przy stole.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy wcześniej nie widziałeś ludzkich zwłok?

– Syknięcie Ojca wcisnęło się do jego ucha.

– Nie – szepnął.

– Nie byłeś nigdy na pogrzebie? Swoich rodziców? Dziadków?

– Byłem, ale nie widziałem ich przed pochówkiem. To był zwykły pogrzeb.

Ojciec się wyprostował. Klimczak tłumaczył coś człowiekowi w gumowym fartuchu.

– No dobrze, już za późno, mogłem spytać wcześniej, ale mam nadzieję, że to niczego nie zmienia? – Ojciec zerknął na niego. – Wciąż jesteś gotowy na poświęcenie, synu? W końcu to tylko cielesna powłoka, pokrowiec na duszę, prawda?

– Prawda. – Coś ścisnęło go w gardle.

Zwłoki zasłonięte były przez Klimczaka i człowieka w fartuchu, ze swojego miejsca widział tylko nagie łydki i stopy oraz włosy na czubku głowy martwej kobiety.

– Więc jak? – zapytał Ojciec.

Drgnął. Kątem oka zauważył, że go obserwuje, więc przełknął ślinę i zacisnął zęby.

– Dam radę, Ojciec – powiedział. – Zbyt daleko zaszedłem, żeby się teraz wycofać.

Ojciec przysunął się do niego odrobinę, tak że stykali się ramionami.

– Zaimponowałeś mi, synu. – Szeroki uśmiech wykwitł na jego twarzy.

– Miałem nosa do ciebie. Naprawdę. Tyle wiary w takim wątłym ciele. Jesteś nieprawdopodobny. Jesteś najlepszy!

– To jest Antoni – powiedział Klimczak, podchodząc do nich i przerywając cichą rozmowę.

Ojciec odsunął się, a on złożył ręce jak do modlitwy, choć zostawił je opuszczone. Klimczak zwracał się teraz wprost do niego.

– Antoni jest ogólnie balsamistą i tanatopraktykiem, naszym specjalistą od przygotowania zwłok. Widzisz, rzecz nie polega na tym, że wyjmujemy ciało z chłodni i wkładamy je do trumny, która wyjeżdża sobie windą na górę, do kaplicy, a potem jedzie karawanem do kwatery i niknie w grobie.

To uproszczenie. Tak dzieje się niezmiernie rzadko. Każdy przypadek jest inny. Jedni chcą okazania zwłok, bo boją się, że znajdzie pomyłka i pochowają nie swojego nieboszczyka. Takie sytuacje niestety się zdarzają. Baaardzo rzadko, ale jednak, a ty będziesz dbał, żeby nie zdarzały się w ogóle. To po pierwsze. Po drugie, jedni krewni życzą sobie otwartej trumny w czasie ceremonii pogrzebowej, inni kremacji, a jeszcze inni chcą, żeby przygotować im zwłoki do przewiezienia. I tym będziecie się zajmować, razem. Antoni pokaże ci wszystko. Aha, zwłoki przyjeżdżają w różnym stanie. Rozkładu, rozczłonkowania, naprawdę różne rzeczy przytrafiają się umarlakom, zanim do nas trafią. I jeśli znajdzie taka potrzeba, bo tego zażyczą sobie rodziny, trzeba będzie je przygotować tak, żeby dało się je pokazać ludziom. Antoni jest w tym mistrzem, prawda, panie Antoni?

Człowiek w fartuchu skinął obojętnie głową.

– No. – Klimczak klasnął w dłonie. – To co, wszystko jasne?

– Kiedy zaczynam? – zapytał, starając się, żeby jego głos brzmiał normalnie.

– Jak to kiedy? – zdumiał się kierownik. – Już!

Ojciec odwrócił się do niego.

– Busik przyjedzie pod bramę o siedemnastej – powiedział. – W to samo miejsce, gdzie wysiedliśmy. Bądź tam o czasie, bo inaczej posypie się nam cały harmonogram, dobrze?

– Dobrze – mruknął i zgarbił się lekko.

Miał nadzieję, że zacznie chociaż od jutra. Że Ojciec da mu chwilę na oswojenie się z nową sytuacją, czas na przemyślenie pewnych spraw. Ale nie dał. Widać sądził, że skok na głęboką wodę przynosi najlepsze rezultaty. No i w końcu on sam przed chwilą zadeklarował, że da radę.

Ojciec klepnął go w ramię i po prostu wyszedł razem z Klimczakiem. Zorientował się już dawno, że u Ojca ten gest chyba wyrażał wszystko: od uznania i podziwu, na naganie skończywszy, choć nie jednocześnie, bo wszystko zależało od siły, jakiej użył. Gest sprzed chwili musiał być dodaniem otuchy, przynajmniej tak go zinterpretował. Antoni też gdzieś nagle zniknął i przez chwilę został sam ze zwłokami, od których nie mógł oderwać wzroku. Kiedy balsamista wrócił, miał coś ze sobą.

– Masz. – Antoni podał mu spodnie, koszulę i gumowany fartuch, identyczny jak ten, który miał sam. – Przebierz się tam. Jutro przynieś sobie jakąś herbatę, kawę czy co tam pijasz. I pamiętaj o drugim śniadaniu. Wiem, że niekiedy nie będziesz w stanie jeść, ale przywykniesz z czasem. – Spojrzał na niego. – To ciężka fizyczna praca, a ty nie wyglądasz na siłacza. Dlatego radzę ci, żebyś się dobrze odżywił, jeśli chcesz tu zagrzać dłużej miejsce. I jeszcze jedno. Nie lubię ludzi. Uwielbiam tę robotę głównie dlatego, że martwi nie kłapią jadaczkami. Ta praca wymaga skupienia i szacunku dla zmarłych. Usłyszę w tym pomieszczeniu jeden dowcip o trupach, cmentarzach albo jakąś przygłupią historię o dupie Maryni, to się rozstajemy. I nie będzie mnie obchodzić, że twój duchowy przewodnik, czy jak go tam zwiecie, ma układy z kierownikiem. To do mnie należy ostatnie słowo, rozumiesz? Do mnie. – Popukał się w pierś. – Jak postawię ultimatum: ja albo ty, to zgadnij, kogo wybierze? Kto zostanie, a kto wyleci?

Popatrzył w bok, przyciskając do siebie ubranie, które dał mu balsamista.

– Nie będzie żadnych dowcipów – powiedział cicho.

Antoni zamilkł, zaskoczony tonem jego głosu.

– I bardzo dobrze – mruknął w końcu, obrzucając go uważnym spojrzeniem od stóp do głów. – Skąd się wzięłeś?

– Tu? – zapytał zdziwiony.

– Tu, to wiem skąd... – Antoni machnął ręką w kierunku wyjścia z sali. – W tej sekcji?

– To nie je... – zaczął, ale nagle jakby stracił zapał, więc dokończył już ciszej. – Nie chcę o tym mówić.

– No dobra. – Antoni pokiwał głową i kiwał nią przez kilka sekund, jakby zdumiała go ta odpowiedź, i chyba rzeczywiście tak było. – Nie chcesz gadać, to nie, tym lepiej. Idź się przebrać.

Odwrócił się do stołu i zaczął nacierać ciało zmarłej kobiety szmatką nasączoną jakimś płynem o dziwnym zapachu. A on patrzył na to, patrzył na nieruchome ciało o skórze koloru wosku i usiłował przekonać sam siebie, że to tylko pokrowiec na duszę, a nie kobieta, która jeszcze kilka dni temu oddychała, patrzyła, mówiła, słuchała i kochała kogoś: może swojego męża, może syna, może kogoś innego.

– No, idźże wreszcie! – Antoni obejrzał się i spojrzął na niego zdumiony.
– Na co czekasz? Na fajrant?

Poszedł do mikroskopijnego pomieszczenia, które pełniło funkcję jadalni, przebieralni i kuchenki jednocześnie. Było niewiele większe od norki, w której spędził pierwszy miesiąc w Domu. Zdjął ubranie, złożył starannie w kostkę i położył na jednym z krzesłek. Była tylko jedna szafka i podejrzewał, że są w niej ciuchy Antoniego. Potem ubrał się w to, co dostał od niego, i na koniec założył na szyję fartuch, którego skraje związał z tyłu szeroką taśmą. Kiedy skończył, wziął głęboki oddech.

Był gotowy i nie był równocześnie.

W małym lusterku przyklejonym do ściany mignęła mu jego własna twarz: blada i wystraszona. Spróbował się uśmiechnąć, ale zamiast tego wykrzywił się w dziwnym grymasie, więc machnął tylko ręką i wrócił na salę sekcijną. Antoni jakby go nie słyszał, zajęty swoją robotą. Czekał więc, nie śmiąc mu przerywać.

– Co mam robić? – zapytał w końcu, kiedy uznał, że traci tylko czas.

– Patrzeć – burknął Antoni, nie odwracając się. – Nie wsadzaj mi tu łap, dopóki nie będziesz wiedział, o co chodzi. Tylko z tą mi zaraz pomożesz, ta idzie do kremacji, trzeba owinąć bandażami, tak żeby widać było jedynie twarz, i wsadzić do skrzynki. – Wskazał za siebie na stojący w kącie pomieszczenia wózek, na którym leżała prosta, pozbawiona jakichkolwiek ozdób trumna z jasnej sklejki; pokrywa stała obok, pionowo, oparta o ścianę. – Po rozpoznaniu idzie prosto do pieca.

Milczał. To było dla niego niewyobrażalne. Ludzi paliło się w średniowieczu na stosach albo w obozach koncentracyjnych.

– Czemu ma nacięcie nad piersią? – zapytał, wskazując na kobietę.

– Miała rozrusznik serca. Trzeba wyciągnąć z ciała wszystkie urządzenia, implanty czy wkładki, inaczej jest ryzyko uszkodzenia pieca. A taki piec w cholere kosztuje. Dobra, chodź, koniec gapienia się, czas brać się do roboty.

Następne pół godziny było katorgą. Nigdy wcześniej nawet nie widział zwłok, a teraz nie dość, że musiał na nie patrzeć, to w dodatku ich dotykał. Skóra była chłodna i szorstka, za każdym razem kiedy jego palce dotykały jej przypadkiem, tężały mu mięśnie. Trwało to dotąd, aż szeroki pas materiału przypominającego bandaż nie pokrył kobiety od stóp do

głowy. Wyglądała teraz jak wielki kręgiel z ludzką twarzą, na której widniał spokój śmierci.

– Jak miała na imię? – zapytał, kiedy skończyli.

– Janina. – Antoni obmył ręce w małej umywalce w rogu sali i wrócił do stołu. – Dobra, teraz słuchaj i zapamiętuj. Zwłoki są bardzo ciężkie, nawet te, które wyglądają na lekkie. Żywy człowiek, kiedy go podnosisz, pomaga ci trochę, co ułatwia sprawę. Trzyma się ciebie jakoś albo chociaż zostaje w tej pozycji, w której niesienie go jest najwygodniejsze. A nieżywy nie. Waży tyle, ile waży, rozumiesz? I jest przeważnie dość sztywny. Jeśli stężenie pośmiertne nie ustąpiło, są odpowiednie techniki, żeby rozluźnić mięśnie i ścięgna. Chodzi o to, że trzeba ułatwiać sobie wszystko, jak tylko można, inaczej szybko wyśiądzie ci kręgosłup. – Podprowadził wózek z trumną do stołu, ustawił go równolegle i stopą nacisnął pedał na dole.

Wózek zaczął się obniżać, aż skraj trumny znalazł się tuż przy krawędzi stołu.

– Pomóż mi. – Antoni włożył ręce pod zwłoki. – Przenieśmy ją, zaraz przyjdzie rodzina...

Przenieśli zwłoki, które teraz w myślach nazywał Janiną, do trumny i popchali wózek w stronę wyjścia. Wieko zostało pod ścianą. Poczekali, aż z pomieszczenia rozpoznania zwłok wyjdą ludzie i wjechali tam, a potem zdjęli trumnę z wózka i postawili ją na podłodze. Mężczyzna w czarnym garniturze sprawdził coś na grafiku i wyszedł na zewnątrz, więc mogli teraz zabrać trumnę, która była tu wcześniej. Ta była bogato zdobiona, z mosiężnymi okuciami i lakierowaną powierzchnią. Leżał w niej starszy pan w fioletowym garniturze.

– Chińszczyzna – mruknął Antoni, kiedy ładowali trumnę na wózek. – Ale i tak kosztuje swoje. To tak, jakby zakopać w ziemi tysiąc albo dwa, żeby zgniło. Nigdy tego nie zrozumiem.

Pokiwał głową. Nie myślał o tym nigdy w ten sposób. Tak samo jak o paleniu zwłok nie myślał inaczej niż w kontekście Holokaustu. Jak się właśnie okazało, punkt widzenia może się całkowicie zmienić.

Kiedy trumna ze starszym panem leżała już na wózku, nakryli ją wiekiem zdobionym falbanami. Zanim wyjechali do pomieszczenia, w którym była winda transportująca zwłoki na górę, rozejrzał się jeszcze. Nisko podwieszony systemowy sufit ze sterczącą z niego lampą

bakteriobójczą zmniejszał optycznie pomieszczenie o białych ścianach pokrytych zwykłym tynkiem i szorstką farbą. Dzielili je na pół fioletowe zasłony rozwieszane na stojakach. Warunki były nieprawdopodobnie wręcz siermiężne: dwie wielkie ustawione w rogach sali kompozycje ze sztucznych kwiatów, mające łagodzić surowość nieistniejącego wystroju wnętrza, potęgowały tylko to wrażenie. To tak, jakby przyozdobić salę weselną wazonikiem z goździkiem.

Kiedy starszy pan pojechał na górę, Antoni powiedział:

– Dziesięć minut przerwy. Wysikaj się w tym czasie, zapal sobie, zrób herbaty w tym kubku z herbem Szczecina, cokolwiek. I bez spóźniania. I jutro miej już swój kubek.

Nie chciało mu się sikać ani pić. Został w sali, a kiedy Antoni zniknął, ruszył ku wyjściu, ale nie doszedł tam, tylko zatrzymał się w połowie drogi, w przejściu. Mężczyzna w czarnym garniturze, który nazywał się Jamróż i miał niepełnosprawną córkę, o czym powiedział mu Antoni przy windzie, minął go w milczeniu, traktując jak powietrze. Odprowadził go spojrzeniem i zerknął na zegarek. Stał wciąż za zasłonką dzielącą pomieszczenia, kiedy przyszli krewni Janiny. Młoda dziewczyna, mężczyzna w średnim wieku i dwie staruszki. Wiedział już, że do rozpoznania, jeśli rodzina sobie tego życzy, wystarczy jedna osoba. Nie rozumiał, po co przychodzili ci, którzy nie musieli oglądać swoich bliskich martwych, zamienionych w przedmioty skazane na rozpad. Tak bardzo ich kochali? Szukali sensacji? Chcieli poczuć jakąś satysfakcję, że to nie oni? Ale wielu rzeczy jeszcze nie rozumiał... Przez wąziutką szparę między materiałem a framugą widział, jak stoją nad leżącą na podłodze trumną i przyglądają się obojętnie ciału Janiny. Staruszki przytknęły do powiek chusteczki, ale ich oczy były suche. Potem mężczyzna podpisał jakiś papier i cała czwórka wyszła. Nie patrzył na zegarek, ale był pewien, że wszystko nie trwało dłużej niż minutę. I nie chodziło o następne okazanie. Następne miało być dopiero za pół godziny.

– Możecie ją zabierać – zakomenderował Jamróż, nie patrząc na niego.

Poszedł więc po Antoniego. A potem nagle rozboleł go brzuch, więc Antoni sam zawiózł Janinę do krematorium. On do końca pracy siedział w pomieszczeniu, w którym się wcześniej przebierał, i myślał o Janinie przypominającej kokon jedwabnika, starszym panu w fioletowym

garniturze leżącym w chińskiej trumnie i niepełnosprawnej córce Jamroza.

O siedemnastej czekał przy bramie. Brat Łukasz przyjechał busem i zabrał go. W środku byli już Mateusz i Jan, ale nie rozmawiał z nimi. Nie miał ochoty na rozmowy. Z czołem przytkniętym do chłodnej szyby patrzył obojętnie na przesuwany się za nią krajobraz, starając się oczyścić umysł. Kiedy dojechali do Załomia, dowlókł się jakoś do Domu, dopiero teraz czując koszarne zmęczenie, i sam nie wiedział, czy fizyczne czy psychiczne.

– Jak pierwszy dzień w nowej pracy, bracie? – zapytał Ojciec, kiedy wszedł do wielkiej sali.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i nagle wyrwał mu się z nich szloch. Stał i płakał cicho, ramiona mu się trzęsły, nie miał nawet tyle siły, żeby usiąść, a co dopiero zniknąć w swoim dormitorium.

Ojciec podszedł do niego i objął go.

– Idź do siebie, dziś już nic nie musisz robić – szepnął mu do ucha. – Odpocznij. Jutro już bez taryfy ulgowej. Pomódl się i zobaczysz: wszystko będzie dobrze...

8

październik 2020

Sprawę zabójstwa Daniela Balińskiego prowadził starszy aspirant Bartek Hajduk. Baliński był dziennikarzem telewizyjnym pracującym w TVP Szczecin. Zajmował się sprawami kulturalnymi, realizował reportaże o tej tematyce przedstawiane w lokalnej stacji, a także w telewizji ogólnopolskiej. Miał swój stały, cotygodniowy program emitowany o jakiejś niehumanitarnej porze w środku nocy, jak na porządny program kulturalny przystało. To właśnie do niego pojechał prokurator Bojko prosto z oględzin miejsca zabójstwa Dworzaka. Ta sprawa, czyli podobieństwo w sposobie zadania śmierci niezidentyfikowanym narzędziem o obłym zakończeniu, i tak wyszłaby zapewne na najbliższej niasiadówie, którą organizowano co tydzień w jednym z pokoiów zajmowanych przez funkcjonariuszy zespołu do spraw przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu. Wbrew pozorom, czy też raczej powszechnemu przekonaniu, zabójstwa nie stanowiły największego odsetka prowadzonych spraw, niemniej ta kumulacja była zastanawiająca i dlatego niasiadowę przyspieszono o jeden dzień i wyznaczono na dziś. Sugestia Knapika o dotyczącej anatomii wiedzy, jaką morderca musiał mieć, kiedy zadawał rany ofiarom, prowadziła do konkluzji, że w mieście pojawił się wielokrotny morderca, realizujący najprawdopodobniej jakiś plan. Jeszcze nie wiedzieli jaki i co wspólnego mieli ze sobą Dworzak i Baliński, ale wiele wskazywało na to, że jednak mają. I mało prawdopodobne było również to, że sprawca zakończy swoją zbrodniczą działalność równie nagle, jak ją zaczął. W wyniku podjętej przez naczelnika Kurylaka decyzji

sprawę Balińskiego przejął od Hajduka Rędzia. Bartek miał zapoznać z nią komisarza jak najszybciej, dlatego siedzieli teraz we trójkę i oglądali teczkę z materiałami, jakie zebrał do tej pory Hajduk. Na razie skupiali się na zdjęciach z miejsca zbrodni. Technik obfotografował każdy kąt pokoju, w którym sąsiad znalazł ofiarę, kiedy zaniepokojony uchylonymi drzwiami wszedł do mieszkania Balińskiego, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało.

Stało się.

– Baliński poruszał się po mieście komunikacją miejską, w ostateczności taksówkami albo uberem – powiedział Bartek. – Morderca zaskoczył go najprawdopodobniej, gdy Baliński właśnie przyszedł do domu, bo denat miał jeden but na nodze, drugi był przy drzwiach wejściowych. Na miejscu nie stwierdzono żadnych śladów, z wyjątkiem odrobiny ziemi, najprawdopodobniej z butów, ale nie wiadomo czyich: sprawcy, sąsiada czy żony, która też tam potem weszła. Została zabezpieczona, buty Balińskiej też, ale nie wiadomo, czy coś nam to da. Żaden z sąsiadów niczego nie słyszał ani nie widział. To się musiało stać szybko...

Zdjęcie, które Rędzia trzymał w ręku, pokazywało szeroki plan: niemal cały pokój, biurko i ciało dziennikarza, który leżał martwy pod biurkiem, z głową w kałuży ciemnej krwi.

– Co to jest? – zapytał komisarz, kładąc je na biurku i pokazując coś palcem.

– Czerwona kropka – stwierdził Berdak.

– Sam jesteś czerwona kropka. – Rędzia się pochylił. – To świecąca dioda. Co to za ustrojstwo? – zapytał Bartka. – Jakieś małe. Empetrójka?

Ten wziął zdjęcie do ręki i przybliżył je do oczu.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Może wskaźnik laserowy? Zostawił włączony?

Rędzia zaczął nieco nerwowo przeglądać pozostałe zdjęcia. Kiedy znalazł takie, które obejmowało tylko biurko, wiedział już co to. Urządzenie leżało z boku biurka, obok stosu papierów i segregatorów. Ujęcie było pod takim kątem, że tym razem nie widać było czerwonego światła. Widać było jednak wyświetlacz: niezbyt wyraźnie, jednak na tyle dobrze, by zauważyć, że jest na nim kilka znaków. Liter albo cyfr.

– Dyktafon – powiedział krótko.

- Był dziennikarzem, więc miał dyktafon. – Bartek wzruszył ramionami.
- Co w tym dziwnego?
 - Zabezpieczony? – zapytał komisarz Bartka.
 - Co?
 - Czy zabezpieczyliście go?
 - A po co? Pewnie technik zebrał paluchy, ale nie było potrzeby zabierania go. Popatrz, ile on miał tu sprzętu. Swoją drogą dziwne, że sprawca zabrał laptop, a nie zabrał dyktafonu ani na przykład tego zestawu do nagrywania podcastów. Też parę złotych by za to dostał.
- Rędzia spojrzął na kolegę wzrokiem bez wyrazu.
 - Ile czasu minęło od zabójstwa do ujawnienia? – zapytał.
 - Lekarz określił go na mniej więcej godzinę. Ale o co ci chodzi?
- Rędzia puknął paznokciem w dyktafon na zdjęciu.
 - Nie znam się, ale czy to światełko nie oznacza czasem, że włączone jest nagrywanie? Te cyferki mogą być albo godziną, albo czasem nagrania.
- Twarz Bartka wydłużyła się i zbladła.
 - Jezu, myślisz, że...
 - Nie wiem. – Teraz Rędzia wzruszył ramionami. – Trzeba to sprawdzić.
- Gdzie ten dyktafon?
 - Jak to gdzie? Pewnie wciąż u niego... Znaczący u żony. Wdowy w zasadzie...
- Rędzia ruszył w stronę wieszaka w rogu pokoju.
 - Jedziemy do niej. – Obejrzał się wyraźnie zdziwiony, że nikt się nie rusza. – I oby przy nim nie gmeręła...

* * *

Żona Balińskiego była zaskoczona nie tyle wizytą policjantów, ile ich prośbą. Wciąż jeszcze nie doszła do siebie, miała zapuchniętą twarz i podkrążone od płaczu oczy. Od zabójstwa jej męża minął tydzień, jednak widać było wyraźnie, że powrót do normalności zajmie jeszcze dużo czasu. Bartek wspominał, że nie mieli dzieci, ale to nie wyjaśniało, czy w tej sytuacji to dobrze, czy źle. Z jednej strony żadne dziecko nie przeżyło tu traumy z powodu śmierci rodzica, z drugiej – Balińska nie miała oparcia w kimś najbliższym, nie miała koło siebie nikogo, kto

więzałyby ją ze zmarłym mężem, ojcem dzieci, i na kim mogłaby się skupić, żeby zapomnieć, a przynajmniej starać się zapomnieć o tragedii.

Była w mieszkaniu sama. Wpuściła Rędzię i Berdaka do pokoju, w którym zginął jej mąż. Na panelach podłogi widać było jaśniejszą plamę, widać ktoś tarł ją w tym miejscu wyjątkowo mocno. Odruchowo starając się ją omijać, Rędzia podszedł do wielkiego biurka.

– Niczego tu nie ruszałam. – Głos Balińskiej był matowy. – Jeszcze nie jestem w stanie. Jego matka trafiła do szpitala, więc się nią opiekuję...

Rędzia rozglądał się po blacie. Cyfrowego dyktafonu marki Olympus nie było w pobliżu sterty papierów, w miejscu, w którym leżał na zdjęciu. Znalazł go na drugim końcu biurka, jeszcze ze śladami proszku daktyloskopijnego.

– To ten. – Wziął go i pokazał Balińskiej. – Zabierzemy go, zostawię pani pokwitowanie i zadzwonię, kiedy już będzie można go odebrać, dobrze?

Pokiwiała machinalnie głową, jakby jej to zupełnie nie obchodziło. Może nawet tak rzeczywiście było.

Kiedy wrócili do komendy, od razu zebrali się wokół biurka Rędzi, który położył na nim dyktafon. Patrzyli na urządzenie w napięciu, jakby miało zaraz zdradzić tożsamość mordercy, a przynajmniej wszyscy po cichu na to liczyli.

– Wyładowany – zauważył Bartek, dodając: – Kurwa, powinienem być sam to światełko zauważyć...

– Nie szkodzi. – Berdak trącił lekko Rędzię w ramię. – Mamy tu na pokładzie sokole oko.

Komisarz wskazał dyktafon.

– Nie odsłuchamy, skoro bateria padła. Trzeba podłączyć do kompa i przenieść do niego plik.

– Nie powinno zrobić tego laboratorium? – Hajduk chrząknął. – Jeśli zrobimy to teraz sami, nie będzie problemu z dopuszczeniem tego jako materiału procesowego? Dochodzeniówka nas zje...

– Stracimy kilka dni – mruknął Rędzia. – Pieprzyć to. Macie kabelek?

Berdak wyciągnął z szuflady swojego biurka kabel, ostrożnie wziął dyktafon i podłączył go do swojego komputera. Wszedł w folder z plikami zapisany na urządzeniu, ustawił w opcjach wyświetlanie ich w kolejności

chronologicznej i kliknął na ten ostatni, z datą zapisu z piątego października.

– Godzina nagrania pasuje do godziny zgonu – mruknął ponuro Bartek.

Jarek kliknął „play” i głośnik niemal natychmiast wyrzucił z siebie głośne słowa, które przerwały nienaturalną ciszę.

– ...nie robi krzywdy, dam panu wszystko, czego pan chce.

– Znajdź go.

– Już szukam, to zajmie chwilę, tak? Proszę, zachowajmy spokój.

Zapadła cisza. I tam, w mieszkaniu Balińskiego, i w małym pokoju na poddaszu komendy.

– Widziałem pana wczoraj pod budynkiem telewizji. Stał pan przy parkomacie naprzeciwko przedszkola. To był pan, prawda?

– Kurwa... – Rędzia nachylił się nad Berdakiem, sięgnął do myszy, kliknął kursorem w symbol „pauzy” i przyłożył palce do ust.

– Co? – zapytał Berdak, a komisarz spojrział na niego.

Jego oczy pociemniały. Odsunął dłoń od twarzy i wskazał na dyktafon.

– Baliński mówi to do nas, rozumiecie?

– Jak to do nas? – nie zrozumiał Berdak. – O czym ty mówisz?

– Nie pyta mordercy, czy tam pod parkomatem to był on, bo wie, że to był on. Wie i chce, żebyśmy my też się dowiedzieli. Włączył nagrywanie, kiedy tamten nie widział. Podejrzewał, że może nie wyjść z tego cało, i dał nam wskazówki co do osoby mordercy. Dał nam trop. Sprawdźcie w ochronie budynku telewizji, tam jest monitoring obejmujący niemal wszystko.

– Gdybyś nie zobaczył tego czerwonego światełka na zdjęciu... – Berdak pokręcił głową, nie kończąc wątku.

Kliknął „play” i z urządzenia znów popłynęły głosy.

– Włącz film.

– Proszę, już włączam.

Rozległ się cichy szelest, a potem zapadła cisza. Kiedy Rędzia wyteżył słuch, usłyszał oddech. Dwa. Jeden chrapliwy, drugi świszający. Wdech i wydech. Wolny i szybki. Komisarz drgnął, kiedy nagle rozległ się głos.

– Przyśpiesz. Ale tak, żeby było widać. Po prostu niech szybciej leci.

Znów oddechy, te same tempa, ten sam świst, ten sam charkot. Trwało to kilka minut. Kilka minut ciszy przerywanej szmerami oddechów. Rędzia

słyszał bicie swojego serca.

– Już. Zwolnij.

Kolejnych kilkanaście sekund ciszy.

– Stop.

– Tu?

– Zrób tak, żeby było widać drzwi.

– Tak?

– Tak, tak dobrze.

– Mogę odrobinę powiększyć.

– Powiększyć?

– Tak, obraz nie straci za bardzo na ostrości, ale będzie większy. Chce pan? – Nadzieja w głosie Balińskiego: zobacz, pomagam ci, pamiętaj o tym, zanim coś mi zrobisz...

– Chcę.

Cisza. Klikanie myszy. I te pieprzone oddechy, od których Rędzia dostawał gęziej skórki.

– O to chodziło?

– O to.

Westchnienie. Długie, ciężkie westchnienie. Nie wiedzieli, który z nich je z siebie wydał: kat czy ofiara, ale było ono z rodzaju tych, które pozwalają oczyścić wreszcie duszę, wyrwać wbitą w nią jątrzącą drzazgę, zrzucić niewidzialny kamień niesiony na barkach od lat albo dziesięcioleci.

– Kurwa, ale ciary mnie teraz przeszły. – Berdak się wzdrygnął.

Rędzia tylko pokiwał głową i objął się rękami.

– Nie robi mi pan krzywdy, prawda? Mam mamę w podeszłym wieku, jest chora... Dam panu pieniądze, mam trochę gotówki w domu.

– To nie ma sensu.

– Ma! Ma, naprawdę! – W głosie Balińskiego pobrzmiwała paniczna nuta, jakby nagle dostrzegł szansę i rozpaczliwie chciał przekonać napastnika do swojej racji.

Tylko w tym mógł upatrywać ratunek i Rędzia to wiedział.

– Gdzie jest sens? – Choć w głosie mordercy słychać było lekkie zaskoczenie, pytanie zadano spokojnym tonem, kontrast między nim a pełnym paniki łamiącym się falsetem Balińskiego był upiorny. – Czy wiesz, gdzie jest sens?

- Pieniądze, mam je w domu...
- Gdzie jest twój sens?
- Mój? Moja mama! Moja mama jest moim sensem. Jest chora...

I moja żona. Moja żona też!

- To ona? Na zdjęciu?
- C-c-co? Tu? Ta...

Szmer osuwającego się ciała i jego głuchy stuk, kiedy upadło na podłogę, zakończył rozmowę. Rędzia wiedział, że więcej słów nie padnie. Został tylko jeden oddech. Śmiertelny zabieg, jaki morderca wykonał swojej ofierze, był zbyt cichy, by zostawić swój ślad na zapisie. Potem rozległ się tylko kolejny stuk.

- Co to za odgłos? – Rędzia znów kliknął pauzę.
- Coś chyba spadło na podłogę.

– Możliwe, że to transformator – powiedział Bartek. – Kabel zasilający laptop leżał na podłodze. No właśnie: sprawca zabrał laptop ze sobą, ale nie zabrał kabla. Dziwne.

Komisarz włączył odtwarzanie i słuchali dalej, ale tuż po tym, kiedy ucichły nieśpieszne kroki, w pokoju zapadła głucha, śmiertelna cisza.

– Nie pastwił się nad nim. – Rędzia chwycił się za kark i ścisnął skórę. – Odwrócił jego uwagę i zadał cios. Szybko. To eliminacja świadka. Konieczność, nie satysfakcja.

- Co to za film? – zapytał Berdak. – Co oni, kurwa, oglądali?

Bartek zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem.

– Baliński pracował jako dziennikarz w szczecińskim oddziale TVP. Zajmował się kręceniem reportaży dla telewizji, robił podcasty, miał taki kanał na YouTube, nazywał się „Kulturator”. Był też autorem jakiegoś filmu dokumentalnego. Ogólnie zajmował się szeroko pojętą sztuką i kulturą. Był też konferansjerem na różnych imprezach, prowadził gale i tak dalej. – Bartek zatrzymał się nagle i wskazał na dyktafon. – To nagranie wszystko zmienia. Podejrzewam, że Baliński miał na komputerze cały swój dorobek. Każdy tak robi: fotograficy, redaktorzy, pisarze, graficy. Wicie, takie prywatne archiwum, portfolio. Możliwe, że chodziło właśnie o to. Reportaż albo film. Jego.

- Sugerujesz, że sprawca przyszedł do niego... obejrzeć film?

– Tak mi to teraz wygląda. Nie wiemy co prawda, co działo się wcześniej, zanim Baliński włączył nagrywanie, ale z tego co słyszeliśmy, od początku mogło chodzić konkretnie o film. Albo przynajmniej wynikało to w konsekwencji tego, co wydarzyło się między nimi wcześniej i co się nie nagrało. Mało tego, sprawca musiał go widzieć już wcześniej. Zobaczcie: on wyraźnie wydaje Balińskiemu polecenia, na przykład, żeby przewinął do konkretnego momentu. I zwróćcie uwagę, że oglądali to bez dźwięku, jakby nie był do niczego potrzebny.

– Może głośniki się zepsuły?

– Nie, moim zdaniem dźwięk po prostu nie był mu potrzebny. Ale nieważne: sprawca widział film już wcześniej. Z jakiegoś powodu musiał go jednak obejrzeć jeszcze raz.

– Dlaczego nie mógł tego zrobić w necie?

– Może w necie go nie ma?

– Myślałem, że w necie jest wszystko? – zdziwił się Rędzia.

Berdak usiadł do swojego komputera i zaczął klikać w klawiaturę.

– Programy kulturalne są niszowe, poza tym Baliński robił to dla telewizji publicznej – stwierdził Bartek. – Oni tego nie wrzucają na YouTube’a, co najwyżej puszczają powtórki.

– Skoro widział film wcześniej, to po pierwsze: gdzie, a po drugie: po co chciał go obejrzeć jeszcze raz i dlaczego nie obejrzał tam, gdzie widział po raz pierwszy?

– Chciał zobaczyć coś, co mu umknęło za pierwszym razem.

– Skąd wiedział, że ma przyjść akurat do Balińskiego?

– Bo jeśli to jednak było coś zrobionego przez niego, to w napisach widniało nazwisko twórcy. To chyba najprostsze wyjaśnienie. Musiał zobaczyć to w telewizji.

– Musimy teraz uderzyć do telewizji i obejrzeć wszystko, co facet nakręcił. Reportaże i ten film.

– Możemy sobie przynajmniej darować podcasty. One są w sieci.

– To i tak nie ma sensu. Koszmarna robota. Kto ma na to czas?

– „Do HA!TAK-u!” – Berdak odwrócił się od monitora. – Tak się nazywa ten film, który zrobił Baliński w dwa tysiące szesnastym roku.

– O czym?

– O grupie jakichś studentów Uniwersytetu Szczecińskiego, którzy założyli formację artystyczną o nazwie HA!TAK, pisane z wykrzyknikiem w środku. Pachnie mi to jakąś anarchią. – Znow wrócił wzrokiem do monitora i zaczął uderzać w klawisze.

– Wiem jedno. – Rędzia patrzył na ścianę. – Jeśli namierzemy skurwiela, to będzie jeden z niewielu przypadków, w którym to ofiara przyczyniła się do odkrycia tożsamości sprawcy swojego zabójstwa. Facet zachował zimną krew. – W jego głosie słychać było nieukrywany podziw.

– No, mówiłem: kutasy i pizdy. – Berdak westchnął nagle.

– O kim tak mówiłeś? – zdziwił się Rędzia.

Berdak nie prezentował może wzorców zachowania odpowiednich dla grzecznych dzieci, ale komisarz nie pamiętał, żeby ostatnio ktoś tak bardzo zalażł mu za skórę, żeby zasłużyć na takie inwektywy. Bartek podszedł do Jarka i zajrzał mu przez ramię.

– Wiersz ma taki tytuł: Kutasy i pizdy – oznajmił Berdak. – Wiersz, rozumiecie to? Wiersz... Jest o nim nawet artykuł na Wikipedii. O tej grupie i o tym wierszu. Nie wiem, co powiedzieć.

– Myślisz, że właśnie to oglądali? O tym „ataku”?

– A co innego?

– Dlaczego Baliński nie wypowiedział jego nazwiska, skoro go rozpoznał?

– Niekoniecznie rozpoznał. Widział go wcześniej pod telewizją i mógł skojarzyć, że to on. A jeśli znał nazwisko, to mógł się bać, że on się zorientuje, kiedy je wypowie. Musiał być po prostu ostrożny i dawać nam te znaki subtelnie. Kurwa, gdyby nie zabrał laptopa, mielibyśmy pewność, że chodzi o ten film. I dlaczego nie walczył? Czym on go terroryzował?

– Żona Balińskiego mówiła, że to był bardzo spokojny człowiek. Nigdy się nie denerwował, nie krzyczał, unikał konfliktów, a w razie wystąpienia jakiegoś odpuszczał sobie. Trochę to brzmiało, jakby chciała powiedzieć, że był bojaźliwy, tylko jej nie wypadało.

– Bał się go? – zapytał Berdak i zaraz sam sobie odpowiedział. – To słychać w jego głosie.

– Ale włączył dyktafon. A to było bardzo ryzykowne. Dla mnie to był akt odwagi – powiedział Rędzia.

– Odwagi? – Hajduk spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Owszem. – Komisarz popatrzył na niego uważnie. – Kiedyś myślałem, że odwaga to nic innego jak głęboka wiara w to, że nic złego się nie stanie. Im bardziej w to wierzysz, tym mniej się boisz. A im mocniej zdajesz sobie sprawę, że coś złego może się zdarzyć i im bardziej tym się nakręcasz, tym więcej w tobie strachu. A Baliński liczył się z tym, że może zginąć.

– Z internetu to wzięłeś? Obserwujesz strony motywacyjne? – zapytał zdziwiony Berdak.

– Nie, obserwuję ludzi wokół siebie i wyciągam wnioski. Znam faceta, który skakał ze spadochronem, latał na paralotni i myślałem sobie, jaki jest odważny, bo ja mam zawroty głowy od szóstego piętra wzwyż.

– Przecież mieszkasz na ósmym?

– Bo się przyzwyczailem. To moje ósme. Ale on bał się z kolei psów, a ja nie. Ja boję się, że urwie się barierka balkonu i spadnę, a on, że pies go chapnie. On mnie pyta, dlaczego barierka miałaby się urwać, a ja jego, dlaczego pies miałby go chapnąć. On o szansach, prawdopodobieństwie i kontroli sprzętu, ja o bylejakości i głupich wypadkach, on, że psom nie można ufać, a ja, że można, i to bardziej niż ludziom. Nie pytałem go, czy miał kiedyś pistolet przystawiony do głowy, albo nóż przy szyi, albo się topił, choć nie umiał pływać. Ja to przeżyłem, i kiedy ktoś mnie spyta, czy się bałem, powiem mu, że owszem. Jak cholera. Chodzi tylko o to, żeby nie dać się obezwładnić temu przerażeniu. I tyle w kwestii odwagi, bo tym jest: nie brakiem strachu, a przełamaniem go. Ona nie jest biała, a strach czarny. Wszystko jest szare, panowie. Wszystko jest względne. Nie ma znaczenia, czy wyciągasz kogoś z pożaru, czy włączasz przycisk dyktafonu. Chodzi o to, czy się przełamiesz. – Westchnął głęboko. – Dobra, trzeba jak najszybciej ściągnąć ten film. Z telewizji, z archiwum, nie wiem. I ustalić datę emisji i ewentualnych powtórek, skoro już przyjmujemy, że zabójca zobaczył go w którejś z publicznych stacji. I jeszcze jedno. On powiedział: drzwi. Kiedy już będziemy mieli materiał, trzeba będzie zwrócić szczególną uwagę na te fragmenty, na których są drzwi.

9

2011

– Dziś nie będzie łatwy dzień – powiedział Antoni, wychodząc do niego z sali. – Ale skoro tu pracujesz, nie będę ci tego oszczędzał, bo niby dlaczego?

– Co się stało?

Antoni się odsunął, a on przez drzwi sali sekcyjnej zobaczył, że na stole leży ciało. Przez chwilę nie rozumiał, musiało minąć kilka sekund, zanim zorientował się, że to dziecko. Chłopiec. Jasnowłosa. I martwy. Serce zaczęło mu bić szybciej, dużo szybciej. Wyszły mu usta.

– Nie jestem gotowy – wyszeptał. – Panie Antoni, ja nie jestem na to gotowy.

– Co to za różnica? Teoretycznie żadna.

Spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

– Skoro żadna, to dlaczego mówi pan, że dziś będzie trudny dzień? – zapytał.

Antoni pokiwał głową.

– Taak – mruknął. – Tyle teorii, co? Chodź.

Bał się, że będzie teraz musiał wejść do sali, ale Antoni zabrał go do ich kanciapy. Kazał mu usiąść i zrobił to samo, ustawiając krzeselko naprzeciw niego.

– Pracuję tu osiemnaście lat – powiedział. – Ty trzy. Przez ten czas widziałem straszne rzeczy, które dla przeciętnego Kowalskiego są niewyobrażalne. Ty też już się trochę napatrzyłeś. I sporo nauczyłeś. I to nie tak, że do tego idzie się przyzwyczaić, bo nie idzie. Ale ktoś to musi

robić. Robię to ja, robisz to ty, biorąc na siebie to brzemień. Ono jest coraz lżejsze z biegiem lat, ale jednak jest. Małomówny jesteś co prawda, ale mówiłeś kiedyś, że to właśnie robicie w tym waszym Kościele: służycie ludziom, robiąc za nich rzeczy, jakich oni nie chcą robić. I że robicie to na chwałę Bożą. Ja tam nie wierzę w Boga. Może gdybym wierzył jak ty, byłoby mi łatwiej, chociaż widzę, że tobie jakoś wcale nie jest. I nie wiem dlaczego. Może jeszcze sobie tego nie poukładateś? Albo nie poukładateś się z Bogiem? Tam, na stole, leży człowiek. Mały człowiek. Nie dane mu było żyć długo i nie wiem, czy tak chciał Bóg, czy ten kierowca, który go potrącił samochodem, czy to czysty przypadek, na który nikt i nic nie miało wpływu. Czy to istotne dla niego, że tam leży? Dla niego nie. Dla jego rodziców pewnie tak, ale nigdy się nie dowiedzą, dlaczego to się stało, choć będą sobie to pytanie zadawać do końca życia. Pytanie, na które nie ma odpowiedzi. To smutne, ale my jesteśmy od tego, żeby ten chłopiec wyglądał porządnie, kiedy jego rodzice będą chcieli spojrzeć na niego po raz ostatni. Taka jest nasza rola w tym wszystkim. I musimy to zrobić. On już nie cierpi, cierpią jego rodzice. On nie czuje niczego, czują tylko oni. Kiedy z człowieka ulatuje życie, jest już tylko mięsem, które zasługuje na szacunek wyłącznie przez wzgląd na pamięć o tym, że był człowiekiem. Rozumiesz? Był. Już nie jest. I jeśli ci to pomoże, pomyśl, że Bóg tak chciał. Podobno zawsze ma jakiś plan, więc to musi być jego element. I to, że ten chłopiec zginął, i to, że właśnie my będziemy musieli go umyć i poprawić, na szczęście tylko odrobinę. Jeśli wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, to pozostaje tylko się temu podporządkować, a jeśli wszystko jest przypadkiem, to tym bardziej nie ma sensu się nad tym zastanawiać, bo nie ma nad czym. To proste, nie? Ja jestem prosty człowiek, bez studiów i dyplomów, z wyjątkiem tych z kursów tanatopraksji. Ale swój rozum mam. Chłopski, bo chłopski, ale mam. – Podniósł się z krzesła i stanął nad nim. – Chodź, mamy robotę do zrobienia...

Siedział jeszcze przez chwilę wpatrzony w stopy Antoniego, a potem również wstał, wziął głęboki oddech i poszedł pierwszy do sali sekcyjnej.

Pomógł mu spokój, z jakim Antoni wykonywał każdy ruch. Pracowali w ciszy i skupieniu, jego rola sprowadzała się w zasadzie do podawania Antoniemu narzędzi, dopiero później, kiedy chłopiec wyglądał już, jakby

spał, Antoni poprosił go o zrobienie makijażu. Patrząc, jak pokrywa zrekonstruowaną twarz podkładem, powiedział nagle nieco melancholijnym tonem:

– Ciało ludzkie jest nieprawdopodobnie, wiesz? Czasami człowiek potrafi wytrzymać przez długi czas ogromny upał i siarczysty mróz, przeżyć upadek z dużej wysokości, wielokrotne rany od noża czy pocisków, poważne wypadki komunikacyjne, stężenie alkoholu we krwi przekraczające wszelkie normy, a czasami potrafi go zabić małeńki kęs kurczaka, który wleci nie w tę dziurę, albo kawałeczek plastiku z obudowy eksplodującej w Nowy Rok racy, jak u tej dziewczynki, która leżała na tym stole pięć lat temu... – Antoni pokręcił ze zdumieniem głową. – Uderzył w to jedno, jedyne miejsce głowy, w które nie powinien... W tej robocie, jeśli jesteś bystrym obserwatorem, możesz dowiedzieć się mnóstwa rzeczy o człowieku. I ta wiedza może cię czasem uratować, kiedy wiesz, jak się chronić, a czasem może być niebezpieczna, kiedy wiesz, jak jej użyć.

Słuchał Antoniego jednym uchem, starannie dorysowując chłopcu lewą brew, ale nie zwykłą plamę będącą lustrzanym odbiciem kształtu prawej, tej, która ocalała z wypadku. Rysował cienkim ołówkiem do brwi każdy włos, nieustannie porównując efekt pracy z drugą brwią.

– Dobry w tym jesteś – mruknął Antoni z uznaniem.

Oderwał na chwilę wzrok od twarzy chłopca i spojrzał na Antoniego.

– Jeśli robi się coś z zaangażowaniem, efekt jest sto razy lepszy – powiedział.

– Święta prawda – zgodził się Antoni. – Święta prawda...

* * *

Tydzień później Bóg doświadczył go znowu, ale tym razem zniósł to lepiej, o wiele lepiej, bo na stole leżał dorosły. Jego współbrat imieniem Paweł. Teraz wiedział, że naprawdę nazywał się Marcin Krzych, ale to nie miało żadnego znaczenia. To, co istotne, było już u Boga, przed nim, na stole, leżało tylko mięso, obleczone w pomarszczoną ze starości skórę. Poukładał sobie to w głowie; teraz uważał, że Antoni miał rację. Nie był to jakiś skomplikowany tok rozumowania uwzględniający dogmaty wiary czy

wyrefinowane konstrukcje filozoficzne, i może właśnie o to chodziło? O prostotę. Może zamiast zastanawiać się bez przerwy nad sensem, którego i tak nie da się pojąć, lepiej przyjąć ten fakt do wiadomości i robić swoje? To, do czego się jest przeznaczonym, do czego ma się zdolności i w czym znajdzie się własny cel.

Wiedział, że na pogrzeb Pawła nie przyjdzie nikt z Domu, nawet Ojciec. Pożegnali go jeszcze tam, odprawili swoją ceremonię i w garażu zapakowali ciało do busa. W nocy Łukasz wywiózł je do miasta, na Gdyńską, gdzie razem z mecenasem wniósł Pawła pod pachy do mieszkania. Dopiero wtedy zadzwonili po pogotowie. Ojciec nie życzył sobie wizyt w Domu nikogo z zewnątrz, a zwłaszcza lekarza, który musiał stwierdzić zgon. Ojciec nie zapomniał też o dowodzie osobistym, jeszcze starym, książeczkowym, w zielonej okładce, jedynym dokumencie, jaki miał Paweł. Brat Paweł był w Domu od początku i ze względu na podeszły wiek od wielu lat nigdzie nie pracował, nie było więc potrzeby wyrabiania mu dokumentów, które musieli mieć oni, by mogli zostać zatrudnieni. Miał tylko ten, z którym przyszedł i który leżał w depozycie w gabinecie Ojca, a tam nikt z braci i siostr nie miał wstępu, chyba że zostali zaproszeni. Nie rozumiał tego do końca, ale to nie była jego sprawa i akceptował to. Paweł zaś dożył swoich dni w spokoju, przesiadując zwykle w pogodne dni w sadzie albo swoim pokoiku na ostatnim piętrze Domu.

A teraz czekał go cichy pogrzeb przeprowadzony przez pracownika socjalnego z urzędu miasta i tylko w jego obecności. Kiedy zapytał Ojca, czy może jednak towarzyszyć bratu Pawłowi w ostatnim etapie jego ziemskiej wędrówki, Ojciec surowo mu tego zakazał.

– Przykro mi, synu, ale to wykluczone. Im mniej szumu, tym lepiej. Jeszcze ktoś się zainteresuje, po co pracownik cmentarza chce uczestniczyć w pogrzebie obcego człowieka. Minimalizujemy ryzyko, tak? I pamiętaj, proszę, o tej zasadzie. To już nie jest Paweł, tylko cielesna powłoka, w której nie ma duszy. Tak jak nie troszczymy się o rzeczy ziemskie i doczesne w wymiarze materialnym, tak nie troszczymy się o ciało, bo to też jest rzecz doczesna. Zmartwychwstanie ciała to bajka, którą Kościół raczy nas od wieków, powołując się na przykład Chrystusa. Ale On był wyjątkowy, w końcu to wcielenie Boga! Jak inaczej miał

pokazać ludziom, którym coś takiego nie mieściło się w głowie, że Bóg Ojciec zabiera go do siebie? A Kościół ma z pogrzebów pieniądze, prawda? Tymczasem, skoro ciało gnije w ziemi i zamienia się w proch, to coś musi oznaczać, synu. Ani chybi to, że nie będzie nam potrzebne w wędrówce do Boga.

Miało to sens, bez wątpienia. Śmierć była ważnym przystankiem w wędrówce duszy, kiedy to pozbywamy się balastu w postaci ciała i niczym nieskrępowana dusza może ulecieć ku Stwórcy. Ale skoro ten przystanek jest na tyle istotny, że determinuje całe wcześniejsze zmierzające w końcu ku niemu życie, nie wypada pozbywać się ciała jak niepotrzebnego mebla. Mył więc teraz ciało Pawła delikatnie, niemal czule, jakby robił to własnemu ojcu, którego nigdy nie poznał. Na twarzy jego współbrata był niesamowity spokój, jak gdyby przyjął śmierć z radością, a przynajmniej bez jakiegokolwiek obawy. Przyszła niespodziewanie, ale szybko, zabrała go we śnie i on cieszył się teraz, że chociaż raz na jakiś czas Bóg zabiera kogoś do siebie bez strachu i bólu.

Tak jak obiecał Ojcu, nie poszedł na pogrzeb. Wyszedł za to z pracy chwilę wcześniej, żeby przespacerować się po cmentarzu, jednak kiedy niespodziewanie spadł deszcz, skierował się w stronę bramy, choć była dopiero szesnasta trzydzieści. Schronił się przed ulewą w przejściu i w oczekiwaniu na busa patrzył na samochody, tramwaje i ludzi. I kiedy tak przyglądał się miastu i czuł do niego głęboką niechęć – do smrodu spalin, hałasu i nienaturalnych kolorów – nagle zobaczył coś dziwnego.

Widział tego człowieka z tyłu i było coś znajomego w krótkiej szyi i siwych, sterczących włosach, rzednących na czubku głowy i wytartych wysoko na karku w charakterystyczny i niepozostawiający wątpliwości sposób. Tyle że człowiek ten miał na sobie elegancki, ciemny płaszcz; nie taki jak jego, byle jaki i znoszony, tylko porządny, zapewne wełniany. Miał go zamiast powłóczystej białej szaty z frędzelkami, w której ukrytych kieszeniach lubił nosić jabłka z przydomowego sadu, by częstować nimi wszystkich napotkanych po drodze braci.

To był Ojciec. Stał przy wielkim, srebrnym samochodzie nieznanej mu marki i rozmawiał z jakimś człowiekiem w czarnej kurtce skórzanej. Kiedy odwrócił na moment głowę, zobaczył, że nie ma swoich

charakterystycznych okularów, bez których go sobie nie wyobrażał. Ale nie miał wątpliwości: to był on.

Patrzył jeszcze przez chwilę, jak rozmawiają, a potem Ojciec poklepał mężczyznę po ramieniu i odszedł. Tamten wsiadł do samochodu i odjechał, Ojciec zaś, po przejściu kilkunastu metrów podszedł do innego, dużo mniejszego auta i usiadł za jego kierownicą.

Nie miał pojęcia, co ma o tym myśleć. Wiedział, że ich przewodnik często wychodzi na zewnątrz, ale zawsze tak samo ubrany, w charakterystyczną i rozpoznawalną szatę, na którą co najwyżej zimą narzucał coś w rodzaju ciepłego ponczo. Teraz wyglądał jak oni. Jak ludzie z zewnątrz. Kiedy przyjechał po niego brat Łukasz, wsiadł bez słowa do busa i nie odzywał się do nikogo przez całą drogę do Domu. Tam zachowywał się już jak zwykle, ale to wciąż nie dawało mu spokoju, więc kiedy następnego dnia wieczorem spotkał Ojca na korytarzu, zagadnął go:

– Ojcze, chciałbym z tobą porozmawiać...

– Słucham cię serdecznie, mój synu.

– Ja... Widziałem wczoraj Ojca na zewnątrz...

– Taak?

– No tak, prawie Ojca nie poznałem, bo był Ojciec bez okularów, ale nie mam wątpliwości, że to był jednak Ojciec.

– Jesteś pewien, że to byłem ja?

– Całkowicie.

– Uhm. – Ojciec pokiwał głową. – W takim razie chodźmy do mojego gabinetu. Chcę ci coś powiedzieć.

Zeszli na dół. Ojciec spomiędzy fałdów szaty wyciągnął klucz i otworzył nim drzwi pomieszczenia, do którego nikt nie miał prawa wejść sam. Wpuścił go do środka, poprosił, by usiadł, a sam zasiadł za wielkim ponemieckim biurkiem pokrytym zielonym suknem. Rozparł się wygodnie w fotelu, oparł głowę o zagłówek i złożył ręce na brzuchu, splatając palce, a potem spojrzał na niego znad okularów, które błysnęły czerwienią w świetle małej lampki.

– Pewnie zdziwiłeś się, widząc mnie tak odmienionego, o to ci chodzi, tak? – zapytał.

– Nooo, tak.

– W takim razie już ci tłumaczę. Co robi wilk, kiedy chce zakraść się między owce? – Jedna z dłoni wystrzeliła nagle zza biurka i palec wskazujący wycelował w niego tak, że poczuł się jak uczeń wywołany do odpowiedzi.

– Przywdziewa skórę owcy – ni to stwierdził, ni zapytał.

– Otóż to. – Głos Ojca wyrażał zadowolenie. – A co musi zrobić owca, jeśli chce wejść pomiędzy wilki? – zapytał i nie czekając, aż zastanowi się nad odpowiedzią, podał ją sam. – To proste. Przywdziewa skórę wilka, prawda?

– Ale po co ona ma iść pomiędzy wilki? – zdziwił się.

– Po co? Widzisz, działalność naszego Kościoła wymaga załatwiania mnóstwa spraw, mój synu. A tam na zewnątrz jest wielu, którym niemiłe jest nasze podejście do życia. Zapomnieli już o Bogu. Są skupieni na doczesnych rzeczach, uważają nas za anachronizm, za relikwiny dawnej epoki, za niepotrzebnych nikomu dziwaków i życzą nam jak najgorzej. To wilki. My jesteśmy owcami, ten dom jest naszym pastwiskiem, ja jestem pasterzem, a w zasadzie psem pasterskim, który strzeże naszego stada w imieniu Pana, prawdziwego i jedyne go pasterza. Ale to nie znaczy, że mamy być wobec tych wilków potulni. A kiedy wychodzę na zewnątrz, powinienem wyglądać tak, żeby nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Muszę wyglądać, jak oni, rozumiesz?

– Przecież my, owce, codziennie chodzimy do pracy. Nie przebieramy się w skórę wilka. Wyglądamy jak biedacy, którymi w porównaniu z ludźmi na zewnątrz jesteśmy. Mam na myśli wyłącznie aspekt materialny, Ojciec, nie duchowy – zastrzegł.

– Rozumiem, oczywiście. – Ojciec chrząknął. – Dobrze więc, w takim razie użyję innego porównania. Czy wiesz, co to jest pijawnik? Albo podnawka?

– Nie.

– Pijawnik to mały ptaszek, który siedzi w paszczy krokodyla i wyjada pomiędzy jego zębów resztki pokarmu. Podnawka to mała rybka, która przysysa się do skóry rekina i wyjada z niej pasożyty. Wiesz, co dzieje się, kiedy jakiegokolwiek inne zwierzę znajdzie się w zasięgu paszczy krokodyla lub rekina? Jest natychmiast zjadane. A te małe stworzenia robią to bezkarnie, ponieważ są pożyteczne dla drapieżników. Są czyścicielami. Są

dla nich tym, czym wy jesteście dla nich. Jesteście pożyteczni. Grzebiecie ich zmarłych, których przyjmuje do siebie Bóg. Sprzątacie po nich śmieci, troszczycie się o ich chorych, posługujecie seniorom, o których tamci zapominają, nie będąc świadomi, że taki los czeka również ich. Robicie to na chwałę Bożą. Nie liczycie na zaszczyty z tego powodu. Jesteście cisi i skromni jak Jezus, cieśla z Nazaretu. Tak jak On był pogardzany przez współczesnych sobie, którzy w końcu doprowadzili do Jego ukrzyżowania, tak i dziś wami gardzą w tym świecie na zewnątrz i też najchętniej by was ukrzyżowali albo spalili na stosie. A ja, kiedy załatwiam sprawy organizacyjne związane z naszą wspólnotą, muszę wejść w ten nieprzyjazny świat na tym samym poziomie, na którym żyją oni. To nieprzyjemne, ale robię to dla was. Na chwałę Bożą. Pewnych rzeczy nie przeskoczmy, nie wyjedziemy przecież na bezludną wyspę, jesteśmy świadomi ograniczeń, które stwarza życie w strukturach państwa świeckiego. Ale to nic. Bo my każdą trudność pokonujemy z podniesionym czołem, moje dzieci. Rozumiesz, o czym mówię, synu?

Pokiwał głową. Nie bardzo rozumiał analogię o pijawniku i podnawce, ale słowa Ojca brzmiały niewątpliwie przekonująco.

– Nie rozmawiaj o tym z innymi, jeśli mogę cię prosić – mruknął jeszcze Ojciec. – Ja wiem, że to może w jakiś sposób boleć; widzieć, jak korzystam z uroków tego niby życia, ale mnie to nie sprawia żadnej przyjemności, wiesz? Cierpię, kiedy jestem tam, na zewnątrz, raduję się, kiedy jestem z wami w naszym wspólnym Domu. Twoi współbracia mogą tego nie zrozumieć. Ty jesteś bardzo inteligentny i mam nadzieję, że rozumiesz mój ból... I powiem ci, skoro już przy tym jesteśmy, że wiąże z tobą swoje plany, synu. Obserwuję cię i widzę, jak się starasz. Twoja wiara jest wielka, tak samo jak pracowitość. A to jest miłe i Bogu, i mnie, synu. Będziemy jeszcze o tym rozmawiać, na razie idź, odpoczywaj...

W nocy, przed zaśnięciem, słuchając chrapania braci, myślał o tym, co mu powiedział Ojciec. Zastanawiał się, czy to jego interes. Jemu było dobrze. Odnalazł się we wszystkim: w pracy, modlitwie, codziennym rytmie, wśród tych spokojnych i bogobożnych ludzi. Odzyskał spokój duszy. Bał się, że każde nietypowe zdarzenie może wytrącić go z tego rytmu. Sprawiał, że straci to wszystko, co zyskał przez te trzy lata. Nie miał dokąd wrócić i nie chciał stąd nigdzie odchodzić. To było jego życie. Tu

należał. Był przerażony samą myślą, że mogłoby się zdarzyć coś, co wpłynęłoby na Kościół, Dom i Ojca, zdestabilizowało ich życie tutaj i sprawiło, że wszystko by runęło. Nieroztropne jest martwienie się rzeczami, które nie nastąpiły, wiedział to, ale ta akurat myśl była wyjątkowo dręcząca. Uspokoił oddech, który nagle lekko przyspieszył, i powiedział sobie: miej wiarę. Po prostu miej wiarę...

Przed oczami zaczęły przepływać obrazy, na które nie miał wpływu. Nadchodził sen, brat śmierci, więc poddał się mu z rozkoszą, nie myśląc już o tym, co zobaczył wczoraj na zewnątrz.

10

październik 2020

Rędzia siedział w kuchni z Bożeną i chłopakami. Grali w Cluedo, on był wyraźnie do tyłu, jeśli chodzi o ustalenie narzędzia zbrodni, i zastanawiał się, czy jego początkowy zamiar dania któremuś z chłopaków forów właśnie stracił wobec tego sens, choć i tak było już za późno, żeby coś zrobić. Nagle poczuł, jak w kieszeni spodni wibruje komórka. Wyciągnął ją i zerknął na wyświetlacz.

Prokurator Agnieszka Rybarczyk. Tak miał ją wpisaną w kontaktach. Oficjalnie i w sposób niewzbudzający podejrzeń.

– Praca – mruknął do Bożeny, wstał, precyzyjnie się obok synów i odebrał, wychodząc już z kuchni.

Uznał, że nieodebranie byłoby bardziej podejrzane. I chciał się dowiedzieć, o co chodzi. Agnieszka rzadko dzwoniła bez potrzeby. A jak by się tak dobrze zastanowił, to nigdy.

– Hej – rzucił obojętnie do telefonu.

– Hej – miała miękki, aksamitny głos.

Zbyt aksamitny, jak na telefon z pracy. Podejrzewał, że nie była na dyżurze, tylko w domu.

– Co tam? – zapytał cicho, zamykając drzwi od pokoju.

– Nie przeszkadzam? – zapytała.

– Nnnie – odparł ostrożnie.

– Jesteś w domu? – domyśliła się.

– Tak, a ty?

– Też – stwierdziła krótko, a on zaczął zastanawiać się, po co zadzwoniła.

– Sam jesteś?

– Nie.

– Ja też nie. – Zachichotała. – Jest u mnie bardzo sympatyczny Francuz.

– To nie powinnaś się nim zająć, zamiast dzwonić do mnie?

– Ależ zajęłam się nim! I wygląda na to, że zaraz zajmę się jego kolegą. Jest Amerykaninem, uwierzyłbyś? Takie mam tu międzynarodowe towarzystwo.

Rędzia wznosił oczy do sufitu. Nie wiedział, co ma oznaczać ta rozmowa. Czy Agnieszka chciała wzbudzić w nim zazdrość? Dalej trwał w przekonaniu, że zakończenie ich krótkiego romansu było najlepszym, co w tej sytuacji mógł zrobić, i był też pewien, że ona się z tym pogodziła. Zwłaszcza że z jej strony to był tylko kumpelski seks, nic więcej. Teraz zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno.

– Słuchaj... Zapraszam na zajefajna.com

– Francuz nazywa się Cabernet Franc, a jego kolega, który stoi jeszcze w barku, to Wild Turkey.

Wszystko się wyjaśniło. Chyba. Nie była bardzo pijana, ale wiedział, że może dużo wypić i nie będzie po niej tego widać. Teraz też nie było. Ale to stąd wziął się aksamit w jej głosie.

– Aga, po co dzwonisz? Co się stało?

– Chciałam zapytać, czy wszystko w porządku.

– W porządku. A co miałoby być nie w porządku?

– Nic. – Zawahała się. – Tak tylko...

– A u ciebie?

– U mnie? – Znów się zawahała. – Też. Chyba nie powinnam dzwonić do ciebie w takim stanie. Nigdzie nie powinnam dzwonić...

– Okej... – Nie chciał kontynuować tej rozmowy, bo nie miała sensu, zwłaszcza tu i teraz.

Chyba to zrozumiała, bo rzuciła „Trzymaj się, Tomek” i nie czekając, aż się odezwie, rozłączyła się. Przysięgłby, że przy ostatniej sylabie głos zaczął się jej łamać. Wzruszył ramionami, wsadził telefon do kieszeni i wrócił do kuchni.

– Co? – zapytała Bożena.

Znów wzruszył ramionami.

– Nic. Pierdoła. – Westchnął. – Nie wiem zupełnie, po co mi głowę takimi sprawami zawracają po pracy, jakby to nie mogło poczekać do jutra.

– Siadaj, panie niezastąpiony. – Bożena wzięła kostkę i podała mu ją, a kiedy przeciskał się obok niej na swoje miejsce, lekko klepnęła go w tyłek. – Patryk twierdzi, że w następnej kolejce będzie ogłaszał kto, gdzie i czym. Twoja kolej i rusz głową, bo się skompromitujesz przed własnym dzieckiem, panie detektywie...

11

październik 2020

Ponieważ Berdak miał kolegów niemal wszędzie, a Rędzia prawie nigdzie, to Jarek popchnął sprawę w telewizji i to dzięki niemu materiał został ściągnięty dość szybko. Problemem okazało się ustalenie dat emisji filmu we wszystkich kanałach telewizji publicznej, również tematycznych, bo takie było założenie: skoro film wyprodukował jej dziennikarz za jej pieniądze, to raczej nie będzie publikowany gdzie indziej, choć to oczywiście nie mogło być stuprocentowo pewne. Zostawiono jednak tę kwestię na później, wychodząc z założenia, że poznanie tej daty może być istotne, ale nie rozstrzygające. Tymczasem Rędzia zapoznał się nieco z historią awangardowej grupy HA!TAK i zdobył namiary na człowieka, który dawno temu był głównym inspiratorem jej nieszablonowych działań. I Bogiem a prawdą, komisarz był lekko tą historią wstrząśnięty, choć na pewno nie tak bardzo jak Jarek, który właśnie oglądał film Balińskiego razem z nim.

Grupę stworzyli studenci polonistyki Uniwersytetu Szczecińskiego studiujący tam od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiętego do dwa tysiące czwartego. Za jej twórcę uznawano Ryszarda „Reya” Kowalskiego, który z niejakim Pawłem Wakułą i Januszem Szajnertem tworzyli potem jej trzon. Grupa miała charakter kontestacyjny, jej członkowie sprzeciwiali się akademizmowi w sztuce, nazywając go arteoporożą. Ogólnie sprzeciwiali się wszystkiemu dookoła, burzyli zastany porządek, robili dużo szumu wokół siebie i wszędzie, gdzie tylko się dało, usiłowali stworzyć nowy kierunek w sztuce lub choćby

tylko oczyścić istniejące z czegoś, co nazywali starczym nalotem albo postbarokową plwociną. Rędzia nie znał się na sztuce: ani na literaturze, ani na sztukach plastycznych, ale dla niego to wszystko wyglądało na wygłupy i wątpliwej jakości sposób na zaistnienie w środowisku. W tym przekonaniu utwierdził go Baliński swoim filmem, który komisarz właśnie oglądał po raz drugi z Berdakiem w ich pokoju w komendzie. I teraz, po kilkunastu minutach seansu, wiedział już, że owego przekonania już nic i nikt nie jest w stanie zmienić.

– Powiedz mi, Tomek: to oni są pojebani czy ja, że ich oglądam? – zapytał go Berdak, a w jego głosie było autentyczne cierpienie.

– Oglądasz to służbowo. To materiał w sprawie. Są drzwi. – Rędzia wskazał monitor.

– Tylko mignęły. – Jarek cofnął rękę, którą wyciągnął, żeby kliknąć pauzę i zrobić zrzut z ekranu. – Pójdę do starego po dodatek. Szkodliwe.

– Nie kompromituj się, Jarecki. To sztuka przez duże SZ.

– Sz jak szajs. Nie ogarniam tego. Przecież to jakieś szaleństwo. Ten koleś, który dyma orła. – Berdak wskazał kubkiem monitor, na którym jeden z artystów, trzymając na wysokości pasa owalną tabliczkę z godłem państwowym, wykonywał ruchy frykcyjne. – Powinni ich wszystkich pozamykać na Mącznej.

Na Mącznej w szczecińskich Zdrojach mieści się szpital psychiatryczny.

Rędzia obserwował Berdaka przez chwilę; wyglądało na to, że rzeczywiście autentycznie się męczy.

– Świat się kończy – powiedział Jarek w zamyśleniu. – Jest o włos od końca, a takie rzeczy tylko cały proces przyspieszają. To już kwestia niedługiego czasu, zobaczysz. Pandemia koronawirusa i dymanie orła. Czego więcej trzeba, żeby to wszystko pierdolnęło, Tomek? – Obejrzał się na Rędię bezradnie. – No, czego?

Komisarz wyciągnął się na krześle.

– Widzę, że cię strasznie dobiło obcowanie ze sztuką. W takim razie jutro na spotkanie z Kowalskim pójdę sam, skoro ma cię to aż tyle kosztować.

– Czy Kowalski to ten od orła?

– Obawiam się, że tak.

– W takim razie dzięki, kocham cię, stary – mruknął Berdak, nie odrywając oczu od monitora. – O, drzwi...

Zatrzymał film i zrobił zrzut z ekranu. Nagle inne drzwi, te do ich pokoju, otworzyły się i stanęła w nich Joasia, sekretarka.

– Cześć, panowie. Tomek, poczta dla ciebie. – Wyciągnęła rękę i podała Rędzi brązową kopertę.

– Tylko tyle? – zdziwił się Rędzia, odwracając wzrok od monitora i odchylając się na krześle do tyłu.

– Jeszcze narzekasz? – Brwi Joasi podjechały do góry.

– Dzięki – mruknął komisarz i wziął kopertę z jej ręki.

Berdak siorbał zupkę, wpatrzony w kolejnego oszołoma z grupy HA!TAK, i nie zwracał na nich uwagi. Kiedy Joasia wyszła, Rędzia podjechał krzesłem do biurka i popatrując na ekran laptopa, odruchowo zerknął na nadawcę. Okazało się, że to nie był list od żadnej instytucji, tylko od osoby prywatnej, której personalia niczego mu nie mówiły. Oderwał zamknięcie koperty, włożył rękę do środka i poczuł pod palcami gładką, zimną fakturę arkusza kredowego papieru, tak przynajmniej sądził. Zacisnął palce na jego krawędzi i wysunął go z niej. A potem zerknął na niego i poczuł, jak serce zatrzymuje mu się na dobrych kilka sekund. Przez chwilę był pewien, że już nie ruszy.

– Jarek, mogę cię prosić, żebyś mnie teraz zostawił samego? – wycharczał, sięgając po mysz i wyłączając film.

Lekko zaskoczony Berdak odstawił na stół kubek z zupą.

– A co się stało? – zapytał, kiedy przełknął już ostatni łyk.

Rędzia obliznął usta, usiłując zebrać myśli, które rozpiezchły się jak liście zmiecione z ulicy podmuchem jesiennego wiatru.

– Nic, po prostu muszę zostać sam, a nie bardzo mam dokąd iść. I chyba nie bardzo mogę. To wyjątkowa sytuacja i proszę cię o wyrozumiałość. Oraz dyskrecję.

– Jasne, nie ma sprawy. Na długo?

Rędzia spojrzął na niego, jakby nie rozumiał pytania. Myślami, które jakoś zdołał wreszcie zebrać, był gdzie indziej; daleko stąd.

I dawno temu.

– Na pół godziny, dobra? Mniej więcej. Potem dam ci znać. Ja... – Urwał nagle i machnął ręką.

Berdak zdjął z wieszaka przy drzwiach swoją kurtkę.

– Jakby co, możesz na mnie liczyć, przecież wiesz? – powiedział cicho.

– Wiem, Jarecki. – Rędzia westchnął. – I niewykluczone, że będę na ciebie liczył. Ale na razie... – Wskazał oczami drzwi, przy których stał już Berdak.

Jarek uniósł rękę w równoczesnym geście zrozumienia i pożegnania. Kiedy wyszedł z pokoju, Rędzia odwrócił się do biurka i wyciągnął z koperty zdjęcie. Teraz mógł przyjrzeć się mu dokładniej i w spokoju, choć to niczego w zasadzie nie zmieniało. Już przedtem bardzo dokładnie widział, co przedstawiało.

Była na nim Agnieszka. Prokurator Agnieszka Rybarczyk, jego dawna koleżanka z klasy licealnej, z którą stracił dziewictwo w czwartej klasie i z którą pół roku temu, po jej powrocie do Szczecina, połączył go krótki romans. To wtedy, w marcu, wyznała mu, że w maturalnej zaszła w ciążę, którą usunęła. Okoliczności, o których mu wtedy wspomniała przy okazji, wywoływały w nim wstręt i wewnętrzny sprzeciw: okazało się, że w młodości molestował ją własny ojciec. To dlatego nie było problemu, by wmówiła własnemu ojcu, że właśnie on jest sprawcą ciąży, pozbawiając Tomka kłopotu.

Dziś Agnieszka miała dorosłego syna, który studiował w Warszawie. Był owocem jej studenckiej miłości, sfinalizowanej małżeństwem, a zakończonej definitywnie rozwodem. Tyle wiedział. Tyle mu powiedziała.

Teraz, patrząc na zdjęcie, Rędzia wiedział, że musiało być jednak nieco inaczej.

Zdjęcie zrobiono w górach. W Tatrach. Rędzia znał je na wylot, wiedział więc, że Aga i młody chłopiec grzebiący w plecaku stojącym koło niej siedzą na Zawracie. Agnieszka miała jeszcze długie włosy o naturalnej barwie, jaką pamiętał ze szkoły, podwiązane czerwoną chustą na modłę zaangażowanej śpiewaczki piosenki poetyckiej albo pątniczki pielgrzymującej na górę Grabarkę. Ale nie to przykuło wzrok Rędzi, tylko chłopiec.

Odłożył zdjęcie i sięgnął po słuchawkę służbowego telefonu stojącego na biurku. Wsadził ją sobie pod brodę, przycisnął do obojczyka i wystukał wewnętrzny numer Kurylaka, naczelnika swojego wydziału.

– Dzień dobry, naczelniku, Rędzia.

– Cześć.

– Ja w sprawie tej koperty, którą przed chwilą przyniosła Joasia.

– Właśnie miałem cię pytać. To do jakiejś twojej sprawy?

– Nie sędzę – bąknął. – A było coś jeszcze?

– Nie, do dekretacji dostałem tylko to, koperta zaadresowana na komendę, ale z dopiskiem „do rąk własnych komisarza Rędzi”. Nie otwierali w kancelarii, poszło od razu do ciebie. A o co chodzi?

Rędzia żuł dolną wargę. Takich listów nie otwierało się w kancelarii czy sekretariacie, tylko przekazywano pracownikowi, którego nazwisko wskazywał nadawca. To była rzadkość, ale zdarzało się, nic niezwykłego. Na kopercie była nalepka systemu rejestracji korespondencji komendy z datą sprzed dwóch dni. List leżał w pomieszczeniu, w którym przesyłki poddawano leżakowaniu, gazowaniu oraz innym procedurom antycovidowym. Ale to w zasadzie nie miało znaczenia.

Rędzia wyjął słuchawkę spod brody i zacisnął na niej palce. Mocno.

– No, właśnie nie wiem, o co chodzi, więc odłożę to na razie na półkę „niewiadomocoztymzrobić” i potem się zobaczy – poinformował Kurylaka. – Może przyjdzie jakieś wyjaśnienie, nie wiem, w każdym razie będę ją miał w pamięci.

– Okej. Coś jeszcze?

– Wszystko.

– No to cześć.

Rędzia odłożył słuchawkę.

Nie musiał sprawdzać personaliów nadawcy, bo podejrzewał, że nikt taki nie istnieje. Numer dwieście dziewięćdziesiąt przy Wojska Polskiego również nie istniał; wszystko, co napisane było po stronie koperty w miejscu danych nadawcy, było fałszywe i obliczone na to, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Anonim zostałby otwarty od razu w kancelarii. Ktoś, kto wysłał to zdjęcie na adres komendy, miał określone intencje. Nie wysłał go do domu, więc nie chciał, żeby zobaczyła je Bożena. Samo zdjęcie nie mówiło też niczego nikomu poza Rędzią, więc ryzyko, że ktoś w komendzie rozpozna osoby, które przedstawiało, było znikome. Nawet jeśli, to też nie miało znaczenia. Jedno było pewne: to był jakiś znak,

wiadomość i zapewne wkrótce miał nastąpić dalszy ciąg. A brak jakichkolwiek wyjaśnień teraz?

Cóż...

Był ktoś, kto mógł pomóc mu rozwiązać tę zagadkę. Poprosił Kurylaka o pozwolenie na wcześniejsze wyrwanie się z roboty i pojechał zobaczyć się z Agnieszką.

* * *

Nie zadzwonił do niej, żeby ją uprzedzić. Czekał na nią na Wawrzyniaka pod prokuraturą około pół godziny. Kiedy zobaczył, jak wychodzi z budynku i zdejmuje maseczkę, podjechał te kilkanaście metrów pod wejście i zahamował gwałtownie tuż koło niej. Wychylił się i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj – rzucił nieznośnym sprzeciwu tonem.

Była tak zdziwiona, że aż otworzyła usta.

– Wsiadaj – powtórzył. – Zawiozę cię do domu.

– Nie jadę do domu – zaprotestowała słabo.

– W taki razie zawiozę cię tam, dokąd jedziesz. Wsiadaj, proszę.

Zrobiła to, ale zanim zdążyła zapiąć pasy, Rędzia ruszył gwałtownie. Zbyt gwałtownie.

– Co się stało? – zapytała. – Nie jesteś sobą.

– Kiedy urodził się twój syn?

– Słucham? – Słyszał fałsz w jej głosie, jej zdziwienie było udawane, może nie spodziewała się tego pytania, ale nie była nim również tak zaskoczona, jak usiłowała mu pokazać.

– Podaj mi datę urodzenia swojego syna.

– Po co ci to? – Patrzyła przed siebie, nie na niego.

– Mam sobie sprawdzić w pracy czy mi podasz?

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Dlatego. – Wyciągnął zza pazuchy kurtki kopertę i rzucił ją Agnieszce na kolana; upadła adresem i jego nazwiskiem do góry. – Do mnie, ale możesz otworzyć. Nie krępuj się.

Prowadząc, kątem oka obserwował Agnieszkę. Patrzył, jak wyciąga z koperty zdjęcie i ogląda je. Też zerknął na nie. Nie skupił się na niej,

kilkanaście lat młodszej, tylko na chłopcu, na oko dwunastoletnim. Był mniej więcej w wieku jego synów. I tak wyglądał.

Wyglądał jak jego syn. Wyglądał, jak on sam trzydzieści lat temu.

Nie miał wątpliwości.

Żadnych, najmniejszych.

Dlatego właśnie poprosił Berdaka o wyjście z ich pokoju, bo bał się, że w szoku zrobi coś nieodpowiedzialnego. Sam nie wiedział, co to mogłoby być, ale przez chwilę nie był sobą.

Teraz był sobą i chciał wiedzieć, co jest grane.

– Zawieź mnie do domu, proszę – powiedziała Agnieszka, chowając zdjęcie do koperty.

* * *

Kiedy dojechali pod jej kamienicę i Rędzia wyłączył silnik, widział na twarzy Agnieszki wahanie. Ale nie odpuścił. Wsiadł tuż po niej i bez słowa ruszył za nią w stronę wejścia do kamienicy, w której mieszkała.

Koperta została na przednim siedzeniu.

Agnieszka wpuściła go do mieszkania, zamknęła drzwi, potem zdjęła buty i płaszcz, a on obserwował ją w milczeniu, czekając na jakieś słowa. Najlepiej słowa wyjaśnienia. Nic nie mówiąc, zniknęła w kuchni, więc poszedł do pokoju, w którym stał telewizor, i usiadł na kanapie.

– Osiemnasty kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego – powiedziała oschle, wchodząc do pokoju boso ze szklanką wody w dłoni. – To data jego urodzenia. Zodiakalny Baran.

– Ja pierdolę – szepnął Rędzia i poczuł, jak zapada się w kanapę, jakby go wsysała.

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć.

– Dlaczego?

– Co: dlaczego?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś wtedy? I po co te kłamstwa teraz?

Usiadła i nie wypuszczając szklanki z rąk, spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Powód, dla którego nie powiedziałam ci wtedy, jest taki, jaki podałam pół roku temu. Uważałam, że to moja sprawa. Tłumaczyłam ci to wiosną;

w tamtym czasie i w tamtym stanie podjęłam taką, a nie inną decyzję...

– Twoje wytłumaczenie dotyczyło skrobanki – specjalnie użył tego słowa – a nie urodzenia dziecka. Z twoim ojcem to też było kłamstwo? Naprawdę cię molestował?

– Tak. To akurat była prawda.

– Nie zmuszał cię do aborcji?

– Zmuszał, ale się nie poddałam. Może urodziłam jemu na złość? Nie usunęłam. Miałam takie warunki fizyczne, że nie było widać ciąży. Nosiłam luźne swetry, a na kilka tygodni przed rozwiązaniem „zachorowałam”, pamiętasz? Nie chodziłam do szkoły. I tak były już tylko fakultety przed maturą, nikt się nie zorientował. Urodziłam trochę za wcześnie, ale zdrowego chłopaka.

– Ale jak to załatwiłaś z ojcem? W marcu powiedziałaś mi, że wmówiłaś mu, że to jego dziecko?

Skrzywiła się i odwróciła na chwilę głowę.

– Nie tak było. Po prostu powiedziałam mu, że zaszłam z kimś w ciążę, ale nie wiem, kto jest ojcem. Kiedy zapytał, czy on, stwierdziłam, że akurat tego jestem pewna: on nie. Uspokoił się trochę. A potem, kiedy ochłonął i zarzucił mi, że pieprzę się z kim popadnie, zapytałam go, czy naprawdę sądzi, że to jest gorsze niż pieprzenie własnej córki. Wtedy się wreszcie zamknął. Nigdy potem mnie nie dotknął, nie w ten sposób. Matka nic nie wiedziała, oszczędziłam jej tego. A nawet kiedyś powiedziała, że to dobrze, że urodziłam tak wcześnie, bo jak mały dorośnie, to będę jeszcze mogła używać życia. Dostał nasze nazwisko. Kochała go i zajmowała się nim, dzięki czemu mogłam skończyć studia i zrobić aplikację.

Rędzia wpatrywał się w dywan.

– Po co ktoś mi wysłał to zdjęcie? Bo to nie ty to zrobiłaś, prawda?

– Nie...

– Więc kto? Kto i po co?

– Nie wiem, Tomek. – Łzy nagle zaczęły cieknąć po jej policzkach, a głos zdrżał, podobnie jak szklanka: odrobina wody wylała się na podłogę. – Nie wiem, po prostu nie wiem... Idź już, proszę...

Płakała teraz na całego.

– Mam iść? Teraz? Żartujesz sobie? – niemal krzyczał. – To też mój syn, do cholery!

Opanowała się nagle. Jej rysy stężyły w grymasie ni to złości, ni zdecydowania. Odstawiła szklanę na stół, aż szkło brzęknęło o blat.

– To nie jest twój syn, Tomek. Przykro mi. On ma tylko połowę twojego materiału genetycznego, to wszystko. Jesteście sobie obcy i tak ma pozostać. – Ukryła twarz w dłoniach i znowu zaczęła szlochać.

– Dlaczego tak ma zostać? – Podniósł się z kanapy i stał teraz, podpierając się pod boki. – Dlaczego chcesz decydować za mnie? Tylko dlatego, że go wychowałeś? Nawet nie dałeś mi szansy, żeby spróbować! Więc czemu ma tak zostać?

– Dla waszego bezpieczeństwa.

Zatkało go.

– Proszę? – wyszeptał, a potem jego głos znów przeszedł w krzyk. – O co tu, kurwa, chodzi, Agnieszka? Wyjaśnisz mi to!?

– Wyjdź, Tomek, proszę cię, wyjdź!

– Nigdzie nie pój...

– Wypierdalaj z mojego mieszkania!!! Już!!!

Rędzia osłupiał. Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie, nawet nie potrafił sobie tego wyobrazić. A potem jej posłuchał. Odprowadzał go jej rozpaczliwy szloch, który docierał do jego uszu nawet wtedy, kiedy z trzaskiem zamknęła za nim drzwi.

Wyszedł na ulicę i wpatrzony w niebo oddychał głęboko, usiłując się uspokoić. Nie mógł wrócić ani do pracy, ani do domu, nie w tym stanie. Musiałby powiedzieć Bożenie cokolwiek, ale nie chciał, i tak wiedziałaby, że kłamie. Wolał nie mówić nic, więc zamiast w pracy czy w domu, wylądował w „Czeskim filmie” na placu Lotników. O siedemnastej, jeszcze na trzeźwo, wysłał Bożenie esemesa, że musi załatwić coś po robocie, wyświadczyć komuś z roboty przysługę i wróci późno, ale to nic niebezpiecznego. Kiedy oddzwaniała, odpisał, że nie może rozmawiać. Przecież i tak wiedziałaby, że kłamie, a w literach nie ma emocji. Zastanawiając się nad tym, co jej powie, i nad tym, co powiedziała mu Agnieszka, i czego nie powiedziała, pił jedno piwo za drugim, oglądając po kolei: Szeregowca Ryana, Bękarty wojny i Grand Budapest Hotel.

Nie wiedział, co ma myśleć. Pamiętał moment, kiedy Agnieszka powiedziała mu w marcu o ciąży sprzed ćwierć wieku, pamiętał swoje zdumienie, szok i niedowierzanie. Jakoś doszedł z tym do ładu: z tym, jak skończyło się ich zbliżenie, i z tym, że usunęła ciążę. Teraz czuł się o wiele gorzej. Świadomość, że ma syna, o którym do tej pory nie wiedział, była druzgocąca. Już nawet nie chodziło o urażoną dumę, że Agnieszka nie pozwoliła mu podjąć tej decyzji razem ze sobą, nie dała nawet okazji do tego, żeby postąpił jak mężczyzna, a przecież wówczas mogliby spróbować wychować dziecko razem. Jeśli nawet nie małżeństwo, to chociaż jako rodzice, partnerzy. Gdzieś, pięćset kilometrów stąd, był ktoś, kto był jego synem. Nie takim jak Patryk i Piotrek, ukochanym chłopakiem, dla którego zrobiłby wszystko, ale jednak synem. Synem, a nie tylko człowiekiem z połową jego materiału genetycznego, jak twierdziła Agnieszka...

Siedział w pubie do dwudziestej trzeciej i wyszedł stamtąd na ostatnich nogach, najebany jak szpadel, jak mawiał Berdak. Nie pamiętał, ile wypił, przestał liczyć piwa po siódmym. Ledwo widząc na oczy, zadzwonił po niebieską taksówkę, a kiedy radiowóz z dwoma żółtodziobami odwiózł go pod jego blok na Santockiej, wdrapał się na górę, na półpiętrze zanieczyściwszy schody. Ignorując smród rzygowin snujący się po klatce, zdołał jakoś włożyć klucz do zamka i przekręcić. Więcej problemu sprawiło mu wyciągnięcie go, aż wreszcie znalazł się w swoim mieszkaniu. Zamknął z ulgą drzwi i oparł się o nie, zamykając również oczy.

– Jezu, Tomek...

Drgnął, przestraszony głosem żony i bolesnym, choć mdłym światłem, które dotarło do źrenic przez cienką skórę przymkniętych powiek. Bożena stała przed nim w koszuli nocnej.

– Co ty wyprawiasz? – szepnęła. – Jak mogłeś doprowadzić się do takiego stanu?

– Jesteś przewrasz...szliwiona.

– DDA, Tomek. Te trzy literki to powód mojego przewrażliwienia.

– Nie jestem alkoholikiem – bełkotał niewyraźnie. – Naprułem się pierwszy rass od kilku lat, rozumiesz? A teraz kchcę spać, okhej? Czy moge iśspać?

– Śpij na kanapie, proszę cię – powiedziała chłodno.

– Takh jesst. Odmeldowuje sssie... – Przytknął do skroni dwa palce.

Kiedy dowlókł się do kanapy, walnął się na nią w kurtce i butach. Bożena przyniosła z kuchni miskę i postawiła ją obok kanapy, a potem zdjęła mężowi i buty, i kurtkę. Reszty nie dała rady, Rędzia był bezwładny jak siedemdziesięciokilogramowy worek kartofli.

– Za póśśno. To już nie beddzje poczebne. – Otworzył oczy i wskazał miskę.

– Będzie – stwierdziła, poprawiając mu zwisającą niewygodnie nogę.

Zgasła światło i poszła sprawdzić, czy chłopcy śpią. Zajrzała cicho przez szparę w drzwiach do wspólnego pokoju synów. Nie do wiary – spali. Woląta nie sprawdzać, czy udają, czy faktycznie pogrążeni są w głębokim śnie. Tak bardzo bała się, że zobaczą ojca w tym stanie. Nie byłby to pierwszy raz, ale faktycznie jej mąż pił sporadycznie, dwa, trzy razy w roku i nigdy nie przesadzał. Tylko że za każdym razem w jej głowie odzywały się demony przeszłości. Miały oczy jej ojca, cudownego i czułego człowieka, który po wypiciu zmieniał się w bestię. Może Tomek miał rację, twierdząc, że jest przewrażliwiona, lecz ona przez wiele lat zastanawiała się, czy to, że jej ojciec po pijanemu nie zadawał razów rękami, tylko słowami, cokolwiek zmieniło, i jakiś czas temu doszła do wniosku, że niewiele. Wciąż miała w sobie ten strach.

W nocy słyszała, że jednak miała rację co do miski przy kanapie.

12

październik 2020

Obudził się z wyschniętym na wiór językiem i bólem głowy. Kiedy uświadomił sobie, ile wypił, i tak cieszył się, że kac nie jest aż tak dolegliwy, swoje jednak musiał odcierpieć. Na szczęście dziś miał na popołudnie.

Rano, w kuchni, zachowywał się, jak gdyby nic się nie stało. Co innego miał zrobić?

– Coś powiesz? – zapytała w końcu Bożena, wsypując kawę do ekspresu.

– Przepraszam, że nabrudziłem. – Tego akurat żałował najbardziej. – I dzięki za opiekę nad pijakiem.

– Co to za przysługa, którą musiałeś komuś wyświadczyć? – Spojrzała na niego krzywo. – Dotrzymanie towarzystwa przy kieliszku?

– Mniej więcej do tego się to sprowadziło – przyznał po chwili. – Ale było drugie dno. To są męskie sprawy, Bożena. Czasem ty musisz pogadać ze swoją psiapsiółą, czasem ja ze swoim kumplem. I tyle. To dotyczy roboty, tyle ci mogę powiedzieć.

– Roboty?

– Czyżbym słyszał w twoim głosie brak zaufania? – zaatakował, ale spokojnie.

– W porządku, nic nie chcę wiedzieć. – Podniosła rękę. – Twoja sprawa, na przyszłość uprzedzaj mnie tylko odpowiednio wcześniej, dobrze?

– Dobrze. – Zanim dodał coś więcej, w kuchni pojawili się chłopczy.

– Cześć, tato – rzucił obojętnie Patryk, a Piotrek bezwstydnie ziewnął.

– Połykacie śniadanie i do lekcji – zakomenderowała Bożena. – Zobaczcie, która godzina...

Lekcje zdalne były utrapieniem dla wszystkich, nie tylko dla uczniów, a to, że Bożena była nauczycielką, tylko pogłębiało jej psychiczne zmęczenie tą sytuacją. Rędzia i tak nie miał na to wpływu, zresztą ona również, pozostało tylko czekać cierpliwie, albo nawet i niecierpliwie, ale czekać, aż pandemia się skończy.

Około trzynastej podjechał pod sklep z panelami podłogowymi na Santockiej. Tam właśnie umówił się na rozmowę z Kowalskim, ponieważ nie chciał wzywać go na komendę. Rozmowa miała być mocno nieformalna, komisarz liczył na jakiś trop, który pozwoli na stwierdzenie, w jakim celu zabójca Balińskiego chciał obejrzeć akurat ten film. I czy w ogóle o to chodziło. Dlatego właśnie jedynie pobieżnie poinformował Kowalskiego o temacie rozmowy.

Ryszard „Rey” Kowalski był właścicielem firmy o zabawnej nazwie „Twój kawałek podłogi”. Miał około czterdziestki i wyglądał na podstarzałego rockmana. Siwiejące włosy podgolone z boku, na górze głowy spięte były w samurajski kucyk. Wąski pasek zarostu dzielił podbródek na pół. Szyję okrywał wzorzysty komin, na sobie miał czarną, skórzaną kurtkę, która miała być chyba wariacją na temat ramoneski, ale komuś coś nie wyszło. Sprane džinsy były wytarte na udach, do tego wszystkiego Kowalski nosił proste zamszowe, również czarne szczyry. Rędzia miał mieszane odczucia, jeśli chodzi o taki styl prezentowany przez ludzi po dwudziestym siódmym roku życia, gdzie wyjątkiem byli chyba tylko Stonesi, którym w takim stroju było jak najbardziej do twarzy, mimo że pomarszczonej. Niewiele rzeczy smuciło komisarza bardziej niż widok przebrzmiałych rockandrollowców, którzy rozminęli się z wielką sławą i teraz gonili ją desperacko, udając, że siwe włosy albo ich brak niczemu nie przeszkadza.

„Rey” Kowalski nie był wprawdzie rockandrollowcem, ale po tym, co Rędzia widział na filmie, nic już nie było w stanie go zdziwić.

Przywitali się dość zachowawczo, Kowalski zaprowadził komisarza na zaplecze i usiadł za biurkiem szefa, o czym z dumą informowała stojąca na nim mosiężna tabliczka na mahoniowej podstawie, którą zapewne Kowalski dostał od pracowników; może w ramach żartu, a może wcale

nie. Rędzia usiadł naprzeciwko. Kowalski wyciągnął nogi na blacie, ale Rędzi to nie zniesmaczyło, bo zrobił to jakoś naturalnie i bez maniery. No i w końcu to było jego biurko. Ogólnie wyglądało na to, że Ryszard „Rey” Kowalski po prostu dobrze czuje się sam ze sobą i niczego nie udaje, czym zjednał sobie Rędzię już na wstępie.

Co nie oznaczało, że komisarz zapomniał, co widział. Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć.

– Co chciałby pan wiedzieć? – Kowalski złożył ręce na brzuchu i uśmiechnął się.

– Cóż. – Rędzia odruchowo rozejrzał się, chcąc zyskać trochę czasu na sformułowanie odpowiedzi. – Oglądałem film dokumentalny...

– Do HA!TAK-u? – Uśmiech Kowalskiego stał się jeszcze szerszy i Rędzia w jakiś sposób to rozumiał, choć jemu nie było do śmiechu, zwłaszcza kiedy przypomniał sobie minę Berdaka.

– Właśnie – przytaknął.

– Daniel Baliński okrutnie się na niego napalił. Długo przekonywał tych na wysokich stołkach w telewizji, żeby dali mu zrealizować ten film o naszej grupie. Nawet się trochę zakumplowaliśmy. Sporo przegadaliśmy, dałem mu kontakty do reszty, żeby też mogli mu wspominać. Fajnie ten film w sumie wyszedł. Dla mnie to też była taka podróż w przeszłość. Dawno nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Ciekawe, co u niego.

– Niestety, nie żyje – powiedział Rędzia.

Nogi zjechały z biurka i Kowalski wyprostował się w fotelu.

– Czyli... – spoważniał – ...Pan jest tu w związku z jego śmiercią?

– Poniekąd.

– A co ma wspólnego jego śmierć ze mną?

– Nie mogę zdradzać szczegółów śledztwa, w każdym razie uspokoję pana: nie jest pan absolutnie nim objęty. Opowie mi pan o HA!TAK-u?

Kowalski oparł się o biurko łokciami, potem spojrzął na tabliczkę „biurko szefa”, wziął ją w ręce i zaczął się nią machinalnie bawić, przesuwając przed sobą w obie strony.

– Byliśmy zgrają ludków, którzy chcieli rozpirzyć system, mając tę świadomość, że w nim tkwimy. W zasadzie nawet nie mówię o ustroju, my skupialiśmy się na szeroko pojętej sztuce, różnych dziedzinach. Studia humanistyczne: językowe, literaturoznawcze, malarskie, jakiegokolwiek

wciskały młodych ludzi w sztywne ramy. Nie było miejsca na jakąś świeżość, na coś nowego; wszystko było skostniałe. Nasze działania nazywaliśmy różnie: kontrkreacją, postkreacją. Wychodziliśmy również z założenia, że wszystkie dzieła sztuki podlegają nie tylko ocenie i krytyce, ale mogą i muszą być wykorzystywane przez innych artystów w formie i zakresie, jakie uznają za stosowne. Nie uznawaliśmy własności intelektualnej jako takiej. To jak *specificatio*, przetworzenie rzeczy w prawie.

– *Specificatio*, o ile pamiętam, tyczy się rzeczy ruchomych?

– Możliwe, nie jestem prawnikiem. Ale nam chodziło o samą ideę. Kiedy w wyniku przetworzenia pewnej rzeczy powstaje nowa, to jej właścicielem staje się albo wytwórca, albo pozostaje nim właściciel surowca, z którego została wykonana. To zależy, czy wartość nakładu pracy związanej z wytworzeniem jest większa od wartości użytych materiałów, czyli surowca. Jeśli traktować dzieło sztuki jako surowiec, to stworzenie z niego czegoś nowego, czy to przedmiotu, czy dzieła, było właśnie czymś takim. Postkreacją. Oczywiście kwestię surowca i sposobu jego wykorzystywania traktowaliśmy umownie, granice są uznaniowe i bardzo płynne, no i w końcu my nie uznawaliśmy granic, prawda?

– Jak to się ma do prawa autorskiego?

– Wtedy? Dla nas? O granicach wspomniałem przed chwilą, prawda?

– Ale definicja plagiatu istniała już od dawna w obecnej formie?

– O Jezu... Dobra, podam panu taki przykład. Nasza sztuka teatralna *Olleto*, którą raz wystawiliśmy w Pałacu Młodzieży. Czyli *Otello* najpierw popełnia samobójstwo, potem jest zazdrosny i dusi *Desdemonę*, a na końcu ją poślubia, kochając ją ponad życie. Jasne, że nie miało to sensu, a może właśnie miało, całkiem nowy, ale tylko od konkretnego odbiorcy zależało, czy ten sens widzi, czy nie. My niczego nie narzucaliśmy. My dawaliśmy i każdy brał to, co chciał. Ale czy w tym wypadku nakład pracy był większy niż wartość dzieła Szekspira? Z całą pewnością nie, zatem jej właścicielem wciąż pozostał Szekspir. My nigdy nie kradliśmy, panie komisarzu. My przetwarzaliśmy.

– Nie kradliście... Czyli była jednak jakaś granica, której nie chcieliście przekroczyć?

– Ale nie w aspekcie uprawiania sztuki. Prawo to jedno, sztuka to co innego.

– Zdaje się, że na filmie widziałem, jak któryś z was kopuluje z tablicą z godłem państwowym. I to chyba nawet był pan, o ile pamiętam. Na to są paragrafy. Na przykład za znieważanie symboli narodowych.

Kowalski przeczesał włosy z tyłu głowy i poprawił kucyk. Na jego ustach wykwitł łobuzerski uśmieszek.

– Formalnie to nie było godło państwowe – bąknął. – Orzeł był bez korony. To była tabliczka jeszcze z PRL-u.

– Podobno wasza sztuka była szczerą do bólu? W takim razie to oszustwo. Tak to odbieram.

– Liczy się idea, nie rozumie pan tego?

– No dobra, wie pan, jestem tylko policjantem, a z wykształcenia inżynierem. I powiem szczerze: sensu to ja w tym nie widziałem.

– Czy wszystko musi mieć sens, panie komisarzu? Część z nas traktowała HA!TAK bardzo poważnie. Nieomal jak misję. Czuła, że robi coś ważnego, istotnego dla kultury, sztuki. Chciała się zapisać dla potomności, stworzyć coś nowego, niezwykłego. Może wybić się w przyszłości. A dla innych to była po prostu zwykła zgrywa. Robili coś, za co w innych okolicznościach dostaliby kolegium, a tak wszystko można było zwalić na sztukę. Nie chuligański wybryk, a happening. Nie narąbany żul, tylko performer. Przecież artystom wolno więcej, no nie? Kwestia nazewnictwa.

– A dla pana? Czym działalność w grupie była dla pana? – zapytał Rędzia. – Misją czy zgrywą?

Kowalski uśmiechnął się, ale to był smutny uśmiech.

– Dla mnie? – Spojrzał gdzieś w dal. – Na początku byłem zafascynowany tym wszystkim. Tkwiałem w tym po uszy, przecież współtworzyłem HA!TAK. Ile ja nocy zarwałem, przygotowując plakaty, skecze, pisząc manifesty i inne pierdoły. A potem jakoś to się rozmyło. Kutasy i pizdy były jedynym ważnym osiągnięciem grupy. W takim realnym wymiarze. Jako jedyny jej wytwór zapisały się w historii polskiej literatury współczesnej. To wszystko. Jeden wiersz na kilka lat istnienia grupy, i to aktywnego istnienia. Dziś, po latach, wiem, że nikt, kurwa, ale to nikt nie traktował nas poważnie. Pamiętam, że Wakuła i Jasiu Mazurek musieli wypić z Berlingiem, naczelnym „Literatury Polskiej”, morze wódki,

żeby zgodził się zamieścić wiersz. Wieźli skrzynkę wyborowej do Warszawy nocnym pociągiem, żeby taniej było. To prawda, narobiliśmy tym wierszem szumu, Janusz narobił, choć traktował go jako dobro wspólne, osiągnięcie kolektywu, a nie własne dzieło, mimo że to jego nazwisko było pod wierszem. Ten wiersz był nasz wspólny, tak jak wszystko jest wspólne w hipisowskiej komunie. I ten wiersz to było równocześnie wszystko, co tak naprawdę znaczącego osiągnęliśmy. O żadnym innym dziele czy członku HA!TAK-u nikt już nie pamięta. Ani o Olleto, ani o powieści z samymi kurwami... Ja to dość wcześnie zrozumiałem i dlatego chyba z tego wyrosłem, po prostu. Poznałem dziewczynę, wyjechaliśmy na truskawki i szparagi zarabiać kasę, bo chciałem kupić mieszkanie i samochód, normalka. Nie myślałem już o kutasach i pizdach, tylko o życiu. Realnym życiu. I jak skończyłem? – Potoczył ręką dookoła. – Sprzedaję panele. Tyle dobrego, że to mój własny interes i nie mogę narzekać na brak zleceń.

– Swoją drogą, dość kuriozalny pomysł, żeby nadać wierszowi taki tytuł? – drążył temat Rędzia.

– Czytał pan go?

– Najpierw usłyszałem na filmie. Potem jeszcze raz przeczytałem w necie, żeby sprawdzić, czy się nie przesłyszałem.

– W necie, mówi pan... Fakt, jest nawet w Wikipedii. Ten wiersz stał się naszym hymnem. On miał przesłanie, głębokie i dramatyczne, a tytuł był mylący i chyba je spłycił, zamiast wzmocnić. Janusz Szajnert uparł się na te kutasy i pizdy, mimo że każdy z nas wiedział, że to błąd, no ale to on był jego ojcem, że tak powiem. Bo wszyscy reagują tak jak pan: skrzywieniem ust, a ten wiersz trafił w swój czas idealnie, bo to, co dziś dzieje się w sieci, właśnie wtedy się zaczynało. Dzieciaki przestały się po prostu szczypać i dostały nowe możliwości technologiczne. On miał naprawdę istotne przesłanie, panie komisarzu. Inaczej nie zamieściliby go w „Literaturze Polskiej”, prawda?

– Wspomniał pan przed chwilą, że dostał się tam dzięki skrzynce wódki.

– To nie tak, wódka pomogła tylko w dyskusji, a nie była łapówką. LP to był mimo wszystko poważny periodyk, nie mogli pozwolić sobie na taką wtopę, a z takim ryzykiem trzeba się było jednak liczyć. Choć i tak wielu krytyków odsądzało ich potem od czci i wiary za publikację naszego

wiersza. Nas zresztą też. Można powiedzieć, że Kutasy i pizdy podzieliły ten ciasny i skostniały świątek krytycznoliteracki. I to też dobrze o tym wierszu świadczy. Moim zdaniem...

– Hmm, przepraszam, wspomniał pan coś o powieści z samymi kurwami. Może pan rozwinąć temat?

– To była nasza eksperymentalna powieść o wkurwieniu na świat, szła mniej więcej tak: usiadł na ławce i zaklął pod nosem: kurwa. A potem szły już tylko same kurwy, przez czterysta stron, jedna za drugą, żadnych innych słów. To było lepsze od strumienia świadomości, czy „zlewu”, które już się lekko przejadły i zestarzały. Może to nie było mądre, ale za to świeże i tym graliśmy. Zrobiliśmy publiczne czytanie w auli uniwerku. Każdy z nas czytał po kilkanaście stron, trwało to osiem godzin, po prostu siadaliśmy po kolei na scenie i czytaliśmy te kurwy z różną intonacją, nie pomijając ani jednej.

– Ile osób dotrwało do końca?

– Kilka. – Kowalski się roześmiał. – Niestety, wszyscy od nas. To jednak było ponad siły przeciętnego odbiorcy.

Rędzia pomyślał, że kiedy opowie to Berdakowi, ten stwierdzi, że świat się jednak skończył. Ta powieść była nawet lepsza niż dymanie orła.

– Fasady szklanych wieżowców nie pękły od krzyku, co? – zapytał.

Kowalski lekko pociągnął nosem.

– Ma pan na myśli to, co mówiłem w filmie? Dziś pewnie inaczej bym to powiedział.

– Jak?

Rędzia patrzył na Kowalskiego. To on był głównym bohaterem filmu Balińskiego. To on opowiadał najwięcej o HA!TAK-u. A kiedy mówił do kamery, wyraz jego twarzy, oczu był integralnym elementem opowieści, jaką snuł. Był tam znowu, wtedy, z nimi, mimo że naprawdę przecież był tu i teraz, przed kamerą. Tęsknił. Tęsknił za tamtymi czasami.

– Nie wiem. – Kowalski wzruszył ramionami. – Nie chce mi się już o tym myśleć. Różnie potoczyły się nasze losy. Mówię o trzonie grupy: ja, Paweł Wakuła, Mazurek czy Mareczek Kiełczewski. Obrośliśmy w tłuszcz. Kiedyś rzygać nam się chciało na samą myśl, że może się tak stać, a dziś wiem, że inaczej być nie mogło. Bo tak po prostu wygląda życie. Wakuła założył fundację SZKAL, Szczecińską Komunę Artystyczno-Literacką. Został trochę

w temacie. Prowadzi warsztaty, imprezy kulturalne, organizuje plenery, cuda: rzeźbi, ile się da, żeby jakoś z tego wyżyć. Nawet jakąś nagrodę prezydenta miasta dostał rok czy dwa temu. Jasiu Mazurek jest szczurem w korpo, gdzieś wysoko, w stolicy. Kiedyś chciał rozbijać fasady wieżowców, dziś patrzy zza jednej na świat jak ryba uwięziona w ciasnym akwarium. Tylko jeden z nas jakoś pozostał wierny ideałom, można by rzec. On był zawsze inny. Bardzo introwertyczny. Z takim talentem mógł wiele osiągnąć, ale to nie ta osobowość. On nie był nastawiony na sukces, a wyłącznie na tworzenie. A to nie wystarczy. Nigdy nie wystarczało... – Skrzywił się. – No i trafił w końcu do tego nieszczęsnego Kościoła.

Rędzia poczuł uderzenie gorąca. Lubił to uczucie. Oznaczało, że w zasięgu ręki pojawiała się nić. A dalej zapewne kłębek, nieważne jak daleko.

– Do Kościoła? – zapytał.

– Do takiej sekty, nie wiem, jak to nazwać.

– Ma pan na myśli Kościół Jedynie Słusznego Objawienia czy jak to leciało, Gajdamowicza?

– Guru od prochów. No tak.

– O którym z was pan mówi?

– O najlepszym.

– Czyli?

– O Januszu Szajnercie. Naszym ideologu. – Kowalski przekrzywił odrobinę głowę. – Nie rozumiem: wie pan, że ktoś przyłączył się akurat do Gajdamowicza, ale nie wie pan, że to był Janusz? Nie oglądał pan DO HA!TAK-u!? Tam jest taki fragment, który Baliński zdobył nie wiem skąd, ale pokazywał mi go, kiedy robił montaż i potrzebował dokrętki ze mną. Zrobiony chyba przez jakiegoś czeladnika od kręcenia wesel, to podobno był fragment filmu werbunkowego, którego realizację zlecił ten cały guru: zachęta do wstępowania do tej sekty. I Janusz tam jest w tym fragmencie.

Rędzia przypomniał sobie sytuację z kopertą ze zdjęciem Agnieszki i ich syna. Nie wrócił wtedy do oglądania filmu. Był zbyt roztrzęsiony, a potem się napruł. Rano miał kaca, zresztą tępy ból za oczami jeszcze go trzymał, a Berdak zapewne stwierdził, że wystarczy tego obłędu, że niczego więcej to nie przyniesie, za to wyrządzi ogromne szkody i zasieje spustoszenie w jego opornym na wielką sztukę umyśle, choć przecież mieli jeszcze

sprawdzić te cholerne drzwi. Teraz dzięki Kowalskiemu mogli tego uniknąć. Wiedział już, na jakim fragmencie będą musieli się skupić.

Nie miał pojęcia, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Szajnert, ale wiedział, że jak na razie jest on punktem wspólnym między grupą HA!TAK, Balińskim i Dworzakiem oraz sektą Gajdamowicza. A w zasadzie to sekta była punktem wspólnym. Najwyraźniej nie chodziło jednak o grupę oszołomów kontestujących rzeczywistość, tylko właśnie o nią. Teraz pozostawało ustalić, co się dzieje z Szajnertem, oraz jak potoczyły się losy sekty po skazaniu Gajdamowicza.

Kiedy wrócił do komendy, Berdaka nie było. Usiadł do komputera i wyszukał w Google'u Szajnerta, ale oprócz wyników związanych z HA!TAK-iem i wierszem nie znalazł o nim praktycznie niczego. Żadnych jego zdjęć, żadnych informacji. Potem spróbował z Gajdamowiczem, i tu wręcz przeciwnie, wyszukiwarka załapała go mnóstwem artykułów, ale jeden zwrócił jego szczególną uwagę: był obszerny i skupiał się nawet nie tyle na przestępczej działalności Gajdamowicza, ile właśnie na jego tak zwanym kościele. Na jednym ze zdjęć zobaczył wielki budynek z płaskim dachem, przypominający bunkier z małymi oknami, z podpisem: „siedziba Kościoła Jedynie Prawdziwego Objawienia Syna Bożego przy ulicy Produkcyjnej w Załomiu”. Dziennikarka, która napisała artykuł, nazywała się Monika Gapińska. Rędzia znalazł numer telefonu do redakcji i poprosił o połączenie. Ponieważ nie było jej na miejscu, dostał numer jej komórki i od razu pod niego zadzwonił.

Kiedy odebrała, przedstawił się i zapytał, czy mógłby z nią porozmawiać na temat sekty Gajdamowicza. Zdziwiła się lekko.

– To już stary temat. Coś się w tej sprawie zmieniło? Jakies nowe okoliczności?

Rędzia wyjaśnił jej pobieżnie sytuację i zapytał:

– Możemy się spotkać?

– Oczywiście. Kiedy?

– Co prawda jest już po południu, ale zależałoby mi na spotkaniu jak najszybciej.

– Jestem teraz w Dąbiu, kończę coś załatwiać, zanim wrócę do centrum...

– A ma pani potem trochę czasu?

– Nooo, wie pan... – Zawahała się. – A co pan planuje?

– Nawet dobrze się składa, że jest pani akurat w Dąbiu. Co by pani powiedziała, gdybym podjechał tam zaraz i zabrał panią na wycieczkę do Załomia?

– Do Załomia? Po co?

– Zobaczyć kościół. Opowie mi pani o tej sprawie w miejscu, w którym się zaczęła, co pani na to?

Gapińska się roześmiała.

– Jeśli ma to panu pomóc w śledztwie...

– Wie pani, wizyta tam i tak mnie nie ominie. A jeśli mogę tam pojechać z osobą, która dobrze zna sprawę...

– No dobrze. Czekam za jakieś pół godziny przy pomniku w centrum, na głównym skrzyżowaniu. Jeśli zostawię auto na miejscu, to potem odwiezie mnie pan z powrotem do Dąbia?

– Oczywiście, nie ma sensu, żebyśmy jechali dwoma. Po drodze opowie mi pani o tej sekcie.

– Jasne. – Roześmiała się. – Do zobaczenia. Będę w czerwonym płaszczu. Nie przegapi mnie pan.

13

październik 2020

Rędzia zobaczył czerwony płaszcz z daleka. Gapińska czekała przy krawężniku, tak że nie musiał nawet zjeżdżać: po prostu wskoczyła do auta, kiedy tylko się przy niej zatrzymał. Przyjrzał jej się w tej krótkiej chwili między zatrzymaniem i ruszeniem. Była w średnim wieku, miała sympatyczną twarz i niezbyt długie blond włosy spięte z tyłu, choć kilka niesfornych kosmyków, które wysunęły się z gumki, opadało na czoło.

– Skąd pani wiedziała, że to ja? – Roześmiał się. – Ktokolwiek mógł się zatrzymać, widząc panią przy krawężniku.

– Zaufałam panu. – Odgarnęła włosy, założyła je za ucho i też się roześmiała. – To co, mała wycieczka w przeszłość?

– Na to liczę. – Zjechał na rondku w Goleniowską. – Na to właśnie liczę...

Jechali przez chwilę w milczeniu. Kiedy mijali cmentarz, Gapińska wskazała go, mówiąc:

– Tu leży kilku z nich. Przez ponad dwadzieścia lat istnienia Kościoła ojca Gajdamowicza trochę ich odeszło...

– Ojca?

– Tak kazał zwracać się do siebie swoim wyznawcom.

– Coś słabo z tym ojcowaniem, skoro odchodzili?

– Nie w tym sensie. Miałam na myśli, że odeszli do Boga – wyjaśniła. – Ale fakt, te ostatnie zgony były najbardziej dramatyczne.

– A co się stało?

– Zbiorowe zatrucie. Zmarło kilka osób.

– Cichy zabójca? – zapytał Rędzia.

– Tak, ale nie tlenek węgla. – Dziennikarka przyglądała się mijanym zabudowaniom. – Tylko amanitotoksyna.

– Czyli?

Spojrzała na niego.

– Grzyby. Muchomory zielonkawe, zwane inaczej sromotnikowymi.

– Aż tak?

– Niestety. – Westchnęła. – Ten Kościół Jedynie Prawdziwego Objawienia Syna Bożego to był trochę ewenement. Nie była to typowa sekta, o jakich pewnie pan słyszał, choć osobiście uważam, że Gajdamowicz miał sporo z typowego guru. Może z wyjątkiem skłonności do zabijania, choć jak się okazało, świętoszkiem jednak nie był.

– Mówi pani o handlu narkotykami?

– Taak. Można powiedzieć, że facet stworzył swoją religię. Posklejał chrześcijaństwo ze swoimi poglądami na życie i zrobił z tego naukę. Nie prowadził jakiejś szerokiej ewangelizacji, o ile wiem, ale nie ma Kościoła bez wyznawców, więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko ich znaleźć. Był świetnym psychologiem, rozumiał ludzi i miał gadane. Czego więcej trzeba? Kąta dla nich. Przeciętny katolik rzymski wyznaje wiarę w Kościół i jego zasady, ale jak dobrze popytać, to okazuje się, że może papież wcale nie jest taki nieomylny, do wróżki czasem pójdą, w horoskopy i czarne koty przynoszące pecha też wierzą i myślą, że po co księdzu niektóre grzechy wyznawać. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Chyba tak.

– Kościół jasno określa zasady wiary, a każde odstępstwo traktowane jest jako herezja i grzech, mimo to niemal każdy wie swoje. Czy to uczciwe? To nieistotne, to ich sprawa, wiernych i Kościoła, który to toleruje. U Gajdamowicza nie było tolerancji dla najmniejszych odstępstw. Albo akceptujesz wszystkie, naprawdę wszystkie zasady, albo fora ze dwora. A to byli ludzie pokaleczeni przez los, którzy niczego nie mieli i nie mieli również do czego wrócić. Więc byli potulni jak baranki i Ojciec to wykorzystywał. Sekta jest dla silnych ciałem, ale słabych duchem. Dających sobą manipulować. Norwid pisał, że jeśli da się niewolnikowi skrzydła, to nie odleci, tylko pójdzie zamieść nimi ulicę. Miał na myśli, że to stan umysłu. Wyznawcy Gajdamowicza w większości mieli

taką właśnie mentalność, albo życie sponiewierało ich tak bardzo, że nie oczekiwali już od niego niczego dobrego. A tu trafiła się wspólnota, w której nie tylko byli tolerowani, ale stanowili jej część. To straszne, ale prawdziwe. Niestety. – Pokręciła głową.

– W takim stanie człowiek da sobie wmówić niemal wszystko?

– Otóż to. I zastanawiam się, gdzie są granice i czy w ogóle. Ci z Waco też byli przekonani, że nie strzela do nich ATF czy FBI, tylko szatan nastął na nich swoje legiony, bo tak mówił im Koresh. Że nie wspomnę o tym, co zdarzyło się w Jonestown. Uwierzyłyby pan, że matka może kazać wypić swojemu dziecku truciznę, żeby uniknęło piekła na ziemi, czy co on tam bredził? Większość z prawie tysiąca ofiar sekty Jima Jonesa popełniła samobójstwo. Zrobiła to dobrowolnie, rozumie pan? Do-bro-wol-nie! Dla tych, którzy przejrżeli na oczy, było już za późno, bo załatwili to za nich siepacze wielebного Jonesa. To niepojęte, co? A jednak się zdarzyło. Wiele razy. Na całym świecie. Jonestown, Waco, Rodzina Mansona, Najwyższa Prawda, Wrota Niebios, Zakon Świątyni Słońca. Ci ostatni robili to trzykrotnie, wie pan? Ich nie otrzeźwił pierwszy raz, kiedy kilkudziesięciu członków sekty w Szwajcarii i w Kanadzie jednocześnie „wyruszyło w podróż”. Rok później poszli za nimi następni, a potem jeszcze kilku.

– Mówiła pani, że w Gajdamowiczu takich morderczych instynktów nie było?

– Na szczęście. Ale powiem panu coś zabawnego. Trochę zabawnego. Zauważył pan, że oni, mówię o guru, nosili okulary z przyciemnianymi szklami? A przynajmniej wielu z nich? Tony Alamo, Jim Jones, Koresh?

– Faktycznie, coś w tym jest.

– Gajdamowicz też takie miał, wie pan? Oni nie nosili ich, żeby ukryć za szklami szaleństwo, które mieli w oczach, bo nie zdawali sobie z niego sprawy, jak to szaleńcy. Wie pan, po co je nosili? To stary trik, sztuczka socjotechniczna. Niech pan zwróci uwagę, że najczęściej było to szkła dymione. U dołu całkowicie przeziernie, u góry ciemne. I to oni decydowali poprzez ruch głowy, czy chcą, by ktoś widział ich oczy, czy nie. Manipulacja. To przecież podstawa kierowania sektą.

– Zna pani szczegóły tej historii?

– Której? Sekty czy interesu narkotykowego? Obie są ciekawe i w zasadzie nierozdzielnie ze sobą związane od zarania dziejów, że się tak wyrażę.

– Zamieniam się w słuch.

– Kościół Gajdamowicza nie był oczywiście Kościołem jako takim, to znaczy nie spełniał kryteriów tego typu organizacji religijnej, denominacją też nie był. Był sektą. Dziś oczywiście to słowo ma pejoratywne konotacje, więc używa się nazwy związek wyznaniowy. Są w Polsce związki, które liczą nawet tylko kilkunastu wiernych, więc sekta Gajdamowicza nie była niczym niezwykłym. Gajdamowicz założył swój Kościół na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy do rejestracji związku wyznaniowego wymagane było minimum piętnaście osób, co zmieniło się po nowelizacji w dziewięćdziesiątym siódmym. Teraz potrzeba już stu. Ojciec Bronisław Gajdamowicz był kiedyś zakonikiem, chyba dominikaninem, po przełomie w osiemdziesiątym dziewiątym wystąpił z zakonu, porzucając stan duchowny. Oficjalnie nie zgadzał się z niektórymi doktrynami nauczania Kościoła katolickiego, ale chodziły słuchy, że ma sporo za uszami: nieślubne dziecko z parafianką, jakieś ciemne interesy prowadzone z bratem, który zginął w tajemniczych okolicznościach w Niemczech pod koniec lat dziewięćdziesiątych. O ile za komuny takie dziwne układy Kościoła z zagranicą, skutkujące realną pomocą w postaci darów przywożonych wręcz tirami, były do wytłumaczenia, o tyle Gajdamowicz piekł dwie pieczenie – jedną dla zakonu, drugą dla siebie. Podobno chodziło o narkotyki, choć wielu w to wątpiło: w Polsce w tamtym czasie królował swojski „kompot”, a na biały proszek mało kogo było stać. Ale ja myślę, że mogło chodzić jednak o to, tylko w drugą stronę, rozumie pan?

– Puste tiry musiały wrócić na Zachód?

– Otóż to. – Gapińska pokiwała głową. – I nie były całkiem puste. I nie był to „kompot”, tylko towar z Azji, półprodukt, który szmuglowano do Europy Zachodniej przez Polskę i dopiero tam robiono z niego biały proszek. W każdym razie Gajdamowicz zrobił zakonowi przysługę i zrezygnował sam. A kiedy utworzył własny Kościół, dostał nowe możliwości. Pan wie, że w tamtych czasach zagraniczne dary dla związków wyznaniowych były zwolnione z cła? No właśnie. Brat Gajdamowicza, ten,

który potem zginął, kupował na niemieckich szrotach samochody. W świetle ówczesnych przepisów auta można było uznać za dary na cele kultowe. Potem sporządzał fikcyjne akty darowizny od parafii, bogatego rodaka, wujka i tak dalej i razem ze zgodą Kościoła swojego brata na przyjęcie daru przedstawiał kwity do odprawy. A w Polsce auta szły do autokomisu, dawali ogłoszenia do „Kontaktu”, takiej ówczesnej gazety wyłącznie z ogłoszeniami, sprzedawali te samochody wszystkim chętnym. Za to właśnie Ojciec wybudował nową siedzibę Kościoła w Załomiu. Przecież taki ogromny budynek musiał sporo kosztować. Potem dobre czasy się skończyły, ale nadeszły nowe, może nawet jeszcze lepsze, bo po dwa tysiące piątym granice praktycznie przestały istnieć. Gajdamowicz znów zaczął bawić się w narkotyki, ale tym razem sytuacja była inna: to w Polsce miał rynek zbytu na to, co sprowadził z zewnątrz. I tak to sobie hulało, aż zdarzyło się to zatrucie, a potem aresztowanie i proces o handel narkotykami. Tu w prawo...

Rędzia zjechał z ulicy Kablowej w Produkcyjną, a potem skręcił w drogę leśną, którą wskazała mu Gapińska.

– Dobrze, że jest pani ze mną, bo straciłbym mnóstwo czasu na znalezienie tego miejsca – stwierdził.

– I o to chyba chodziło Gajdamowiczowi, kiedy się tu osiedlał. – Dziennikarka rozglądała się dookoła, podziwiając las. – O dyskrecję. Nawet dziś to odludzie, a przecież miasto i jego zabudowania zabierają coraz więcej terenów zielonych na obrzeżach. Tu jeszcze nie dotarło...

Nie byli w samym Załomiu, a w obrębie granic administracyjnych osiedla Załom-Kasztanowe. Wkrótce Rędzia zauważył majaczący za drzewami budynek. Kiedy podjechał bliżej, z zaskoczeniem stwierdził, jaki jest wielki. Zatrzymał auto i nie spuszczaając budynku z oczu, jakby go zahipnotyzował, odpiął pas i zaciągnął hamulec ręczny.

Wysiedli oboje z samochodu. Wyglądali trochę jak backpackersi, którzy właśnie dotarli nad brzeg oceanu, skąd nie da się iść dalej i w zasadzie ich podróż przed siebie właśnie się skończyła, a teraz podziwiają jej cel.

– Gigantyczny, co? – Dziennikarka uśmiechnęła się, widząc minę komisarza. – Też się zdziwiłam, gdy zobaczyłam go pierwszy raz.

– Na zdjęciu nie wyglądał na takie monstrum.

Na bramie wjazdowej, która już lekko zmurszała, wisiało kilka tabliczek o przeróżnej treści, każda jednak miała jasny przekaz. „Nie wchodzić”, „Teren prywatny, naruszenie będzie zgłaszane policji”, „Uwaga, wejście na teren posesji grozi uszkodzeniem ciała bądź trwałym kalectwem” czy po prostu „Zakaz wejścia”.

Podeszli do bramy i stali przy niej chwilę, wpatrując się wciąż w milczeniu w budynek. Nagle ciszę przerwał dochodzący zza lasu ryk lokomotywy.

– Proszę spojrzeć, jak ten dom jest zbudowany. Trochę jak klasztor. Mnóstwo małych okienek, za którymi jest pewnie mnóstwo małych pomieszczeń. Trochę jak mnisie cele. Nigdy nie byłem w środku, ale tak mi to wygląda. Ten budynek nie był adaptowany na cele wspólnoty; on od początku był budowany w tym celu, dlatego tak wygląda. Tam... – wskazała na prawo – ...pamiętam, był piękny ogród warzyny i szklarnie. A tam mały sad, jeszcze drzewka są. Pod lasem znajdowała się zagródka z kurami. Mieli też własną studnię, kotłownię, zapasy koksu i zbiorniki z gazem. Byli prawie samowystarczalni.

– Jak prawdziwa sekta, co? Gotowi na koniec świata?

Gapińska pokręciła lekko głową.

– No właśnie, mówiłam panu, że nie do końca. Gajdamowicz nigdy nie głosił nadejścia Apokalipsy, nie ogłosił się następcą Jezusa ani nie zrobił nic podobnego do innych guru, o których panu opowiadałam. No i nie określał się prorokiem, jak niektórzy, był po prostu duchowym przewodnikiem i nauczycielem. Żyli spokojnie i niemal bogobojnie. Gdyby nie te narkotyki, sekta istniałaby pewnie do dziś. Z jednej strony Gajdamowicz załatwiał te swoje brudne interesy, wodził wszystkich za nos, robił to skutecznie i przez wiele lat, dopóki nie powinęła mu się noga, a z drugiej strony robił wiele rzeczy, które świadczyły o tym, że naprawdę wierzy w te swoje nauki. Na przykład ta służba społeczeństwu, od którego przecież wszystkie jego „dzieci” uciekały. To byli ludzie od czarnej roboty. Najgorszej i najobrzydliwszej.

– Coś mi się obito o uszy, że musieli oddawać mu wypłaty. Miał z tego kasę.

Gapińska popatrzyła na komisarza kpiąco.

– Oni wszyscy pracowali jako sprzątacze, salowi albo grabarze. Zdaje pan sobie sprawę, ile zarabia salowy, grabarz czy śmieciarz? Ile z tego miał, nawet jak to przemnożyć przez wszystkich pracujących na zewnątrz braci? On w to naprawdę wierzył. W tę drogę do zbawienia.

– Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek?

– Mniej więcej. Ale w sumie to tak sobie myślę, że on po prostu też był nieźle walnięty. I tyle... Może przyjemność sprawiało mu kontrolowanie tych ludzi, bo to też bardzo istotny aspekt osobowości takich guru. W każdym razie kiedy go aresztowano, a na jaw zaczęły wychodzić wszystkie jego ciemne sprawy, okazało się, że prowadził dwa życia. Członkowie Kościoła, przynajmniej oficjalnie, nie mieli pojęcia o jego przestępczej działalności, co może świadczyć albo o ich naiwności, albo o talencie Gajdamowicza. A najprawdopodobniej o jedno i drugie. Wie pan, zawsze mnie to zastanawiało, bo jak już wspomniałam, to nie była typowa sekta, gdzie ludzie zamknięci w jakimś domu na odludziu oddawali się jakimś dziwnym czy wyuzdanym praktykom, a głównie robił to guru. Oni byli rozwożeni do pracy busem, pracowali w różnych miejscach, w których mieli kontakt ze światem i ludźmi, ale mimo to pozostawali na tych ludzi i świat zamknięci. Mieszkali razem, modlili się, nie mogli się ze sobą łączyć, seks był zakazany, nawet małżeństw wewnątrzspółnotowych nie praktykowano, co przecież zdarzało się w innych sektach.

– Nie kusił ich ten świat zewnętrzny?

– Nie. – Gapińska spojrzała na niego. – Przecież od niego uciekli. Z nimi było trochę jak z Koreańczykami z Północy, który pracowali u nas w stoczni albo w zakładach w Policach: przywozili ich do roboty na daną zmianę, a potem zabierali, i oni z nikim nie rozmawiali, tylko pracowali. Różnica była taka, że tych od Gajdamowicza nikt nie pilnował: oni sami dbali o to, żeby nikt się zbyt wiele o nich nie dowiedział. Indoktrynacja? Swoiście pojmowane dobro wspólnoty?

– Pani wie o nich dość dużo.

– Tak. To był fajny temat z punktu widzenia dziennikarza. Wie pan, próbowałam zdobyć zgodę na rozmowę z Gajdamowiczem, ale problem nie tkwił w przekonaniu władz więzienia, bo to załatwiłam, tylko w przekonaniu Gajdamowicza. Chciałam wiedzieć, jak to się stało. Jak to

było możliwe. Jakim człowiekiem jest i jaki cel mu przyświecał. I nic z tego, spławił mnie. A to wszystko poskładałam sobie z tego, o czym dowiedziałam się nieoficjalnie od prokuratora prowadzącego jego sprawę i od kilku byłych członków, których nazwisk teraz nie pamiętam, ale i tak szukaj pewnie wiatru w polu.

– Czyli Kościół definitywnie się rozpadł po skazaniu Gajdamowicza?

– Tak, to był ostatni gwóźdź do trumny. Niedługo przedtem doszło do tragicznego zdarzenia, o którym panu mówiłam: w dwa tysiące cztertnastym kilkoro członków Kościoła uległo zatruciu grzybami. Zmarło paru z nich, sam Gajdamowicz również się zatrął, ale uratował go przeszczep wątroby, bo dla niego znalazł się dawca. Dla pozostałych nie. O ile pamiętam, zmarło w sumie pięć czy może nawet sześć osób, ale nie jestem pewna. Prokuratura umorzyła śledztwo, zresztą osoba, która zbierała i przyrządzała grzyby, również zmarła. To był początek końca. Może by się pozbiali, ale już wtedy CBŚP zagięło na niego parol, a kiedy Gajdamowicza zatrzymano i aresztowano, a potem skazano prawomocnym wyrokiem, bodaj w dwa tysiące szesnastym, to już był faktycznie koniec. Nikomu poza nim, mówię o członkach sekty, nie postawiono żadnych zarzutów związanych z narkotykami. I wszyscy w końcu rozpierchli się nie wiadomo gdzie.

– No właśnie – mruknął Rędzia. – Nie możemy ich namierzyć. Nie wiemy po prostu kogo szukać.

Gapińska się uśmiechnęła.

– Tu trzeba Gajdamowiczowi oddać sprawiedliwość: był genialnym organizatorem. Mówiłam, że miał dwa życia: jako guru i jako boss. Najdziwniejsze jest w tym wszystkim to, że nie żył wcale jak narkotykowy baron. Według ustaleń prokuratury jego gang w ciągu kilku lat działalności, i to tylko tej udowodnionej, wprowadził do obrotu nawet czterysta kilogramów narkotyków, głównie metamfetaminy i kokainy. Czyli nie był Escobarem, ale swoje z pewnością zarobił. Inni do niego podobni wydawali kasę na imprezy, samochody, zegarki, a on nie. Walczyli o strefy wpływów, a on się w takie wojny nie mieszał, zresztą prawie nikt nie wiedział, kto jest szefem, nawet dilerzy, którzy dla niego pracowali. Mieszkał w Załomiu razem ze swoją wspólnotą i tylko w dzień, kiedy wszyscy szli do pracy, on szedł do swojej. Gang miał taką strukturę,

że jedna komórka nie miała pojęcia o drugiej. W razie wpadki straty były ograniczone do minimum: tracił jedną komórkę, na której miejsce i tak pojawiała się zaraz kolejna. Każda komórka to dwóch dilerów, znających wyłącznie siebie nawzajem i obskakujących przydzielony sobie rejon. To działało trochę jak podziemie za okupacji hitlerowskiej, wszystko w konspiracji. Tak samo było w jego Kościele, oni posługiwali się wyłącznie imionami nadanymi przez Ojca i mieli zakaz informowania współbraci o swojej przeszłości: skąd są, kim są i jak się nazywają. Całkowicie się od tej przeszłości odcinali. Były naturalnie wyjątki, jeśli dwóch czy trzech pracowało w jednej firmie, to oczywiste, że znali swoje personalia, ale wyłącznie personalia, a i tak pozostawały one tajemnicą dla reszty. Przynajmniej w teorii, ale zdaje się, że w praktyce również. Potwierdzili mi to ci, z którymi rozmawiałam. Przestrzegali tej zasady dokładnie tak samo jak innych. Oto moc wiary.

– Albo manipulacji. Jak w tej Korei, co?

– Dokładnie. Ale podsunę panu trop, może jeśli odszuka pan akta prokuratorskie śledztwa w sprawie zatrucia, pozna pan kilka nazwisk. Tu już nie dało się tego ukryć.

– Ale to pewnie nazwiska ofiar?

– Zapewne. Ale nie wiem, nie widziałam akt.

Rędzia rozejrzał się i nagle, kilkadziesiąt metrów dalej, pod ścianą lasu zauważył starszego mężczyznę prowadzącego rower. Szedł powoli i przyglądał im się ciekawie. Komisarz ruszył ku niemu i mężczyzna przyspieszył.

– Halo, proszę pana, proszę zaczekać! – zawołał Rędzia.

Podbiegł kilkadziesiąt metrów i kiedy dotarł do niego, zatrzymał się dwa metry wcześniej, żeby go nie spłoszyć.

– Dzień dobry! – Uśmiechnął się.

– Dobry. – Mężczyzna zatrzymał się z lekkim wahaniem.

– Pan tu mieszka? – zapytał Rędzia.

– Tak, za lasem, bo co?

– A wie pan, chciałbym tu gdzieś dom kupić i jeździć sobie po okolicy. Jak się tu żyje?

– Dobrze. – Mężczyzna wzruszył ramionami i mocniej chwycił kierownicę roweru. – Spokojnie. Od urodzenia tu mieszkam, to nie wiem,

czy gdzie indziej jest lepiej, ale nie narzekam. Na pewno przyjemniej niż w mieście.

– Nie ma tu w okolicy żadnych uciążliwych zakładów?

Mężczyzna spojrzał na Rędzię zdumiony.

– Panie, tu same zakłady są!

– Ale mam na myśli smród, wie pan, jakieś fermy norek, kurniki.

– A, to niee.

– A to? – Rędzia wskazał budynek sekty.

– To? – Mężczyzna machnął ręką i poprawił czapkę. – To, panie, dawny kościół, ale inszy, nie taki nasz. Tu była taka sekta. Teraz nikt tu nie mieszka, ludzie mówią, że tu straszy.

– Straszy?

– Parę lat temu tu kilku ludzi zmarło w tym domu. Później, jak zamknęli tego całego szefa, to zaczęli się wykruszać i niedługo potem budynek opustoszał. A duchy zostały.

– Nie wygląda ten dom na całkiem zaniedbany. Duchy sprzątają?

– Aaa, tu czasem ktoś przyjeżdża. Taki skrzat, wypasioną furą. Poobwieszał płot tabliczkami, jakby tu był tajny amerykański ośrodek badań. – Mężczyzna roześmiał się chrapliwie. – Ale chyba działa, bo nikt nie wchodzi. Kręcą się różni, ale nie zauważyłem, żeby ktoś do środka wchodził i niszczył. Boją się. Tabliczek albo duchów. Jak pan tu gdzieś w pobliżu z żoneczką zamieszka, to będzie spokój... – Zerknął łakomie w stronę dziennikarki czekającej przy bramie.

Rędzia nie prostował, a tylko podziękował. Odprowadził mężczyznę z rowerem wzrokiem, obejrzał się jeszcze na Gapińską i zdecydował się w jednej chwili. Chwycił górną część bramy i przeskoczył ją jednym susem. Kiedy lądował na ziemi, poczuł ukłucie w kolanie. Syknął tylko, bo bardziej bolała go mimo wszystko świadomość powodu, z jakiego to się stało, niż samo kolano. Powód był zawsze ten sam: wiek.

Podbiegł do ściany. Drzwi wejściowe były z pewnością zamknięte i jeśli w domu nikogo nie było, to nawet nie miał za bardzo możliwości, żeby się tam dostać. A jeśli ktoś był, to komisarz musiałby wymyślić naprawdę niezłe uzasadnienie, by ten ktoś go wpuścił.

Przed sobą miał wielkie okno, sięgające do samej ziemi, właściwie do betonowej wylewki, która była zapewne niewykończonym tarasem,

a okno stanowiło wyjście na niego. Oślonił twarz z boku dłońmi, przysunął do szyby i zajrzał do środka. Wewnątrz było jasno. Doznał uczucia déjà vu, kiedy uświadomił sobie, że patrzy na wielką salę, którą oglądał wcześniej na filmie Balińskiego. Teraz świeciła pustką, choć wielki prostokąt z zestawionych stołów wciąż w niej był. Jeden ze stołów leżał przewrócony na bok. Rędzia widział drzwi do sali i jakiś wielki mebel stojący po ich lewej stronie. Rozejrzał się jeszcze na boki, ale niczego więcej nie zobaczył, poza środkową częścią sali wewnątrz tonęło w półmroku. Zajrzenie do innych, już standardowych okien frontowej elewacji kosztowałoby go brudne albo nawet rozerwane spodnie, a sprawdzać z tyłu mu się już nie chciało, więc nie ryzykował i wrócił do Gapińskiej.

– I co, czego się pan dowiedział? – zapytała wyraźnie rozbawiona.

– Że na wsi wciąż ciemnota i zabobon. – Komisarz zerknął jeszcze na dom. – To co, zbieramy się?

Gapińska zadrżała i objęła się ramionami.

– Chętnie. Ładnie tu, ale późno już...

Kiedy dojeżdżali do Dąbia, powoli robiło się ciemno. Rędzia wysadził dziennikarkę w Dąbiu w tym samym miejscu, z którego ją zabrał półtorej godziny wcześniej, i pojechał prosto do roboty. Miał trochę papierów do przejrzania. I musiał zamówić w prokuraturze akta dotyczące sprawy zatrucia, a przedtem ustalić, gdzie toczyło się postępowanie. Miał nadzieję, że Gapińska ma rację i faktycznie uda mu się dzięki nim znaleźć kolejny koralik naszyjnika, który nazywał się Kościół... Pokręcił głową. Był tak zmęczony, że nie potrafił nawet przypomnieć sobie całej nazwy sekty.

14

2013

– Przepraszam, ja nie wiem, dokąd mam pójść. Jestem z Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, zmarł nasz podopieczny i miałam tylko dowieźć dokumenty... Ja pierwszy raz... To będzie ten pogrzeb na koszt miasta, pan nazywał się Jan Stroiński...

Obejrzał się i serce mu zamarło. Słyszał kiedyś, jak ktoś opowiadał mu o zorzy polarnej. Ów znajomy pojechał na północ Norwegii i miał okazję zobaczyć ją na własne oczy. Opisywał ją jako tak wspaniałą i zapierający dech w piersiach widok, że ogarnęło go wtedy przedziwne uczucie pomieszania radości i przygnębienia, wynikającego z przekonania, że mógłby umrzeć nawet teraz, bo nic piękniejszego już w życiu nie zobaczy.

On teraz czuł to samo.

Nie wiedział, co powiedzieć. Nie wiedział, gdzie podziąć wzrok, choć najchętniej utkwiłby go w jej twarzy. Tylko dobre maniere mu na to nie pozwalały, choć był gotów zapomnieć o nich, byle tylko móc patrzeć na nią jak najdłużej.

– Musi pani iść do administracji, ja pracuję na dole.

– Na dole?

– Mam na myśli kaplicę. Piwnicę kaplicy w zasadzie. – Wskazał posadzkę.

Plątał mu się język, nie mógł skupić myśli, bał się, że zaraz palnie coś tak głupiego, że ona będzie to wspominać do końca życia.

Uśmiechała się do niego, a on zastanawiał się, jak bardzo się teraz czerwieni i czy ona słyszy bicie jego serca, łomoczącego jak bęben.

– Zaprowadzę panią... – bąknął.

– O. – Spojrzała na niego zaskoczona. – To bardzo miłe z pana strony.

– Nie ma sprawy, drobiazg. – Machnął ręką. – Też kiedyś w pracy robiłem coś pierwszy raz, więc rozumiem.

– Tego się nie zapomina? – Roześmiała się w głos.

On nie. Jego uśmiech był raczej wąty.

– Nie – przyznał z lekkim ociąganiem. – Niektórych rzeczy nie zapomina się nigdy... Chodźmy.

Nie powiedział Antoniemu, że wychodzi. Bał się, że mu nie pozwoli, że każe mu coś zrobić; coś, co nie będzie mogło czekać, a on straci bezpowrotnie szansę na krótki spacer z najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu. Wyszli na zewnątrz i skierowali się w stronę platanowej alei prowadzącej do głównej bramy. Myślał intensywnie, jak zagaić rozmowę. Ponad pięć lat w Domu odzwyczaiło go od niezobowiązujących pogawędek z nieznanymi kobietami. I gdyby Ojciec to widział...

– Co taka śliczna dziewczyna robi w takiej pracy? – zapytał w końcu, boleśnie świadomy, że raczej nie wzniósł się na wyżyny interesującej konwersacji.

– W MOPR-ze? Jestem stażystką. Ale chciałabym tam pracować.

– Dlaczego?

– To dobre pytanie... Bo może nie jest to najlepsza praca na świecie, ale jest dość dynamiczna, sporo się dzieje i przede wszystkim pomagam ludziom. To jest najważniejsze.

– Chyba nie za dobrze płatna?

– Pieniądze to nie wszystko. – Zerknęła na niego bez uśmiechu, a on zaczął żałować, że zadał to głupie i niepotrzebne pytanie.

– A pan tu dobrze zarabia? – zapytała go.

Milczał. Nie wiedział, co powiedzieć, bo mógł udzielić kilku odpowiedzi na to proste w gruncie rzeczy pytanie, które przez jego sytuację stało się jednak dość skomplikowane. Albo to odpowiedź była skomplikowana. Dziewczyna odczytała jego milczenie nieco opacznie.

– No właśnie. – Zerknęła na niego.

– Taak, mamy w zasadzie tego samego pracodawcę, więc oboje wiemy, że pieniądze to nie jest ani w moim, ani w pani przypadku coś, o czym

można by długo rozmawiać. – Westchnął i tym stwierdzeniem rozbawił ją niespodziewanie.

Zwolnił jeszcze, żeby droga zajęła więcej czasu.

Zanim dotarli do bramy, był już w niej zakochany po uszy, po czubek głowy. Uświadomił to sobie, zanim wyszli z cienia wielkich platanów na plac przed bramą. Kiedy już do niej dotarli, przystanęli w jej prześwicie, pod wielkim sklepieniem. Tu mieli się rozstać.

– Jak ma pani na imię? – zapytał, zły na samego siebie, że nie zadał tego pytania na początku, tak jak by wypadało.

– Arleta. A ty?

– Dawid – mruknął.

– Piękne, biblijne imię – zdziwiła się.

Chciał jej powiedzieć, że jego prawdziwe jest inne, ale na dobrą sprawę to było teraz jego prawdziwe imię. Takiego dokonał wyboru. I nagle złapał się na tym, że chciałby jej o sobie wszystko powiedzieć, o tym, jaki jest, co go cieszy, a co martwi. I że mógłby słuchać jej bez końca, jej głosu, który brzmiał tak miło dla ucha.

– Było mi bardzo miło cię poznać, Dawidzie. – Wyciągnęła do niego rękę, więc czym prędzej ujął ją, bojąc się, że ona rozmyśli się nagle i cofnie ją, zanim zdąży jej dotknąć.

Bał się też, że jego dłoń będzie spocona, na szczęście chłodne powietrze wysuszyło ją i jego uścisk wypadł męsko, ale delikatnie. W sam raz. Taką przynajmniej miał nadzieję. I, cholera jasna, dlaczego wszystkiego się bał?

– Wpadnij do mnie, kiedy będziesz tu następnym razem, dziewczyno z MOPR-u – zaryzykował.

– A żebyś wiedział, że wpadnę. – Uśmiechnęła się, a on poczuł, że na niebie zaświeciło nagle drugie słońce. – Zabierzesz mnie na spacer po cmentarzu?

– Pewnie. – Bał się, że zaraz odleci, że porwie go wiatr, taki lekki się poczuł. – Słabo znam cmentarz, więc może być tak, że zabłądzimy. Musisz mieć więcej czasu.

– Czasu na pewno mam więcej niż pieniędzy. – Roześmiała się, a on chłonał ten śmiech, nie dając po sobie poznać, w jakim euforycznym jest stanie. – Dasz mi swój numer?

– Mówisz o telefonie?

– Taak. Numer komórki.

Euforia minęła. Nadeszła proza życia.

– Nie mam komórki – powiedział cicho.

– Nie masz?

– Nie. – Patrzył jej w oczy.

Zmarszczyła brwi i lekko zagryzła dolną wargę.

– Może nie jest to pytanie, które powinno się zadawać przy pierwszym spotkaniu, ale ile ty tu zarabiasz?

– Nie chodzi o pieniądze. Pieniądze są dla mnie nieistotne. Nie mam zbyt wielu potrzeb i... – Urwał, nie chcąc powiedzieć zbyt wiele.

– O, zaciekałeś mnie teraz. To o co chodzi, tajemniczy Dawidzie?

Popatrzył na nią śmieiej. Poczuł się jak hazardzista, który stawia wszystko na jedną kartę.

– Opowiem ci na następnym spacerze, dobrze?

– A jak się umówimy, skoro nie masz telefonu?

– Będę tam. – Wskazał za siebie, w stronę kaplicy. – Jestem tam zawsze. Po prostu przyjdź...

* * *

Przyszła trzy tygodnie później, kiedy już całkowicie stracił nadzieję, że ją znowu zobaczy. Nie mógł liczyć nawet na przypadek, busik dowoził go i odwoził do domu z regularnością szwajcarskiego zegarka, więc szansa, że zobaczy ją gdzieś na mieście, praktycznie nie istniała. Musiał się z tym pogodzić, choć nie potrafił o niej zapomnieć. Współbracia zauważyli jego przygnębienie, ale zbył ich, twierdząc, że ostatnio w pracy ma wyjątkowo dużo roboty. Na szczęście była to prawda i przynajmniej tyle z tego miał: pochłaniała go w takim stopniu, że prawie nie miał czasu na myślenie. Mimo że nie miał kursów tanatopraksji, jego pomoc Antoniemu nie sprowadzała się już wyłącznie do mycia narzędzi czy podawania ich przy preparowaniu zwłok. Okazało się, że ma naprawdę dobre oko i rękę, więc Antoni scedował na niego praktycznie wszystkie obowiązki związane z finalnym przygotowaniem zwłok do wystawienia. Na jednym z regałów był zestaw do profesjonalnego makijażu, którego nie powstydziłby się

porządny teatr. Dzięki niemu przywracał martwym życie, przynajmniej wizualnie, i na ten krótki czas wystawienia ciała na widok publiczny, by ostatni zapamiętany widok zmarłego był faktycznie tego warty. Zdarzało się też, że dorabiał fragmenty twarzy ofiarom zmasakrowanym w wypadkach komunikacyjnych. Stał się w tym tak dobry, że Antoni czasem zostawiał go z robotą samego.

Było wczesne popołudnie, przygotowywał właśnie Antoniemu zwłoki do balsamowania. Chciało mu się spać. Podniósł do nosa dłoń obleczoną w gumową rękawiczkę i mokrą od spirytusu, żeby się otrzeźwić.

– Ktoś do ciebie – rzucił Antoni, zaglądając do sali.

Odwrócił się zaskoczony.

– Kto?

– Jakaś dziewczyna. Arleta.

Wielka rolka bandaża wypadła mu z ręki i potoczyła się po posadzce. Widząc to, Antoni podszedł do niego, podniósł bandaż i odsunął go od stołu.

– Idź, bo zaraz coś zepsujesz... – mruknął, nie patrząc na niego, ale na twarzy miał grymas, który przypominał nieco uśmiech.

Nie widział go u Antoniego nigdy wcześniej.

– Nie wracaj przed fajrantem – dodał jeszcze, rozwijając bandaż.

– Dzięki – szepnął z wdzięcznością i rozwiązując po drodze fartuch, pobiegł się umyć.

Stojąc nad umywalką, tarł ręce specjalną pastą, wiedząc, że i tak nie pozbędzie się całkowicie zapachu. Mimo że miał zawsze gumowe rękawiczki, smród chemikaliów i tak wciskał się pod lateks i wsiąkał w skórę, więc wiedział, że nic nie zrobi. Spieszył się jednak, nie chcąc, by Arleta czekała zbyt długo, bał się, że zniechęcona odejdzie w końcu, ale bał się też, że wyczuje chemiczną woń środków, których używał do pracy przy zwłokach.

Czekała na niego z przodu kaplicy. Siedziała na schodku oparta o własne kolana i wpatrywała się w fontannę, zbiegającą się w perspektywie rzędy żołnierskich grobów i majaczące daleko w tle grzebienie pomnika braterstwa broni.

Podszedł i usiadł obok niej, niezbyt blisko. Miał nadzieję, że lekki wiaterek rozwieje jego zapach.

– Hej, dziewczyno – powiedział.
– Hej, tajemniczy Dawidzie. – Uśmiechnęła się i odgarnęła blond włosy.
– Masz czas?

– Do szesnastej czterdzieści.

– Mmm, jaka precyzja. – Zmarszczyła nagle brwi. – Co to za dziwny zapach?

Zamknął oczy.

– Zajmuję się przygotowaniem zwłok do pogrzebu – powiedział i wzruszył ramionami. – Jeśli chciałabyś już pójść, to nie ma sprawy, zrozumieć. Jeśli nie, to możemy porozmawiać o iniektorach do podawania płynów dokorpusowych, kaniulach do odsysania płynów z trzewi, albo opowiem ci, jak działa hydroaspirator. – Zabrzmiało to gorzko. – Umiem też świetnie robić makijaż: wiem o tym pewnie nawet więcej niż ty.

Milczała przez chwilę.

– Masz jakieś kompleksy związane ze swoją pracą? – zapytała.

– To nie kompleksy – wyjaśnił. – Praca jak praca. Ale tylko teoretycznie. Sama wyczułaś ten zapach.

Wzruszyła ramionami i znów zapatrzyła się w dal.

– Jak chcesz, mogę ci opowiedzieć o pani Danusi, która mieszka w zrujnowanym domu z dziesięcioma kotami, bez prądu wody i toalety, nie chce za żadne skarby świata iść do DPS-u, nie stawia się na rozprawy o ubezwłasnowolnienie, a smród, jaki panuje w tym jej domu w gorący letni dzień, sprawia, że wraca ci nawet wigilijna kolacja. I ja nie mam z tym problemu. Nie z tym, że tam chodzę zobaczyć, co u niej słychać, ani z tym, że prosi, żeby wynieść jej zdechłego kota, bo sama się boi, bo i to robiłam, chociaż teoretycznie nie powinnam. Nie wstydę się tego. To element pomocy. Sama wybrałam takie życie. I tu się nie ma czego wstydzić. Wstyd to kraść. – Spojrzała na niego.

– Cudowny spacer. – Roześmiał się nagle. – Licytujemy się, kto robi bardziej obrzydliwe rzeczy...

– Jeszcze nawet nie zaczęliśmy spacerować. Chodź. – Podniosła się i pociągnęła go lekko za rękę.

Wstał, lekko zdezorientowany. Ruszyli w stronę fontanny. Kiedy zeszli schodkami i przystanęli przy kamiennym zwieńczeniu brzegu niecki,

spojrzała mu w twarz.

– Naprawdę sądziłeś, że po tym, jak zobaczyłam cię pierwszy raz tam, w kaplicy, to myślałam, że robisz wieńce albo jesteś kierownikiem?

– Nie wyglądam na kierownika?

– Na szczęście nie – stwierdziła pogodnie. – Wyglądasz po prostu na bardzo sympatycznego faceta. Masz kogoś?

Pytanie zaskoczyło go.

– Masz na myśli rodzinę?

– Też. – Spojrzała na niego podejrzliwie.

I co teraz? – pomyślał.

– Jestem sam i nie jestem – powiedział na głos.

– Coraz bardziej tajemniczy... Co to znaczy, że jesteś sam i nie jesteś?

– Nie mam rodziców ani rodzeństwa, ani dziewczyny. Ale mam braci i siostry. Jestem członkiem pewnej chrześcijańskiej wspólnoty, świeckiej. Mieszkam w domu, który jest naszym wspólnym domem i kościołem jednocześnie. Nie podlegamy pod żaden zakon, biskupa czy papieża. Mamy przewodnika, Ojca, który jest dla nas właśnie ojcem. Odeszliśmy od Kościoła katolickiego, który przestał dawać, a brał coraz więcej. Trzymamy się nauk Chrystusa zawartych w Piśmie Świętym, naszą modlitwą jest praca, ciężka praca, pełna poświęcenia dla innych ludzi, nawet tych, którzy nami gardzą...

Powiedział to wszystko jednym tchem, jak wyuczoną formułkę, mimo że nigdy nie miał okazji ani potrzeby tego mówić. Słowa same spływały z głowy do ust i wychodziły płynnie, jakby znał to na pamięć.

– Boże... – szepnęła.

Starał się wyczytać z jej twarzy, co o tym sądzi: czy zaraz się jednak pożegna, czy da mu szansę wyjaśnić wszystko lepiej, dokładniej.

– Wiesz, myślałam kiedyś o wstąpieniu do zakonu. To było na początku liceum. Tylko że bym się tam zmarnowała. Uznałam w końcu, że są inne formy pomagania ludziom, niewymagające aż takiego podporządkowania się innym ludziom, a właściwie systemowi.

Nie powiedziała: na razie, muszę już iść. Nie powiedziała niczego, co byłoby sygnałem, że rozmowa zmierza ku końcowi i tylko grzeczność powoduje, że przedłuża ją nieznacznie, żeby zachować chociaż jakieś pozory.

– My jesteśmy poza systemem – powiedział szybko. – Stanowimy sami o sobie. Są reguły, których musimy przestrzegać, ale sami tego chcemy. Ojciec nie jest tyranem, tylko przewodnikiem.

Wzięła go niespodziewanie pod ramię i popchnęła lekko w stronę ścieżki. Czuł ciepło jej ciała, jej zapach, czuł ogarniające go szczęście. Wszystko, co robiła i mówiła, było takie naturalne i spontaniczne, a on spinał się jak nieśmiały nastolatek przed zapytaniem koleżanki, czy pójdzie z nim na imprezę.

Inna rzecz, że on nie zapraszał koleżanek na imprezy, bo na nie nie chodził.

– Mój ojciec jest... – Zawahała się. – Jest bardzo zasadniczym człowiekiem. Ja... – Pociągnęła nosem. – Ja nie potrafię nawet powiedzieć, czy go Kocham. Czy jest mi bliski. Mama tak, mama jest cudowna. Mieszkam z nimi, bo nie mam się gdzie wyprowadzić i chyba nawet nie chcę. Mam dwadzieścia jeden lat i nadzieję, że wszystko się jakoś wyprostuje i poukłada. Że jak skończę staż, to mnie zatrudnią i w ogóle...

– Ja mam trzydzieści cztery i kilka lat temu byłem w tym samym miejscu. Myślałem, że wszystko się jakoś wyprostuje i poukłada. Ale było coraz gorzej, przestałem widzieć cel i sens w życiu. Może gdybym miał to, co ty, byłoby inaczej. A potem trafiłem do Załomia i zostałem z nimi. I jest mi dobrze. Ciężko, ale dobrze, bo dobrze mieć jakiś cel.

– Ale nie jesteście jakąś sektą?

– Sektą? – Roześmiał się. – Nieee. Jesteśmy chrześcijańską wspólnotą. Nikt tu nikogo nie trzyma na siłę. Jeśli chcesz odejść, droga wolna. Ale jakoś nikt nie odchodzi.

– Nikt?

– Nie za moich czasów.

– A wcześniej?

– Nie pytałem – przyznał.

– Myślisz, że będę mogła tam do was kiedyś wpaść? – zapytała nagle. – Po prostu zobaczyć, z ciekawości.

I w tym momencie uwierzył w Boga. Tak naprawdę uwierzył. To było jak błysk tuż przed oczami, potężne kopnięcie prądu. Kiedy chcesz w coś wierzyć, bo wszyscy mówią ci, że tak jest, czujesz, że to jeszcze nie to. Że

coś jest na rzeczy, ale wciąż się wahasz. Kiedy jesteś na krawędzi wiary, ale potrzebujesz jeszcze czegoś, co sprawi, że stanie się niezachwiana i gorąca; czujesz, że brakuje naprawdę niewiele, ale wciąż jeszcze jesteś po drugiej stronie. I kiedy nagle dostajesz jakiś znak, znak od Niego, to wiesz, że nadszedł czas, by uwierzyć. I to jest wiara neofity, nagła, spontaniczna i gorąca, zaskakująca swą mocą nawet ciebie.

To był właśnie taki znak.

Nie chciał jej złowić, nie chciał jej do niczego przekonywać, nie chciał, by podejmowała jakieś decyzje, po prostu nagle okazało się, że dzieje się coś, co zmierza w dobrym kierunku. On tylko marzył. W dzień poznania Arlety pierwszy raz, odkąd przybył do Domu, coś go ukłuło w serce, kiedy na daleko horyzoncie, w głębi jego duszy zamajaczył jakiś wewnętrzny konflikt. Ale nagle poczuł, że może być spokojny. Że Bóg wie, co robi. Nawet jeśli nie mógł mieć pewności, czy po wizycie w Domu Arleta nie stwierdzi, że to nie dla niej. I że w ogóle Ojciec się na tę wizytę zgodzi.

Było dużo za wcześnie, żeby o tym myśleć, a tym bardziej ją pytać.

Szli pod rękę w ciszy, nic nie mówiąc, ale ta cisza nie była krępująca, nie wynikała z tego, że nie wiedzieli albo nie mieli o czym mówić. Rozumieli się bez słów. I oboje to czuli.

Odprowadził ją pod bramę trochę wcześniej. Nie chciał, żeby brat Łukasz, który jeździł busem, zobaczył, że z kimś rozmawia. Powiedział jej o tym, a ona zrozumiała i nawet podobała jej się ta otoczka tajemnicy. Na koniec poprosił ją o numer telefonu.

– Masz już komórkę? – zapytała zdziwiona.

– Nie, to wbrew zasadom naszego Domu.

– Więc po co ci numer?

– Daj. – Uśmiechnął się.

Dała, a on go zapamiętał. Widział, jak wsiada do tramwaju i macha mu. Chciał podnieść rękę i odmachać, ale coś go powstrzymało. Powtórzył w pamięci numer i zerknął na zegarek. Do przyjazdu brata Łukasza pozostało jeszcze dziesięć minut, więc puścił się biegiem i wrócił do kaplicy.

– Miałeś nie przychodzić już dzisiaj – burknął Antoni, widząc go dyszącego w drzwiach sali sekcyjnej.

– Panie Antoni... – Ledwo przełknął ślinę przez wysuszone biegiem gardło.

– Tak?

– Chciałem z panem porozmawiać.

– O co chodzi?

– Pan ma telefon, prawda?

– Pewnie, każdy ma telefon. Oprócz ciebie...

– No właśnie. – Spuścił głowę. – Czy bardzo by panu przeszkadzało, gdyby od czasu do czasu ktoś zadzwonił pod pana numer, ale nie do pana, tylko do mnie? Albo nawet gdybym ja od czasu do czasu gdzieś zadzwonił?

15

październik 2020

Mijały prawie dwa tygodnie od zabójstwa Balińskiego i ponad trzy od dnia, w którym życie stracił Dworzak.

Nagranie z monitoringu sprzed budynku telewizji na Niedziałkowskiego niewiele dało. Sprawdzono w systemie rejestracji czasu pracy, kiedy Baliński odbijał kartę w czytniku, wchodząc do budynku i z niego wychodząc, a potem przejrano zapisy z okolic tej godziny. Nic nie wzbudziło podejrzeń funkcjonariuszy, więc przejrano również wcześniejsze zapisy. Dwa dni przed śmiercią Balińskiego, w momencie gdy wychodził z pracy, ktoś faktycznie stał po drugiej stronie ulicy przy parkometrze, i to o nim mógł mówić Baliński na nagraniu. Mężczyzna wyglądał, jakby na coś albo na kogoś czekał. Kiedy Baliński go mijał, facet obejrzał się za nim i patrzył za odchodzącym dziennikarzem jeszcze przez jakiś czas, a potem ruszył w tę samą stronę. Zapis kamery wskazywał, że tajemniczy mężczyzna był tam już na kilka godzin przed opuszczeniem przez dziennikarza budynku telewizji. Niestety, znajdował się zbyt daleko, żeby dało się go nawet pobieżnie opisać. Widać było tylko, że ma na sobie długi, ciemny płaszcz, czapkę i oczywiście maseczkę. To tyle, co nic. Nie mogli nawet posiłkować się monitoringiem z tramwajów. Nawet jeśli Baliński jechał wtedy do domu i wsiadł do któregoś z tramwajów, a tamten razem z nim, to i tak nie mieli szans tego sprawdzić, bo upłynęło zbyt dużo czasu.

A i tak w tramwaju miał pewnie pieprzoną maseczkę...

Mniej więcej tak samo miała się sprawa z Januszem Szajnertem. Jedyne jego wizerunek, jaki mieli, to kadr z filmu Do HA!TAK-u. Był sprzed sześciu lat, ale w tym wieku zmiany w wyglądzie spowodowane upływem czasu nie mogą być znaczące, można co najwyżej osiwieć lub wyłysieć, i nawet ta druga możliwość nie sprawi raczej, że wygląd zmieni się tak radykalnie, by człowiek był nie do poznania.

Rędzia oglądał ten fragment poprzedniego dnia do znudzenia, aż znał na pamięć każdą klatkę. Jakość nagrania była raczej słaba: nie była to kamera VHS, ale rozdzielczość sugerowała, że nagrywający nie był profesjonalistą, co najwyżej za takiego się uważał. Zdjęcia kręcono w wielkiej sali w domu sekty w Załomiu. Przy dużym stole siedziało kilkanaście osób, wszystkie ubrane uroczyście w białe szaty, i to właśnie określenie przychodziło Rędzi na myśl, kiedy patrzył na tych ludzi: szaty. Powłóczyste. Kilka kobiet nosiło czepki zakrywające upięte pod nimi włosy, mężczyźni mieli je długie, z wyjątkiem starszego mężczyzny w czerwonych okularach. Jak powiedział Rędzi internet, to właśnie był Gajdamowicz. Ojciec. Guru. Był jeszcze jeden starszy od pozostałych człowiek, w podobnym wieku jak Ojciec, i też z krótkimi włosami, tylko z łysiną, a okulary były zwykłymi szklami leczniczymi. Pozostali, jak jeden mąż, wyglądali jak członkowie hipisowskiej komuny z przedmieść San Francisco gorącego lata sześćdziesiątego ósmego roku.

Szajnerta Rędzia rozpoznał dzięki grupowemu zdjęciu sprzed dwudziestu lat, które dał mu Kowalski. Siedział przy wielkim stole razem z innymi i kiedy nagle podał komuś miseczkę z jakąś zawartością, widok ten przywiódł z kolei komisarzowi na myśl słynny obraz Ostatnia wieczerza Leonarda da Vinci. Operator zbliżył się do Szajnerta i zapytał: „Jak panu tu jest?”, a on, onieśmielony i zaskoczony, odpowiedział cicho: „Skoro wciąż tu jestem, od tylu lat, to oznacza, że podążam właściwą drogą, prawda?”. Gładko ogolona twarz o łagodnym wyrazie, ta biała szata z szerokimi rękawami i długie, rozpuszczone włosy. Wyglądał jak Jezus ze studenckiego teatru wystawiającego Jesus Christ Superstar. I oczy. Te oczy zwracały uwagę. Patrzyły mądrze i spokojnie. Rędzia pomyślał, że to on powinien być przywódcą sekty, a nie Gajdamowicz. Lecz kiedy zaczął się przyglądać pozostałym, u nich też zauważył to spojrzenie. „Jeszcze grzybów?” – zapytał któryś z nich, a Rędzia zaczął się

zastanawiać, jakie to grzyby i skąd je wzięli: z lasu czy ze szklarenki za domem.

– Człowiek zniknął – powiedział Berdak, kiedy Rędzia zaczął temat Szajnerta. – W miejscu zameldowania nikt go nie widział, a przynajmniej nie rozpoznał na kadrze z filmu. Byłem tam rano.

– A gdzie mieszkał?

– Nie wiem, czy mieszkał, ale tam był zameldowany. Na Gdyńskiej. Rędzia podrapał się po nosie i odwrócił na krześle do Jarka.

– Dobrze pamiętam, że gdzieś na Gdyńskiej mieszkał Dworzak? – zapytał.

– Też się zorientowałem. I tak, to jest ten sam lokal. Posiedziatem trochę w systemach rejestrów państwowych i na Geoportalu. Z bazy ewidencji ludności wynika, że jest tam zameldowanych od lat kilkanaście osób. Dobra wiadomość jest taka, że być może właśnie dostaliśmy trochę nazwisk wyznawców, ale pewności nie mamy, może to ludzie z gangu Gajdamowicza, a chata na przykład była metą do paczkowania prochów. Do sprawdzenia. Z księgi wieczystej wynika, że właścicielem lokalu jest, jak się okazuje, formalnie wciąż istniejący związek wyznaniowy o nazwie Kościół Jedynego i tak dalej, a osobą reprezentującą niejaki Jacek Laube. Kwity do wniosków meldunkowych, w których są tytuły prawne, jakimi wykazuje się udostępniający lokal do zameldowania, trzymają w urzędzie pięć lat, więc już po ptakach, ale skoro zostali tam zameldowani, to znaczy, że mieli podstawy. Inna sprawa, czy wciąż tam mieszkają. Urząd tego nie sprawdza, ewentualne postępowanie o „odmeldowanie” z powodu niezamieszkania, że się tak wyrażę, wszczyną się zwykle na wniosek właściciela lokalu.

– Nie rozumiem, przecież mieli ten wielki dom w Załomiu, w którym mieszkali?

– Mieli nie tylko ten dom. – Jarek uśmiechnął się znacząco. – Mają jeszcze kilka lokali w Szczecinie. Mieszkalnych i usługowych, które wynajmują. Wszędzie jako osoba reprezentująca występuje pan Laube. Prawnik. Pełnomocnictwo dziesięć lat temu wystawili statutowi przedstawicie związku: Bronisław Gajdamowicz i zastępca, Leszek Kublicki. Kolejne nazwisko jakby co.

– Może po rozpadzie przenieśli ich na Gdyńską, tylko jak wpakować kilkanaście czy kilkadziesiąt osób do mieszkania o powierzchni...

– Trzydziestu ośmiu metrów kwadratowych.

– No właśnie. Czyli wszystkich nie wcisnęli. Kto oprócz Dworzaka rzeczywiście tam mieszkał?

– Nikt. Tylko on.

– Może Dworzak to mieszkanie po prostu wynajmował od sekty? Tak zdaje się mówił ten salowy w szpitalu. Że nie miał swojego mieszkania, tylko na sublokatorce był?

– Nie wiem. – Berdak wzruszył ramionami. – Sekta formalnie istnieje, choć brak wyznawców. Nie wiem, czy to jest powód do zamknięcia. Kościół Jedynie Prawdziwego Objawienia Syna Bożego zarejestrowano w dziewięćdziesiątym drugim. Wnioskodawcą był Bronisław Gajdamowicz, były zakonnik. Przedstawił statut Kościoła: wspólnotę założycielską stanowiło piętnaście osób. Żyją cztery z nich, są w bardzo podeszłym wieku, udało mi się porozmawiać z dwiema: jedna przyznała się, że podpis złożyła za pieniądze, druga odeszła z sekty jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, kiedy zorientowała się, że Gajdamowicz robi jakieś dziwne interesy, w które zaangażowany jest również jego mieszkający w Niemczech brat... – Jarek popatrzył na Rędzia ze znaczącym uśmiechem. – W zasadzie ten człowiek został poproszony o opuszczenie wspólnoty, co zrobił bez żalu. Niemal wszyscy podpisani urodzili się w latach trzydziestych i czterdziestych.

– I to o czymś świadczy. – Rędzia westchnął.

– O czym?

– Zobacz: za komuny, z nielicznymi wyjątkami, wszyscy mieli mniej więcej po równo. Wiem, że to uogólnienie, ale nie o to chodzi, mówię o zasadzie. Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy, pamiętasz? Po osiemdziesiątym dziewiątym, a w zasadzie na początku lat dziewięćdziesiątych, okazało się, że jednak nie każdy ma po równo. Ci, którzy nie umieli wziąć spraw w swoje ręce, bo byli za starzy, niezaradni życiowo albo zbyt uczciwi, zostali w tyle. Kapitalizm rozjechał ich jak walec. Oni nie umieli żyć w nowej rzeczywistości, kolorowej, a nie szarej, jaką znali, bo to już nie była ich rzeczywistość. W skrajnych wypadkach lądowali na ulicy. I teraz patrzcie: zjawia się ktoś, kto oferuje im miejsce

do mieszkania, jedzenie, pracę, towarzystwo innych ludzi. W zamian trzeba się tylko modlić i przestrzegać reguł. Taki był pewnie początek. Potem napływali tam ludzie, którzy urodzili się już w nowych czasach, albo w nich dorastali i może nie przeżyli szoku, ale po prostu najzwyczajniej w świecie nie pasowali do tego świata. I zostawiali go. Ci, co trafiali pod skrzydła Gajdamowicza, byli pod tym względem podobni do siebie i to ich niewątpliwie zbliżyło. Wtedy łatwiej razem żyć w takiej bańce, kiedy wszyscy czują to samo. I nagle co się dzieje? Wszystko się kończy. Cały ten nowy świat, w którym żyli latami, aż stał się ich światem, zostaje im zabrany. Co mają teraz zrobić, skoro ktoś mówił im, co mają robić, jak żyć, kiedy jeść i spać, a teraz tego kogoś zabrakło? Zrobili to samo co kilka, kilkanaście lat wcześniej: zostawili wszystko i nie pozostawało im nic innego, jak znaleźć sobie nowy świat, ale w miarę podobny. W tym, w którym żyjemy my, nie poradziłiby sobie. Zniknęli z własnej woli. Wyjechali na drugi koniec Polski i zostali bezdomnymi? Może pomagają w gospodarstwach gdzieś na totalnym zadupiu za jedzenie i miejsce do spania i jest im tak dobrze? Może znaleźli inne sekty? I dlatego myślę, że nikogo nie znajdziemy. A jeśli nawet, to pojedyncze osoby, i to i tak nic nam nie da.

Berdak oparł się wygodnie i położył głowę na zagłówku fotela.

– Boziu, jak dobrze, że dzisiaj piątek, a w weekend nie idę do roboty. Mam już mętlik od tej sekty, wiesz? Namieszła mi we łbie, chociaż nawet w niej nie byłem. Oto moc guru... – Poderwał się nagle i spojrzał na Rędzię. – O, właśnie: Gajdamowicz w dwa tysiące szesnastym za przywództwo w związku przestępczym, wprowadzenie do obrotu znacznej ilości narkotyków, ich zorganizowany przemyt i jeszcze parę innych fikołków finansowych został skazany na łączną karę jedenastu lat pozbawienia wolności. Proces trwał półtora roku, na poczet kary zaliczono mu areszt, wyrok odsiaduje w Nowogardzie, tyle udało mi się ustalić. – Zerknął na zegarek i usta rozciągnęły mu się w uśmiechu szerokim i szczęśliwym. – Pan pozwoli, że ja już się pożegnám, dobrze?

Rędzia pozwolił. On musiał tu tkwić do siedemnastej i postanowił, że zajmie się kilkoma papierkowymi rzeczami, na które nie miał wcześniej czasu. Skupiony na robocie nie zauważał, jak mija, aż o czternastej w drzwiach pojawił się osobiście Kurylak z dzisiejszą pocztą. Kiedy tylko

komisarz rzucił okiem na plik papierów, które naczelnik miał w ręku, poczuł, jak napinają mu się mięśnie brzucha.

– Kolejna przesyłka do przegródki „niewiadomocoztymzrobić”? – Kurylak wysunął spośród pism brązową kopertę z czarnymi, wielkimi literami: „Nadkom. T. Rędzia, do rąk własnych”.

– Być może... – mruknął.

– Co było w poprzedniej?

Rędzia naprawdę mocno musiał się starać, żeby nie dać niczego po sobie poznać. Czuł, że postarzał się o rok.

– Zdjęcie, prywatne – mruknął. – Ktoś mi chyba kawał robi. Mogę?

Wyciągnął rękę po kopertę. Kurylak wsunął mu ją w dłoń, rozejrzał się jeszcze po pokoju gospodarskim okiem i wyszedł. Rędzia drżącymi rękami oddał zamknięcie i włożył rękę do środka. Pod palcami znów poczuł tę gładkość kredowego papieru i zrobiło mu się zimno. Co teraz? Nie potrafił sobie nawet wyobrazić. I chyba nie chciał. Kiedy zobaczył zdjęcie, aż kilkanaście sekund zajęło mu rozluźnienie zaciśniętych z wściekłości szczęk. Zapraszam na zajefajna.com

Na zdjęciu widać było mężczyznę i kobietę. Oboje byli nadzy. Twarz mężczyzny zamazano czarnym flamastrem, ale Rędzia wiedział, kto to jest i gdzie zrobiono zdjęcie, czy może kadr z filmu. Komisarz podejrzewał, że to film, bo było lekko nieostre, jakby uchwyciło ruch, nie na tyle jednak, by nie dostrzec, kto jest na innym zdjęciu, wiszącym na ścianie, za plecami kobiety. Była na nim Bożena, jego żona, a ściana była ścianą jego mieszkania. Nagą kobietą z wyprężonymi w ekstatycznym łuku plecami była Agnieszka. A mężczyznę z zamazaną twarzą klęczącym przed łóżkiem z podbródkiem wciśniętym między uda pani prokurator był on. Nadkomisarz Tomasz Rędzia.

Patrzył na swoje nagie, wypięte pośladki. Patrzył na piersi Agnieszki, na jej przymknięte oczy i dłonie leżące na jego głowie, nie w taki sposób jednak, by zakryć mu nimi twarz. Gdyby nie czarna plama zrobiona flamastrem, byłaby doskonale widoczna. Patrzył na siebie, jak zaspokaja oralnie obcą kobietę pod niewidzącym spojrzeniem Bożeny rzucanym spomiędzy ramek, patrzył i przypominał sobie, jak było mu wtedy dobrze, i czuł, że zaraz się porzyga.

Zdjęcie z kochanką, w najlepszym momencie miłosnych uniesień.
Najprymitywniejszy ze wszystkich znanych ludzkości sposobów na szantaż.

I, co tu ukrywać, najskuteczniejszy.

16

październik 2020

Pukał i dzwonił, ale nie otwierała. Słyszał, że jest w środku. Słyszał szuranie jej kapci, na bank tych z wyszytymi na noskach kocimi oczami i wąsami. Ignorowała go, ale postanowił, że nie odpuści. Nie teraz.

Była sobota, Rędzia skłamał Bożenie, że ma dziś służbę za kolegę, poza grafiką, i dlatego nie będzie go w domu. Potrzebował spokoju i skupienia, żeby posprzątać burdel, którego narobił. Albo przynajmniej dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Stał przez kilka minut w ciszy, aż usłyszał, że Agnieszka podchodzi do drzwi. Gdy lekki szmer przesuwanej klapki judasza dał mu znać, że jest tuż za nimi, przyłożył usta do styku skrzydła i framugi i powiedział:

– Jeśli mnie nie wpuścisz, nadam sprawie oficjalny bieg. Jestem szantażowany zdjęciem, na którym uprawiam seks oralny z tobą. Otwórz.

Po kilkunastu pełnych niemal namacalnego napięcia sekundach usłyszał chrobot zamka i drzwi stanęły przed nim otworem. Agnieszka była w szlafroku, nieumalowana i bez okularów.

Przecisnął się obok niej i wszedł w głąb mieszkania, kierując się od razu do dużego pokoju. Usiadł bez zaproszenia na tej samej kanapie, na której siadał, gdy u niej bywał czy to prywatnie, czy zawodowo. Kiedy stanęła przed nim, wyciągnął zawartość koperty ze środka i pokazał jej.

– To zdjęcie zrobiono u mnie, Aga. Z miejsca, które wyklucza obecność kogokolwiek poza nami. Nie przez okno. No i przecież byliśmy wtedy sami. Nie sądzę również, żeby ktoś włamywał się do mnie w celu zainstalowania kamery, zresztą w tym miejscu, z którego jest to ujęcie,

nie ma możliwości zamontowania jej w taki sposób, żebym się nie zorientował. To ty ją wniosłaś, pewnie w torebce. Ty nas nagrałaś. A skoro tak, to musiałaś wiedzieć, że ktoś będzie chciał to wykorzystać przeciw mnie, bo nie sądzę, że chciałaś mieć pamiątkę. Zapewne twój niedawny telefon z dziwnym pytaniem, czy wszystko u mnie w porządku, miał z tym coś wspólnego. To wszystko stawia pod znakiem zapytania całą naszą relację. Wszystko. Nie wiem, co kombinujesz, wiem tylko, że przez cały czas mnie okłamujesz. Od, kurwa, dwudziestu pięciu pierdolonych lat, że tak to ujmę. Więc przyszedłem teraz do ciebie, bo chcę znać prawdę. Całą. W tej chwili. Inaczej sam pójde do Bożeny, pokażę jej to zdjęcie, przyznam się jej do romansu, powiem, jak było, i powiem też, że to zakończyłem, Agnieszka. I niech się dzieje, co chce, wezmę to na klatę, jak facet. A potem dorwę skurwiela, który kazał ci zrobić te zdjęcia czy nagrać ten film. I gówno mnie obchodzi, co będzie z tobą i obcym facetem z moim materiałem genetycznym. Życie sobie długo i szczęśliwie, mnie to już nie obchodzi. Wybieraj. – Uniósł ramię i popukał w zegarek. – Długo nie będę czekał. Za chwilę po prostu wstanę i wyjdę.

Agnieszka zacisnęła szczęki. Rędzia widział, jak ścięgną prężą się pod skórą. Oblizła usta i usiadła na kanapie, niedaleko niego. Nie obok, ale niedaleko, tak że komisarz widział wyraźnie jej twarz i oczy.

– Pewnego dnia, jakiś rok temu, zadzwonił do mnie na FaceTime syn – zaczęła z namysłem. – Wieczorem, byłem wtedy z koleżanką na winie. Powiedział mi, że jacyś ludzie zabrali go z ulicy, wsadzili do samochodu i dokądś zawieźli. Myślał, że to policjanci po cywilnemu, bo wyglądali normalnie, samochód też nie był jakimś gangowozem, podejrzewał, że to nieporozumienie i wszystko się zaraz wyjaśni, zwłaszcza kiedy kazali mu zadzwonić do mnie. Wiedzieli, że jestem prokuratorem...

– Pozwolili mu to wszystko powiedzieć, opisać tę sytuację? – przerwał jej Rędzia, lekko zaskoczony.

– Tak. I do tego momentu niczego nie podejrzewałam, myślałam, że się przedstawię, pokażę do kamerki legitymację, wyjaśnię wszystko i już. Ale nagle ktoś przejął telefon i mnie zmroziło. Ten człowiek był w masce. Takiej gumowej, zakładanej na całą głowę, wiesz: obleśny, łusy staruch z dużym nosem. Zapytał, gdzie jestem, a kiedy mu powiedziałam, kazał mi iść do toalety. Poszłam jak na drewnianych nogach, choć jeszcze łudziłam

się, że to głupi kawał Artura, ale już wtedy miałam jakieś wewnętrzne przekonanie, że coś jest strasznie nie tak, rozumiesz? – Podbródek zaczął jej drżeć. – Kiedy zamknęłam się w kabinie, kazał ściszyć telefon i mocno przyłożyć dłoń do ust. Zrobiłam to. Nawet nie pytałam po co. I wtedy na ekranie zobaczyłam jeszcze kilku ludzi w takich samych maskach. Chwycili nagle Artura za ramiona, jeden wyciągnął skalpel, podciągnął mu koszulkę i przejechał ostrzem po brzuchu, pod pępkiem, przez całą szerokość. Wiesz, co wtedy czułam, Tomek? – Łzy wielkości grochu spływały jej po policzkach. – Wiesz, co czuje wtedy matka?

Rędzia chwycił jej dłoń i ścisnął. Nie wiedział, co innego może zrobić. Przytulić? Po chwili Agnieszka opanowała się i wysunęła swoją dłoń spomiędzy jego palców, żeby zetrzeć z twarzy łzy.

– On... Krzyknął. Wtedy zatkali mu usta. Zaczął się szarpać, a ja poczułam, że zaraz umrę. Wtedy ten człowiek powiedział, żebym się uspokoiła, bo jest już po wszystkim. Zebrałam się jakoś w sobie, bo panikowanie nic by nie dało, ale kosztowało mnie kilka lat życia, Tomek, rozumiesz? Artur zaczął płakać, oni położyli go na stole i... To było jeszcze gorsze niż cięcie, wiesz? Po prostu beznamiętnie zaczęli go opatrywać: wytarli krew, odkazili, dali mu zastrzyk znieczulający i coś na uspokojenie, zaklipsowali ranę, nałożyli opatrunek... Ten, który to robił, wszystko relacjonował, jak lekarz. Spokojnie, bez cienia zdenerwowania. Bez emocji. To było jakieś chore, Tomek. To była totalna abstrakcja, ale tak koszmarna, że nie wiedziałam, czy śnię, czy nie.

– On ich widział bez masek, tak? – Rędzia zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem?

– Twój syn mówił, że zgarnęli go z ulicy i myślał, że są gliniarzami. Czyli nie mieli wtedy masek.

– Tomek, jakie to ma znaczenie?

– Tylko głośno myślę. Na gorąco. Też jestem w szoku, tak? Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Dobrze, co działo się dalej?

– Powiedzieli, że odwiozą Artura do jego mieszkania. Miał tydzień leżeć i się kurować, nikt nie miał się dowiedzieć, co mu się stało. Mnie kazali w ciągu kilku miesięcy załatwić sobie przeniesienie do jakiegokolwiek szczecińskiej prokuratury i robić swoją robotę. Życ normalnie.

– Życ normalnie? Po czymś takim?

– To samo im powiedziałam. Obiecali, że to się nie powtórzy, jeśli będę grzeczna. Powiedzieli, że wszędzie znajdą mnie i Artura, więc wyjazd dokądkolwiek nie ma sensu i skończy się źle. Zgłoszenie tego służbom skończy się jeszcze gorzej. To tyle, jeśli chodzi o zgłaszanie. – Spojrzała na niego krzywo. – Przecież nie rzucę wszystkiego, nie wezmę go i nie zniknę, tak? Nie jestem pieprzonym Jackiem Reacherem. Już sama próba sprzedaży mieszkania zwróciłaby ich uwagę...

– Załatwić sobie przeniesienie, żyć normalnie i...?

– I czekać.

– Na co?

– Nie wiem.

– Pytałaś?

– A jak myślisz?

– I co?

– Odparł, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a ja przed chwilą byłam w jego przedsiönku, więc po co mi ta wiedza? Zrobiłam, co kazali. Tak się złożyło, że faktycznie z nową władzą mi nie po drodze, więc nie było problemu. A Artur chciał zostać w Warszawie. Dzielnie to zniósł, o wiele lepiej niż ja...

– Czyli nie zgłosiłaś tego, tak?

– A jak myślisz? Oczywiście, że nie! – dodała dla pewności, widząc jego minę. – Słuchałeś w ogóle, co mówię?

Rędzia zrobił wielkie oczy.

– Przecież do cholery jesteś prokuratorem! To jak zamach na państwo. Gdybyś to zgłosiła, poruszyliby niebo i ziemię, żeby ich znaleźć!

– Zgłosiła? – Agnieszka roześmiała się gorzko. – Zgłosiła... Nie zrozumiesz tego. Nie zrozumiesz matki, która śmiertelnie się boi o swoje dziecko.

Rędzia spojrzał w bok. Trwało to ułamek sekundy, ale wystarczyło, żeby przypomniał sobie pewien telefon przed kilku laty i zagadkę, jaką dał mu człowiek nazywający siebie „Nietykalnym”. Poczłwał znów tę wścikięść, jaką czuje każdy, kiedy ktoś wciąga jego dzieci do swoich brudnych spraw. I ten strach, do którego bał się wtedy przyznać nawet przed samym sobą.

– Jestem ojcem, Agnieszka – rzucił ponuro. – I zrobiłbym, co trzeba.

– Ojcem, Tomek. – Popatrzyła mu w oczy. – Ojcem, nie matką. Miałam ryzykować jego życie?

– Rozważałaś opcję, że to jakaś gra twojego syna? Zaaranżował to i jest w to zamieszany?

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Ty tak na poważnie?

– Owszem. Różne rzeczy widziałem i o różnych słyszałem. Rozważałaś?

Zamknęła oczy i trwała przez chwilę w bezruchu. A potem jej powieki uniosły się powoli.

– Tak. Przeszło mi to przez głowę – przyznała cicho. – Ale nie pytałam go o to.

– Dlaczego?

– Nie musiałam. Jestem matką.

– Jesteś prokuratorem.

– Przede wszystkim matką. A matki czują. I skończmy ten wątek, dobrze? Od razu wsiadłam wtedy w samochód i pojechałam do Warszawy. Widziałam tę ranę. Była prawdziwa i bolała go jak skurwysyn przy każdym ruchu.

Znów milczeli przez chwilę. Rędzia zastanawiał się, co dalej.

– Czyli to, że spotkaliśmy się przy sprawie Adolfa, było czystym przypadkiem? – zapytał w końcu.

– Tak. To akurat tak.

– Wszystko jest takie dziwne: myślisz, że to przypadek, a to nie przypadek, i na odwrót...

– Nawet nie wiesz, ile kosztowało mnie zachowanie kamiennej twarzy, kiedy pytałam cię, dlaczego dzwoniłeś do Sulechowa i mnie sprawdzałeś...

– przypomniła mu sytuację sprzed pół roku, kiedy Rędzia wiedziony ni to impulsem, ni to konkretnym podejrzeniem, po prostu zadzwonił anonimowo do sulechowskiej prokuratury, żeby zapytać o prokurator Rybarczyk.

– Wydawało mi się to podejrzane ze względu na zbieg okoliczności: ty, ja i Adolf. Tyle.

– Wiem. Ale wyobraź sobie, co wtedy czułam, kiedy się o tym dowiedziałam.

Rędzia pokiwał w zamyśleniu głową.

– Kiedy przyszedł do mnie pierwszy raz, na ser i winogrona... – zaczął nagle, po czym urwał na chwilę, usiłując dobrać słowa – ...to nie było z własnej woli?

– Za pierwszym razem z własnej i nieprzymuszonej. Mówiłam prawdę. Dopiero za drugim... Też bym przyszedła po prostu dla ciebie, ale zadzwonili, że mam zrobić to, co robiłam. Nagrać film, jak się...

– Bzykamy.

– Jak wolisz.

Rędzia zagryzł wargę.

– A gdybym nie przerwał naszego romansu?

– Nie wiem. Nie wracajmy już do tego.

– Słusznie – zgodził się. – Nie ma do czego, skoro to definitywnie zakończyliśmy.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Rędzia głośno wypuścił z płuc powietrze, czując, jak nadymają mu się przy tym policzki.

– Nawet nie zapytałem cię wcześniej, jak twój syn ma na imię – powiedział cicho.

– Nasz syn.

– Teraz już nasz? – Spojrzał na Agnieszkę.

– Tak, teraz już nasz. Ale niczego od ciebie nie wymagam, żeby było jasne. Jeśli chcesz, to zostanie naszą tajemnicą i nikt się nie dowie. Ani twoja żona, ani Artur.

– I to mówi prokurator, prawnik? A kwestie dziedziczenia? Poza tym to wcale nie jest tylko nasza tajemnica, Aga. – Wskazał zdjęcie. – Już nie.

Spuściła głowę.

– Masz rację – mruknęła. – Jasne, że tak.

– Czego chcą? Czego naprawdę chcą? I kim są?

– Nie wiem. Mówiłam ci już. Nie powiedzieli.

– Znów głośno myślę...

– Czemu tak na mnie patrzysz?

– Trudno mi trochę uwierzyć, że na podstawie jednego zdarzenia zmieniłaś całkowicie swoje życie.

– Uwierz mi, miałam wyjątkowo silną motywację. – Spojrzała mu hardo w oczy.

– Rozumiem, ja nie w tym sensie. Wciąż nie chce mi się w to wierzyć – stwierdził Rędzia, rozkładając szeroko ręce. – To jakaś piętrowa intryga. Po co mieliby zmuszać nikomu nieznaną i niewiele znaczącą prokurator do takich kombinacji? Tu zbyt wiele rzeczy mogło zawieść: twoi przełożeni mogli nie wyrazić zgody na twoje przeniesienie, mogli rzucić cię w Bieszczady zamiast do Szczecina, z zemsty, skoro się stawiałaś...

– A może właśnie byli w stanie to załatwić bez problemu, pomyślałeś o tym?

Milczał przez chwilę, kiwając nieznacznie głową, jakby potakiwał swoim myślom. Albo jej.

– A ja? – zapytał nagle. – Skąd wiedzieli o mnie? O nas? O Arturze? Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, o co mogłoby w tym wszystkim chodzić, Aga. Do czego mielibyśmy im się przydać, w dodatku tutaj, w naszej zapomnianej wiosce z tramwajami? Chyba że wciąż nie mówisz mi wszystkiego. – Spojrzał na nią uważnie.

– Powiedziałam ci wszystko, co wiem, Tomek. – Popatrzyła mu prosto w oczy, wręcz wyzywająco. – Naprawdę wszystko.

Oddał spojrzenie, skupiając się na małych, ciemnych plamkach, którymi upstrzone były jej szare tęczówki.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? – zapytał.

– Po co miałam cię w to angażować? Nie było sensu.

– Po co!? – powtórzył z kpiną. – Nie było sensu!? Skoro chcieli, żebyś mnie uwiodła i udokumentowała to, to ewidentnie też miałem być w to wplątany. Chyba nie sądziłaś, że będą chcieli szantażować tym zdjęciem ciebie, a nie mnie?

– Dopiero wtedy zaczęłam to podejrzewać. Ale... Bałam się, mimo to. Może miałam nadzieję, że to jednak nie będzie dotyczyć ciebie.

– Myślałam, że mi ufasz.

– Ufam. Ale to wszystko nie jest takie proste, Tomek. Nie pomyślałam od razu, że też w tym tkwisz, że może z tym zdjęciem to był test i powiesz im, że znów coś kombinuję, nie o to chodzi: nie jestem paranoiczką, ale oni udowodnili mi już raz, że widzą i wiedzą wiele. Zbyt wiele. Nie chciałam bez potrzeby ryzykować. Zwłaszcza z tobą. Masz swoją rodzinę i swoje problemy.

– Nie jesteś moją znajomą z Facebooka, do cholery. – Wstał z kanapy. – Nie będę ci przypominał, że coś nas łączyło, ale to nie oznacza, że o tobie zapomniałem i że przestałaś dla mnie cokolwiek znaczyć. Poza tym jednak wciąż coś nas łączy, Agnieszka, i tego już nie da się przekreślić. To Artur. No i jednak w tym tkwię, nie ze swojej woli, tylko z ich, kimkolwiek są. Jestem w tym z tobą, cokolwiek się zdarzy, rozumiesz?

– Rozumiem. Cieszę się, Tomek, że to mówisz. Zrobiło mi się odrobinę lżej, wiesz?

– To dobrze. – Spojrzał na nią z góry. – Na razie zostawiamy to tak, jak jest. Czekamy. Skoro zaczęli angażować w to również mnie, bo tak odbieram znaczenie tej przesyłki, to znaczy, że niedługo się zaczniesz. Ale chciałem ci coś na koniec powiedzieć, Agnieszka.

– Tak?

– Jeśli okaże się w którymś momencie, że rzeczy wyglądają jeszcze inaczej, niż mi to teraz przedstawiałaś, będę bezlitosny, rozumiesz? Nie będzie żadnych sentymentów, zakończę wszystko na swoich warunkach. Czy to jasne?

Stanęła przed nim, potem cofnęła się lekko i wspięła się na palcach, jakby też chciała spojrzeć na Rędzię z góry, choć wiedziała, że to niemożliwe.

– Nie chcę, żeby twoje typowo samcze przekonanie o własnej zajebistości zabiło mi syna, Tomek – powiedziała ostrożnie niskim głosem. – Jesteś dobry w tym, co robisz, ale to nie tak. To nie jest twoje kolejne śledztwo. Tu chodzi o życie i to nie życie obcej osoby, tylko bliskiej...

Podniósł rękę.

– Nie chodzi o żadne moje samcze przekonanie, Aga. Wiem, że nic jeszcze nie wiem. Chodzi mi o prawdę i szczerą. Wyłącznie o to. W kontakcie... – Przytulił ją niespodziewanie dla niej i dla samego siebie, ale trwało to tylko sekundę.

Wypuścił ją z objęć, odwrócił się szybko i ruszył w kierunku drzwi wyjściowych, nie oglądając się więcej.

W środku cały aż się trząsał. Nie wiedział, co ma zrobić. Po raz pierwszy był w sytuacji, w której nie miał pojęcia, co robić. Bał się najbardziej o Bożenę i chłopaków. Skoro tamci chcieli go włączyć w jakąś intrygę, nie

miał wątpliwości, że jego rodzina będzie środkiem przymusu, czy tego chciał, czy nie.

A najgorsze, że teraz mógł jedynie czekać na rozwój wypadków...

17

październik 2020

Przez cały weekend Rędzia próbował uporać się z tym, czego dowiedział się od Agnieszki. Starał się zachowywać jak zwykle, ale Bożena zauważyła jego podenerwowanie.

– Co się dzieje, Tomek? – zapytała w końcu.

– Nic. Mam lekkie kłopoty w robocie. Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić.

– Wcześniej nigdy się tak nie zachowywałeś.

– Jak?

– Jesteś ciągle zamyślony. Błądzisz gdzieś myślami, a ja nie wiem gdzie.

– Myślę właśnie, jak się pozbyć tych kłopotów.

– Ale to nie to, co wtedy z tym całym „Nietykalnym”? – zapytała, a on wiedział, że w końcu o to zahaczy.

– Nie – odparł, starając się włożyć w to krótkie słowo maksimum bez troski, której było w nim jak na lekarstwo. – Po prostu zwykłe kłopoty, jakie co jakiś czas pojawiają się w pracy. Każdemu i w każdej pracy.

– Może ci w tym pomogę? – Spojrzała mu w oczy.

– Umawialiśmy się, że nie przynoszę roboty do domu i nie rozmawiamy o tym? – Złapał ją lekko za ramiona.

Nie napięła mięśni, ale i nie uniosła rąk, zostały zwieszane wzdłuż ciała.

– Owszem – przytaknęła, patrząc mu w oczy. – Chodzi o to, że my o niej tylko nie rozmawiamy. Bo ty ją jednak przyniosłeś do domu, tyle że w głowie...

Przygryzł wargę.

– Chodźcie na spacer – powiedział nagle. – Chodźcie do lasu, zanim znowu zamkną nas wszystkich w domach...

W poniedziałek było już trochę lepiej. Nie rozmawiał z Agnieszką i nie zamierzał w najbliższym czasie, czekając, aż coś się wydarzy, ale na razie musiał skupić się na robocie.

O dziesiątej z minutami parkował na Niedziałkowskiego przy alei Jana Pawła II. Trwał remont alei, ślimaczył się tak samo jak wiele innych remontów w tym i nie tylko w tym mieście, przez co dostęp do budynków wzdłuż niej był nieco utrudniony.

Kancelaria prawna mecenas Jacka Laubego mieściła się na parterze jednego z nich. Rędzia wszedł do środka i przedstawił się dziewczynie siedzącej za niskim kontuarem. Bez słowa podniosła słuchawkę telefonu, małym palcem tej samej ręki, w której trzymała słuchawkę, wcisnęła jeden klawisz i po chwili rzuciła do niej cicho i dyskretnie: „Panie mecenasie, policja do pana”.

Byli tu sami. Rędzia rozejrzał się; styl wystroju wnętrza miał zapewne w założeniu podkreślać tradycję i wartości, jakim hołdował mecenas. Komisarz czuł się tu jak w luksusowym przybytku sprzed stu lat. Ściany zdobiły boazerie i pasiaste tapety w kolorze złota i butelkowej zieleni, mosiężne kinkiety rzucały plamy żółtego światła na obrazy z widokami niemieckiego Szczecina. Wnętrze tchnęło historią, zbudowaną od nowa przez zaangażowanego w swoją pracę projektanta.

Nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich mecenas Jacek Laube. Miał może metr sześćdziesiąt wzrostu, ostrzyżone niemal na zero włosy ze świecącą na środku głowy łysiną, ciemne i lekko wyłupiaste oczy o inteligentnym spojrzeniu, wydatne wargi oraz pyzate policzki i podbródek. Ubrany elegancko, w błękitną koszulę, marynarkę z wystającą z kieszonki jedwabną poszetką i dobrze zawiązany krawat, mimo lekkich niedostatków urody sprawiał wrażenie odpowiedniego człowieka na odpowiednim miejscu. Tylko buty psuły nieco ten obraz: pomijając rozmiar stopy, miały spiczaste, podwinięte do góry czubki, przez co Laube kojarzył się Rędzi z irlandzkim leprechaunem. Wiedział już, co miał na myśli człowiek z rowerem, którego spotkał w Załomiu, mówiąc o skrzacie w furze. Zaczął się zastanawiać, czy grafitowy AMG

zaparkowany na rogu chodnika tuż przy barierce odgradzającej plac budowy należy do Laubego.

– Dzień dobry, nadkomisarz Rędzia, KMP Szczecin, mogę panu zająć chwilę?

Laube zerknął na naścienny zegar wiszący nad głową dziewczyny i gestem zaprosił komisarza do pomieszczenia, z którego wychynął. Jego gabinet miał podobny wystrój jak poczekalnia, choć był bardziej spersonalizowany. Na gablocie stał wielki model żaglowca w pełnym ożaglowaniu i Rędzia pomyślał sobie, że kogoś, kto dba o ścieranie kurzu w tym miejscu, ta praca musi kosztować sporo nerwów.

– Słucham pana? – padło naturalne pytanie.

Laube oparł się o biurko; blat miał na wysokości pasa. Założył ramiona na piersi i jego puciołowatą twarz rozjaśnił profesjonalny, niewyrażający żadnych emocji uśmiech.

– Chciałem porozmawiać z panem o Bronisławie Gajdamowiczu – powiedział Rędzia.

– Przykro mi, nie rozmawiam z nikim o swoich klientach.

– Z policją też nie?

– Nie na takich zasadach.

– Nawet nieoficjalnie?

– Przede wszystkim nieoficjalnie. Pan wykonuje jakieś czynności związane ze sprawą pana Gajdamowicza?

– Owszem. Niekoniecznie z tą, za którą został skazany prawomocnym wyrokiem, ale moja sprawa niewątpliwie się z nim łączy. W zasadzie z tą częścią jego życia, która dotyczy Kościoła. Czy to coś zmienia w pana podejściu?

– Jeszcze nie wiem. O co konkretnie chodzi?

– Chciałbym się z nim spotkać.

– W jakiej sprawie?

– Powiedziałem...

Laube pokręcił głową i pogroził zabawnie palcem.

– Powiedział pan, że nie w sprawie, za którą został skazany. Zatem wciąż nie wiem w jakiej. – Patrzył teraz na Rędię przez małe okularki i wciąż uśmiechał się, ale tym razem nie był to grymas. Nie był to też wredny uśmieszek, tylko raczej ojcowski, co najwyżej lekko

protekcjonalny, a przynajmniej tak odebrał go komisarz, i dlatego właśnie słowa, których zamierzał używać w dalszej części rozmowy, wciąż miały być uprzejme.

– Ktoś zabija członków sekty, której Gajdamowicz kiedyś przewodził... – oznajmił, czekając na efekt, jaki wywołają jego słowa.

Jeśli liczył na to, że będzie on spektakularny, to się przeliczył. Wargi prawnika ułożyły się w ciup.

– To nie była sekta, tylko zarejestrowany prawnie związek wyznaniowy – powiedział Laube sucho. – Wspólnota religijna.

Rędzia obojętnie wzruszył ramionami.

– Dla mnie to była sekta.

– Obawiam się, że pana opinia jest tu nieistotna, panie komisarzu. Ja mówię, jaki był stan faktyczny i prawny, pan natomiast posługuje się nazewnictwem nacechowanym negatywnie. To tak, jakbym nazwał jednostkę, w której pan służy, psiarnią. Miło panu?

Rędzia skapitulował. Nie chciało mu się walczyć na słowa. Zwłaszcza z prawnikiem.

– Dobrze, nie zmienia to faktu, że giną ludzie. Muszę poznać szczegóły dotyczące działalności... – utknął na chwilę, ale nie miał takiej intencji, po prostu Kościół Gajdamowicza wciąż był dla niego sektą – ...związku. Dlatego chciałbym się z nim spotkać.

Laube stropił się lekko, przymknął powieki.

– Obawiam się, że to może być trudne. – Chrząknął.

– Jako stróż prawa nie powinienem mieć problemów z uzyskaniem zgody władz penitencjarnych. Chodzi o to, czy pan, jako jego prawnik, nie będzie mi tego utrudniał poprzez doradzanie klientowi odmowy współpracy. Przyszedłem najpierw do pana, bo podejrzewam, że gdybym zaczął od pana Gajdamowicza, usłyszałbym to, co zwykle: muszę skonsultować się ze swoim prawnikiem.

– Mój klient sam podejmie decyzję o ewentualnej współpracy, ale nie musi go pan szukać w więzieniu.

– Bo? O ile wiem, dostał jedenaście lat? Minęło dopiero... Cztery, pięć, z aresztem zaliczonym na poczet kary?

– Nie ma go w więzieniu. Ma przerwę w wykonaniu kary pozbawienia wolności, ale jest niemal pewne, że już tam nie wróci.

Rędzia poczuł, jak puls lekko mu przyspiesza. Nie lubił takich niespodzianek.

– Gdzie jest?

– W hospicjum Świętego Franciszka. Ma raka.

Komisarz odetchnął z ulgą, choć nie była ona jakaś szczególnie wielka. Ale on wciąż miał jeszcze szansę, nawet jeśli nie miał jej Gajdamowicz.

– Porozmawia pan z nim? – zapytał Laubego.

– To pan chce z nim rozmawiać. Ja nie muszę. Jeśli on będzie chciał rozmawiać z panem, to niczego nie zmienię i nawet nie będzie takiej potrzeby, jeśli nie, też nie będę miał na to wpływu.

– W porządku... Kto zarządza majątkiem związku? Tym, który pozostał?

– Pan Gajdamowicz. Mam oczywiście pełnomocnictwa w pewnym zakresie, ale osobą decyzyjną jest on.

– Pan opłaca czynsze, rachunki, dba o lokale, które wynajmujecie, zajmuje się domem w Załomiu?

– Tak.

– Nie zdziwiło pana, że najemca lokalu na ulicy Gdyńskiej przestał się odzywać?

– Nie kontaktuję się z najemcami, chyba że chodzi o jakąś nagłą sprawę.

– Pan ma informacje na temat członków związku?

– Zapewne nie takie, jakich by pan oczekiwał. O co konkretnie panu chodzi?

– Nazwiska. Jedyne, jakie mam, to te ze statutu Kościoła, jeszcze z lat dziewięćdziesiątych. Oraz kilka innych: osób zameldowanych w lokalach związku wyznaniowego w całym mieście. Nieruchomości nie przepadły, jak widzę, bo nie uznano ich za majątek pochodzący z przestępstwa, lecz za własność związku, tak?

– Nie jestem upoważniony do udzielania żadnych informacji w tym zakresie.

– Muszę używać narzędzi, które daje mi prawo, żeby te informacje od pana uzyskać?

– Tak. Tak to jest skonstruowane. Nie działamy na podstawie nieformalnych próśb, ani tym bardziej gróźb, tylko na podstawie

przepisów prawa. I ja, i pan tak działamy. To, o co pan pytał, też może pan sprawdzić, używając narzędzi prawnych.

– Chodzi o czas. – Rędzia poczuł, że znów lekko skoczyło mu ciśnienie.

Rozumiał postępowanie Laubego, taki w końcu chłop miał zawód, ale tu naprawdę chodziło o coś więcej niż krycie ewentualnych wątków sekty. Czy tam, kurwa, związku wyznaniowego.

– Przykro mi.

– Argument o chronieniu życia ludzkiego też do pana nie przemówi? – zapytał prawnika.

– Pan wybaczy, to jest dramatyzowanie. – Laube mlasnął, unosząc głowę, jakby był zmęczony spotkaniem.

– Dworzak. To ten z Gdyńskiej. Zabity. Bogu ducha winny dziennikarz. Zabity. To nie jest dramatyzowanie. Zginęli ludzie. Spływa to po panu jak po kaczce? Obstawiamy, kto następny? Gajdamowicz? A może to pan będzie następny?

Prawnik spuścił głowę.

– Jedyne, co w tej sytuacji mogę panu doradzić, to spotkanie z moim klientem – bąknął.

– Jest w stanie rozmawiać?

Laube westchnął. Odepchnął się od biurka, obszedł je i usiadł na obrotowym fotelu z białej skóry.

– Co mogę panu powiedzieć. – Spojrzał z dołu na komisarza, a jego półuśmiech był tylko grymasem pozbawionym jakiegokolwiek wesołości. – Stryj jest w terminalnej fazie choroby. Pozostało już tylko leczenie paliatywne.

18

październik 2020

Rędzia wrócił na chwilę do komendy po Berdaka i żeby zgłosić naczelnikowi kolejne wyjście, tym razem do hospicjum. Czekał, aż Berdak wypije swoją kawę, szykował się powoli do wyjścia, kiedy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich naczelnik Kurylak.

– Jedźcie na Zbójnicką do zabójstwa – poinformował krótko, a Rędzia z Berdakiem, słysząc tę zbitkę, popatrzyli na siebie z lekkim rozbawieniem.

– Kumulacja – rzucił Berdak.

– Jedźcie szybko, podobno to jatka. – Kurylak jakoś się nie roześmiał, mimo że wiedział, o co chodzi Berdakowi. – W jakimś domu leży wybebeszony trup.

W milczeniu włożyli kurtki i zeszli na dół po służbowy samochód, a na miejscu byli niecały kwadrans później.

Okazało się, że dom, w którym popełniono zbrodnię, znajduje się niemal na samym końcu zabudowań ulicy, kilkadziesiąt metrów dalej zaczynała się pola, a ona sama zmieniała się w drogę prowadzącą do Ostoi. Okolica była spokojna, odgłosy ruchu samochodowego z niedalekiej Europejskiej tu nie dochodziły, a ciszę mąciło jedynie sporadycznie ujadanie psa albo warkot jakiejś maszyny z okolicznej budowy. Przed posesją stał radiowóz i karetka pogotowia, oba samochody miały wyłączone koguty. Radiowóz był pusty, za kierownicą ambulansu siedział znudzony ratownik.

– Z tyłu – rzucił do Rędzi i Berdaka stojący przy furtce policjant.

– Nie w domu?

– Nie. W podwórzu jest warsztat. To tam go...

Skręcili więc i przez otwartą bramę weszli na podwórko. Pod szczytową ścianą domu stał jeszcze jeden funkcjonariusz.

– Nie chcecie tego widzieć – powiedział.

Przystanęli odruchowo i mu się przyjrzeni. Był blady. Trząśł się, prawie niezauważalnie, ale jednak. Na ustach miał resztki wymiocin, które starł, kiedy tylko zorientował się, na co patrzą. Nie był młody, na pagonach miał po trzy krokiewki, więc musiał już sporo widzieć. Tym bardziej obraz, jaki sobą przedstawiał, był jeszcze smutniejszy i stanowił smętną zapowiedź tego, co Rędzia z Berdakiem mieli za chwilę zobaczyć.

– Ja nigdy nie chcę takich rzeczy oglądać – powiedział komisarz do sierżanta. – Ja tylko muszę.

Kiedy stanęli w otwartych na oścież drzwiach budynku warsztatowego, obaj jak na komendę wciągnęli do płuc ogromny haust powietrza. Zostali w wejściu, nie przekraczając progu, dotykając się ramionami i nie pojmując w pierwszej chwili, na co patrzą. Rejestrowali kolejne szczegóły, coraz mniej rozumiejąc z tego, co widzą, a krew odpływała im z twarzy.

Podłoga pokryta była wiórami, które przypominały teraz lepki, brudnoczerwony i spieniony kożuch. Skrwawiony strzęp nagiego człowieka leżał rozciągnięty na stole do cięcia desek. Na sobie miał resztki jakiegoś sznurka, albo taśm, którymi sprawca musiał go skrępować i przywiązać do stołu. Pomiedzy kolanami sterczała zębata tarcza piły, umazana czerwienią, podobnie jak cała powierzchnia stołu, ciało i podłoga. Na stopach widać było nacięcia, palce nóg sterczały na boki, wielkie, krwawe szczeliny sięgały niemal do kolan, nad którymi morderca zawiązał gumowe stazy. Brzuch był rozcięty, płaty skóry pokryte od wewnątrz żółtą warstwą tłuszczu odsłaniały jelita i kilka dużych narządów wewnętrznych, a wszystko błyszczało czerwienią w świetle zwieszających się z sufitu świetlówek. Denat nie miał moszny i palców u rąk, w klatce piersiowej ziała ogromna rana, z której pobłyskiwała biel potrzaskanych żeber i mostka. Poprzecinane ścięgna przedramion wystawały spod skóry, a głowa tkwiła w imadle. Długie włosy koloru soli z pieprzem rozsypane były wokół niej jak promienie aureoli na obrazie przedstawiającym jakiegoś zamęczonego świętego. Dolną połowę twarzy zasłaniało coś

w rodzaju maski, która była zapewne kneblem. I trudno było mówić o twarzy. Twarzy nie było. Zamiast niej była krwawa miazga.

Rędzia z Berdakiem wycofali się w milczeniu. Komisarz odwrócił się w stronę podwórza, chcąc zobaczyć choć skrawek nieba, zieleni drzew, czegokolwiek, co nie byłoby czerwone.

– Ostrzegałem – dotarło do niego jak przez watę.

Czuł się, jakby był pod wodą, tylko bez wody. Czuł opór przy każdym ruchu, jakby coś go powstrzymywało. Berdak był tak samo wstrząśnięty.

– Poczekamy na prokuratora – powiedział Rędzia nieswoim głosem. – Niech nikt tam nie wchodzi, pod żadnym pozorem. Wiadomo kto to? – zapytał sierżanta, którego twarz powoli odzyskiwała kolory.

– Ofiara to Leszek Bogdański. Znalazła go żona. To znaczy nie widziała jego twarzy, nie wchodziła do środka, ale twierdzi, że to on. Sąsiedzi wezwali pogotowie, dali jej coś na uspokojenie, chcieli zabrać do szpitala, ale się nie zgodziła, bo się boi covidu, jest podobno poważnie chora. Są w domu, siedzi z nią sąsiadka... Lekarz też tam jest.

Komisarz odetchnął głęboko chłodnym powietrzem. Czuć w nim było lekką woń spalenizny; zaczynał się sezon grzewczy i w piecach lądowały nie tylko drewno, brykiet czy węgiel.

– Zadzwonisz do prokuratury, Jarek? – zapytał Berdaka i nie czekając na odpowiedź, jak automat ruszył w kierunku domu. Drzwi były lekko uchylone, więc pchnął je, wszedł do środka i ogarnął go półmrok. Kiedy otworzył drugie drzwi, znów pojawiło się światło dnia. Wiedziony głosami dotarł do kuchni, w której zastał pięć osób: lekarza i dwóch ratowników z karetki oraz dwie kobiety. Rędzia zorientował się, że ta leżąca na kanapie to żona denata. Nad nią z przejęciem pochylała się druga. Jeden ratownik stał przy Bogdańskiej, drugi pakował walizkę, a lekarz wypisywał jakieś kwity, siedząc na małym taborecie pod ścianą.

Rędzia się przedstawił.

– Pani jest...? – Zawiesił znacząco głos, spoglądając na kobietę stojącą obok kanapy.

– Sąsiadką. – Zarumieniła się.

– Proszę poczekać na zewnątrz, dobrze? Chciałbym porozmawiać z panią... Bogdańską, tak?

– Tak – odparła krótko sąsiadka.

Nie patrząc na Rędzię, wyszła z pokoju.

– Wiem, że przechodzi pani ciężkie chwile, ale chciałbym zadać kilka pytań. To bardzo ważne, żeby zrobić to na gorąco, rozumie pani?

– Przykro mi, ale nie zgadzam się na rozmowę, pani przeżyła naprawdę duży wstrząs – oznajmił nagle lekarz, unosząc wzrok znad papierów. – Moim zdaniem nadaje się do szpitala, ale odmawia.

Rędzia popatrzył na leżącą na kanapie kobietę, bladą jak kreda, z podłączonym do przedramienia wężykiem biegnącym od trzymanego przez ratownika pojemnika z solą fizjologiczną zaprawioną zapewne jakimś lekiem. Drugą rękę trzymała na piersi, unoszącej się w rytm szybkiego oddechu. Komisarz odwrócił się; nie miał tu teraz nic do roboty.

– Czy to długo potrwa? – zapytała Bogdańska słabym głosem, kiedy komisarz zmierzał ku wyjściu, machając ręką w stronę okna wychodzącego na podwórze.

– Tyle, ile będzie trzeba, przykro mi – odpowiedział i wyszedł przed dom.

Sąsiadki już nie było. Wrócił do Berdaka, który rozmawiał z kimś przez telefon. Jarek rozłączył się, kiedy zobaczył Rędzię.

– Jak to zniosła? – zapytał.

– Jeszcze nie zniosła – mruknął komisarz.

Berdak schował komórkę, rozłożył ręce i obejrzał się na warsztat, jakby niski budynek przyciągał wzrok.

– O co chodziło temu rzeźnikowi? – zapytał Rędzię albo sam siebie. – O co tu, kurwa, chodzi... Chcieli wyciągnąć informacje, gdzie trzyma kasę?

– Nie sądzę. Ułamek tych obrażeń wystarczyłby, żeby wszystko wyśpiewał. Sprawca zadał sobie sporo trudu. Jemu musiało sprawiać przyjemność patrzeć, jak ofiara się męczy. To chyba jednak nie o to chodziło, Jarecki. Za dużo tego jest, za dużo krwi. Mamy tu do czynienia z psycholem, i to z niezłym bałaganem na strychu. – Popukał się w głowę.

Rozmowę przerwało im trzaśnięcie drzwi samochodu, który chwilę wcześniej zaparkował przed bramą. Zobaczyli trzydziestokilkuletniego mężczyznę w puchowej kurteczce i musztardowych spodniach, z teczką w rękę, który podszedł najpierw do stojącego przy bramie policjanta, wylegitymował się mu, a potem wszedł na podwórze.

– Prokurator Robert Chabior, prokuratura rejonowa Szczecin-Zachód – przedstawił się im.

Zwyczajowe podanie dłoni było od kilku miesięcy nieaktualne, być może nawet miało nigdy nie powrócić i zniknąć w mrokach dziejów, tak jak zwyczaj całowania kobiet w rękę, choć z zupełnie innego powodu.

– Przepraszam, czy będę jeszcze potrzebny? – Lekarz pogotowia, którego Rędzia widział w domu z Bogdańską, zjawił się niespodziewanie i podszedł do nich: nagle na środku podwórka utworzył się mały tłumek.

Zanim Rędzia zdążył otworzyć usta, prokurator wypalił:

– Owszem, będzie pan. Jako prokurator niniejszym postanawiam o powołaniu pana na biegłego w sprawie.

– Proszę! – Lekarz wytrzeszczył na niego oczy, szyja niemal mu się schowała za kołnierzem czerwonego kombinezonu, jakby poczuł się urażony propozycją, a właściwie poleceniem. – Odmawiam.

– Nie może pan.

– Mogę. Właśnie to robię.

– Naraża się pan na konsekwencje prawne. To będzie odnotowane w protokole oględzin.

– Proszę pana, ja jestem anestezjologiem. Co mam tam zrobić? Ja się nie znam na kryminalistyce, przecież zادهpczę wszystko... Zlituj się, człowieku!

– Bez biegłego nie przeprowadzę oględzin, rozumie pan?

Rędzia podszedł do prokuratora.

– Pan da mu spokój – mruknął cicho. – Postaram się załatwić lekarza z sądówki. Na cito.

Wyciągnął telefon i wciąż nie mogąc się pozbyć z myśli obrazu, który zobaczył przed chwilą w warsztacie, zadzwonił do Tomka Knapika.

– Przyjechałbyś na miejsce zdarzenia? – zapytał, kiedy Knapik odebrał.

– Pierwszy raz spotykam się z taką niezwykłą formą wezwania biegłego – odpowiedział z pełnymi ustami, widać telefon przerwał mu drugie śniadanie. – Ta kurtuazja to nowe zarządzenie komendanta głównego policji, o którym nic mi nie wiadomo, czy żart szanownego pana?

Rędzia odszedł kilka kroków i ściszył głos.

– Na miejscu jest lekko spanikowany świeżak z rejonówki, a denat... Cóż, zapewniam cię, że jeszcze czegoś takiego nie widziałeś.

Znał zacięcie, z jakim Knapik oddawał się pasji, która była jego zawodem: dokładnie taka była kolejność, najpierw pasja, potem zawód.

– Ja naprawdę sporo widziałem – ostrzegł komisarza lekarz.

– Stawiam ci sushi, jak się nie zdziwisz. To zabójstwo.

– Zaciekawieś mnie teraz i dawno nie jadłem sushi. Gdzie mam być?

– Zbójnicka. – Rędzia wyjaśnił mu, jak dojechać na miejsce.

Od razu wiedział, że Knapik połknie haczyk. I nie chodziło o sushi. Przyjechałby nawet wtedy, gdyby zaproponował mu suchą bułkę.

– Dwadzieścia minut – sapnął medyk. – Ostrzegam, sporo jem, będzie cię to słono kosztować.

Komisarz wrócił do grupki mężczyzn.

– I jak? – Chabior zacierał ręce i masował sobie knykcie palców lewej ręki.

– Niedługo się zjawi.

– I bardzo dobrze. – Lekarz zsalutował, odwrócił się na pięcie i ruszył pośpiesznym krokiem w stronę domu ofiary, jakby bał się, że zaraz zatrzyma go głos prokuratora.

Rędzia, Chabior i Berdak oraz policjanci z patrolu odprowadzili go spojrzeniami, a każdy z nich dałby wiele, żeby zamienić się z nim miejscami. Przynajmniej kiedy skończy z Bogdańską, wróci do bazy i będzie mógł napić się czegoś ciepłego.

Tymczasem przyjechała ekipa kryminalistyczna wezwana przez Berdaka. Dwóch techników w milczeniu wkładało na mundury jednorazowe kombinezony, a wszyscy patrzyli na nich jak na śmiałków, którzy za chwilę mają wyruszyć na jakąś misję o nikłych szansach powodzenia. Rędzia stał obok prokuratora, który robił to, co pozostali – gapił się na techników.

– Próbowałem porozmawiać z żoną ofiary, ale lekarz się nie zgodził ze względu na jej stan – poinformował Chabiora.

Prokurator mruknął coś pod nosem i stali przez kolejne kilkanaście sekund w milczeniu.

– Trzydzieści procent składu chorzy albo na kwarantannach, pracujemy na zmiany, wymieniamy się dyżurami, próbujemy to ogarnąć – powiedział nagle do Rędzi, nie patrząc na niego, a ton jego głosu mógł wskazywać na to, że się komisarzowi tłumaczy. – Jestem zmęczony.

Rędzia pokiwał w milczeniu głową i obaj odprowadzili wzrokiem techników, którzy po chwili zniknęli w warsztacie, po czym Chabior wyjął z kieszeni kurtki paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę komisarza. Ten odmówił. Prokurator zapalił, a Rędzia odwrócił wzrok, choć czuł zapach tytoniowego dymu, który przynajmniej zabijał smród tego z kominów. Kiedy usłyszeli, że na ulicy zatrzymuje się samochód, odwrócili się. Przed ogrodzeniem parkował stary nissan almera, którego kolor można by określić jako przeważająco zielony. Wsiadł z niego Knapik i pomachał z daleka Rędzi, a Chabior krzyknął do policjanta przy bramie.

– Wpuścić!

Knapik nawet się nie przywitał, tylko od razu powędrował w stronę budynku warsztatu. Widzieli, jak zatrzymuje się w drzwiach, stoi tak kilkanaście sekund, a potem odwraca się do nich. Minęły kolejne trzy sekundy, zanim ruszył w ich stronę.

Kiedy już podszedł, spojrzał na Rędzię wielkimi oczami.

– Obiektywnie rzecz ujmując: nici z sushi, a tak się napaliłem. – Pokręcił głową. – Muszę tam wejść. Dacie mi kombinezon?! – krzyknął do technika, który wychynął na chwilę przez drzwi warsztatu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Tamten kiwnął głową na potwierdzenie, więc Knapik ruszył w jego stronę. Widzieli, jak rozmawiają chwilę, technik pokazywał mu coś przez drzwi, potem Knapik pokazał mu podeszwy butów i w końcu tamten pozwolił mu wejść, a sam wszedł za nim. Po kilku ciągnących się jak wieczność minutach, podczas których przez okno warsztatu widać było tylko błyski flesza, patolog wyszedł. Rędzia ledwo się powstrzymał przed ruszeniem mu na spotkanie. Chciał jak najszybciej dowiedzieć się, co tam się wydarzyło.

– Dobra, na gorąco: to, że był torturowany, już wiecie, bo to widać gołym okiem. Wypadek przy pracy z piłą to to z pewnością nie był. Ciężkie obrażenia obejmują praktycznie każdą część ciała. Rany, te drobne, jeśli mogą tak w ogóle powiedzieć, zadano z dużym znawstwem. To było preludium do reszty. Nie były groźne, ale bardzo bolesne. Bardzo. Miażdżenie stawów łokciowych i kolanowych. Uderzenia w brzuch, następnie otwarcie powłok brzusznych. Odcięcie moszny i jąder. Nacięcia ścięgien przedramion, i raczej nie są to obrażenia obronne, bo są zbyt

regularnie rozmieszczone i jednakowe. Obcięcie palców u rąk. Obcięcie uszu. Potem położył go na stole z piłą, włączył ją i zaczął mu nacinać stopy. Aha, przedtem podwiązał stazy, żeby zmniejszyć wypływ krwi z przeciętych naczyń. I sam nie wiem, czy to było już po ścisaniu głowy w imadle, czy przed. I zastanawiam się, czy to w ogóle ma znaczenie. W obu przypadkach ból jest niewyobrażalny. Wziąwszy pod uwagę skalę obrażeń, czynności, które trzeba było wykonać, żeby zmienić ustawienie ciała, i czas, którego wymagały, to musiało trwać co najmniej kilkadziesiąt minut. Powodem śmierci był zapewne potężny cios w klatkę piersiową, który spowodował przebicie serca żebrami i masywny krwotok. Rana jest wypełniona krwią, więc żył jeszcze po tych wszystkich obrażeniach i sam się dziwię, jak to możliwe. Jak to wytrzymał przez tyle czasu... Szok, ból, upływ krwi, a on wciąż żył... Nie do wiary. Po prostu nie do wiary. Jedno jest pewne: facet, który go męczył, wiedział, co robi.

– Zbyt długo to trwało jak na afekt czy szal – zauważył Chabior.

– To oczywiste. – Knapik uśmiechnął się lekko. – Ale ja mówię o znajomości anatomii. Morderca chciał, żeby ofiara cierpiała, i robił to z dużą znajomością rzeczy, rozumiecie? Choć moim zdaniem już samo ścisanie głowy imadłem wystarczy, żeby zwariować z bólu... Kurwa, wszystko, co tamten mu zafundował, wystarczyło, żeby zwariować. A potem, kiedy następuje ten moment, że ofiara woli umrzeć, niż dalej tak cierpieć, on odpuszcza, żeby po jakimś czasie dokręcić śrubę. Jest tam pojemnik z jakąś mocno woniejącą substancją, która zapewne służyła do cucenia. To najpotworniejsza śmierć, jaką widziałem. I jaką jestem w stanie sobie wyobrazić.

Berdak chciał chyba coś powiedzieć, Rędzia widział, jak bierze oddech i otwiera usta, ale nagle zrezygnował, bo wypuścił nadmiar powietrza i zamknął usta. Też był biały jak kreda.

– Kto może znać anatomię? – zapytał Knapika. – I to na tyle dobrze, żeby zrobić coś takiego?

– Mnóstwo ludzi. – Patolog wzruszył ramionami. – Znajomość ułożenia narządów to jedno, ale przebieg ścięgien, na przykład... Wiedzą to lekarze, wuefiści, fizjoterapeuci. Wszyscy, którzy przykładali się na studiach do tego przedmiotu. Tylko ilu z nich będzie w stanie wykorzystać to potem w taki sposób?

– Anatomopatolodzy też przyswoili taką wiedzę – powiedział Rędzia, mrugając do niego, a ten w odpowiedzi podrapał się środkowym palcem pod okiem i mrużąc je, odparł:

– Anatomopatolog to też lekarz, czyż nie?

Nędzna próba rozładowania napięcia podjęta przez komisarza i podchwycona przez Knapika spełzała na niczym i wszyscy to wiedzieli. Ale przynajmniej była jakaś próba.

– Czas zgonu? – zapytał prokurator.

– Jakąś dobę temu. Popytajcie sąsiadów, kiedy ktoś tu używał piły, na pewno to słyszeli, choć pewnie myśleli, że robota wre. No i wrzała. – Obejrzał się.

– A jego wrzasków nikt nie słyszał? – zdziwił się Berdak.

– Jest starannie zakneblowany. W nozdrzach ma jeszcze rurki, pewnie po to, żeby ułatwić dostęp powietrza. Morderca nie chciał, żeby udławił się wydzielinami z nosa. Podczas płaczu, który jest reakcją na strach, może wydzielać się spora ich ilość. Pomyślał o wszystkim. Macie sporą zagwozdkę. – Zerknął na nich z błyskiem w oku, który można by uznać nawet za przejaw lekkiej wesołości, pewnie dlatego, że zniósł to wszystko najlepiej z nich.

W końcu praktyka czyni mistrzem. Albo... obojętnym.

– Dobra, dzięki. – Komisarz westchnął.

Odeszli w stronę domu. Rędzia wsadził ręce do kieszeni i przebierał w nich palcami. Miał ochotę zapalić. Zająć świerzbujące palce białą rurką, wessać do płuc dym, zatrzymać go tam i wydmuchać w niebo, patrząc, jak rozwiewa się i znika. Nie palił od lat i nie miał zamiaru wracać do nałogu. Dziś tylko po raz pierwszy żałował, że rzucił. I choć wiedział, że to irracjonalne, miał za złe Chabiorowi, że zapalił przy nim. I że w ogóle wyciągnął te cholerne fajki.

– Kurwa, co musi mieć taki zjeb w głowie – wysapał Berdak, potupując w miejscu, i po chwili sam odpowiedział na pytanie, przynajmniej częściowo. – Zbok pierdolony.

– Jest jeszcze inna możliwość – zauważył Rędzia, kiedy nagle wpadło mu coś do głowy.

Ochota na papierosa przeszła mu trochę: nie do końca, ale nie była to już natrętna myśl wwiercająca się w mózg.

– Jaka?

– Motyw stary jak ten popieprzony świat. Zemsta.

– Zemsta? Co trzeba komuś zrobić, żeby zasłużyć na coś takiego?

Komisarz obejrzał się na budynek warsztatu i wzruszył ramionami.

– Co mam ci powiedzieć? – Chrząknął i zamknął oczy.

Otworzył je sekundę później, kiedy pod powiekami znów ujrzał rozciągniętego na stole Bogdańskiego. To było jak powidok po spojrzeniu prosto w słońce, tylko zamiast jasnego kółka pod powiekami była ludzka sylwetka z flakami na wierzchu. Rędzia zerknął na Berdaka. Jarek dalej tupał w miejscu, jakby było mu zimno w stopy. Wpatrywał się w czubki swoich butów.

– Dawno, dawno temu, w czasach gdy jeszcze szlifowałem krawężniki, wezwano nas do wypadku – powiedział niespodziewanie. – Samochód uderzył w chłopaka na motorowerze i przycisnął go do murku, tak że dzieciak nie mógł się wydostać z tej pułapki. I silnik tego samochodu stanął w płomieniach. Nikt nic nie zrobił, ogień szalał, tamten chłopak podobno wrzeszczał, próbował się wydostać i tak umarł, z rękami w górze, zastygł, jakby skamieniał, i tak go właśnie zobaczyłem po przyjeździe: ni to wisiał, ni stał, szerniały i dymiący... Tydzień nie mogłem jeść. Przez te piętnaście lat śniło mi się to kilkanaście razy. To była najgorsza rzecz, jaką widziałem w życiu. – Popatrzył na Rędzię. – Do dzisiaj... Chciałem to powiedzieć temu lekarzowi, ale kurwa po co?

Rędzia tylko pokiwał głową. Mówienie czegokolwiek nie miało sensu. Po tym, co zobaczyli w warsztacie, nic nie miało sensu. Na pewno takie poczucie będzie im towarzyszyć przez jakiś czas. Wiedział, że kiedy wróci do domu, zamknie się w pokoju, a Bożena nawet nie będzie o nic pytać. Postłucha sobie czegoś, może to będzie Wardruna, a może Heilung albo Bystanders Besides, a potem wyjdzie do nich: do niej i do chłopaków i obejrzą sobie Harry'ego Pottera albo Avengersów. W nocy przytuli się do Bożeny, ale nie będzie miał ochoty na seks. Będzie chciał tylko czuć, że jest w jego życiu coś dobrego, jakaś opoka, której mógł być pewny i do której mógł wrócić po takim dniu jak dziś.

Czynności na miejscu trwały jeszcze około dwóch godzin. Gdy pracownicy firmy pogrzebowej pakowali ludzkie szczątki, w które zmienił się Bogdański, był to sygnał do odwrotu. Rędzia odpuścił sobie rozmowę

z Bogdańską na dziś: to i tak nie miało sensu. Owszem, liczył się czas, ale umysł po przejściu takiego wstrząsu nie pracuje racjonalnie. Musiała najpierw dojść do siebie. Na razie Rędzia mógł się skupić na sprawie Dworzaka i Balińskiego.

Kiedy dotarł wreszcie do domu, było już ciemno. Nie chciał obiadu, wiedział, że stanie mu w gardle. Wiedział też, że musi minąć trochę czasu, zanim będzie mógł normalnie jeść. W końcu wszystko wróci do normy, o ile w ogóle wiadomo, co jest normą.

Wieczorem Bożena umyła mu pod prysznicem plecy, masując go wzdłuż kręgosłupa, po łopatkach i mięśniach karku. Poddawał się temu, wsłuchując się w szum wody i pozwalając, żeby cienkie, wodne bicze biły go po twarzy. Miał wtedy poczucie, że choć trochę zmywają z niego bezbrzeżne okrucieństwo, którego jakaś część, razem z obrazem, jaki zobaczył w warsztacie, weszła w jego duszę. Weszła, utkwiała i załęgła się obok innych, nie tak wstrząsających, ale także strasznych, które widział wcześniej.

– Wszystko w porządku? – zapytała Bożena, kiedy już zgasiła światło i położyli się spać.

– Dawno nie miałem tak koszmarnego dnia w robocie – odparł wymijająco, przytulając się do niej na łyczeczkę.

Nie był zwolennikiem sposobu niwelacji ciężaru negatywnych emocji poprzez zrzucanie ich, przynajmniej częściowo, na innych, a zwłaszcza na najbliższych. O ile mógł sobie o tym podyskutować z Berdakiem, który z racji zajęcia podlegał wyłączeniu od tej zasady, o tyle nie wyobrażał sobie, że mógłby o czymś takim opowiedzieć żonie. Po co? Czy byłoby mu lżej? Pewnie tak, przez chwilę. A potem, widząc, jak to na nią wpłynęło, miałby wyrzuty sumienia. Pamiętał, jak ciężko zniósła ukrywanie się, w czasie gdy prowadził sprawę „Nietykalnego”, i od tej pory nie mówił jej o niczym, co mogłoby ją zdołować. Tak było lepiej. I dla niej, i dla niego. Tylko faktycznie, czasem jednak przynosił tę cholerną robotę do domu we własnej głowie...

19

październik 2020

Następnego dnia rano, niemal od razu po przyjsciu do pracy, Rędzia zasiadł przy biurku. Chciał załatwić sprawę z Gajdamowiczem jak najszybciej, ale jeszcze w nocy, kiedy obudził się na chwilę wtulony w plecy Bożeny, uświadomił sobie, że nie dają mu spokoju słowa Knapika, opisującego obrażenia Bogdańskiego. Wspomniat, że sprawca wiedzial, co robi. Znal anatomię. To samo stwierdzil jakis czas temu, opisujac rany zadane Dworzakowi i Balińskiemu.

Berdak siedzial cicho przy swoim biurku i czytatal gazete, siorbiac poranna kawę, bez ktorej, jak twierdzil, wcial spał, tylko z otwartymi oczami. Rędzia zalogowal sie do swojego komputera i wszedl w baze PESEL, wpisujac imie i nazwisko Bogdańskiego. Wskoczyly trzy rekordy, wiec wszedl w ten, ktorego PESEL zaczynajacy sie od 69 moglec byc wlasciwym. Kiedy wskoczyly dane, zastygł w bezruchu. Berdak zauwazył kątem oka, że kolega zza biurka przestal sie nagle ruszac i odzywac, wiec odwrócił sie w jego strone.

Komisarz patrzył na niego pustym wzrokiem.

– Jezu, patrzysz na mnie jak Ewa – powiedzial Berdak lekko zaniepokojony.

Rędzia ocknal sie z zamyślenia.

– Jaka Ewa? – zapytal.

– Z mojego przedszkola.

Komisarz zamrugal, teraz on byl zaniepokojony.

– Co ty do mnie mowisz? – zapytal.

Berdak poprawił się na krześle i odstawił kubek z kawą na stół.

– Nie chodziłem do żłobka, ale chodziłem do przedszkola. I kiedyś w tym przedszkolu pewnego dnia jedliśmy na obiad rosółek. Obok mnie siedziała moja koleżanka Ewa i ten rosółek z niej wyszedł: ustami i nosem. I ona tuż przed tym tak na mnie patrzyła, jak ty przed chwilą. Miała identyczny wzrok, przysięgam.

– Widzę, że to tobą wstrząsnęło?

– Przedszkolanka kazała kolegom pomóc mi czyścić mój sweterek, ale żaden nie chciał... To dlaczego tak na mnie patrzyłeś?

– Bo ten Bogdański zmienił kilka lat temu nazwisko.

– Nie on jeden.

– Wiesz, jak nazywał się poprzednio?

– No, skąd mam wiedzieć? Pewnie jakoś głupio, bo wtedy się zwykle zmienia nazwisko.

– Leszek Kublicki. Mówi ci to coś?

– Coś mi świta... – Berdak zmarszczył brwi i pstryknął palcami. – Kościół Gajdamowicza?

– Drugi po Bogu. Zastępca. Tak było w papierach... Idę do Kurylaka zgłosić wyjście. Muszę pogadać z panią Bogdańską i mam nadzieję, że już się otrząsnęła.

* * *

Rędzia dojechał na Zbójnicką w niecały kwadrans. Znów zaparkował w tym samym miejscu co wczoraj. Wszedł na teren posesji przez furtkę, bo brama była zamknięta, a za nią na podjeździe z azurowych płyt wkopanych w trawę stał jakiś samochód na polickich tablicach. Drzwi warsztatu były zamknięte, widział czerwoną plamkę naklejonej na nie policyjnej plomby. Komisarz wzdrygnął się na wspomnienie widoku z jego wnętrza. Sprzątanie zajmie pewnie sporo czasu i z pewnością będzie wymagało specjalnych środków oraz mocnych nerwów.

Zadzwoił do drzwi. Zdziwił się lekko, kiedy otworzył mu jakiś wysoki, barczysty mężczyzna w ciemnym dresie. Miał wygolone boki głowy i spiczastą, zadbaną brodę.

– Tak? – Głos kompletnie nie pasował do postury, był jak ukradziony nastolatкови tuż po przejściu mutacji.

– Do pani Bogdańskiej, policja – rzucił Rędzia urzędowym tonem.

Brodacz odsunął się, ale zamiast wpuścić komisarza i zamknąć za nim drzwi, nagle jakby zmienił zdanie, obrócił się na pięcie i ruszył pierwszy w głąb domu. Rędzi to nawet pasowało. Nie lubił, kiedy ktoś szedł za nim. I nawet nie powinien do tego dopuszczać, przynajmniej będąc w pracy. Zamknął za sobą drzwi i poszedł za brodaczem, po chwili znalazł się w tym samym pokoju, w którym był wczoraj. Tym razem Bogdańska nie leżała na kanapie, ale siedziała przy stole. Nie było też ani lekarza, ani ratowników, ani nawet sąsiadki. Był tylko brodacz, który łyptał na niego z zaciekawieniem.

– Pan jest z policji, Dagmara. – Znów ten głosik cherubinka, który wypił zimną colę na mrozie.

Rędzia przedstawił się oficjalnie, podając swoje dane. Wczoraj widział Bogdańską tylko przez chwilę i teraz mógł się jej lepiej przyjrzeć. Siedziała tyłem do okna, ale na przeciwległej ścianie wisiało wielkie lustro w złotonej ramie, które odbijało światło, rzucając je na jej twarz. Dziś nie była już taka blada. Nabrała trochę rumieńców, choć odcień skóry mógł wskazywać, że Bogdańska jest albo przemęczona, albo za bardzo o siebie nie dba. Temu drugiemu przeczyły ubiór i biżuteria, którą była obwieszona. Krótkie włosy miały intensywnie miedzianą barwę, ale były dość rzadkie, zbite w lekko kręcące się loczki. Brwi podkreślone tatuażem zgodnie z obecną modą razem z pociągniętymi karminową szminką ustami nadawały Bogdańskiej lekko złowieszczy wygląd. Może nie hetery, ale na pewno kobiety, która nie da sobą pomiatać. Przed nią na stole stała wysoka szklanka. W środku była słomka i coś z bąbelkami, niekoniecznie woda, choć klóciło się to z baterią buteleczek i blistrów z tabletkami, leżących obok.

– To znajomy – powiedziała Bogdańska wątłym i matowym głosem, wskazując brodacza. – Wspiera mnie w tych trudnych chwilach.

– Rozumiem.

– Zimnicki. – Mężczyzna podszedł do Rędzi i wyciągnął rękę na przywitanie, ale Rędzia zignorował to, patrząc mu prosto w oczy. Zimnicki zrobił minę, jakby poniewczasie pojął swój błąd, i uśmiechnął się lekko.

Rędzia nie.

– Chciałbym porozmawiać z panią Bogdańską na osobności – powiedział. – Zostawi pan nas?

Pytanie było oczywiście retoryczne i Zimnicki tak je zrozumiał. Zerknął na Bogdańską, jakby dodawał jej otuchy, i wyszedł do sąsiedniego pokoju, a Rędzia usiadł przy dębowym stole i popatrzył kobiecie w twarz.

– Może pani rozmawiać? – zapytał.

– Walczę z rakiem – zaszlochała nagle. – Pół roku temu skończyłam ostatnią chemię, jeszcze dochodzę do siebie, a teraz to... – Machnęła ręką, która od łokcia była luźna jak u lalki, więc ten ruch przypominał bezładne drgnięcie.

Nie wyglądała na pijaną ani nawet na wstawioną, więc może po prostu tak wyglądało jej naturalne zachowanie. Walka z chorobą mogła tłumaczyć cerę, tatuowane brwi i włosy, które pewnie dopiero odrastały po chemioterapii.

– Przykro mi... – bąknął Rędzia. – Rozumiem, że jeszcze nie jest pani gotowa, ale liczy się czas. Dlatego przyjechałem.

– Jestem gotowa. Porozmawiajmy, nawet o nim, byle nie myśleć, co się z nim stało.

– Dobrze. – Rędzia oblizał usta. – Rozumiem, że nie było pani w domu?

To nie było dobre pytanie, nie tak powinien je sformułować przesłuchujący, ale Rędzia jakoś nie miał na razie ochoty pytać wprost: w jakich okolicznościach znalazła pani ciało?

– Wróciłam od syna z Berlina. – Bogdańska potarła nos. – Byłam u niego kilka dni. Zobaczyłam, że w domu nikogo nie ma, ale samochód stał przed garażem, więc od razu poszłam do warsztatu. I tam... I tam go znalazłam... – Rysy jej twarzy znów się rozpląnęły, gdy przestała się kontrolować i pozwoliła, by zalała ją fala płaczu, który przypominał beczenie młodej owcy zostawionej przez stado.

W emocjach, które człowiek wyrzuca z siebie bez jakiejkolwiek kontroli w naprawdę stresującej sytuacji, nie ma piękna, nie ma myśli, jest tylko fizjologia, chaos i brzydota uwalniana ze łzami i krzykiem. W jakiś sposób zrównuje to przystojnych z brzydkimi, bo wtedy nikt nie dba o wygląd, nikt o tym nie myśli, po prostu w takich chwilach wszystkie myśli pierzchają i jest tylko pustka. A potem trzeba się pozbierać i żyć dalej.

Rędzia czekał w milczeniu. Był przekonany, że zaraz przerwą rozmowę, ale nie, Bogdańska uspokoiła się po jakimś czasie, nie patrząc na nikogo, powoli i starannie wytarła łzy, jakby zawstydzona swoim zachowaniem, które sądząc po jej minie, teraz wydało się jej niestosowne. Kiedy powróciła jasność myśli, pociągnęła nosem i jej twarz stężała w grymasie zaciętości.

– Proszę pytać – rzuciła, prostując się.

– Chciałbym najpierw zapytać o pani znajomego – powiedział.

– Którego?

Rędzia wskazał drzwi, za którymi niecałą minutę wcześniej zniknął Zimnicki.

– No co... – Wzruszyła ramionami. – Znajomy. O co tu pytać?

– W porządku. To przejdźmy do rzeczy. Czy mąż miał wrogów?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jak długo byliście państwo małżeństwem?

– Dwa lata.

– Rozumiem, że syn, od którego pani wróciła, nie jest jego synem?

– Nie. – Pokręciła głową. – Mój pierwszy mąż umarł kilka lat temu. Leszka poznałam w „Kafe Tango”, moje koleżanki wyciągnęły mnie tam, kiedy minęła żałoba, żebym wróciła do świata, może kogoś poznała... I poznałam. Był sensownym facetem, pracowitym, zaproponowałam mu, żeby zajął się warsztatem po mężu, który był stolarzem. Miał smykałkę do tego, dawni klienci wrócili... Stwierdziliśmy, że mamy swoje lata, rozumiemy się dobrze, może nie była to gorąca miłość, ale dogadywaliśmy się i w ogóle. – Wzruszyła ramionami.

– Jak syn zareagował na ten związek?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Co pan ma na myśli? Przecież jest dorosły, ma swoje życie.

– Chodzi mi o coś innego: wie pani, taki warsztat z wyposażeniem, dom i tak dalej są sporo warte, i jako scheda po ojcu...

– Sugeruje pan, że ze strachu o ewentualny spadek mój syn byłby w stanie zrobić coś takiego? – Otworzyła usta, jakby miała się zaraz roześmiać i chyba tylko świadomość, że byłoby to niestosowne w tej sytuacji, powstrzymała ją przed tym.

– Niczego nie sugeruję, wykluczam pewne możliwości i muszę ustalić fakty, to wszystko.

– Dziwnie pan to ustala.

– Moja praca jest czasem bardzo niewdzięczna, wie pani? A jaka pogoda była w Berlinie?

– Proszę? – Wyprostowała się i zrobiła minę, jak gdyby komisarz uraził ją tym pytaniem.

To nie było tylko zaskoczenie niespodziewaną zmianą tematu.

– Pytam, jaka pogoda była w Berlinie, kiedy pani wczoraj wyjeżdżała – powtórzył Rędzia.

– A co to ma do rzeczy?

– Odpowie mi pani?

– Normalna, taka sama jak tutaj – obruszyła się. – Jaka może być pogoda sto pięćdziesiąt kilometrów dalej?

Rędzia patrzył jej w twarz. Widział, jak źrenice rozszerzyły się odrobinę, a oddech lekko przyśpieszył. Zauważył, jak Bogdańska rzuca szybkie, ukradkowe spojrzenie na drzwi.

– Zdradzę pani teraz, jak mogę sprawdzić, czy pani była w Berlinie, czy nie – powiedział powoli i wyraźnie. – Są dwa sposoby, żaden nie jest zbyt wyrafinowany i nie zajmie mi to wiele czasu ani w jednym, ani w drugim przypadku. Po pierwsze: mogę zadzwonić do pani syna. Ustalić numer i zadzwonić, żeby zapytać, czy pani u niego była: kiedy pani przyjechała i kiedy wyjechała, a także co robiliście. Po prostu zadzwonię do pracy, po chwili dostanę jego numer i wybiorę go tu, przy pani. I porównam to, co powie syn, z tym, co powie pani. Drugi sposób, nieco dłuższy: sprawdzę, gdzie logował się pani telefon w ciągu ostatnich kilku dni, a potem sprawdzę, czy nie pokrywa się to czasem z miejscem zamieszkania pani znajomego, pana Zimnickiego. Co pani na to? – Patrzył, jak czerwienieje na twarzy. – Czy oszczędzi mi pani czasu i powie prawdę?

Bogdańska wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć, ale widać było, że zrobiła szybką kalkulację w myślach i stwierdziła, że to się jej nie opłaci.

– Co to ma do rzeczy? – zapytała spokojnie. – To moja prywatna sprawa.

– Niby tak. A wie pani może, jaka w statystyce zabójstw jest przewaga zabójstw tak zwanych kuchennych, popełnianych przez osoby pozostające

z ofiarą w bliskich relacjach rodzinnych lub po prostu dzielące wspólne gospodarstwo domowe?

– Pan coś sugeruje? – Prawie zachłysnęła się głęboko zaczerpniętym powietrzem. – Jak pan śmie?

– Sugeruję, żeby była pani ze mną szczerą, nic więcej. Najbliżsi ofiary to na początku prawie zawsze osoby podejrzane. Tak już jest. Niech mnie pani przekona, że nie mam powodów, żeby pani nie wierzyć. Bo jak na razie pani mi te powody daje. I jeśli po raz kolejny złapię panią na mijaniu się z prawdą, to będę miał naprawdę solidne podstawy, żeby uznać panią za główną podejrzaną.

– Jak pan może... – Głos lekko się jej załamał.

– Proszę pani, ja mam znaleźć mordercę pani męża, czy pani to rozumie? Co mam sobie myśleć, kiedy widzę, że pani kłamie w tak błahej kwestii? To co dopiero w poważnych?

Milczała przez chwilę.

– Nie byłam u syna w Berlinie – wycedziła. – A pan Zimnicki jest moim bliskim przyjacielem.

– Słuchała mnie pani uważnie? – Rędzia popukał palcem w stolik, zerkając gdzieś w kąt.

– Chce pan usłyszeć, że się pieprzymy? – Górna warga uniosła się, odsłaniając białe zęby. – No więc tak, pieprzymy się; pieprzyliśmy się przez trzy dni w mieszkaniu pana Zimnickiego w Policach, zadowolony pan jest teraz? Mam jeszcze doprecyzować ile razy? Gównu panu do tego. To moja sprawa!

– Nie musi pani być wulgarna.

– Sam pan chciał!

– Ja? Nic podobnego. A nie da się tego powiedzieć normalnie?

Bogdańska odwróciła głowę.

– Skoro mamy tę kwestię wyjaśnioną... – powiedział Rędzia po krótkiej przerwie – ...to może wrócmy do pani męża. Czyli stosunkowo niedługo się znaliście?

– Zgadza się – potwierdziła oschle.

– Zna pani jego przeszłość?

– Przeszłość?

– Co robił wcześniej w życiu, czy miał żonę, partnerkę, dzieci, gdzie pracował i tak dalej.

Zastanowiła się.

– No... Nie miał nigdy żony ani dzieci. W zasadzie nie miał żadnej rodziny, zawsze mówił, że od dziecka jest sam jak palec. Kiedyś był członkiem jakiegoś zboru, ale odszedł z niego.

Rędzia uśmiechnął się do siebie w duchu.

– Mówi pani coś nazwisko Gajdamowicz? – zapytał.

– Nie. – Nie słyszał w jej głosie pewności, ale też tu nie było chyba powodów do kłamstwa; byłoby wręcz dziwne, gdyby odpowiedziała bez chwili zastanowienia.

– Mąż był głęboko wierzący? – zadał kolejne pytanie.

– Hmm, nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Do kościoła nie chodziliśmy, ja jestem niewierząca, ale nie miałabym nic przeciwko, gdyby on chciał sobie chodzić. A nie chodził. Nie widziałam też, żeby się modlił. Za to często mówił, że Bóg to, Bóg tamto...

– Dlaczego odszedł z tego zboru?

– Nie wiem. Nie mówił. W ogóle o tym nie mówił, a o tym zborze to powiedział mi kiedyś pod wpływem alkoholu. Pił rzadko, nigdy nie był agresywny, tylko robił się wtedy wylewny. Wiem też, że lata temu był pracownikiem firmy pogrzebowej.

– Pamięta pani jakiej?

– „Charon”. Był tam chyba kierowcą karawanu, ale nie chciał o tym rozmawiać. Ja w sumie też nie, o co miałam go pytać; jak to jest zakopywać zwłoki? Niczego ponad to, co panu powiedziałam, nie wiem. Myślę, że był kiedyś świadkiem Jehowy. Oni tam stawiają na pracowitość, a on taki był. Jak coś zaczął, to kończył, choćby nie wiem ile miało go to kosztować sił i pracy. Tym mi imponował. Pracowitością.

– Wiedziała pani, że kilka lat temu zmienił nazwisko?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie! Dlaczego?

– Jeszcze tego nie wiem, powód zapewne jest wpisany we wniosku do urzędu stanu cywilnego.

– Nie miałam o tym pojęcia. – Spuściła głowę i zaczęła bawić się bransoletką, nieco nerwowo okręcając ją wokół nadgarstka.

– Nie wracał nigdy do przeszłości?

– Nigdy. Raz tylko... Jakiś rok temu spotkał na mieście kolegę, zaprosił go do domu. Przedstawił mi go, powiedział, że to ktoś z dawnych czasów i poszli pić do warsztatu. Wieczorem słyszałam jakąś awanturę, potem Leszek wrócił do domu, a kiedy zapytałam, czemu tak wcześnie skończyli, odburknął, że wypierdolił tamtego za bramę i zakończył znajomość. Wrócił do warsztatu i pił dalej sam, do nocy i nawet tam zasnął, na tym stole... – Jej oczy zwilgotniały, ale szybko się opanowała. – Nie pytałam więcej o to, bo nie było sensu. I tak by mi nie powiedział. A potem o tym zapomniałam.

– Jak się nazywał tamten człowiek?

– Myśli pan, że to pamiętam? – Spojrzała na Rędzię, jakby się skądś urwał.

– A pamięta pani chociaż, jak wyglądał?

Pokręciła zdecydowanie głową, wątle rude loki zakołysały się lekko.

– Mąż nie był z nikim skonfliktowany? Jakies pieniądze, pożyczki, zadry z przeszłości?

Komisarz musiał wykluczyć wszystkie pozostałe opcje. Zawsze pozostawała możliwość, że to dzieło przypadkowego szaleńca albo próba wydobycia informacji na temat pieniędzy. Ale Rędzia i tak w to nie wierzył.

– O zadrach już mówiłam: nie mam pojęcia o jego przeszłości. Pieniądze? Nie jesteśmy krezusami, ale pustej lodówki też nie mamy. Radziliśmy sobie dobrze, ja jestem księgową, on prowadził ten warsztat, miał klientów i zamówień na pół roku naprzód, ta pandemia w ogóle nie wpłynęła na nasze finanse. Nie musieliśmy na nic pożyczać. Nie mam pojęcia, dlaczego zginął w taki sposób. – Podbródek zaczął jej drżeć. – Ten, kto go zabił, to musiał być jakiś wariat, proszę pana! Bestia!

Rędzia nie czuł się upoważniony do komentowania jej słów. Zamiast je potwierdzić albo im zaprzeczyć, powiedział tylko:

– Sprawdziła pani, czy nic w domu nie zginęło?

– Nie zginęło – mruknęła.

– Jest pani pewna?

– Nic nie zginęło, to pierwsza rzecz, jaką zrobiłam po tym, kiedy go znalazłam... – powtórzyła z jakimś uporem w głosie.

Musiała to zatem zrobić, zanim przyjechała karetka. Rędzia pomyślał, że może pragmatyzm jest lekarstwem na wstrząs, a może ten wstrząs nie był jednak aż tak wielki, ale nic nie powiedział. Po co?

– Ma pani może jakieś zdjęcie męża? – zapytał.

Wiedział, że w kostnicy nie zobaczy już, jak Kublicki wyglądał, skoro praktycznie nie miał twarzy.

– Tak. – Wstała, podeszła do komódki, otworzyła szufladę i przez chwilę szukała w niej czegoś. – Mąż ostatnio składał wniosek o paszport, więc zostały zdjęcia.

Podawała mu małe zdjęcie. Rędzia mu się przyjrzał.

– Nosił długie włosy?

– Tak, mówiłam, żeby ściały, zwłaszcza że się przerzedzały na czubku głowy i wyglądało to śmiesznie, ale nie chciał. – Dotknęła swojej głowy i dodała gorzko: – Zrozumiałam go, kiedy po chemii straciłam swoje...

– Mogę je zabrać? – Komisarz podniósł zdjęcie.

– Oczywiście, proszę – mruknęła.

– Dziękuję, a tu jest moja wizytówka. – Położył kartonik na blacie stołu.

– Gdyby coś sobie pani przypomniała, albo gdyby wydarzyło się coś w związku z zabójstwem pani męża, proszę zadzwonić. Zapewne prokurator też będzie się z panią kontaktował, proszę być przygotowanym.

Bogdańska położyła palec na wizytówce i machinalnie przesunęła ją do siebie powolnym ruchem.

Rędzia wstał. Obrzucił pokój ostatnim spojrzeniem i podszedł do drzwi, za którymi zniknął pan Zimnicki z Polic. Otworzył je i zobaczył go, jak siedzi na foteliku pod regałami z książkami. Firanka falowała, ale nie od przeciągu. Nie było przeciągu, nie zrobił go komisarz, otwierając drzwi. Falowała od powiewu powietrza, jaki wywołał Zimnicki, biegnąc przez pokój od drzwi, pod którymi stał przez całą rozmowę. Rędzia był tego pewien.

– Może pan wrócić, skończyliśmy – poinformował go, czekając podświadomie, aż tamten powie „wiem”, ale się nie doczekał.

Zostawił drzwi otwarte i ruszył do wyjścia. Kiedy opuszczał dom, usłyszał jeszcze ich podniesione głosy.

20

październik 2020

Było już popołudnie, kiedy Rędzia z Berdakiem wreszcie wybrali się do hospicjum. Temperatura na zewnątrz wynosiła ponad dziesięć stopni i zaczęło się przejaśniać.

– Ciekawe, czy bratanek go ostrzegł przed naszą wizytą. Trzeba było jechać od razu – zrzędził Berdak, kiedy dojeżdżali na Golęcín.

– Kiedy od razu? – zapytał Rędzia.

– Noo... od razu.

– Myślisz, że wtedy dałoby się uniknąć śmierci Kublickiego?

– Co ty mi takie filozoficzne pytania zadajesz? – zdenerwował się nagle Berdak. – Chcesz mnie zdołować?

– Tak tylko pytam. – Komisarz wzruszył ramionami.

Hospicjum stacjonarne znajdowało się przy ulicy Pokoju, w dużym ponemieckim budynku niedaleko szpitala onkologicznego na Strzałowskiej. Czerwony, spadzisty dach z perspektywy ulicy wyglądał jak wystający ponad gęstwinę zieleni wielki namiot. Wjechali na wewnętrzny parking, Rędzia wyłączył silnik, obaj z Berdakiem założyli maseczki i wysiedli z auta. Było cicho, niemal jak makiem zasiał.

– Nie znoszę tych rejonów, wiesz? – powiedział Berdak, rozglądając się. – To jest taka piękna część miasta, a ja, kiedy mam tu przyjechać, to mnie ściska. Jeździłem na Strzałowską z matką do onkologa i potem na chemię. To w człowieku zostaje. I zastanawiam się, czy kiedykolwiek przechodzi...

Rędzia nic nie mówił. Osobiście sądził, że nie przechodzi, ale miał nadzieję, że Berdakowi jednak minie. Ostatnio go nie poznawał. Był ciągle

w filozoficznym nastroju, być może dlatego, że w czerwcu skończył czterdziestkę. W dodatku zabójstwo Kublickiego naprawdę nim wstrząsnęło. Każdym by wstrząsnęło, ale Rędzia znał Berdaka, który był raczej z gatunku tych bardziej gruboskórnych i okropne rzeczy znosił nieco lepiej.

Przynajmniej tak myślał do wczoraj.

Skierowali się ku wejściu; Rędzia poszedł schodami, a Berdak niespodziewanie wybrał pochylnię dla niepełnosprawnych. Pokonując ją wolnym krokiem, trzymał się poręczy i patrzył pod nogi, a komisarz pomyślał, że zachowuje się trochę jak dziecko. Jeszcze ta historia z przedszkola, którą mu opowiedział rano... Może to odreagowanie? Może on też powinien zrobić coś niekoniecznie mądrego, żeby jakoś się zresetować? Ale po chwili doszedł do wniosku, że zdążył już zrobić trochę niemądrych rzeczy i może wystarczy, bo teraz ponosił ich konsekwencje. Albo dopiero miał je ponieść...

Począł na Jarka przed drzwiami i zadzwonił domofonem.

– Słucham? – rozległo się po dłuższej chwili.

– Policja – mruknął Rędzia.

Kiedy usłyszał brzęczyk, pociągnął za uchwyt i otworzył je, puszczając Berdaka przodem. Minęli hol wejściowy, potem kolejne drzwi i owionął ich szpitalny zapach. Berdak nie powiedział słowa, tylko lekko pobladał, przez co pogłębił się kontrast między jego skórą a ciemnym materiałem maseczki. Kiedy dotarli do stanowiska pielęgniarki, dziewczyna siedząca za kontuarem zabezpieczonym dodatkowo pleksiglasową kurtyną na ich widok wstała i założyła maseczkę. Była ubrana w biały strój, do paska czegoś w rodzaju fartuszka, który miała na sobie, przypięty był identyfikator. Rędzi nagle przypomniał się Dworzak i moment, w którym ta cała popieprzona historia się zaczęła.

– Słucham? – zapytała oschłym tonem.

– Chcieliśmy się z kimś zobaczyć – powiedział Rędzia.

– Jest epidemia, proszę panów, wizyty są zakazane, przykro mi. To wykluczone.

– To nie wizyta, to czynności służbowe wykonywane w związku ze sprawą zabójstwa. – Rędzia i Berdak, jak na komendę, jakby ćwiczili to

latami, w tym samym ułamku sekundy wyciągnęli legitymacje. – Chcielibyśmy porozmawiać z panem Bronisławem Gajdamowiczem.

– Co pan Gajdamowicz może mieć z tym wspólnego? Przecież jest umierający.

– Nie twierdzę, że to on zabił... – Rędzia poprawił maseczkę i schował legitymację.

– Nie powinno przy tym być jego prawnika? – zdziwiła się pielęgniarka.

– Ma oczywiście takie prawo. Jeśli sobie go zażyczy, poczekamy, aż przyjedzie, ale to niczego nie zmieni, bo ja już z jego prawnikiem rozmawiałem. Teraz chcielibyśmy porozmawiać z panem Gajdamowiczem.

– Podejrzewam, że to się panom nie uda. Jest w bardzo złym stanie. Terminalnym. To koniec.

– Rozumiem, mimo to spróbujemy.

– Dobrze – pielęgniarka skapitulowała. – Ale wejdzie tylko jeden z panów. Mamy zagrożenie epidemiologiczne...

– Jemu już chyba nic nie zaszkodzi – rzucił Berdak.

Spojrzała na niego.

– Pan pewnie tego nie wie, ale komfort śmierci też jest istotny.

Jej spojrzenie było obojętne. Być może powtarzała to już tyle razy, że nie widziała potrzeby, by wkładać w tę wypowiedź jakieś emocje: złość czy niechęć. W takim miejscu jak to i tak tych emocji było za dużo. I to niekoniecznie dobrych.

Berdak usiadł na krzeselku ustawionym pod ścianą korytarza, a siostra zaprowadziła Rędzię pod jedne z drzwi. Otworzyła je i wpuściła komisarza do sali chorych, szepcząc:

– Tylko nie za długo, proszę.

Rędzia skinął głową, nie patrząc na nią. Kiedy usłyszał, że drzwi zamykają się, podszedł do jedyne go łóżka zajmującego i tak większą część niewielkiej sali. U wezgowia stała odrapana butla z tlenem, cienki, zielonkawy wężyk biegł od zaworu do maski Venturiego, którą miał na twarzy leżący na łóżku człowiek.

Był bardzo stary, a może tylko tak wyglądał, bo z tego, co Rędzia pamiętał, Gajdamowicz był nieco po siedemdziesiątce. Nowotwór i terminalny stan sprawiły jednak, że teraz wyglądał na stulatkę.

Wycieńczony chorobą wrak człowieka. Rędzia stanął nad nim. Gajdamowicz miał otwarte oczy, jego pierś unosiła się w rytm chrapliwego i szybkiego oddechu, któremu towarzyszył cichy syk powietrza ulatującego z maski.

– Dzień dobry, panie Gajdamowicz, nazywam się Tomasz Rędzia. Pan mnie słyszy?

Głowa wbita w skotłowaną poduszkę nie poruszyła się, ale oczy powoli powędrowały w stronę twarzy komisarza. Patrzyły tak przez chwilę, a Rędzia nie miał pewności, czy jest w nich zrozumienie, czy raczej pustka charakterystyczna dla osób, którym jest już wszystko jedno.

– Chciałem z panem chwilę porozmawiać o pewnej sprawie – powiedział, dodając: – Jestem z policji.

Oczy błysnęły na ułamek sekundy i natychmiast przygasty, ale teraz już Rędzia miał pewność, że Gajdamowicz nie tylko go słyszy, ale i rozumie. Obrzucił spojrzeniem jego chude ręce spoczywające bez ruchu na białej poszwie, palce powykrzywiane artretyzmem zakończone żółtymi, grubymi paznokciami i wrócił wzrokiem do twarzy Ojca. Twarzy starego człowieka, zmęczonego nie tyle życiem, ile umieraniem. Tylko te zapadnięte oczy błyszcząły jeszcze odrobinę znad maski, dając Rędzi nadzieję na załatwienie tego, po co tu przyszedł.

– Nie chodzi mi o rzeczy, za które został pan skazany. – Przymknął na chwilę powieki, może trzymał je tak odrobinę za długo. – Chodzi mi o ludzi. W ostatnim czasie zostały popełnione trzy morderstwa, a ich wspólnym mianownikiem jest sekta, której pan przewodził. Czy też Kościół, którego był pan głową. Dwie z ofiar były jego członkami, trzecia dziennikarzem, który robił film dokumentalny o pewnej grupie artystycznej. Tu też jest związek, bo w filmie przewinęła się osoba Janusza Szajnerta, który trafił pod pańską opiekę, że tak to ujmę. Mamy problem z identyfikacją członków pańskiego zboru. Znali się tylko z przybranych imion, podczas śledztwa w sprawie przestępstw, których pan się dopuścił i które panu udowodniono, ten wątek był poboczny i organa ścigania nie skupiały się na nim. A teraz jest to bardzo istotny wątek, rozumie pan? Imiona i nazwiska tych ludzi. Ktoś ich zabija. Nie twierdzą, że to ktoś z was, ale nie mogę tego również wykluczyć. Ale przede wszystkim chodzi

mi o to, że ja chcę ich uratować. Chcę do nich dotrzeć, żeby ich zapytać o kilka spraw, ale przede wszystkim ostrzec i uratować.

Rędzia zamilkł i czekał na reakcję. Jakąkolwiek. Szept, zmrużenie oczu, nieznaczny ruch ręką. Nie doczekał się. Ciszę mącił jedynie syk tlenu. Gajdamowicz wpatrywał się w komisarza nieruchomo, nawet nie mrugając.

– Ma pan jakieś notatki? – zapytał Rędzia. – Listę braci i sióstr? Cokolwiek, co pomogłoby mi zidentyfikować tych ludzi? Lista, którą dostałem z ministerstwa, obejmuje nazwiska osób podpisanych na wniosku o rejestrację pańskiego Kościoła w dziewięćdziesiątym drugim roku, ale jest ich tylko piętnaście, pewnie większość już nie żyje... Pozostali są rozproszeni po całym kraju, z wieloma nie ma żadnego kontaktu, bo go nie chcą... Panie Gajdamowicz, pan już nie musi się niczego bać, tu, na ziemi. Nikt już panu nic nie robi. Szczerze mówiąc, gównem mnie te pana przekrety obchodzą. Muszę znać tylko nazwiska, rozumie pan? Muszę zapobiec zbrodni, a może nawet kilku, a pan może mi to ułatwić. Ma pan ostatnią szansę, żeby naprawić zło. Jeśli wierzy pan w Boga, jak pan to zawsze deklarował, niech mi pan pomoże. Zaklinam pana. Proszę, jak człowiek człowieka.

Gajdamowicz wpatrywał się w niego pustym wzrokiem. Jego obleczona w białą, wymiętą koszulę pierś unosiła się w miarowym ciężkim oddechu. Tlen syczał cicho i jednostajnie, komisarz widział maleńkie kropelki wilgoci wewnątrz zielonego, przezroczystego wężyka wijącego się pod nozdrzami Ojca.

– Niech pan da mu spokój, on nic nie rozumie. – Pielęgniarka musiała stać w drzwiach już od jakiegoś czasu, ale Rędzia jej nie zauważył, pochłonięty wyczekiwaniem na cokolwiek, co będzie mógł uznać za chęć pomocy ze strony Gajdamowicza.

– Proszę o jeszcze chwilę, dobrze? – poprosił, nie spuszczając wzroku z twarzy starego człowieka i dzięki temu dosłownie w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie spiorunować dziewczyny wzrokiem; akurat ona była tu najmniej winna. – Naprawdę minutkę.

Ładna buzia ukryta za maseczką zniknęła za mleczną szybą i drzwi zamknęły się cicho. Rędzia pochylił się nad Gajdamowiczem i zsunął z ust swoją maseczkę. Gajdamowiczowi i tak nic już nie mogło zaszkodzić.

Rędzia widział, że jego śmierć jest kwestią kilku dni. A może nawet jeszcze krótszego czasu.

– Myślę, że pan rozumie, co do niego mówię – szepnął. – Tylko pan nie chce mi pomóc. I tego nie rozumiem. Jedyne wytłumaczenie, które przychodzi mi na myśl, to to, że pan nie wierzy w Boga i nigdy nie wierzył. Tak było, prawda? I tak jest. Pan tylko skorzystał z tego, że ktoś Go kiedyś wymyślił. Wykorzystał pan Go do własnych celów. To oczywiście pana sprawa, nie pan pierwszy tak zrobił i nie ostatni, ale to pan stoi teraz na progu śmierci. Gdyby pan w Niego wierzył, zrobiłby pan wszystko, żeby choć trochę się zrehabilitować w Jego oczach. Dać sobie szansę. I ja nie wiem, co teraz powiedzieć. Najlepiej nic.

Wstał, przesunął maseczkę z podbródka na nos i ruszył ku drzwiom.

– Kto?

Pytanie zatrzymało komisarza wpół kroku. Stanął i obejrzał się na Gajdamowicza. Ojciec nie zmienił pozycji, tylko oczy patrzyły teraz prosto w okno.

– Wczoraj został zabity Kublicki – powiedział Rędzia.

– Widać należało się – wycharczał Gajdamowicz.

– Tak wybrał Bóg?

– Tak wybrałbym ja.

– Oprócz niego zginęli jeszcze Dworzak oraz pewien dziennikarz. Czemu oni byli winni?

Zapadła chwila ciszy.

– A Szajnert? – przerwał ją słaby głos Ojca. – Co z nim?

– Dlaczego akurat on? – zapytał szybko Rędzia.

Znów cisza i ten syk tlenu.

– Nie wiadomo, gdzie jest – odparł komisarz, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Spodziewamy się najgorszego. Pewnie ktoś znajdzie wkrótce jego ciało. Jemu też się należało? Też się pan wtedy ucieszy?

Gajdamowicz milczał. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Gdzie znajdę listę? – zapytał go jeszcze Rędzia.

– Nie znajdzie pan. – Suche wargi z trudem się rozchyliły, żeby złożyć się do wypowiedzenia słów. – Nie ma żadnej listy. Wszystko zniszczyłem. Niech pan już idzie.

– Pan pamięta te nazwiska. Może nie wszystkie, ale kilka na pewno. Proszę powiedzieć tyle, ile pan pamięta.

– Niech pan już idzie.

Rędzia wyjął z kieszeni portret pamięciowy enena, ten szpitalny, i podetknął Gajdamowiczowi niemal pod sam nos.

– Zna pan go?

Odpowiedzią było milczenie.

– To jeden z was? Który? – naciskał komisarz. – Pan wie kto to? Kto ich morduje?

Gajdamowicz uśmiechał się lekko, obraz wykrzywionych ust majaczył przez zaparowany plastik maseczki tlenowej.

– Wie pan... – Rędzia skrzywił się z odrazą. – I nic pan z tym nie zrobi?

– Właśnie robię.

– Pan daruje, ale to jest nieludzkie. Pańskie postępowanie jest po prostu nieludzkie. Kto wie, może morderca niedługo przyjdzie po pana?

Z gardła Gajdamowicza wydobyło się ciche rżenie. Rędzia pomyślał, że się dusi, ale w miarę jak charkot robił się głośniejszy, coraz bardziej przypominał śmiech. Gajdamowicz się śmiał. Rędzia uświadomił sobie, co powiedział i jak to się ma do sytuacji Ojca. Wizyta mordercy byłaby dla niego wybawieniem...

– Nie będzie więcej trupów – odezwał się nagle Gajdamowicz, kiedy odzyskał oddech po ataku kaszlu, który w istocie był śmiechem.

Rędzia wrócił do łóżka i pochylił się nad nim, ignorując odór.

– Co pan powiedział? – zapytał, będąc pewnym, że się przestyszał.

– Nie będzie... więcej... trupów... – wydyszał Ojciec.

– A skąd pan to może wiedzieć?

Odpowiedziała mu cisza i pusty, zmętniały od bólu wzrok.

– Słyszysz mnie pan? – Chciał nim potrząsnąć, ale powstrzymał się przed tym w ostatniej chwili.

– Niech pan już idzie.

– Pytałem, skąd...

– Proszę już wyjść! – Głos Gajdamowicza był niespodziewanie mocny i głośny. – Proszę wyjść i dać mi umrzeć w spokoju!

Rędzia zrobił to. Zamknął drzwi i zostawił za sobą umierającego starca, przedziwne pomieszanie świętego z łotrem.

- Pogadałeś sobie, co? – Berdak się skrzywił. – Słyszałem przez drzwi.
 - Uparty kozioł. – Rędzia pokręcił głową. – Nie rozumiem takiego skurwysyństwa. Co mu zależy?
 - Wyglądasz na wściekłego.
 - Ja nie wyglądam, ja po prostu jestem wściekły, Jarecki – warknął komisarz. – Nastawiłem się na coś. Na cokolwiek. Na mały kąsek, chociaż jedno pieprzone nazwisko. I nic. Null.
 - Może niepotrzebnie się nastawiłeś?
 - Może. – Komisarz westchnął. – Skąd on wie, że nikt więcej nie zginie? I co miał na myśli, mówiąc, że właśnie coś robi ze swoją wiedzą co do tożsamości mordercy?
 - Nie mówi ci. To właśnie robi: nie mówi.
 - Tyle to i ja wiem. I co z tego?
 - Nie zagroisz mu odłączeniem rurki, żeby powiedział, co nie?
- Rędzia spojrzął na Berdaka cierpko.
- To już nie ten etap. Prędzej powiedziałby, gdybym obiecał, że ją odłączę, wiesz?
 - Życie jest czasem kurwą. – Berdak westchnął.
 - Zgadzam się. – Z ulgą zamknął drzwi na korytarz i nabrał powietrza, którego nie czuć było wreszcie szpitalem. – W takim razie dlaczego je tak bardzo kochamy?
- Szli ku wyjściu, kiedy nagle Rędzia zatrzymał się wpół kroku.
- Poczekaj, coś mi przyszło do głowy – powiedział, przystając nagle.
 - Co?
 - Może nie byliśmy jedynymi, którzy chcieli porozmawiać z Ojcem – odparł i ruszył w kierunku dyżurki pielęgniarek.
- Kiedy dotarł do drzwi, zapukał do nich cicho i od razu otworzył.
- Przepraszam, mam pytanie: czy ktoś ostatnio odwiedzał pana Gajdamowicza?
- Pielęgniarka spojrzała na niego z lekkim zaskoczeniem.
- Tak, było kilka osób. Z rodziny.
 - Z rodziny? To on miał rodzinę?
 - Mam na myśli rodzinę z dawnego zboru.
 - Ze zboru, mówi pani... Ma pani ich nazwiska?
 - Nie, skąd.

– Nie macie żadnej książki wizyt czy czegoś takiego, gdzie zapisujecie nazwiska odwiedzających? – zdziwił się Rędzia.

– Nie. To nie posterunek policji, proszę pana. – Pielęgniarka spojrzała na niego krzywo.

– I tak ich tu wpuszczaliście?

– Oczywiście pan Gajdamowicz każdorazowo wyrażał zgodę na wizytę.

– Kiedy odbyła się ostatnia?

– Nie wiem, nie jestem tu sama, zmieniamy się na dyżurach...

– A na pani dyżurze?

Wzruszyła ramionami.

– Kilka dni temu.

– A jak to się ma do pani wcześniejszej deklaracji, że jakiegokolwiek wizyty ze względu na pandemię są wykluczone?

Dziewczyna lekko zmrużyła oczy, Rędzia był pewien, że ukryte za maseczką usta były teraz wykrzywione w grymasie niezadowolenia.

– Proszę pana, pewnych rzeczy nie odmawia się człowiekowi na łożu śmierci. To byłoby niehumanitarne.

– A czy kojarzy pani jednego z nich, mam na myśli... – Rędzia uświadomił sobie, że nawet nie wie, co powiedzieć, więc po prostu wyciągnął portret pamięciowy enena, ten sam, który pokazywał przed chwilą Gajdamowiczowi – ...tego człowieka?

Wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć, a po chwili wróciła do swojej bezpiecznej przestrzeni za konturem i skuliła się lekko.

– Wie pan... – Głos miała niepewny. – Tu wszyscy noszą maseczki, ja nie mam prawa żądać, żeby pokazali twarz, co mam panu powiedzieć?

Komisarz westchnął tylko. Gdyby rok temu ktoś mu powiedział, że będzie można nawet nie tyle legalnie zasłaniać twarz, ile jej niezasłanianie będzie wręcz nielegalne, roześmiałby się temu komuś właśnie w twarz.

– Dobrze, nie męczę pani dłużej, dziękuję...

Schował portret do kieszeni kurtki i wrócił do Berdaka czekającego przy wyjściu.

– Był tu. – Cmoknął. – Skurwiel tu był, a on go kryje. Kryje mordercę.

– Wracamy do niego pobawić się rurką? – zapytał Berdak.

Rędzia uśmiechnął się słabo. Też go korciło, choć wiedział, że w zamyśle Jarka był to tylko żart, taki sam jak uśmiech – słaby.

– Pytanie, dlaczego Gajdamowicz po tej wizycie jeszcze żyje – powiedział. – Jeśli faktycznie morderca tu był.

– Bo zabicie go byłoby aktem miłosierdzia, a w mniemaniu mordercy „tatuś” na nie nie zasłużył.

– Zgadzam się, ale wtedy Gajdamowicz powiedziałby nam, o co chodzi – stwierdził Rędzia. – Co miałyby go powstrzymywać?

– Więc może jednak go tu nie było?

– Może... Ale patrz, Gajdamowicz nie był zdziwiony, kiedy wymieniłem nazwiska ofiar. I jeszcze zapytał o Szajnerta, jakby wiedział, że on też miał zginąć. Czyli wie sporo, być może wszystko, a kto wie, może nawet sam wydawał polecenia. I co z tego, nic z tym nie zrobimy. – Spojrzał na Berdaka. – Nic, rozumiesz? Nikt się nie zgodzi nawet na przesłuchanie go jako świadka, nie w takim stanie...

– Ciągłe pod górę, co? – Berdak westchnął ciężko. – Idzie nam ta robota jak garbatej kurwie w deszcz.

– Ano – przytaknął Rędzia. – A co do twojego pytania, czy dało się uniknąć śmierci Kublickiego...

– No?

– Teraz wyszło mi, że nie. Że nawet gdybyśmy przyszli tu dwa dni temu, toby niczego nie zmieniło w tej kwestii. Bo Gajdamowicz się z tego najnormalniej w świecie ucieszył, wiesz? Ledwo dycha, więc nie była to eksplozja radości, ale miał satysfakcję. Ciekawe dlaczego?

– A co z Szajnertem? Gajdamowicz mówił, że nie będzie więcej trupów. Jak traktować Szajnerta w świetle jego słów? Jako trupa, tylko nie odkrytego, czy jako żywego?

– To jest pytanie, na które sami musimy znaleźć odpowiedź, Jarecki.

21

2013

– Chciałbym cię o coś spytać, Ojczy.

– Słucham. Pytaj.

– Co, jeśli jeden z nas się zakocha?

– Ty?

Spuścił wzrok i uśmiechnął się nieznacznie.

– Pytam czysto teoretycznie.

Ojciec podszedł do niego i zmrużył oczy.

– Czysto teoretycznie, mówisz... – Ich nosy zbliżyły się na odległość kilkunastu centymetrów. – Synu, w co ty chcesz ze mną grać?

– To nie ja! Nie chodzi o mnie... – Splótł palce i przycisnął dłonie do piersi.

– A kto? Kto się zakochał?

– Naprawdę pytam teoretycznie.

– Jeśli wiesz kto, powiedz mi. Miłość to nic straszego. Miłość jest bliska Bogu, bo Bóg to miłość, a miłość to Bóg.

– Więc w czym problem?

– Problem? – Ojciec spojrzał na niego z ukosa. – Ty mi powiedz, w czym jest problem, synu.

– Jedną z zasad naszej wspólnoty jest zakaz kontaktów cielesnych.

– To prawda. Bezwzględny zakaz, przypominam, gdybyś zapomniał. Żyjemy w świadomym celibacie. Ale, synu, nie myl pojęć. Nie porównuj brudnej chuci z pięknym, czystym uczuciem, jakim jest miłość. To dwie zupełnie różne rzeczy. Nikt tu nie zabrania kochać. Kochamy siebie. Wy

kochacie mnie, ja kocham was, jak swoje dzieci. A nas wszystkich kocha On. Ten dom jest pełen miłości, czy tego nie widzisz? Jesteś z nami już kawał czasu.

– Tak, ale... Co, jeśli jeden z nas zakocha się w jednej z nas? Albo na odwrót?

– Modlitwa.

– Słucham?

– To moja odpowiedź na twoje pytanie. Lekarstwem jest modlitwa. Szczera, gorąca i żarliwa.

– Lekarstwem na miłość?

Ojciec wciągnął wargi, które zmieniły się w wąską, prostą linię przecinającą dół twarzy jak pozioma blizna. Spojrzał w okno, a kiedy wrócił spojrzeniem, jego wzrok był już inny. Twardy. Pozbawiony tej troski, którą obdarzał ich wszystkich w niemal każdym momencie wspólnego życia. Czerwonawy błysk okularów wydał się nagle niemal złowrogi.

– Dobrze. – Ojciec westchnął. – Dobrze, widzę, że musimy załatwić to inaczej.

– Chyba tak. – Nie spuszczał twarzy Ojca z oczu. – Chciałbym wyjaśnić tę kwestię dokładnie. Czysto teoretycznie, żeby wiedzieć, co robić, kiedy to się faktycznie komuś zdarzy. To musiało zdarzać się już wcześniej, prawda?

– Powiem ci, dlaczego zakładając naszą wspólnotę, zdecydowałem, że kontakty cielesne będą zakazane. Pierwszy powód jest oczywisty: tylko mąż może pościć swoją żonę, tylko żona może oddać się swojemu mężowi, tak stanowi Pismo i to jest bezdyskusyjne. Naturalne pytanie brzmi, dlaczego zatem nie pozwalam na śluby w obrębie wspólnoty, tak jak robią to na przykład anabaptyści. Pewnie myślisz, że to rozwiązałoby problem. Otóż nie, nie rozwiązałoby. Uważam wręcz, że tylko by go zaogniło. Cieleśność, mój drogi, to pokusa. To prezent od Szatana, od Złego. Bóg przyoblekł nasze dusze w ciało, a Zły sprawił, że to opakowanie stało się dla nas na tyle atrakcyjne, że przesłoniło to, co w środku, to, co naprawdę ważne. Wyrzekliśmy się jako członkowie naszej wspólnoty wielu doczesnych rzeczy: bogactwa, swoich rodzin, zostawiliśmy to wszystko na zewnątrz i zrobiliśmy to dla Boga jedyne. Ciało jest

niezbędnym nośnikiem duszy tu na ziemi, ale tylko pudełkiem. Boję się, że nawet w sakramentalnym związku małżonkowie mogliby przywiązywać zbyt dużą wagę do ciała i do siebie jako małżonków, zaniedbując wspólnotę. To naturalne w związku, ale związkiem w tym domu, w naszym Domu, jesteśmy my wszyscy, a nie tylko dwoje z nas. Dzieci też nie potrzebujemy, nie jest naszą rolą ich płodzenie, tylko służba Bogu. Przez pracę i modlitwę, co w naszym przypadku jest niemal tożsame. Dlatego podjąłem taką, a nie inną decyzję w tej sprawie i winniście to uszanować. Zaakceptowaliście to w momencie przyłączenia się do naszej wspólnoty. Nie ma odstępstw, pamiętasz? Wyrzekliśmy się Szatana w każdej postaci i wszystkiego, co mogłoby nas przybliżyć do rzeczy, które podsyła nam na naszą zgubę.

– Czy dostajemy brom?

Ojciec zastygł w bezruchu. Trwało to krócej niż mgnienie oka, ale przy całym jego organicznym byciu w nieustannym ruchu nawet ten ułamek sekundy wystarczył, by zwrócić na to uwagę. To się praktycznie nie zdarzało.

– Pamiętasz, kiedy tu przyszedłeś, synu? – zapytał w końcu cicho.

– Tak.

– Pamiętasz, jaki byłeś szczęśliwy?

– Tak.

– Pamiętasz, że czułeś się jak nowo narodzony?

– Pamiętam.

– Nie tylko się tak czułeś: ty BYŁEŚ jak nowo narodzony. A ja ukształtowałem cię. Byłeś czystą kartą, którą zapisałem słowami dyktowanymi mi przez Chrystusa. Skąd więc te wątpliwości, synu? Martwię się. Za dużo myślisz. Za dużo się zastanawiasz nad rzeczami, nad którymi nie ma sensu się zastanawiać, bo zostały już dobrze przemyślane wcześniej. Masz dużo pracy, na której powinieneś się skupić, bo praca to nasza modlitwa. Nie zaprzepaść tego, co zdołałeś osiągnąć. Nie ulegaj podszeptom Złego. Nie wpuszczaj go do naszego domu. Nie waż się! Jeśli ten ktoś, teoretycznie, on albo ona, będzie mieć dalsze wątpliwości, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś go do mnie skierował. Porozmawiamy sobie jak my teraz i wszystko wyjaśnimy. Od tego jestem. Jestem waszym duchowym przewodnikiem, jestem waszym Ojcem, tu na ziemi, jestem

od tego, żeby wam objaśniać to wszystko, czego nie rozumiecie. Nie bójcie się nie rozumieć. Błądzicie, ale wszyscy błądzimy, to takie ludzkie. Nie zostawię was z tym samych.

– Czy były już przypadki, że między bratem a siostrą pojawiło się uczucie?

Ojciec patrzył na niego, ale tym razem on nie widział jego oczu, ukrytych za górną częścią szkieł.

– Owszem. – Ojciec westchnął. – Były. Nie tylko między bratem i siostrą, ale także między braćmi, wyobraź sobie.

– I co się stało? Zapraszam na zajefajna.com

– A jak myślisz? – Ojciec lekko uniósł ramiona, poły szaty rozchyliły się lekko, wydawał się teraz większy. – Skoro związek dwóch osób tutaj jest pogwałceniem zasad, a konsekwencją pogwałcenia zasad Domu jest jego opuszczenie, to co nam wychodzi?

– Ale to nie była miłość platoniczna?

– To był festiwal chuci, synu. To nie była miłość, tylko pożądanie ciała. Perwersja i wyuzdanie. Ruja i porubstwo! Nie ma na to miejsca w tym domu, rozumiesz? I powiedz to temu, kto cię do mnie przysłał, jeśli faktycznie nie chodzi o ciebie. Módl się. Niech on się modli. Módlcie się gorąco, żeby to się nie zdarzyło, bo to tylko same kłopoty, synu. Wierz mi. Tylko kłopoty...

Wrócił do siebie zniechęcony. W czasie całej rozmowy padło mnóstwo pięknych słów, ale on nie czuł, żeby dostał odpowiedź na swoje pytanie. Wręcz przeciwnie, słowa Ojca wzbudziły w nim jeszcze większe wątpliwości.

Wrócił pamięcią do chwili, w której ona zjawiła się w Domu. Zaczęło się od rozmowy podczas jednego ze spacerów na cmentarzu, kilka miesięcy po pierwszym spotkaniu, kiedy wiedzieli już, że są dla siebie stworzeni...

* * *

– Nie mogę cię tak po prostu przedstawić i powiedzieć: ta dziewczyna chciałaby wstąpić do wspólnoty. Przecież nikt w to nie uwierzy – powiedział lekko zniechęcony.

Spacerowali cmentarną ścieżką w pobliżu starego holenderskiego wiatraka, objęci wespół i przytuleni do siebie.

– Dlaczego?

– Mamy zakaz mówienia o wspólnocie na zewnątrz. Nie wolno nam rozmawiać z ludźmi, pomijając kontakty zawodowe. Więc skąd cię znam? Skąd o nas wiesz?

– W takim razie jak wszyscy się tam znaleźliście? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Ojciec co jakiś czas przyprowadza kogoś, ten ktoś przechodzi okres próbny i jeśli podoła, zostaje. Jak ja.

– Ciebie też przyprowadził Ojciec?

– Nie, ja przyszedłem sam.

– A ja nie mogę? – Kiedy zadała to proste pytanie, aż otworzył usta ze zdziwienia.

– Nooo...

– No? – Roześmiała się, a on poczuł, że dałby wszystko, żeby słuchać tego śmiechu codziennie, nie przez telefon i nie w trakcie krótkich kradzionych chwil w pracy.

– To będzie trochę... Nieuczciwe. – Poczuł, jak lekko się czerwieni.

– Nie przyjdę tam jak wilk w owczej skórze. – Popatrzyła mu w oczy. – Chcę być jedną z was. Będę miała czas na podjęcie decyzji, sam mówiłeś, że przez miesiąc jest się na okresie próbnym. Pozwól mi podjąć tę decyzję. Jeśli nie dam rady, nie postąpię wbrew sobie i nie zostanę tam tylko dlatego, że chcę być blisko ciebie.

– A chcesz?

– A jak myślisz? I zwróc uwagę, że nie żądam od ciebie, żebyś to ty wystąpił z tej wspólnoty.

– I jestem ci za to wdzięczny.

– A wystąpiłbyś? – Lekko zmrużyła oczy.

Milczał. Bał się odpowiedzieć. Bał się odpowiedzi, która brzmiała „tak”.

– Skąd dowiedziałeś się o wspólnocie? – zapytała, nie czekając na nią.

– Z ogłoszenia nalepionego na skrzynkę elektryczną – bąknął cicho.

– Gdzie?

– Co to za różnica?

– Gdzie?

– Przy Jasnych Błoniach, na rogu Królowej Korony Polskiej i Ogińskiego. Chyba nie sądzisz, że tam jeszcze wisi?

– Nie przejmuj się tym teraz, dobra? – Trąciła go lekko biodrem.

Westchnął.

– Muszę wracać, zanim Antoni się wkurzy.

– On się przecież nie wkurza. To tylko twoje poczucie obowiązku cię tam gna.

– Możliwe – przyznał. – Ale z niechęcią.

Wyciągnęła z torby okrągłe pudełko czekoladowej chałwy i wcisnęła mu w dłoń.

– Daj mu to ode mnie i pozdrów go. Złoty człowiek. Gdyby nie on...

Tuż przed fajrantem Antoni podszedł do niego, pokazał mu telefon i mruknął.

– Do ciebie. Arletka. Tylko nie zaczynajcie sobie wysyłać jakiejś golizny, bo tego już nie zdzierzę, jasne? Poczul z jego ust lekki zapach czekolady. Zerknął na wyświetlacz. Takie coś podobno nazywało się selfikiem. Pół obrazu wypełniała jej uśmiechnięta szeroko buzia, drugie pół było brudnobiałe. Nie dało się odczytać, co jest napisane na pokrytej pozostałościami zdartych papierów powierzchni, ale kiedy rozpoznał krzyż, wieniec i gołębicę, serce mu zatrzepotało.

– Mogę odpisać? – upewnił się.

– A jak myślisz?

Odpisał.

„Nie jestem pewien. Zastanówmy się może jeszcze?”

Chwilę później przyszła odpowiedź.

„Zdecydujemy na następnym spotkaniu. Ale ja jestem na tak!!!”

* * *

Wieczorem tego samego dnia Ojciec zaprosił go do swojego gabinetu.

– Siadaj, synu, jest sprawa.

Usiadł. Czuł, że coś wisi w powietrzu. Mina Ojca nie była jakaś szczególnie zmartwiona, ale on nigdy nie miał zmartwionej miny. Wyciągnął jabłko, ugryzł je, odłożył na biurko i zanim przełknął kęs, przez

jakiś czas przekładał na blacie papiery. Potem oblizał usta, wytarł je wierzchem dłoni i oparł się wygodnie.

– Posłuchaj, niedługo czeka cię zmiana pracy – oznajmił zadowolony, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Zmartwiał.

– Dlaczego? – Starał się, żeby w jego głosie był tylko cień naturalnego zdziwienia, a nie przerażenie. – Ja... Ja bardzo lubię tam pracować!

– Powiedzmy, że zmienił się wiatr. Włodek Klimczak odszedł z pracy i zrobiła się nieprzyjemna atmosfera, nie jestem tam już mile widziany. A skoro ja, to i ty również, synu. Przykro mi, tak to działa tam, na zewnątrz... Ale na pocieszenie dodam, że będziesz miał podobną robotę, może nawet lepszą, bo nie będziesz musiał zajmować się zwłokami, a przynajmniej nie tak jak tam. To będzie zakład pogrzebowy, tyle że prywatny. I praktycznie naprzeciwko cmentarza, więc naprawdę niewiele się zmieni. Będziesz za to pracował z dwoma innymi braćmi: Abrahamem i Tymoteuszem. Co ty na to?

– Widzi Ojciec, ja po prostu nie lubię zmian... – próbował się jeszcze jakoś ratować.

– Obawiam się, że to nie podlega dyskusji, synu. – Uśmiech Ojca był smutny. – Bóg wytycza wciąż nowe ścieżki. To jedna z nich i nie pozostaje ci nic innego, jak nią pójść. Tak jak robiłeś do tej pory. Czy kiedykolwiek zostałeś zwiedziony na manowce? Spójrz wstecz na swoje życie od momentu, kiedy tu się zjawiłeś, i odpowiedz sobie na to pytanie. Myślę, że nad odpowiedzią nie trzeba się długo zastanawiać, nie mylę się?

– Oczywiście, że nie...

Co innego mógł powiedzieć? Że się nie zgadza?

W nocy, mimo zmęczenia, nie mógł zasnąć. To koniec spotkań. Koniec wspólnych chwil, krótkich spacerów po cmentarzu, koniec rozmów przez telefon Antoniego. Zanim wyrobi sobie takie chody w nowym miejscu, miną wieki, jeśli w ogóle mu to się uda, a przecież nie mógł zapominać o braciach, z którymi miał tam pracować. Nie udałoby mu się niczego ukryć.

Następnego dnia od razu po przyjsciu do pracy poprosił Antoniego o telefon i napisał do niej tylko jedno słowo.

„Tak”.

A potem wszystko potoczyło się zupełnie tak samo jak z nim. Nikt niczego nie podejrzewał, po prostu zjawiała się w drzwiach, była tak samo jak on zaskoczona dźwiękiem dzwonka i tak samo jak on przez pierwszy miesiąc słała się na nogach ze zmęczenia. A kiedy Ojciec zmywał z jej czoła kainowe piętno i nadawał jej imię Magdalena, on patrzył jej prosto w oczy, usiłując zachować neutralny wyraz twarzy. Był z niej taki dumny.

I kochał ją nad życie.

* * *

Słowa Ojca o miłości, chuci i perwersji wciąż brzmiały w jego uszach jak fałszywa muzyka. Po raz pierwszy nie zgadzał się z nim tak bardzo. O ile dawał się przekonywać w innych sprawach, które nie dotyczyły go bezpośrednio i na których mu nie zależało, o tyle z tym nie mógł i przede wszystkim nie chciał się zgodzić. Postąpiłby wbrew sobie. I nie mógł tego tak zostawić.

Kiedy następnej nocy, jak zwykle z natrętną myślą, że kiedyś w końcu ktoś zauważy jego wycieczki, wymknął się na schadzkę do sadu, był już zdecydowany. Kiedy zobaczył jej drobną postać na tle oświetlonej blaskiem księżyca ściany Domu, serce zabiło mu mocniej. Czy się zgodzi? Czy nie wyśmiej go? A może oburzy i powodowana lojalnością wobec Ojca i wspólnoty zdradzi go? Chaotyczne myśli przelatywały mu przez głowę, ale wiedział, że i tak o to zapyta, cokolwiek by się działo i bez względu na konsekwencje.

Pragnął tego jeszcze mocniej niż odmiany swojego życia w momencie zjawienia się w Domu. Tego nawet nie dało się porównać, choć obie te rzeczy: przystąpienie do wspólnoty i spotkanie miłości swojego życia były największymi zmianami, jakie przeżył. Ufał Bogu, ufał, że On szykuje mu ścieżkę i nie zostawi go na pastwę losu.

Kiedy do niego podeszła, pocałował ją gorąco. Ujął jej twarz w dłonie i przycisnął jej usta do swoich. Początkowo zaskoczona, po chwili oddała pocałunek.

- Co się stało? – zapytała lekko rozbawiona, kiedy ją wypuścił z objęć.
- Chciałbym, żebyś została moją żoną – wypalił.

Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie i widział, jak w jej tęczęwkach odbija się tarcza księżyca.

– Ale to niemożliwe! – W ostatniej chwili powstrzymała się przed zawołaniem na cały głos. – Nie tutaj! Musielibyśmy...

– Wiem. Ja też nie chcę odchodzić. Dobrze mi tu.

– I tak nie mamy dokąd pójść. – Lekko się przygarbiła. – Mój ojciec nie wpuści mnie do domu, nie po tym, co mu powiedziałam... Nie będzie nas stać na wynajęcie mieszkania i życie w mieście. Nie z tymi pensjami. A o lepszej pracy chyba nie mamy co marzyć.

Te słowa skrzesały jakąś iskrę w jego głowie. Iskrę, która zapaliła lont.

– Wiesz co... – zaczął ostrożnie, patrząc na ogromną bryłę Domu jaśniejącą na tle lasu. – Nie musimy od razu prosić o pomoc twoich rodziców...

– Nie mamy niczego. Niczego. Oprócz siebie.

– I to już bardzo dużo, kochanie. To tylko kwestia zorganizowania wszystkiego – przekonywał ją i siebie. – Najtrudniejszy będzie początek, ale wszystko jest do zrobienia. Nie mówię, żebyśmy odchodzili ze wspólnoty od razu, ale możemy to zrobić w przyszłości. Bóg nie mieszka tylko tu, wbrew temu, co twierdzi Ojciec. Ale chciałbym się z tobą ożenić jak najszybciej. Teraz, zaraz.

– On nam nie pozwoli, przecież wiesz. Znasz zasady Domu.

– Nikt nie musi o tym wiedzieć, prawda? Ani Ojciec, ani nikt inny z nich.

– Więc jak to zrobimy?

– A zgodzisz się?

– Oczywiście!

Przytulił ją i uściskał tak mocno jak nikogo innego nigdy wcześniej. Pachniała szarym mydłem i lekką nutą świeżego potu, ale ten zapach nie był niemiły: był jej częścią, którą akceptował bez zastrzeżeń. Kiedy odsunęli się od siebie, wciąż trzymając ją za ramiona, spojrzał jej w oczy. Błyszczały entuzjazmem i niewysłowionym szczęściem. Poczuł, że może przenosić góry. Że może rozbijać je w proch.

– To jak? – zapytała. – I gdzie? I kiedy!?

– Tu i teraz – szepnął.

– Co?

– Wobec Boga i w Jego obecności ślubuję ci wierność, miłość i uczciwość do końca życia, cokolwiek by się stało. Będę twoją opoką, strażnikiem i przytulanką, będę cię szanował, nigdy cię nie skrzywdzę. Przysięgam ci to na Boga jedyne go i wszechmogącego. A teraz ogłaszam nas mężem i żoną. Może być? Przynajmniej na razie. Nie będzie obrączki ani świadków. Bardzo ci to przeszkadza?

– Wariat. – Jej oczy wciąż się śmiały, ale nagle spoważniała, zdjęła jego dłonie ze swoich ramion i ścisnęła go za palce. – Jestem twoją żoną, na dobre i na złe. Do końca świata.

– Do końca. – Znów ją pocałował.

Przyłgnęła do niego, ale jakoś tak inaczej niż zwykle, bardziej miękko i namiętnie. Poczuł, jak ogarnia go pożądanie, które czuł już wcześniej, ale któremu nigdy nie pozwolił dojść do głosu. Położył ją na trawie, na szczęście była wyschnięta, czerwcowe upały dawały się we znaki nawet roślinom. Srebrzyste światło księżyca barwiło im skórę na szaro, ale kolory przestały mieć znaczenie, liczyły się tylko kształty, dźwięki i zapachy. Ich ręce błędziły po ciałach, wciskały się pod ubranie, szukały najwrażliwszych miejsc, oddechy mieszały się ze sobą.

Położył się na niej delikatnie.

– Bądź ostrożny, ja jeszcze nigdy... – wyszeptała.

– Wiem – również szepnął. – Ja też nie...

22

październik 2020

Jeszcze tego samego dnia o dwunastej zwołano posiedzenie w gabinecie Kurylaka. Ukośnie ustawienie stołu względem ścian nazwane przez Berdaka „nie po fengszui” wciąż stanowiło kompromis między maksymalną możliwą do przyjęcia liczbą osób a możliwościami przestrzennymi ciasnego pomieszczenia. Kiedy już na miejscu zebrali się naczelnik wydziału, jego zastępczyni oraz Bartek Hajduk, Berdak i Rędzia, a Joasia z sekretariatu przyniosła cztery kawy, zaczęli zebranie.

– Podsumowując... – Rędzia położył dłoń na leżącej przed nim teczkę z materiałami śledztwa – ...chronologicznie pierwszy ginie Dworzak, zostaje zabity w szpitalu około dwudziestego trzeciego września. Opinia patologa jest niejednoznaczna w tej kwestii ze względu na fakt, że zwłoki leżały jakiś czas w ustronnym miejscu szpitala. Potem Baliński, ginie piątego października, zresztą tego dnia, w którym odkryto zwłoki Dworzaka. Obaj zostali zabici w identyczny sposób, bez znęcania się, po prostu mocny cios niezidentyfikowanym narzędziem we wrażliwe miejsce głowy. Sprawca przywłaszcza sobie tożsamość Dworzaka, przynajmniej na chwilę, i znika, od Balińskiego zabiera laptop, nie zauważając, że ofiara niepostrzeżenie włącza nagrywanie w leżącym na biurku dyktafonie. Następnie ginie Bogdański vel Kublicki i tu mamy rzeź. Zakładamy, że to jeden i ten sam sprawca: enen ze szpitala, choć w tym ostatnim przypadku mamy inne narzędzie zbrodni, a w zasadzie zupełnie inny jej charakter, ponadto działanie sprawcy charakteryzowało się brakiem ostrożności. W warsztacie wszędzie zostawił ślady: paluchy, włosy i tak

dalej. Pelerynę, którą miał na sobie podczas oprawiania Kublickiego, tak go może nazywajmy, zostawił na miejscu zbrodni, jakby nie zdawał sobie sprawy, że to kopalnia śladów. Jakby w ogóle nie dbał o to, czy zostanie odkryty. Trzy morderstwa w ciągu kilkunastu dni... To wygląda na zaplanowane działanie, mimo pewnych cech tak zwanego spree killing, czyli aktu szalonego mordercy; szalonego, a nie seryjnego. Nie seryjnego, bo brak tego wyciszenia między zabójstwami, okres między nimi jest zbyt krótki. Tylko tu nie było chaosu ani przypadkowości. On miał cel i wygląda na to, że celem był Kublicki, a Dworzak i Baliński drogą do tego celu. No i ten punkt wspólny, którym jest kościół Gajdamowicza. Jego członkami byli kiedyś i Dworzak, i Kublicki oraz jeden z bohaterów fragmentu filmu zrobionego przez Balińskiego. Mam na myśli konkretny fragment, który przedstawiał wizytę w domu kościelnym. Który z tych ludzi, nie wiemy, ale bardzo prawdopodobne jest, że zwłoki któregoś znajdą się niedługo w jakimś opuszczonym miejscu z dziurą w czaszce albo, co gorsza, w takim stanie jak ciało Kublickiego.

– Czeka, bo już mi się pieprzy. – Kurylak podniósł rękę, jakby się zgłaszał do odpowiedzi albo zatrzymywał taksówkę. – Film na filmie?

– Mniej więcej. – Rędzia się uśmiechnął. – Na filmie Balińskiego, wyemitowanym tylko raz w maju dwa tysiące osiemnastego roku w TVP Kultura, jest pewien fragment, który trwa niecałe półtorej minuty. To wstawka, podobnie jak inne materiały archiwalne. Film Balińskiego pokazywał po prostu dalsze losy bohaterów, członków HA!TAK-u, i jedyne, co dotyczyło losów Szajnerta, to kawałek filmu werbunkowego kręconego na zlecenie Gajdamowicza, który miał służyć złowieniu w sieć nowego narybku. Nie wiem, jak to się ma do tej aury tajemniczości i konspiracji otaczającej sektę, mam wrażenie, że chodziło wyłącznie o piar, żeby Ojciec mógł się tym wykazać, gdyby ktoś zaczął węszyć. Nieważne... Przewinęło się przez niego dziewięć osób, udało nam się zidentyfikować Gajdamowicza i właśnie Janusza Szajnerta, byłego członka pewnego ruchu artystycznego, o którym opowiada film Balińskiego. – Rędzia kątem oka zauważył, jak Berdak zerka w tym momencie na sufit.

– Dobra, już wszystko jasne.

– Kublicki, który też jest na filmie, bo obejrzałem to po raz tysięczny i porównałem ze zdjęciem od jego żony, był zastępcą Gajdamowicza –

kontynuował Rędzia. – Po aferze z narkotykami, jako że nie udowodniono mu żadnej winy, został oczyszczony z podejrzeń i zwolniony. Powodem zmiany nazwiska była zapewne chęć zerwania z przeszłością oraz możliwym powiązaniem go z aferą w przyszłości. Miejsce pobytu Szajnerta jest nieznane, podobnie jak wszystkich pozostałych członków Kościoła, choć trudno tu mówić o ustalaniu miejsca pobytu, skoro nie wiemy czyjego... Ale Szajnert to jedyna nić, której chwycenie może nam coś dać. Jeśli nie leży w jakimś dole z rozbitą czaszką... Wygląda na to, że w chwili obecnej nie ma możliwości porozmawiania z nikim z komitetu założycielskiego Kościoła: albo nie żyją, albo miejsce ich pobytu nie zostało ustalone, albo nie mają nic do powiedzenia, bo nic nie wiedzą.

– Nie mamy pewności, że morduje jeden sprawca? – zapytał Kurylak.

– No, nie – przyznał Rędzia. – To na razie hipoteza. Ślady sprawcy zabójstwa Kublickiego zostaną wrzucone do bazy GENOM i zobaczymy, co wyjdzie. Może trafimy konkretnego człowieka, może tylko powiązanie NN ślad – NN ślad, a może nic. Trzeba pamiętać, że w pierwszych dwóch przypadkach śladów biologicznych sprawcy brak, inny był również sposób uśmiercenia ofiar, więc faktycznie może być i tak, że mamy dwóch sprawców. Może nawet to Kublicki zabił Dworzaka i Balińskiego, a potem ktoś wykończył jego? To wciąż zgadywanie. Jedynym powiązaniem jest ta cholerna sekta i tego bym się trzymał. I ta zastanawiająca znajomość anatomii. Baliński moim zdaniem był przypadkową ofiarą. Sprawca chciał ustalić coś z filmu, ale właśnie z tej części dotyczącej sekty.

– A jeśli jednak nie? – zapytał Kurylak.

Rędzia wzruszył lekko ramionami.

– Czegoś musieliśmy się złapać, naczelniku. Wszystko łączy się z tą cholerną sektą. I nie ma żadnych powiązań z HA!TAK-iem. Gdyby nie ten fragment z kolacji u Gajdamowicza, w którym wystąpiła przynajmniej jedna ofiara, oby nie więcej, tobym się faktycznie zastanawiał.

– No dobra, dalej.

– Prawdopodobnie zobaczył tam coś, co zwróciło jego uwagę, ale nie zdążył się temu czemuś przyjrzeć. Na przykład drzwiom. A mogło też chodzić nie o coś, a o kogoś. Może o którąś z tych dziewięciu osób, które przewinęły się przez te półtorej minuty. Najwięcej czasu poświęcone jest tam oczywiście Szajnertowi, bo to na nim skupiał się Baliński jako członku

grupy HA!TAK, ale to niekoniecznie o niego mogło chodzić mordercy. Już nie dowiemy się, skąd Baliński wziął ten film. Od firmy, która go kręciła? Od kogoś z sekty? To miał być film werbunkowy, ale kilka dni później nastąpiło to masowe zatrucie grzybami i to był początek końca. Film zapewne przepadł. Sekciarze kręcili go w dwa tysiące czternastym, Baliński swój robił w szesnastym. Przy założeniu, że było, jak mówię, to jedynym dostępnym sprawcy sposobem dotarcia do tego właśnie fragmentu był kontakt z twórcą dokumentu o HA!TAK-u. Kontakt, który zakończył się zabójstwem, całkowicie irracjonalnym.

– Nie mógł dopuścić, żeby to zgłosił – zauważył Hajduk.

– Zgadza się, no i pamiętał go spod budynku telewizji. I to rozumiało, że on chciał zachować anonimowość, ale w takim razie jak to się ma do tego festiwalu śladów u Kublickiego? Ta peleryna zostawiona w warsztacie to ich skarbiec. Do wyboru, do koloru. Jakby założył ją wyłącznie po to, żeby nie ochlapać się krwią ofiary, bo musiał jakoś wrócić do domu.

– Te ślady też są anonimowe.

– Na razie. Pozostaje mieć nadzieję, że coś wyskoczy w bazie GENOM. A może to był ostatni raz i już nie dbał, co będzie dalej? Gajdamowicz twierdzi, że nie będzie więcej trupów, a ja zastanawiam się, na czym opiera to twierdzenie i dochodzę do wniosku, że ma z tym coś wspólnego, choć zapewne nie osobiście: przecież nie wstał z łoża śmierci, prawda? Zapewne zna tożsamość mordercy. Tylko że musimy pogodzić się z tym, że on już nam niczego nie powie. Raz, bo nie chce i nic na to nie poradzimy, a dwa, że za chwilę umrze i na to w ogóle nie mamy żadnego wpływu. Pozostaje szukać następnych członków sekty. Zanim znajdzie ich morderca.

Kurylak zerknął na zegarek.

– Dobra, walczcie z tematem – powiedział tonem sugerującym zakończenie spotkania. – Informacje poproszę na bieżąco, jakby coś nowego się pojawiło. I dogadujcie się już między sobą co do dyżurów w przyszłym miesiącu, żeby można było zrobić grafik na listopad. Coś jeszcze?

Rędzia sięgnął po komórkę, aktywował ją i spojrzął na wyświetlacz.

– Ja mam prośbę... – mruknął.

– No?

– Będę mógł wyskoczyć na pogrzeb? Ciotka żony zmarła... Na czternastą.

* * *

Rędzia pojechał do domu po Bożenę. Patryk i Piotrek zostali sami w domu i gdy komisarz tak słuchał ich gorących zapewnień, że będą grzeczni, doszedł do wniosku, że będą bardziej święci niż ich patroni.

– I tak będą rznąć w jakieś gry na kompie – powiedział Rędzia, kiedy Bożena wsiadała do samochodu.

– Daj im spokój. – Machnęła ręką. – I tak dobrze, że jeszcze nie zwariowali w tym domu, bez szkoły i zajęć pozalekcyjnych. Mają chociaż siebie.

Pogrzeb zaczął się punktualnie w kaplicy Cmentarza Centralnego. Po krótkiej ceremonii z udziałem księdza, na której było może z kilkanaście zamaskowanych osób, urna i parę wieńców trafiło do karawanu. Autokar nie cieszył się powodzeniem, wsiadły do niego dwie osoby, reszta przeszła za karawanem ten niezbyt długi kawałek do miejsca pochówku. Wszystko wyglądało jak zwykle. Rędzia przyglądał się czterem mężczyznom w niedopasowanych szarych garniturach z czarnymi klapami, którzy krzatali się w milczeniu pomiędzy zebranymi, rozstawiając akcesoria: stoliczek na kropidło, pojemnik z ziemią i małą łopatkę, mikrofon dla księdza i stojaki na wieńce. Kiedy przyjechał ksiądz, wszystko było już gotowe. Nagle komisarz zauważył kogoś mu nieznanego. Widać było, że chłopak jest niepełnosprawny umysłowo, niedorozwój dotyczył jednak również ciała i jego mowy. Był wielki; wysoki i szeroki w barach i biodrach, miał ogromne stopy. Duże dłonie ze sztywno wyprostowanymi i złączonymi palcami wystawały z rękawów szarego, przyciasnego płaszczyka i celowały w ziemię jak przedłużenie wymierzonych ku niej ramion, niczym u Supermana z komiksu, który nie zdążył przebrać się w budce telefonicznej, ale zaraz zawoła: up, up and away i odleci ratować świat. Zamiast wydać okrzyk, chłopak zaczął nagle rozpaczliwie szlochać, kryjąc twarz w ramieniu. Dłonie nie zmieniły pozycji. Kobieta, przy której stał, przytuliła go i stając na palcach, zaczęła mu coś szeptać do ucha.

Pokiwał głową i uspokoił się po chwili, lecz zaraz potem wybuchnął krótkim, głośnym śmiechem. Tylko dwie osoby obejrzały się z lekkim zgorzaniem.

– Kto to? – zapytał Rędzia żony.

Bożena, nie odwracając się, rzuciła cicho kącikiem ust:

– Syn Jadźki, tej z Bydgoszczy. Kuzynki cioci Tusi ze strony ojca.

– Okej. – Komisarz pokiwał głową, choć i tak niewiele mu to mówiło.

Chłopak, jakby zawstydzony swoim wybuchem, do końca pogrzebu stał bez ruchu i bez słowa. Kiedy ksiądz skończył, ludzie zaczęli podchodzić do grobu ze zniczami i bukietami kwiatów. Rędzia, patrząc na to, poczuł, jak w głowie przeskakuje mu jakaś zapadka.

Po pogrzebie odwiózł Bożenę do domu i wrócił na cmentarz.

Firma pogrzebowa „Charon” mieściła się naprzeciwko głównej bramy cmentarza. Praktycznie wszystkie domy w tym miejscu od dziesięcioleci były siedzibami takich firm, nie inaczej było z „Charonem”. Rędzia minął wielki stragan z kwiatami i zniczami wystawiony przed domem i wszedł do środka, gdzie w porównaniu z ulicą panowała niemal idealna cisza. Wręcz grobowa. Kilka sekund zabrało komisarzowi oswojenie się z nią i dopiero wtedy dotarły do niego ledwo słyszalne dźwięki kojącej w założeniu muzyki. W założeniu, bo dla Rędzi, który nie cierpiał ptaków, cały efekt zepsuło przetykanie tych dźwięków ich ćwierkaniem. Widok też nie napawał optymizmem, bo na półkach stały głównie urny, na ścianach zaś wisiły certyfikaty i komisarz wołał nie wiedzieć, czego dotyczyły. Za biurkiem siedziała pani w okularach zsuniętych na czubek nosa i wpatrywała się w ekran komputera, choć Rędzia był stuprocentowo pewien, że zauważyła jego wejście i teraz widzi go także, mimo że wzrok ma skupiony na monitorze. Wyglądała jak idealnie obsadzona w swojej roli i komisarz miał nadzieję, że nie tylko wygląda, ale i tak jest. Potrzebował informacji.

Prezentacja przebiegła bez zakłóceń, pani wyraziła chęć współpracy, podkreślając ją uśmiechem, który poprawił niewątpliwie Rędzi nastrój.

– Czy kojarzy pani Leszka Bogdańskiego? – zapytał, rozsiadając się na krzeselku stojącym przed jej biurkiem. – Pracował tutaj kilka lat temu.

– Przykro mi. Pamiętam chyba wszystkich, pracuję tu od początku, ale nikogo o takim nazwisku nie kojarzę – odpowiedziała i widać było, że

naprawdę jest jej bardzo przykro.

– Przepraszam. – Rędzia się zreflektował. – Miałem na myśli Kublickiego. Leszka Kublickiego.

– A, to tak. – Rozpromieniła się. – Pracował tu. Ale jeśli chce pan o nim coś wiedzieć, to obawiam się, że za wiele nie pomogę. Nawet sympatyczny, ale milczek. Robił swoje i za wiele nie gadał. Praktycznie z nikim.

– Wie pani, że był członkiem sekty?

– To akurat wiem. Było tu jeszcze paru przez te lata. On, taki Zdzisiek, Bogdan i Janusz.

– Szajnert?

– Tak.

– Co z nim?

– Był tu jakieś trzy lata, a potem rzucił tę robotę. Z dnia na dzień. Bez słowa pożegnania. Kublicki odszedł chyba w dwa tysiące piętnastym czy szesnastym, tak, szesnastym, a Janusz pewnego dnia po prostu nie pojawił się w robocie.

– Kiedy był w niej ostatni raz?

– W dwa tysiące osiemnastym. Chyba w maju. Jakiś rok wcześniej było drobne zamieszanie, bo oskarżono go o kradzież jakichś odczynników, podobno miał popijać w pracy i to właśnie te płyny, ale wszystko jakoś się rozeszło po kościach, bo pracowity był i w sumie bezproblemowy. I nagle zniknął. Nie miał nawet telefonu, żeby do niego zadzwonić, ja nawet pojechałam do niego na Gdyńską, bo taki adres podał przy przyjęciu do pracy, ale tam mi ktoś powiedział, że on tam nie mieszka i nie wiadomo, gdzie jest. I tyle...

– Nie myślała pani, żeby drążyć temat dalej? Zgłosić zaginięcie?

– Ja? – Spojrzała na niego zdziwiona. – A od czego jest rodzina? Zresztą wie pan, to się czasem zdarza... Ci ludzie to raczej wolne ptaki. Nie są przywiązani do pracy, jak na przykład jakiś kierownik do stołka. Nie ta praca, to inna albo żadna. Może mu się po prostu znudziła? Ile można patrzeć na nieboszczyków?

Albo jak się samemu jest trupem – pomyślał Rędzia.

– Rozumiem... A czy jest tu ktoś jeszcze, kto był kiedyś w sekcje?

– Już nie. Boguś zginął rok temu, potrącił go tramwaj, ze Zdziśkiem nie wiem, co się dzieje, a Leszek... W sumie też nie mam pojęcia, co z nim. Oni wszyscy trochę dziwni byli, wie pan? Ja pochodzę z Wielkopolski, my tam mamy taki kult pracy i oni tacy robotni byli, jakby od nas przyjechali. Nie uchylali się od niczego. Zawieźć zwłoki, umyć, grób wykopać, papiery do ZUS-u zawieźć, nie ma sprawy. No dobra, do ZUS-u nie, bo żaden z nich prawa jazdy nie miał. A nie, Kublicki miał, jedyny. On to w ogóle dużo jeździł, po całym mieście. A tych pozostałych wysyłali do najcięższych robót. I oni nigdy się nie skarżyli.

– Hmm... Da mi pani nazwisko tego Zdziśka? I dane, jakie pani ma.

– A co się stało?

– Jemu? Mam nadzieję, że nic. – Rędzia się uśmiechnął. – Szukam kogokolwiek, kto znałby pewną osobę z tej sekty. To mój jedyny ślad.

Kobieta wstała i sięgnęła na jedną z zastawionych segregatorami półek regału za swoimi plecami. Po minucie Rędzia miał już nazwisko, które niczego mu nie mówiło, i PESEL, który powiedział mu tylko tyle, że Zdzisław Soból ma tyle samo lat, ile miałby jego ojciec, gdyby żył.

Podziękował i wyszedł na ulicę.

Idąc do samochodu zaparkowanego na placu za budynkiem Zakładu Usług Komunalnych, zadzwonił do Berdaka, żeby się poskarżyć.

– Nie narzekaj – zbeształ go Jarek, zamiast dodać mu otuchy. – Nie możesz mieć za każdym razem takiego strzała, jak do tej pory. Ale poczekaj – dodał po chwili. – Skoro w „Charonie” pracowało kiedyś kilku wyznawców Gajdamowicza, to być może w innych miejscach też. Na przykład w szpitalu na Unii, razem z Dworzakiem? Może tam spróbuj?

– Niegłupie – przyznał Rędzia.

Idąc do samochodu, zastanawiał się nad Szajnertem. Wyglądało na to, że trop urywał się w dwa tysiące osiemnastym. Obawiał się coraz bardziej, że to nieoczekiwane zniknięcie nie oznacza nic innego, jak nagłą śmierć zadaną czyjąś ręką, i Szajnert był po prostu pierwszą, choć wciąż nieodnalezioną ofiarą z listy mordercy. Tylko czemu przez dwa lata nie działało się nic, a kiedy wreszcie zaczęło, to z hukiem?

Kiedy dotarł do auta, sięgnął do schowka i wyciągnął swój notes. Był w nim zapisany telefon do salowego Oparczyka, kolegi Dworzaka. Zadzwonił do niego od razu, żeby zadać mu pytanie, które powinien był

zadać już tamtego dnia, tyle że nie przyszło mu to wtedy do głowy. Zresztą komu by przyszło? Tam, w podziemiach szpitala, wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Oparczyk odebrał od razu i na szczęście pamiętał Rędzię.

– Tak, pracuje tu taki jeden, który też był zdaje się w tej sekcji – powiedział. – Chesiak się nazywa, ale on ma rejony na ortopedii. Na dzieciakach. Tam go pan musi szukać...

* * *

Klinika Ortopedii i Traumatologii Dziecięcej mieściła się na drugim piętrze starego budynku szpitala. Rędzia zadzwonił domofonem przy wejściu na oddział, a kiedy z którejś z sal wyrzała zamaskowana postać drobnej kobiety, przyłożył do szyby odznakę. Kobieta zniknęła i po chwili pojawiła się znowu. Ostrożnie otworzyła drzwi, popatrzyła na Rędzię i powiedziała z miętym ukraińskim akcentem: ja nie wiem, czy ja mogę wpłuscic', pan poczeka momencjik, ja zawolam kogos'. Drzwi zamknęły się, a niecałą minutę później podeszła do nich inna kobieta: też w maseczce, ale wysoka i postawna, której pewny chód zdradzał poniekąd rangę. Kiedy uchyliła drzwi, Rędzia zauważył na identyfikatorze napis: „pielęgniarka oddziałowa”.

– Szukam salowego nazwiskiem Chesiak. Podobno tutaj pracuje – zagadnął.

– A pan to...?

Rędzia jeszcze raz wyciągnął odznakę i dyskretnie pokazał ją oddziałowej.

– Jest w pomieszczeniu socjalnym personelu sprząającego, za zakretem korytarza. Co zrobił? – zapytała ciekawie, wpuszczając go.

– Mam nadzieję, że nic. – Mrugnął do niej. – Proszę trzymać za niego kciuki...

Zostawił oddziałową i ruszył korytarzem, mijając kolejne, pouchylane drzwi na sale chorych. Tuż przed rozwidleniem korytarza, przy klatce schodowej natknął się na chłopca na wózku. Mały miał nogę w gipsie od kostki po pachwinę i kiedy komisarz go mijał, chłopiec oderwał wzrok od okna i spojrzał na niego. Rędzia mrugnął do niego wesoło i uśmiechnął się

pocieszająco. Mały oddał uśmiech. Kiedy komisarz dotarł do końca oddziału, na jednych z drzwi zobaczył tabliczkę z napisem „pomieszczenie porządkowe”. Były uchylone, a za nimi zobaczył wąską i ciasną salkę. W środku było dwóch mężczyzn w białych fartuchach, którzy siedzieli na kanapie i jedli kanapki, rozmawiając cicho ze sobą. Otworzył drzwi szerzej, stanął w nich i powiedział.

– Szukam pana Chesiaka. To któryś z panów?

Jeden z nich, drobny człowieczek o trójkątnej twarzy i potarganych, czarnych jak pióra kruka włosach odłożył kanapkę na stolik, wstał, obciągnął fartuch i popatrzył na Rędzię z lekką kpina.

– Tak, to ja jestem pan Chesiak. O co chodzi?

Rędzia oparł się o framugę.

– Policja... – zaczął, ale nie zdążył powiedzieć niczego więcej.

Spostrzegł tylko, jak kpina w oczach Chesiaka zmienia się w zaskoczenie i strach, a potem bardziej poczuł, niż zobaczył, jak coś miota nim z ogromną siłą, a on leci do tyłu. Jakby uderzył go autobus, prosto w pierś.

Łapał oddech, leżąc na posadzce i słuchając cichnącego kłapania crocksów salowego.

– Kurwa, nie wierzę – mruczał do siebie, zbierając się z podłogi. – Taki knypek...

Kolega Chesiaka wciąż siedział na kanapie z uniesioną ręką, w której trzymał swoją kanapkę. Usta miał otwarte, oczy też, jeszcze szerzej. Zastygł w bezruchu i trwał w nim tak, bezbrzeźnie zdumiony i niezdolny do żadnej reakcji.

– Zostań tu – warknął do niego Rędzia i skoczył na równe nogi.

Poczuł kop adrenaliny silniejszy nawet niż niespodziewane pchnięcie Chesiaka. Sprawdził pod pachą, czy broń nie wyleciała jakimś cudem z kabury, napiął mięśnie i ruszył do biegu, a mijając oddziałową, rzucił w przelocie: „Słabo pani trzymała”. Chesiak właśnie otwierał drzwi na klatkę schodową. Rędzia skoncentrował na nim wzrok i przyśpieszył. Wiedział, że ma nad nim przewagę, bo miał na nogach normalne buty, a tamten klapki. Kiedy mijał chłopca na wózku, który miał na twarzy szeroki uśmiech i pokazywał ręką w stronę schodów, wyszczerzył się do niego. Złapał zamykające się drzwi i wypadł na klatkę. Chesiaka dorwał

jeszcze na schodach, ale już na parterze. Przeskoczył ostatnich kilka stopni dzielących go od salowego i rzucił mu się na plecy, odwdzięczając się tym samym: rzutem na podłogę. Chesiak padł na bok, obrócił się na wznak i jęknął.

– Dlaczego uciekałeś? – Rędzia stał nad nim w rozkroku, dysząc wściekłością.

– Nie wiem.

– Jak to, kurwa, nie wiesz? Wała ze mnie robisz?

– Ja... Ja dopiero wyszedłem z więzienia. Dwa tygodnie temu...

– Za co siedziałeś?

– Za niewinność, za co mogłem siedzieć?

Rędzia wyjął z kieszeni opaski zaciskowe, założył je na nadgarstki Chesiaka i zaciągnął z cichym zgrzytem plastikowych ząbków. Potem chwycił za ubranie i szarpnął do góry.

– Wstawaj – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Przejedziemy się...

23

październik 2020

Rędzia wezwał patrol i poprosił o przewiezienie salowego na Kaszubską. Chesiak siedział teraz w pomieszczeniu przesłuchań komendy miejskiej i gapił się w lustro weneckie, za którym z kolei na niego gapili się Berdak i Rędzia.

Komisarz w szpitalu miał przez chwilę zgryz. Chesiak odepchnął go, choć Rędzia poinformował, że jest policjantem. Gdyby zaczął spieprzać na sam jego widok, nie byłoby problemu, ale to, co zrobił, było już naruszeniem nietykalności funkcjonariusza wykonującego czynności służbowe. Za to dostawało się zarzuty. Musiałby zawieźć go na PdOZ, wypełniać papierki i tak dalej, potem włączyć się po sądach, a na to nie miał ochoty. Miał za to przeczucie, że ucieczka nie była podyktowana tylko hasłem „policja”, co usiłował mu wmówić Chesiak. I teraz chciał to sprawdzić.

– Sebastian Chesiak, lat czterdzieści osiem, skazany za kradzieże popełniane na pacjentach szpitala, wyrok odbyty w całości – odczytał Berdak. – Potulna owieczka zmieniała się w złego wilka. Życie to jednak nie jest bajka...

To faktycznie nie pasowało do członka Kościoła, bądź co bądź mającego swoje źródła w chrześcijaństwie, w którym dobroć i dbałość o bliźniego jest na pierwszym miejscu. Chesiak był jedynym ze znanych Rędzi członków sekty Gajdamowicza, poza samym Ojcem, który wylądował w więzieniu. Ciekawe, czy było ich więcej?

Patrząc na to, co się działo wokół tej sprawy, wcale by go to nie zdziwiło.

– To co, Jarecki, dobry, zły i brzydki? – zapytał Berdaka.

– Brzydki siedzi w klatce, to ja zły?

– Nie, tym razem ty jesteś ten dobry. Zacznę. Skoczysz mi po czekoladę z automatu?

– Jasne. – Berdak odłożył papiery na stół. – Z dodatkowym cukrem?

– Co ty, chcesz mnie zabić?

Kiedy Berdak wyszedł, Rędzia wszedł do pomieszczenia. Chesiak spojrzął na niego wilkiem. Komisarz odwrócił krzesło oparciem w stronę stołu i usiadł na nim okrakiem.

– Dostałeś wyrok za okradanie pacjentów jako salowy i tydzień po wyjściu z więzienia znów dostałeś tę robotę? – zapytał zdziwiony.

– Parszywa jest, to i nikt nie chce jej brać. Ukraińcy u siebie, bo koronawirus...

– Zaświadczenia o karalności nie musiałeś pokazywać?

Chesiak tylko popatrzył na niego.

– Dobra, do rzeczy. Czy byłeś członkiem Kościoła Gajdamowicza?

– Tak.

– Czy znałeś Sławomira Dworzaka?

– Tak.

– A Leszka Kublickiego znasz?

– Tak, znałem go.

– Znałem, mówisz... Czyli wiesz, że nie żyje?

Chesiak spojrzął na niego zaskoczony.

– A skąd wiesz, że nie żyje? – zapytał z ciekawością Rędzia.

Ale Chesiak milczał.

– Pewnie też jesteś zameldowany na Gdyńskiej i znasz pana mecenasa Laubego, co? Widzę, że wieści szybko się rozchodzą. Niby wszystko runęło, wszyscy gdzieś poznikaliście, ale jak przyjdzie co do czego, to każdy wie, co w trawie piszczy... Dobra, jest tak: uderzyłeś policjanta wykonującego czynności służbowe. Za to idzie się siedzieć. A ty przecież niedawno wyszedłeś z pierdla. Ale to jest drobiazg, bo jeśli okaże się, że masz coś wspólnego z tymi morderstwami, to szybko tam wrócisz, i to na długo.

– Co ja mogę mieć wspólnego z morderstwem Dworzaka, jak wtedy siedziałem?

– To jeszcze niczego nie oznacza. Wiesz, co to jest sprawstwo kierownicze? A jak się okaże, że to ty kazałeś komuś go zabić? Zresztą przypominam ci, że kolejne dwa zabójstwa popełnione zostały już po twoim wyjściu. A ja mogę tak poprowadzić śledztwo, żeby okazało się, że twój udział jest bardzo prawdopodobny i przekonam prokuratora do sankcji. Co ty na to?

– Dobry i zły glina, co? – Chesiak uśmiechnął się półgębkiem. – Na ten numer już nikt się nie nabiera, panie władzo. To już nie te czasy.

– Rozszyfrowałeś mnie, geniuszu zbrodni. – Rędzia uniósł ręce, jakby się poddawał. – Rozumiem, że mówisz to jako praktyk? Z wyrokiem za okradanie bezradnych pacjentów, cwaniaku z miodem w uszach? Pod celą to pewnie rządziłeś, co?

Chesiak spojrział na niego spode łba.

– Słabo, jak na złego. – Cmoknął z udawaną nonszalancją. – Bardzo słabo.

– Słabo? – Rędzia uniósł brwi. – Słabo?? A kto ci, kurwa, powiedział, że ja jestem ten zły? – Wskazał ręką na lustro. – Ja jestem ten dobry, a to tamten jest zły. Stoi za ścianą i patrzy na nas przez tę magiczną szybkę. Nazywa się Berdak. Powiem ci coś i powiem ci to nie dlatego, że mi cię żal, tylko dlatego, że gościa nie trawię. Ten facet jest pojebany, rozumiesz? Dostał kiedyś wpierdol od jednego gangusa, naprawdę tęgi, miesiąc leżał w szpitalu z zadrutowaną szczęką i od tej pory, kiedy się zdenerwuje, coś mu przeskakuje w trybikach i wpada w szal. Znienacka. Po prostu uśmiecha się, coś tam sobie mruczy wesołego i nagle... – Rędzia wbił pięść we wnętrze drugiej dłoni, głośne klaśnięcie odbiło się echem od ścian.

– Pieprzenie.

– A fe, jakie brzydkie słowo w ustach prawdziwego chrześcijanina. – Rędzia skrzywił się obojętnie. – Nie, to nie jest pieprzenie. On ma awersję do wszystkich, którzy siedzą po tej stronie stołu, gdzie ty teraz. Wiesz dlaczego? Bo on z automatu zakłada, że ten ktoś na twoim miejscu jest winny. Zasada domniemania niewinności? Daj spokój, ten gość dawno zapomniał, co to znaczy. Kiedyś powiedział mi, że kiedy tak siedzi w tym

pokoju naprzeciwko jakiegokolwiek typu, kimkolwiek by był, to widzi ryj skurwiela, który skasował mu twarz. Widzi to jak w filmie. No, wiesz, rysy zmieniają się płynnie, przeobrażają się, a jemu na ten widok rośnie ciśnienie. Dodał, że gdyby na tym krześle siedział jego ojciec, to też by widział tamtego. Odwaliło mu. Totalnie mu odwaliło.

– Walicie taki tekst wszystkim?

– Nie. – Rędzia się roześmiał. – Może się zdziwisz, ale nie lubię patrzeć, jak biją ludzi. Ja jestem normalny, no, w miarę normalny. Ale niektórym się po prostu należy i wtedy nic im nie mówię. Udaję, że to ja jestem tym złym gliną i usypiam ich czujność. A potem, kiedy przychodzi Berdak, to zamykam oczy, przecież wspomniałem przed chwilą, że nie lubię patrzeć na bitych ludzi... Poza tym co tam bicie, kiedyś chlusnął jednemu gorącą kawą prosto w twarz, to też nie był przyjemny widok. – Machnął ręką. – Zresztą widok jak widok, ale to wycie... – Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Jakoś nie czuję się przekonany. – Chesiak uśmiechnął się, ale był to raczej wymuszony grymas.

Właśnie zaczął toczyć wewnętrzną walkę. Nie wierzył Rędzi, bo z jednej strony trudno uwierzyć w coś takiego, ale z drugiej strony przecież podobne rzeczy się zdarzały. Nie raz i nie dwa i tylko niektóre ujrzały światło dzienne, zwykle wtedy, kiedy skończyły się naprawdę źle. I Chesiak miał tego świadomość. Dlatego łamał się i Rędzia to widział.

I ten widok go bardzo cieszył.

– Dobra, jak chcesz – rzucił komisarz. – Mnie to wisi. Za rok idę na emeryturę. A Berdak jest plecakiem. Wiesz, kto to plecak? To taki gość, który ma układy. Plecy, znaczy. Ma takie plecy, że go nikt nie ruszy, no, chyba że zastrzeli kogoś na ulicy bez powodu. Jego wuj jest szycią w centrali CBŚP. Kiedyś Berdak potracił po pijaku nastolatka na pasach, w nocy. Monitoring to złapał. Kiedy starzy tego łebka zrobili szum, okazało się, że filmu nie ma. Okazało się też, że wcale nie był pijany, bo zniknęły wyniki, a przecież jak nie ma wyników, to nie ma upojenia, tak? A kilka dni później ten gnojek przyszedł z adwokatem i sam powiedział prokuratorowi, że wyskoczył na pasy z samochodu, że to była jego wina i że nie ma pretensji i chce, żeby ta sprawa już się skończyła. To tyle o aspirancie Berdaku. Aa, jeszcze jedno: zwróć uwagę na jedną rzecz. Ma

taki tik. Kiedy zobaczysz, że rusza szczęką, lepiej się od razu zastoń. Berdak nie wygląda na takiego, ale jest bardzo szybki. Bardzo. Zminimalizujesz straty, bo zanim ktoś zdąży tu wejść, to wiesz, może minąć chwila albo dwie – poradził mu na koniec Rędzia.

Wiedział, że zasiał ziarenko, które w warunkach pokoju przestłuchań kiełkuje bardzo szybko, jak konopie w cieplarni. I tu już nawet nie chodziło o bęcki. W całej swojej karierze Rędzia widział może pięciu, których nie dało się tu złamać, ale osobiście uważał, że mieli coś nie tak z głową. To zawsze była kwestia czasu, dobrej gadki i informacji, które się miało na gościa. Chodziło o sposób patrzenia na świat. Szare ściany małego pokoju, lustrzana szyba, w której mogli widzieć swój słabo maskowany strach przed utratą tego wszystkiego, co było za tymi murami: imprez, dup, dragów, wódy, fur i innych wyznaczników udanego życia zmieniały go diametralnie. Dopiero tu, na tym krześle docierało do nich w pełni, że są o krok od utraty starego życia może nawet na kilka czy kilkanaście lat. Że grają o najwyższą stawkę: swoje życie, i mogą o nią grać wyłącznie zeznaniami. I że jedyną dobrą kartą, jaką mają, jest prawda.

– Na razie – rzucił Rędzia przez ramię, wychodząc z pokoju przestłuchań.
– Zastanów się, co ci się opłaca, a co nie. To chyba nie jest trudny wybór. I pamiętaj, że czasu nie cofniesz.

Teraz chwila na przemyślenie sprawy. Zostawił Chesiąka w pokoju przestłuchań. Berdak właśnie wrócił z czekoladą dla niego i kawą dla siebie, postawił oba kubki na stoliku i otrząsnął ręce.

– Musiałem z obu upić, bo mi się ulewało – poinformował bez troski. – Jak brzydki?

– Twoja kolej. – Rędzia ostrożnie wziął papierowy kubek za brzegi i upił łyk czekolady.

Była jeszcze cholernie gorąca, więc tylko wessał odrobinę z samego brzeżka, żeby się nie poparzyć. Nie miał pojęcia, jak niosąc oba napoje, Berdak zdołał z nich coś upić, skoro z automatu wyływał wrzątek? Jarek tymczasem wszedł do pokoju przestłuchań. Rędzia wiedział, że zanim zacznie rozmowę, poprzechadza się chwilę po nim, żeby wzbudzić w przestłuchiwanym nastrój lekkiej grozy. Dmuchając na czekoladę, Rędzia patrzył przez lustro weneckie, jak Berdak, zawracając przy ścianie, wykonuje nieświadomie ten ruch, który miał od czasu pewnej akcji parę

lat temu, kiedy to został ciężko pobity. Wysunął żuchwę i podrapał się delikatnie po jej łuku, kiedy szczęka przeskoczyła w stawie i kość otarła się o kość.

– Chcę gadać z tym drugim – powiedział nagle Chesiak.

– Co? – Berdak pochylił się nad nim.

Wyglądał teraz jak niedźwiedź, który w Bieszczadach dopadł niczego niespodziewającego się turystę, i w dodatku nawet nie uświadamia sobie, że jest niedźwiedziem, a chciał tylko gryza kanapki.

Chesiak skulił się na krześle.

– Chcę gadać z tamtym drugim. – Już nie mówił, tylko krzyczał, a w jego głosie pobrzmiwały wysokie nuty ledwo skrywanej paniki. – Proszę natychmiast zawołać tego drugiego pana!

Berdak zrobił wielkie oczy, bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, znikając Rędzi z kadru przyciemnionej szyby. Sekundę później drzwi się otworzyły i Berdak pojawił się w pokoju.

– Brawo ty, Jarecki, złamałeś typa – powiedział Rędzia z szerokim uśmiechem na ustach, odstawiając kubek.

– Nie rozumiem, przecież ja jestem tym dobrym gliną – zdziwił się Berdak. – To mnie powinien teraz śpiewać. Pojebało go?

– No, najwyraźniej. – Rędzia westchnął. – Widać nie wie o tym, że jesteś ten dobry. Co ja poradzę...

Klepnął Jarka w ramię i poszedł do Chesiaka, który nerwowo spoglądał na drzwi. Kiedy zobaczył w nich Rędzię, wyraźnie się uspokoił.

– Mój kolega ma dziś chyba gorszy dzień – powiedział komisarz, oglądając się za siebie. – Dla niego gorszy, bo dla ciebie lepszy, w końcu nie zdążył ci nic zrobić. To co? Ja jestem gotowy: słucham.

– Powiem, jak było naprawdę.

– A nie można tak było od początku?

Chesiak milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nie był pan dla mnie miły.

– I vice versa. – Rędzia obrzucił kwaśnym spojrzeniem smętnego człowieka przyklejonego do krzesła. – Dodam jeszcze, że nie mam za dużo czasu.

– Dobrze, chyba już czas, żeby wyjawić prawdę.

Komisarz pomyślał, że jeśli usłyszy to po raz kolejny, trafi go szlag.

– Bóg kazał mi to zrobić – dodał Chesiak.

– Co zrobić? – Rędzia założył ręce na piersi i oparł się o ścianę. Był znużony. Naprawdę mocno znużony tym wszystkim.

– Kazał wyjawić prawdę.

– Bóg ci kazał czy aspirant Berdak? – Wskazał ruchem głowy na szybę.

– Bóg.

– Szybko zadziałał. Akurat tu i teraz? A mówią, że nierychliwy...

– Pan i pana kolega to tylko narzędzia w Jego rękach. Nie zrozumiecie tego. Niech się pan cieszy, że Jego wola dotknęła również pana.

– A jak mam Go teraz poprosić, żebyś w końcu zaczął? Bo mam już trochę dość?

– Niech pan pyta.

– Dobra. Temat lekcji na dziś: Kublicki Leszek. Skąd go znałeś?

– Z Kościoła. Brat Abraham był moim współbratem.

– Taką miał ksywkę? Abraham?

– To było jego wspólnotowe imię, a nie żadna ksywka.

Rędzia zastanowił się przez chwilę. Może rzeczywiście jechał trochę za ostro.

– Czy Kublicki miał coś wspólnego z działalnością Gajdamowicza związaną z narkotykami?

– Nie sędzę.

– Nie sądzisz?

– On też był w takim samym szoku jak my wszyscy, kiedy aresztowali Ojca.

– Może dlatego, że miał z tym coś wspólnego?

– Nie wiem. – Chesiak wzruszył ramionami. – Ja byłem czysty. Ja wierzę w Boga. To proste: Bóg to dobro, narkotyki to zło. Nie trzeba geniusza, żeby to pojąć. Jeśli kochasz Boga, to nie będziesz babrać się w białym proszku.

– Czyli Gajdamowicz nie kochał Boga?

– Na to wygląda. – Chesiak spojrzał na niego ponuro. – Oszukał nas. Oszukiwał nas latami.

Rędzia pogładził się po zaroście. To też był dobry motyw. Jeśli chodzi o uczucia, to zbrodnia miała z nimi często naprawdę wiele wspólnego, a jeśli chodzi o zawiedzione uczucia... Jeśli Kublicki jako zastępca

Gajdamowicza wiedział o pozakościelnej działalności Ojca, to ktoś mógł uznać, że powinien za to odpowiedzieć, bo też był winny oszustwa. Ale mogło też chodzić o drugi najczęstszy obok zawiedzionych uczuć motyw. Pieniądze. A te, jak wiadomo, z handlu narkotykami mogą być naprawdę olbrzymie. Więc jeśli Kublicki też w tym tkwił, mogło chodzić o jakieś rozliczenia. Kontynuował niechlubną działalność przełożonego po jego osadzeniu?

– Dobra, a powiedz, jak to było z tymi grzybami? – zapytał.

Chesiak wzruszył wątlými ramionami.

– Co tu gadać...

– Wszystko. Najlepiej od początku. Kiedy to było?

– We wrześniu dwa tysiące szesnastego. Dwudziestego szóstego, konkretnie.

– Masz dobrą pamięć.

– To dzień moich urodzin, a takie wydarzenia, jak wtedy, pamięta się do końca życia.

– Jedliście na kolację grzyby, które przyrządził jeden z was? Brat imieniem Grzegorz?

Chesiak spojrział na komisarza ponuro.

– Jak chce pan już tak wszystko wiedzieć, to powiem panu, że to nie brat Grzegorz zbierał grzyby i nie on przyrządził kolację tego dnia.

Rędzia wreszcie doznał tego miłego uczucia, że coś zaczyna się dziać. Coś ciekawego.

– A kto?

– Brat Dawid.

– Dlaczego zatem wszyscy twierdzili, że to brat Grzegorz?

– Bo Grzegorz zmarł i nie robiło mu różnicy. A ten, który zbierał grzyby, przeżył i Ojciec bał się, że spadnie na niego odpowiedzialność. To było niepotrzebne. Karę ponosi się za winę, a to był wypadek. Po prostu głupi wypadek, który kosztował ludzkie życie.

– Więc kto zbierał te grzyby? Ten brat Dawid?

– Tak. Mieliśmy taki system tygodniowy. Każdemu wypadała jakaś służba dla Domu: gotowanie, ogród, sprzątanie i tak dalej. Od poniedziałku do niedzieli. To był tydzień jego służby w kuchni, właśnie się

kończył i to właśnie Dawid został wysłany na grzybobranie, on w tamtym tygodniu przyrządzał też posiłki dla wszystkich. Taka była reguła.

– Jak się nazywał?

– Nie wiem.

Rędzia spodziewał się takiej odpowiedzi po tym, co usłyszał od Gapińskiej, jednak liczył na to, że ta zasada nie była restrykcyjnie przestrzegana. Po prostu w głowie mu się nie mieściło, że można tak żyć.

– Nazwisko brata Dawida – powtórzył uparcie.

– Powtarzam: nie znam jego nazwiska.

– To podaj te, które znasz.

– Nie znam ich. Nie znaleźliśmy swoich prawdziwych imion ani nazwisk. Tylko Ojciec je znał, ale zakazywał nam sobie to mówić. Mieliśmy nowe imiona, nadane przez Ojca.

– I przestrzegaliście tego tak na sto procent?

– Tak. Nasza wspólnota to nie była szkoła ani kolonie, panie komisarzu. To był nasz wybór. Albo szanujemy zasady, wszystkie bez wyjątku zasady Domu, w którym żyjemy, albo do widzenia.

– A skąd wiedziałeś, że brat Abraham nazywa się naprawdę Kublicki?

– Dowiedziałem się tego już później, po tym jak zamknęli Ojca i wszystko się rozpadło. Kublicki nie dźwignął tego, miał być nową opoką dla naszego Kościoła, a wyszło, że to Kościół był dla niego brzemieniem. Uciekł jak tchórz, jak szcurek z tonącego okrętu. I to jest bardzo dobre porównanie, wie pan? Bo nasz Dom zatonął, a Kublicki był zwykłym szcurem.

– I nie znałeś personaliów ani jednego współbrata poza Kublickim?

– Trochę znałem. – Chesiak spuścił głowę.

– Słucham. Które?

– Że brat Mamert nazywał się naprawdę Sławomir Dworzak, to wiedziałem. Pracowaliśmy razem w szpitalu wiele lat. Wiedziałem też, że brat Modest miał na imię Bartek, choć tego dowiedziałem się przypadkiem i nazwiska nigdy nie poznałem. Ojciec to oczywiście Gajdamowicz, z gazet chociażby można się było tego dowiedzieć. Siostra Magdalena przedstawiła mi się, kiedy do nas przyszła i jeszcze nie nawykła, więc podała mi prawdziwe imię i zapamiętałem, bo było takie charakterystyczne: Arleta. I to chyba wszystko. – Chesiak uśmiechnął się

do siebie. – Cicha i skromna. Pracowała w hospicjum. To właśnie w niej kochał się Kublicki. Widziałem kiedyś, jak podglądał ją w łazience i... masturbował się.

– To jeszcze niczego nie oznacza.

– Możliwe. Ale kiedyś pod jego poduszką znalazłem rysunek, jej portret. Sam go narysował. Był dość nieudolny, ale widać było, że to ona, jakieś podobieństwo było. I to nawet nie był portret, tylko cała postać. Naga, zresztą.

– Podobno związki były zakazane?

– Zakazane były kontakty cielesne. Ale serce nie służy, Bóg nakazał miłować. To było widać, jak gapił się na nią maślanymi oczami.

– A co ona na to?

– Nic.

– Nic?

– Może się dobrze ukrywali, ja nie wiem. Ja przestrzegałem zasad.

Rędzia zaczął żuć wargę. Miał już coś i teraz musiał sprawdzić, dokąd to go zaprowadzi.

Popatrzył przeciągle na Chesiaka.

– Wypuście mnie? – jęknął Chesiak, widząc to, a jego mina przypominała pysk psa, który porwał ze stołu i zeżarł kolację swojemu panu, i to na jego oczach.

– Zaatakowałeś policjanta – zauważył Rędzia.

– Nie chciałem, panie komisarzu. Samo wyszło... Ja... Ja wtedy nie myślałem, po prostu włączył mi się tryb ucieczki. – Spuścił głowę. – To co, wypuście?

– Idź i nie grzesz więcej – powiedział Rędzia i dodał po namyśle: – Masz szczęście, że wylądowałeś w pierdłu.

– Bo? – Chesiak spojrzał na komisarza.

– Bo gdybyś był na zewnątrz, już byś być może nie żył. Sam oceń, czy to szczęśliwy przypadek, czy ręka Boga.

Twarz Chesiaka się wydłużyła.

– A teraz oglądaj się za siebie, póki nie złapiemy mordercy – poradził mu jeszcze Rędzia.

24

październik 2020

Kiedy wrócił do siebie, na jego biurku czekały już akta z prokuratury dotyczące zatrucia grzybami. Postępowanie przygotowawcze w sprawie, kwalifikowane z artykułu sto pięćdziesiątego piątego kodeksu karnego, czyli nieumyślne spowodowanie śmierci człowieka, prowadzone było przez rejonówkę Szczecin-Śródmieście. Akta nie były obszerne, co komisarza nie dziwiło w świetle faktu, że zostało dość szybko umorzone na etapie in rem, czyli w sprawie, a nie in personam, z powodu zgonu osoby podejrzanej o spowodowanie śmierci sześciu osób. W toku śledztwa ustalono, że niemal z całą pewnością sprawca działał nieumyślnie. Nazywał się Damian Radziszewski, w sekcie nazywany był Grzegorzem, miał trzydzieści sześć lat i okropnego pecha. Feralną kolację spożyto w siedzibie Kościoła w Załomiu dwudziestego piątego września dwa tysiące czternastego roku, ale to wszystko Rędzi nie interesowało tak bardzo, jak nazwiska, które przewijały się przez akta. Były w nich zeznania czworga członków sekty, w tym Kublickiego, które tak naprawdę nie wniosły nic konkretnego. Grzyby zostały zebrane, przygotowane i podane przez tę a tę osobę, w nocy i dzień później nastąpiły objawy zatrucia, dwa dni po kolacji jego ofiary trafiły do szpitala na Pomorzanach własnym transportem, u jednej z nich, właśnie u Radziszewskiego, stwierdzono zgon na miejscu, czyli w samochodzie. Wszystkie zeznania były zgodne i jednomyślne. Nieszczęśliwy wypadek, nieostrożność, sześć trupów, w gazetach i na portalach kilka artykułów o krzyczących nagłówkach,

które i tak nic nie dawały, bo takie rzeczy powtarzały się co rok, może tylko liczba ofiar jednorazowego zatrucia bywała mniejsza.

Rędzia zaczął notować nazwiska świadków i nagle zapaliła mu się w głowie lampka. Czerwona. I migąła, a komisarz miał poczucie, jakby zaraz coś miało zacząć wyc na alarm. Długopis zawisł nad notatnikiem, bo uświadomił sobie, skąd znał nazwisko, które nosiła jedna z ofiar. Kobieta.

Arleta, w której kochał się Kublicki.

Arleta Wiącek.

Przypomniał sobie wodniste oczy starego, zrzędliviego człowieka i pokręcił z niedowierzaniem głową.

* * *

Rędzia jechał na Pogodno w nastroju pasującym do nazwy dzielnicy. W końcu pojawił się kolejny element powiązany wprost z Kościołem Gajdamowicza, klocek z tej układanki, choć jeszcze nie wiedział, jak go dopasować do reszty. Oczywiście, to mogła być zbieżność nazwisk i żeby to zweryfikować, Rędzia miał do wyboru: sprawdzić w bazie albo odwiedzić człowieka, z którym nie miał ochoty się widzieć. Sama myśl o spotkaniu z Wiąckiem była niesmaczna, ale wolał to załatwić osobiście. Był prawie pewien, że to jednak nie zbieżność, więc i tak by go to nie ominęło, a liczył na to, że coś się wreszcie wyjaśni. Związek między Arletą a enem istniał bezsprzecznie. Teraz komisarz chciał się dowiedzieć jaki.

Przyjechał na Reymonta i jak zwykle miał kłopot z zaparkowaniem, zwłaszcza przy samym ryneczku. Znow minął żywopłot i wbiegł po bujających się pod nogami stopniach. Odruchowo napiął mięśnie ud, kiedy przez wąskie okienko w drzwiach zobaczył jasną plamę światła. Jednak kiedy drzwi po chwili się otworzyły, z zaskoczeniem ujrzał w nich nie Wiącka, tylko starszą panią w czarnym swetrze. Ten widok niezmiernie ucieszył Rędzię. To musiała być Wiąckowa.

– Dzień dobry, nadkomisarz Tomasz Rędzia z policji, czy jest mąż? – Miał nadzieję, że nie i że staruszka wpuści go do środka, a potem sobie porozmawiają.

– Mąż nie żyje, zmarł kilka dni temu... – odparła drżącym głosem.

Rędzi omal się nie wymyknięto, że to nawet dobrze się składa.

– Mogę na chwilę wejść? – zapytał cicho.

Wpuściła go do środka bez słowa.

– Ja w sprawie Maciusia – powiedział, kiedy już siedzieli przy stole w małym pokoiku upstrzonym bibelotami poustawianymi na każdej półce i powierzchni każdego mebla. – Mąż pani wspominał, że już go o to pytałem jakiś czas temu?

Wiąckowa spojrzała na niego zdziwiona.

– Nie. – Ton jej głosu pasował do wyrazu twarzy. – Pierwsze słyszę.

– Uhm. – Rędzia pokiwał głową. – Byłem wtedy u państwa zapytać o pewną sprawę: latem koło ryneczku pobito człowieka, który często odwiedzał tę okolicę. Mąż nie chciał wtedy ze mną rozmawiać, twierdził, że pani źle się czuje i też nic nie wie na ten temat. Ten pobity był znany tutaj mieszkańcom pod imieniem Maciuś. Wie pani, o kim mówię, prawda?

Teraz ona pokiwała w milczeniu głową, a w jej oczach błysnęły łzy.

– Powie mi pani coś więcej o tym człowieku?

– Arletka poznała go w dwa tysiące czteremastym, kiedy pracowała jako wolontariuszka, stażystka w MOPR-ze. Moja córka była bardzo dobrym człowiekiem, wie pan? – Jej wzrok powędrował ku ścianie, na której wisiało duże, portretowe zdjęcie dziewczyny.

Rędzia rzucił na nie okiem. Nie była piękną, ale jej twarz była bardzo sympatyczna i wzbudzała zaufanie. Emanował z niej jakiś spokój. Patrzyła prosto w obiektyw i tajemniczo się uśmiechała. Wiąckowa wróciła spojrzeniem do stołu i teraz spoglądała na swoje splecione palce.

– Była bardzo czuła na ludzką krzywdę – kontynuowała. – Nie chciała studiować, nie chciała robić kariery, chciała poświęcić się pracy dla ludzi. Chciała pomagać bezdomnym, biednym, wykluczonym, jak to się teraz ładnie nazywa. Spotkali się po raz pierwszy w zakładzie pogrzebowym, gdzie on pracował; ona załatwiała tam formalności związane z pochówkiem jakiegoś samotnego człowieka, który był pod opieką MOPR-u. Rozmawiali przez chwilę. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że on jest członkiem tej sekty. Potem odwiedzała go w pracy, bo tam gdzie mieszkał, w tym kościele, nie można było przyjmować gości. Jak w klasztorze. Trwało to kilka miesięcy, Zbyszek denerwował się, kazał jej zakończyć tę znajomość, ale ona już przepadła. Wie pan, on ujął ją swoim spokojem,

dobrocią i podejściem do świata. Byli jak dwie połówki jabłka, wie pan? To się tak rzadko zdarza na świecie, a oni na siebie trafili... Gdyby dane im było razem się zestarzeć i przyszedłby czas na jedno z nich, to drugie poszłoby za nim, wie pan? Zgasłoby jak świeca, góra kilka dni potem. – Zapatrzyła się gdzieś przed siebie, a Rędzia widział w jej oczach jakąś mieszankę zazdrości i radości, że córce to się udało, oraz żalu, że jej samej nie.

Czekał. Wiąckowa drgnęła nagle i na jej twarzy wykwitł smutny uśmiech.

– Próbowałam to wytłumaczyć mężowi, ale nie chciał słuchać. Pewnego dnia powiedział córce o kilka słów za dużo. Ona jemu też. Wyszła z domu i już do niego nie wróciła. Została tam, w Załomiu. Kiedyś, kiedy odwiedziłam ją w pracy, bo ją skierowali w tej sekcji do pracy w hospicjum, powiedziała, że są już małżeństwem. Że on ją kocha nad życie, ona jego też i nie wyobraża sobie świata bez niego. Przepraszała, że nie zaprosiła mnie na ślub, ale był potajemny, i obiecała, że kiedy wszystko się ułoży, zrobią uroczystość dla bliskich i może nawet ojciec da się przekonać do zmiany zdania. Planowali opuścić tę sekte, wie pan? Ukrywali się tam z tą swoją miłością, bo to było zakazane. Tam wszystko było zakazane i wszystko było tajemnicą, ona tam nawet nie mogła powiedzieć nikomu, jak się nazywa, wie pan? – W jej oczach dostrzegł rozgoryczenie. – Nadali jej nowe imię, Magdalena... Więc chcieli tę sekte opuścić. I nie zdążyli, bo stało się... Wydarzyła się ta tragedia... – Rędzia spokojnie czekał, aż Wiąckowa się wypłacze, a kiedy się uspokoiła, westchnęła i kontynuowała: – Zbyszek do końca życia obarczał go winą za to, że Arletka nie żyje. Twierdził, że on nam ją zabrał, i przez to doprowadził do jej śmierci. To by się nie wydarzyło, gdyby została w domu. Nienawidził go za to.

Rędzi coś nie grało. Chesiak powiedział, że to Kublicki kochał się w Arlecie, ale Kublicki nie mógł przecież być Maciusiem.

– Przepraszam, jak on się nazywał? – Zmarszczył brwi.

– Jego sektowe imię to Dawid – odparła, a Rędzia poczuł, jak nagle zdejmuje go groza.

– Po co on tu przychodził? – zapytał, wiedząc już, co odpowie Wiąckowa.

– Przepraszać. Prosić o wybaczenie.

– O wybaczenie czego?

– Wyrzucał sobie, że gdyby jej nie wciągnął do tej sekty, to ona by żyła. Powtarzał to za każdym razem, kiedy się widzieliśmy. Miał ogromne wyrzuty sumienia. To był dobry i prawy człowiek, tylko... Nie dał rady. Nie wytrzymał psychicznie, załamał się. Przychodził raz na kilka tygodni, od lat. Czasem widziałam go przez okno, ale kiedy Zbyszek był w domu, kręciłam głową i on odchodził. Mąż wstydził się go i zabronił mi mówić komukolwiek z sąsiadów, kim jest.

– Czyli nie powiedział pani, kto zbierał te grzyby?

– Nie rozumiem? Nie musiał nic mówić, to nawet w gazetach pisali, że jeden z nich, ten, który umarł...

Wiąckowa była wyraźnie zaskoczona i Rędzia zorientował się, że nie ma pojęcia o tym, że to mąż jej córki był winny jej śmierci. Zastanawiał się teraz, czy jej to powiedzieć i co to zmieni? Czy zasługuje na prawdę? Każdy zasługuje. Ale czy będzie jej od tej prawdy lżej? Raczej nie.

Podjął decyzję, że nie obarczy jej tym ciężarem.

– Dobrze, rozumiem, że pani znała jego prawdziwe imię i nazwisko?

– Dlaczego miałabym go nie znać? – zdumiała się. – Oczywiście, że tak.

Rędzi nie chciało się jej tłumaczyć, że to wcale nie jest takie oczywiste.

– Dawid to imię, które nadali mu w sekcie, na tym ichnim chrzcie – powiedziała. – I Arletka tam musiała się tak do niego zwracać. Ale on naprawdę nazywał się Janusz Szajnert.

25

2014

– Chciałabym z tobą porozmawiać... O dwóch sprawach.

Przyszła do niego do piwnicy, w której była kuchnia z przygotowalnią.

Miał w tym tygodniu dyżur kucharski, do niego należało zorganizowanie wszystkiego: zamówienia rzeczy, których nie mieli na miejscu, zebrania warzyw, przygotowania i ugotowania, oraz podania śniadania i obiadokolacji wszystkim w sali jadalnej. Dziś był przedostatni dzień, pojutrze zmieniał go brat Abraham i cieszył się z tego. Służba w kuchni była chyba najcięższa i nawet mimo wprawy i organizacji, którą sobie wypracował, musiał czasem prosić kogoś o pomoc. I nikt mu jej nigdy nie odmawiał. A jutro była niedziela, obiad był wtedy uroczysty i o ile posiłki w tygodniu dało się obrobić nawet po przyjsciu z pracy, ten wymagał szczególnych przygotowań. To była tradycja Domu, jedna z tych zasad, które rozjaśniały nieco ich pracowite życie.

Postanowił przyrządzić grzyby jako danie główne. W tym roku było ich zatrzęsienie, lasy Puszczy Goleniowskiej obrodziły wyjątkowo urodzajnie, a on miał swoje, znane tylko sobie miejsca, w których grzyby były nawet wtedy, kiedy gdzie indziej poszycie świeciło pustkami. I to całkiem niedaleko Załomia. Znał się na grzybach i zbierał również te, które inni omijali łukiem, nie mając pojęcia, jakie są smaczne. Potrafił je też znakomicie przyrządzić.

– Mamy mało czasu – powiedział, wzdychając. – Muszę przygotować obiad. Ale dziś nakosiłem w lesie trzy wiadra i plecak, ledwo je doniosłem.

- To ważne, kochanie.
 - Przepraszam, oczywiście, mów. Co się stało?
 - Mam wrażenie, że brat Abraham jakoś dziwnie na mnie patrzy.
 - Jak dziwnie?
 - No, jakbym mu się podobała.
 - Myślisz, że wie o nas?
 - Nie sądzę. Inaczej wiedziałby już Ojciec. A on... Ostatnio jakoś tak dziwnie zagaduje. Albo wpatruje się we mnie.
 - To może jednak wie? I chce nas szantażować?
 - Nie, nie o to chodzi. Już dawno to zauważyłam, ale nie mówiłam ci, bo to w sumie nic niezwykłego. Ale ostatnio to się nasiliło. Nawet już się z tym nie kryje. On... On chyba ma na mnie ochotę. Tak odbieram te jego spojrzenia. Są takie... Lepkie. Oślizgłe. Obrzydliwe.
 - Porozmawiam z nim.
 - Nie, poczekaj. Wtedy się zorientuje, że coś jest między nami.
 - Zrobię to tak, żeby się nie zorientował, zobaczysz.
 - To jeszcze nie wszystko.
 - No?
 - Okres mi się spóźnia.
 - O... – Serce przyspieszyło mu nieznacznie. – A o ile?
 - Trzy miesiące. – Spuściła głowę zakłopotana. Stał, nie wiedząc, co powiedzieć.
 - Jestem w ciąży. – W oczach zabłyśły jej łzy. – Będziemy mieli dziecko.
- Chciał ją przytulić, ale bał się, że ktoś wejdzie i ich zobaczy. Ścisnął bezradnie obieraczkę do warzyw i poczuł, jak na gardle zaciska mu się niewidzialna pętla i ogarnia go wściekłość. Chciał przytulić i uściskać miłość swojego życia, matkę swojego dziecka, najwspanialszą kobietę pod słońcem, a nie mógł tego zrobić, bo bał się konsekwencji odkrycia ich romansu przez współbraci i bał się reakcji Ojca. Teraz z pełną mocą doświadczył tłącego się w nim od miesięcy wrażenia, że gdzieś w tym wszystkim zatracił prawdziwy sens. Że w niezauważony sposób poprzestawiały mu się wartości.
- Nie zostawisz mnie? – zapytała łamiącym się głosem, czując, że coś w nim pęka, ale nie mając pewności, o co dokładnie chodzi, podejrzewając najgorsze.

– Żartujesz? – szepnął gorączkowo. – Przysięgałem ci na Boga. Nie zostawię cię nigdy, rozumiesz? Nigdy. Nie wątp we mnie. Jesteś dla mnie ważniejsza niż Bóg!

– Janusz. – Zasłoniła usta. – Nie bluźnij!

Oblizła wargi.

– Ojciec nie wybaczy nam romansu, a ciąży to już w ogóle. Wyrzuci nas stąd. Więc odejdziemy sami. W ciągu kilku tygodni zorganizuję wszystko: jakiś kąt, trochę sprzętów na początek. Tylko nie możesz pokazać po sobie, że coś jest nie tak...

Nagle drzwi otworzyły się szeroko i do środka ktoś zajrzał. Brat Abraham. Oboje poczuli się nagle jak przyłapani na gorącym uczynku, mimo że stali metr od siebie, w ubraniach, a on miał w ręku obieraczkę do warzyw.

– Jak tam grzybobranie? Udało się? – zapytał Abraham.

– Klęska urodzaju, bracie. – Uśmiechnął się z przymusem, wskazując miski z grzybami. – Będzie dla wszystkich na kilka dni. Część uduszę, trochę pójdzie na suszenie, kilka kani usmażę, będzie ucza. Zobaczycie, długo będziecie ją pamiętać!

– Bardzo dobrze. Jutro kręcimy film, będzie ładnie wyglądać na stole.

– Jaki film? – zdziwił się.

Nic o tym nie wiedział. A chyba powinien jako świeżo upieczony zastępca?

O tym, że widzi go w tej roli, Ojciec napomknął kilka dni temu podczas kolacji. Był w jakimś wesołym nastroju, opowiadał anegdoty i gdyby alkohol nie był w Domu surowo zakazany, można by pomyśleć, że Ojciec jest na rauszu. Dlatego zdziwił się, kiedy nagle poczuł na swoim ramieniu ciężar ręki Ojca i usłyszał te słowa:

– Moi drodzy, oto mój syn umiłowany, jego słuchajcie. – W pierwszej chwili pomyślał, że to strasznie obrazoburcze, ale nic nie powiedział. – Kiedyś odejdę od was. Zabierze mnie Bóg i zostanieie, choć nie sami, bo On wciąż będzie nad wami czuwał. Ale beze mnie. I wtedy słuchajcie Dawida, który ma wiarę zdolną przenosić góry. On wskaże wam drogę.

Tylko że to było nieaktualne. Nie teraz. Nie był już przyszłym przewodnikiem. Był renegatem. Już wkrótce stanie się wyrzutkiem. To

była trudna decyzja, ale podjął ją bez wahania. Potem pomyśli, jak to oznajmić Ojcu, a na pewno nie wcześniej, niż będzie na to gotowy.

Brat Abraham rozłożył szeroko ręce.

– Ojciec chciałby, żeby więcej ludzi usłyszało o naszej wspólnocie. Zamówił kamerzystę, nakręcimy kilka scen z naszego życia: jak się modlimy, jak razem żyjemy, jak wygląda nasz Dom. Pójdzie w świat i miejmy nadzieję przyciągnie nowy narybek. – Brat Abraham obrzucił miski z grzybami łakomym spojrzeniem i pokręcił głową. – Ale będziesz miał z nimi roboty, bracie. Wiesz co... pomogę ci jutro.

– Jutro będzie za późno. – Machnął ręką uzbrojoną w obieraczkę. – Trzeba je sprawić dziś.

– To pomogę ci jutro przyrządzać. Dziś mam jeszcze sporo swojej roboty. Z Bogiem, bracie Dawidzie. Z Bogiem, siostró Magdo. – Uniósł dłoń.

Po chwili zniknął za drzwiami, zostawiając ich w kuchni samych.

– Prawie krzyknęłam, jak tu wszedł – szepnęła.

– Spokojnie...

– Widziałaś?

– Co?

– Jak na mnie spojrzał, kiedy wychodził?

– Jak?

– Ech, wy mężczyźni jesteście na takie rzeczy ślepi. – Westchnęła i spojrzała mu w oczy. – Co teraz?

– Robimy swoje. Dobra, idź już, żeby nikt się nie domyślił. Wieczorem, po modlitwie, w malinach jak zwykle, tak?

– Tak.

– Kocham cię. Boże, teraz jeszcze bardziej cię kocham... – Położył rękę na jej brzuchu.

– Ja ciebie też. – Zdenerwowanie minęło, na jej twarzy wykwitł uśmiech, który tak lubił: tajemniczy i uroczy.

Kiedy wyszła, wrzucił umytą marchew do niewielkiej bębnowej obieraczki, włączył silnik i odkręcił wodę. Patrząc, jak warzywa trą o ściany i kotłują się, myślał o tym, co przed chwilą powiedziała mu Arleta. Będzie tatusiem. Walczyła w nim radość i obawa. Będzie ojcem. Będzie miał dziecko. Będzie miał rodzinę, inną niż tu, w Domu. Będzie się

musiał zająć Arletą i dzieckiem, zapewnić im byt, dach nad głową i jedzenie. Tego się bał. Tego, że nie da rady, że nie poradzi sobie w świecie, który był mu obcy, ale tu takie życie było niemożliwe. To koniec. Bóg wskazał mu nową ścieżkę, którą musiał kroczyć jako odpowiedzialny mężczyzna.

Przecież nic nie dzieje się bez przyczyny...

Następnego dnia dał z siebie wszystko. Przyrządził obiad, którego nie powstydziliby się szef kuchni restauracji z gwiazdką Michelina. Starał się, jak gdyby chciał wynagrodzić Ojcu oraz wszystkim braciom i siostram to, co planował zrobić. Zgodnie z tym, co powiedział brat Abraham i o czym zapomniał go uprzedzić Ojciec, podczas obiadu towarzyszył im człowiek z zewnątrz. Miał wielką kamerę, filmował wszystkich po kolei i wszystkich po kolei pytał, dlaczego wybrali taką drogę i czy nie żałują. Ojciec w czasie śniadania powiedział, że mają mówić to, co czują. Mają być naturalni. Obecność kamery, a zwłaszcza bijącego z niej ostrego światła oraz człowieka spoza Domu deprymowała ich, ale starali się wypaść przekonująco i zarazem naturalnie. Po obiedzie Ojciec podziękował im i powiedział, że efekty zobaczą już niedługo i że dzięki filmowi być może wspólnota wzbogaci się wkrótce o nowych członków.

Dzień później wieczorem kilka osób nie przyszło na kolację. Źle się czuły, miały bóle brzucha i wymioty oraz biegunkę. Arleta była wśród nich. Rano następnego dnia było lepiej, podczas śniadania pojawiły się nawet niewybredne komentarze w rodzaju: brat Dawid załatwił nam sraczkę. Fakt, jedzenia w niedzielę było w bród, a ponieważ zwykle jedli mało wyrefinowane, za to bogate w składniki odżywcze posiłki, nikt sobie nie żałował. On też nie. Może faktycznie przyrządził wszystko za tłusto?

Wieczorem Arleta znów źle się poczuła, a brat Grzegorz zemdłał. Ojciec też nie czuł się najlepiej i kiedy się o tym dowiedział, zaczął się już na serio niepokoić. Wieczorem Arleta nie przyszła w ich tajne miejsce, a on nie mógł przecież do niej iść i zapytać, co się stało, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Działo się coś niedobrego. Bał się myśleć, co naprawdę mogło być przyczyną złego samopoczucia tylu osób...

Zamyślony wracał do siebie. Kiedy przechodził obok gabinetu Ojca, dojrzał światło sączące się przez szparę pod drzwiami, zwolnił kroku, żeby nie zdradził go najłżejszy szmer. I wtedy usłyszał głos Ojca. Rozmawiał

przez telefon? Tylko on miał w tym domu komórkę. Przystanął na chwilę i wtedy usłyszał drugi głos. To był brat Abraham. Nie rozumiał, co mówi, ale jego głos by wzburzony.

Przystanął i przyłożył ucho do drzwi.

– Jak myślisz, dlaczego nadałem ci imię Abraham? – usłyszał Ojca. – Od początku wiedziałem, że to ty będziesz następny, kiedy ja odejdę. Przecież mówiłem ci o tym wielokrotnie. Ty jeden wiesz o tym, co musimy robić, żeby nasz Dom przetrwał. Tylko ty dźwigasz ze mną ten ciężar. Niesiemy go na swoich barkach razem. Na razie nie wtajemniczam cię we wszystko, ale nadejdzie w końcu ten czas. Na razie nie możesz wiedzieć wszystkiego, Abrahamie, bo im mniej wiesz, tym krócej będziesz przesłuchiwany, jak mawiał pewien specjalista. Nie kwestionuj więcej moich decyzji. Wiem, co robię. Brat Dawid będzie odpowiedzialny wyłącznie za kwestie związane z tym Domem i ze służbą Bogu. Z naszą wiarą i doktryną. Nie ma sensu wtajemniczać go w tę część, która go nie dotyczy. Nic się nie zmieniło, Abrahamie, rozumiesz? Nie wierzysz mi? Mam ci pokazać papiery, które o tym świadczą, na których wciąż jest twoje nazwisko? Może faktycznie wyraziłem się wtedy nieco nieprecyzyjnie, nazywając go wprost następcą, ale spokojnie, jutro podczas kolacji wszystko jeszcze raz dokładnie wyjaśnię... Dlaczego tak na mnie patrzysz? Dlaczego płaczesz?

– Przepraszam... Boże, przepraszam... Co ja najlepszego zrobiłem?

– Nie szkodzi, Abrahamie, jesteśmy tylko ludźmi i błądzimy. Nie musisz reagować tak emocjonalnie. Jesteśmy pełni wątpliwości, a ja tu jestem między innymi po to, żeby je rozwiewać. Następnym razem przyjdź od razu i powiedz, co cię męczy, a nie czekaj kilka dni... Abrahamie?

Zdążył odskoczyć od drzwi w ostatniej chwili. Huknęły o ścianę tuż obok jego twarzy, aż poczuł na niej podmuch powietrza i brat Abraham wypadł na korytarz, na szczęście skręcił w drugą stronę i zniknął w ciemności. On pozostał w bezruchu, nie śmiał nawet oddychać. Pomyślał, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Nie był w miejscu, w którym mógł znaleźć się przypadkiem, wracając na przykład z toalety. Jeśli Ojciec przyłapie go tu, będzie miał problem. Od razu się domyśli, że był na schadzce. Obawa walczyła w nim z poczuciem bezsensu całej tej sytuacji. Może to dobrze, że Ojciec odkryje prawdę? Nie był jeszcze

gotowy na nowe życie, nie w sensie materialnym, ale mógłby to potraktować jako kolejny znak od Boga. Zacząć wcześniej. Z nią, na zewnątrz, gdzie nie licząc wyjść do pracy, nie był tak naprawdę od sześciu lat.

Struchlał jednak, kiedy na plamie światła padającej na ścianę korytarza z gabinetu pojawił się cień Ojca, a potem on sam. Ledwo skryty za skrzydłem drzwi widział, jak staje w nich, wygląda za Abrahamem, potem wzrusza ramionami. Czekał, aż obejrzy się w drugą stronę, ale tego nie zrobił. Ręka Ojca chwyciła klamkę i po chwili drzwi się zamknęły, zabierając ze sobą całe światło, z wyjątkiem wąskiego paska w szczelinie pod nimi, które sączyło się przez nią tak samo jak przed minutą. Usłyszał jeszcze tylko potężne odbicie i czknięcie.

Wypuścił z płuc wstrzymywane powietrze i zaczął szybko oddychać, pilnując jednak, żeby nie robić tego zbyt głośno. Odczekał pół minuty, licząc w myślach sekundy, i kiedy nic się nie działo, ruszył w głąb korytarza i wrócił do siebie. Drżał na całym ciele, więc kiedy już położył się do łóżka, opatulił się kocem po samą szyję.

Żarty skończyły się kilka godzin później. W środku nocy w Domu zaczął się nerwowy ruch. Czując się w obowiązku, sprawdził stan zdrowia wszystkich braci i sióstr. Nie było dobrze. Z nią też nie.

Teraz siedział w pokoju Ojca, który leżał, a właściwie siedział na swoim łóżku z poduszką wysoko pod głową, trzymając się za brzuch. W jego pokoju czuć było smród wymiocin, koło łóżka stała miska i plastikowy kubek ze zużytymi papierowymi ręcznikami.

– Ktoś jeszcze się pochorował? – zapytał Ojciec.

– Nie, już nie. Oprócz Ojca, chorzy są brat Daniel, brat Maciej i Tomasz oraz siostry Maria i Magdalena. I Grzegorz.

– Jak się czują?

– Coraz gorzej. Brat Grzegorz stracił przytomność.

– Wczoraj czuł się lepiej.

– Tak, ale dziś już nie. Ojczy, proszę, musimy skorzystać z pomocy lekarskiej!

– Synu... W szpitalu będą pytać o różne rzeczy. To niepotrzebne. Trzeba przede wszystkim modlić się, a potem dać chorym węgiel i szklanę

osolonej wody, żeby sprowokować wymioty. Przejdzie. Poza tym nie sądzisz, synu, że to bluźnierstwo?

– Bluźnierstwo?

– Tak. – Ojciec otworzył szerzej oczy. – To wątplenie w Boga, ingerencja w Jego plany wobec nas. Nic nie dzieje się bez potrzeby, wszystko jest zaplanowane od początku do końca. Jak możesz myśleć, że Bóg chce skrzywdzić swoje najukochańsze dzieci? Nas?

Patrzył na Ojca niemal ze zgrozą. Zupełnie nie tak pojmował Boga. Nie wierzył w to, co słyszał.

– Chciałbym opowiedzieć Ojcu historię, mogę? – wyszeptał gorączkowo, z zapalem, jakby od tego zależało czyjeś życie, i tak właśnie było.

– Nie wiem, czy to odpowiedni czas, synu. – Ojciec kaszlnął i chwycił się za brzuch, a jego twarz wykrzywił paroksyzm bólu. – Ale opowiedz.

– W pewnym miasteczku położonym w dolinie był mały kościół. Jego proboszczem był ksiądz, który wiele razy dawał świadectwo swojej ogromnej i niezachwianej wiary w Boga. I pewnego dnia nadeszła powódź. Władze nakazały mieszkańcom ewakuację, ale proboszcz oświadczył, że nie zostawi kościoła i że się w nim schroni, a Bóg nie dopuści, by zginął. I został. Kiedy przyszła pierwsza fala i zalała kościół po oparcia ławek, schronił się na ambonie. Wkrótce po księdza przytłynęła łódź. Było w niej kilku jego parafian, którzy przybyli na ratunek. Chcieli go zabrać, ale on się uparł: Bóg nie pozwoli, bym zginął – oświadczył, więc odpłynęli z kwitkiem. Druga fala zalała kościół po dach. Ksiądz schronił się na dzwonnicy, a kiedy łódź przytłynęła drugi raz, znów zawołał, że zostaje, bo Bóg nie dopuści, by zginął. Łódź odpłynęła, a on musiał wdrapać się na szczyt dzwonnicy, bo przyszła jeszcze większa woda i zalała kościół całkowicie, aż po dach. A kiedy łódź przytłynęła po niego trzeci raz, znów odmówił ratunku, twierdząc, że woda zaraz zacznie opadać, a Bóg nie pozwoli, by stała mu się krzywda. I znów łódź odpłynęła, a potem przyszła jeszcze większa woda, zalała dzwonnice i ksiądz się utopił...

– To koniec, synu?

– Nie, teraz będzie puenta.

– To dobrze, bo nie bardzo wiem, jak ta historia ma się do naszej sytuacji.

– Kiedy ksiądz stanął przed Najwyższym, miał do Niego pretensje. Jak mogłeś, Boże? – pytał zrozpaczony. – Służyłem Ci wiernie całe życie, ufałem Ci i wierzyłem w Ciebie, nie skrzywdziłem nikogo, byłem dobrym pasterzem dla Twoich owiec, a Ty nie dałeś mi żadnej szansy i nie uratowałeś mnie... Bóg spojrział na niego zasmucony i rzekł: – Synu, trzy razy łódź po ciebie przysłałem...

Ojciec patrzył na niego w milczeniu, a potem nagle uniósł się na łokciu, sięgnął po miskę i z wymiotował do niej. Kiedy opadł na łóżko, on bez słowa wziął miskę, zaniósł do łazienki, wylał jej zawartość do toalety, wypłukał ją i wrócił do pokoju Ojca.

– Zaszkoziły nam te twoje grzyby, Dawidzie, bo za tłuste były. Pyszne, ale tłuste. To kara za grzech łakomstwa. Poradzimy sobie i wyciągniemy wnioski. Myślę, że porządny post załatwi sprawę.

Przyszedł teraz czas, żeby powiedzieć wprost, co mogło się stać. Bał się tego, ale nie miał wyjścia. Czas naglił, wiedział, że jeśli jest, jak podejrzewa, to nie zostało go wiele, żeby zareagować.

– Ojciec – zawiesił głos. – Ja... Ja jestem pewien, że nazbierałem gąsek, ale... Nie wiem, jak to się mogło stać, ale być może istnieje prawdopodobieństwo, że... Że to nie były jednak gąski.

– Nie rozumiem? Zawsze mówiłeś, że świetnie znasz się na grzybach?

– Tak. – Zamknął oczy i poczuł, że pod powiekami zbierają się łzy. – Tak. Tylko...

Słyszał kiedyś, że większość przypadków śmiertelnych zatruc grzybami zdarzała się ludziom, którzy twierdzili, że się świetnie na nich znają. Jak on. Gubiła ich pewność siebie, ten straszny grzech pychy, który być może popełnił i on. Musiał zadać sobie w końcu to pytanie. Czy teraz to właśnie przytrafiło się jemu? A w zasadzie Ojcu, paru braciom i, co najgorsze, jej?

– Co to mogło w takim razie być, synu? – wyrwało go z zamyślenia pytanie.

– Sromotniki, Ojciec. – Patrzył, jak oczy Ojca rozszerzają się nagle. – Musimy jechać do szpitala. Jak najszybciej!

– Dlaczego dopiero teraz na to wpadłeś?

– Ja naprawdę byłem pewien, że znam się na grzybach, Ojcie. – Wciąż w to wierzył, wciąż nie wiedział, jak to mogło się stać. – Też myślałem, że po prostu zbyt tłusto je przyrządziłem. Ale oni... Wy źle wyglądacie. To nie jest zwykłe zatrucie pokarmowe, to zbyt źle wygląda, rozumie Ojciec?

– Poproś brata Łukasza. Niech szykuje busa.

– Może wezwiemy pogotowie? – Poczuł, jak wzbiera w nim fala nadziei; wszystko będzie dobrze, byle tylko znaleźli się w szpitalu.

– Nie, niech nikt tu nie przyjeżdża. Sami pojedziemy. Niech Łukasz szykuje auto.

Nie było dobrze. Odnalazł Łukasza i przekazał mu polecenie Ojca, a kiedy wszedł do dormitorium, w którym leżał Grzegorz, okazało się, że brat dogorywa. Charkot spazmatycznego oddechu wypełniał pomieszczenie, więc zamknął drzwi, żeby dźwięk nie wydostał się na zewnątrz. Grzegorz umarł kilka minut później. Czując, jak trzęsie się na całym ciele, złożył mu ręce na piersi, zmówił nad nim krótką modlitwę, a potem biały jak ściana wrócił do pokoju Ojca. Spotkał go w korytarzu, prowadzonego przez dwóch braci pod rękę.

– Grzegorz odszedł do Pana – powiedział przez ściśnięte gardło.

Ojciec popatrzył na niego w milczeniu. Oddychał spazmatycznie przez półotwarte usta, w korytarzu niósł się smród wymiocin, z góry, zza drzwi dormitorium sióstr dochodził jęk. Pomyślał, że zaraz się rozpadnie albo zacznie krzyczeć nieopanowanym wrzaskiem z głębi trzewi, a potem umrze. I może tak by było najlepiej. Świadomość tego, co zrobił, zdominowała wszystkie jego myśli. Każdej towarzyszył cień; złowrogi i czarny. Po każdej następowała kolejna „moja wina”. Moja wina. Moja bardzo wielka wina. Ścisnęły jego mózg i wypalały w nim dziury.

– Każdy, komu zostanie zadane pytanie „kto zbierał grzyby”, ma odpowiedzieć, że brat Grzegorz, czy to jest jasne? – Ojciec podniósł głos.

– Przekażcie to wszystkim braciom i siostrom. Nazywał się Damian Radziszewski. Zapamiętajcie: Damian Radziszewski. Tylko tyle możecie powiedzieć i to macie powiedzieć ludziom z zewnątrz, nic więcej. – Nagle wstrząsnęły nim gwałtowne torsje i zielone wymiociny chlusnęły na wyściełaną wytartym, czerwonym chodnikiem podłogę korytarza.

Ojciec osunął się w ramionach braci. Salomon, chłop wielki jak dąb, wziął go na rękę, podrzucił lekko przelewające się przez nie ciało Ojca, by

ułożyło się wygodniej, i ruszył schodami w dół.

A on patrzył za nimi, a potem pobiegł piętro wyżej, do części kobiecej.

W dormitorium sióstr, w którym mieszkała jego ukochana, nie było nikogo oprócz Arlety i siostry Łucji.

– Posiedź z nią chwilę bracie, dobrze? – poprosiła, widząc go w drzwiach.

Przypadł bez słowa do łóżka i odprowadził Łucję spojrzeniem, upewniając się, że wyszła, a potem przytulił miłość swojego życia, miłość, którą niemal zabił swoją nieostrożnością.

– Nie potrafię bez ciebie żyć. Tylko dla ciebie oddycham... – płakał.

– To ty? – Otworzyła oczy.

– Tak, to ja. Razem do końca, kochanie. Do końca świata, tak jak ci przysięgałem.

– Czy ja umrę?

– Nie. Nie myśl tak. Wszystko będzie dobrze. Będziemy się modlić. Nie mogę cię stracić. Nie umiem bez ciebie żyć, rozumiesz? Już nie potrafię...

– Proszę cię o jedno: gdybym... Gdybym jednak umarła, to ty nie możesz się zabić. Nie spotkamy się tam wtedy. U Niego. Nie rób tego, proszę... Obiecuj mi.

– Nie zrobię. Przysięgam, że nie zrobię. Ale będziemy razem. Kocham cię na zawsze...

Nagle do pokoju weszła siostra Ewa z bratem Łukaszem, oboje bladzi. Patrzyli na niego ze smutkiem w oczach, ze smutkiem, ale i z czymś jeszcze, i bał się to nazwać.

– Musimy jechać – zakomenderował brat Łukasz.

– Ja ją zaniosę – powiedział odrobinę zbyt głośno. – Ja ją wezmę.

Kiedy brał ją w ramiona, wydała mu się taka lekka i krucha. Przypomniał mu się Antoni z poprzedniej pracy, uczący go dźwigania zwłok i zmroziło go to porównanie. Objęła go za szyję, a on szepnął jej do ucha: „Wszystko będzie dobrze, kochanie”. Zniósł ją na dół, bladą i rozpaloną gorączką, wszedł do garażu. Bus już czekał, drzwi były odsunięte, w środku znajdowały się już trzy osoby, więc wsadził ją na tylną kanapę i oparł wygodnie, a potem sam wskoczył do środka.

– Jadę z wami – powiedział głośno.

Nikt się nie sprzeciwił, w końcu był zastępcą. Ostatni do busa wsiadł Ojciec, a właściwie został do niego wsadzony. Tracił świadomość, głowa chwiała mu się jak pijanemu. Spojrzał na Ojca i serce mu zamarło. Jeszcze przed chwilą z nim rozmawiał...

– Jedziemy, nie ma czasu! – krzyknął, czując, jak ze zdenerwowania łamie mu się głos.

Jechali wśród ciemności, potem przez miasto, światło mijanych latarni omiatało blade twarze, w środku panowała pełna napięcia cisza, przerywana jękami Ojca, Arlety, brata Daniela, Tomasza i Macieja oraz siostry Marii. A on modlił się. O wszystko. Żeby nie złapali gumy, żeby nie wyskoczył im dzik, żeby dojechali na czas i żeby On ich uratował, bez względu na swój plan. Trzymał Arletę za rękę i ścierał jej z czoła pot. Miała zamknięte, podkrążone oczy i sine wargi. Wyglądała, jakby umarła, tylko chrapliwy oddech świadczył o tym, że wciąż walczy. Wspierał ją w tej walce modlitwą i uściskiem dłoni.

Wkrótce dotarli do szpitala na Pomorzanach. Nie jechali do Zdrojów, gdzie było bliżej, bo jedna z sióstr pracowała jako salowa na Oddziale Anestezjologii, Intensywnej Terapii i Ostrych Zatruciu właśnie na Pomorzanach. Siedział wciśnięty w kąt tylnej kanapy busa i patrzył, jak ubrani na biało ludzie z poważnymi spojrzeniami i nerwowymi ruchami zabierają chorych, przelewających im się przez ręce.

Następnego dnia zmarli Daniel i Maciej, kolejnego Maria. Ojciec przeszedł operację przeszczepu wątroby i choć przeżył następną noc, według lekarzy jego szanse nie były duże, a życie wciąż wisiało na włosku. Ona walczyła. Czekwała na dawcę, a on razem z nią, choć nie w szpitalu, tylko w ciemnym pokoju, tym samym, w którym spędził pierwszą noc w Domu. Modlił się, szeptał do niej, choć nie mogła go usłyszeć, a kiedy wyczerpany zasypiał, to tylko na chwilę, po czym budził się z kołataniem serca i znów zaczynał się gorąco modlić. Stracił rachubę czasu, nie jadł, pił tylko tyle, żeby nie umrzeć. Już nie myślał o tym, że przez niego zmarły cztery osoby. Teraz owładnęło jego umysł tylko gorące pragnienie, by ona do nich nie dołączyła. Wiedział, że jeśli przeżyje, to on jakoś sobie z resztą poradzi. Wierzył w to. Wierzył w nią.

Umarła trzy dni później, a dla niego skończył się świat. Zapadł się jak gwiazda po wypaleniu, stał się ludzkim białym kartem, a tę ogromną

gęstość materii czuł każdą komórką ciała. Najbardziej w głowie. Było mu już wszystko jedno.

Umarł, choć żył. Żył, bo obiecał jej żyć.

Kiedy stał nad jej grobem tuż po pogrzebie i trzął się od płaczu, był bliski złamania tej obietnicy. Niedaleko znajdował się nasyp z torami kolejowymi, który oddzielał Cmentarz Centralny od ogródków działkowych. Wystarczyło pokonać ogrodzenie i się na niego wspiąć, a potem czekać, aż nadjedzie śmierć.

Ale nie mógł. Obiecał jej przecież... Nie umiał żyć bez niej, nie mógł umrzeć z nią. Z nimi...

Został sam i wpatrywał się w kopiec z żółtej ziemi obłożony kwiatami. Jej rodziców już nie było, nie rozmawiał z nimi, jej matka popatrzyła na niego raz, ale ojciec gromił go wzrokiem niemal bez przerwy. Odszedł więc na jakiś czas między groby i wrócił, kiedy już nikogo nie było.

– Na zawsze razem – szepnął. – Do końca świata...

* * *

– Przyszli po mnie – szeptał gorączkowo Ojciec, ręka drżała mu na lasce, której używał, odkąd wrócił ze szpitala. – Boże, liczyłem się z tym, ale nie myślałem, że to tak szybko...

– Kto?

– To policja, synu.

– Chcą nas zniszczyć? Będziemy cię bronić, Ojciec. – Patrzył mu prosto w oczy, gotów na największe poświęcenie.

– To nie ma sensu. – Ojciec uśmiechnął się smutno i zdjął okulary. – Już za późno.

Był w tym Domu ponad sześć lat i widział Ojca bez okularów po raz drugi, choć pierwszy raz z tak bliska. Wyglądał bez nich jak nagi. Jak obcy człowiek.

– Dlaczego nie ma sensu? Musimy bronić naszego Kościoła!

– Mój synu... – powiedział Ojciec, chwytając go za ramiona i trzymając na długość wyciągniętych rąk. – Oni nie chcą niczego od was. Jesteście dobrymi ludźmi, ufającymi Bogu i poświęcającymi mu całe życie. Nie ma w was krzty zła. A ja... Jestem tylko człowiekiem. Będą o mnie mówić

różne rzeczy, Dawidzie. Nie wszystko będzie prawdą, ale i nie wszystko będzie kłamstwem, lecz chcę, żebyś wiedział jedno: jesteście bez winy, a ja was wszystkich kocham. To nie podlega żadnej dyskusji. Wybacz mi. Ta wspólnota to dzieło mojego życia, któremu je całkowicie poświęciłem, a ty jesteś moim prawdziwym zastępcą, ty zasługujesz na to naprawdę, tyś jest dobro. Po prostu czyń dobro, tak jak do tej pory. Jacek ci pomoże, jakby co, tak? – Łomotanie się nasiliło. – Idę im otworzyć, zanim wysadzą nasz Dom w powietrze.

– Ja... Ja nic nie rozumiem!

– Zrozumiesz. Postaraj się wtedy mi wybaczyć, mój synu, tak jak my ci wybaczyliśmy. Jedyna różnica, że ty nie chciałeś popełnić błędu, a ja... Muszę już iść.

– Dopiero wrócił Ojciec ze szpitala. Prawie Ojciec umarł, nie mogą teraz Ojca zabrać!

– Mogą. – Ojciec spuścił głowę. – I zrobią to, dlatego zejdę do nich sam. Teraz wszystko w twoich rękach. Żegnaj, synu...

Objął go i przytulił, a on poczuł, jak łzy spływają mu po policzkach. Kiedy Ojciec wypuścił go z objęć, stał i patrzył za nim, jak powłócząc nogami, idzie w kierunku schodów. Myślał intensywnie, co ma zrobić. Cokolwiek teraz się stanie, policjanci nie mogą wejść do piwnicy. A na pewno nie do tej jednej, odosobnionej, do której nie wchodził nikt, bo stała pusta i bezużyteczna.

Piwnice ciągnęły się nie tylko pod domem, ale i pod sporą częścią ogrodu. Ojciec, kiedy miał dobry humor, wspominał, jak budując Dom w latach dziewięćdziesiątych, wykopał niezgodnie z pozwoleniem na budowę ogromne katakumby, a ziemię wywoził zaprzęgniętą do malucha przyczepką po okolicznych lasach. Teraz wiele z nich stało pustych. Zapasy jedzenia skurczyły się, opał też: ponad trzydzieścioro ciężko pracujących ludzi sporo jadło, a ogrom Domu sprawiał, że piec ogrzewający również wodę użytkową chodził niemal na okrągło, mimo że to był dopiero październik.

Kiedy Ojciec, który zarządzał finansami, trafił do szpitala, wszystko zaczęło się walić. Brat Abraham, który miał reprezentować ich wspólnotę na zewnątrz, zniknął pierwszy. Potem zniknęło kilku następnych braci, ktoś splądrował gabinet Ojca, pewnego dnia wszedł tam i zastał sejf

otwarty na oścież. To był smutny widok. Ojciec, kiedy to zobaczył po powrocie, jakby zgał. „Już nic nie będzie takie samo”, powiedział, patrząc mu prosto w oczy i dodał: „Ale to nie twoja wina, Dawidzie. Czasem Bóg doświadcza nas w sposób niezrozumiały. Nie mam do ciebie żalu, synu”. On nie miał. Ale inni mieli, widział to w ukradkowych spojrzeniach, które mu rzucali, w tonie głosu, w ostrożnych gestach. Jedyną pozytywną stroną ponadmiesięcznej nieobecności Ojca i tego, że współbracia zaczęli go unikać, było to, że mógł zrealizować swój plan. Miał marne szanse powodzenia, ale nie dbał o to. Tyle rzeczy mogło się nie powieść, ale powiodły się jednak, na przekór wszystkiemu.

Zrobił to, co planował.

A teraz nie mógł dopuścić, żeby ktoś odkrył jego tajemnicę. Patrzył przez chwilę, jak cień Ojca znika ze ściany przy schodach, pobiegł do drugiej klatki schodowej i kiedy otwierał drzwi do piwnicy, rozległ się huk, a dom wypełnił się dymem i wrzaskiem obcych ludzi.

26

październik 2020

To, co zdarzyło się w domu matki Arlety Wiącek, zwłaszcza jej ostatnie słowa, zmieniły wszystko.

To Szajnert był Maciusiem. To Szajnert zdobył serce Arlety, a nie Kublicki. I nigdy też nie wyjawiał jej rodzicom, że to on jest winny śmierci ich córki, mimo że przychodził tam wciąż w poczuciu winy, jakby nie mógł się przemóc i walczył ze sobą. Szajnert był enenem, a skoro tak, to prawdopodobnie zabił Dworzaka i Balińskiego. Właśnie: prawdopodobnie... A może początkowe założenie, że to enen zabił salowego, a potem dziennikarza, było błędne? Teraz Rędzia wiedział już, że enen to Szajnert, ale to, że posłużył się personaliami Dworzaka i miał te cholerne kamienne kulki, którymi mógł zadać śmiertelne rany, nie musiało na sto procent oznaczać, że zabił. Zwłaszcza że nie mieli dowodów w postaci śladów, tylko domysły. Hipoteza, owszem, była bardzo prawdopodobna i trzymali się jej jak pijany płotu, ale przebieg zdarzeń mógł być jednak zupełnie inny. Szajnert mógł po prostu uciec, bo znalazł ciało Dworzaka, którego zabił ktoś inny. Może zabójca polował również na niego? W takim razie kto zabił Kublickiego? Gdzie był w tym sens? Teoretycznie to przecież Kublicki miał powód do zemsty na Szajnercie – w końcu kochał Arletę. Mogło chodzić o zazdrość, o obarczenie Szajnerta winą za jej śmierć. Może nowa żona i nowe życie nie zdołały ukoić bólu po jej stracie? Tymczasem ktoś zabił jego i to w sposób wskazujący na wściekłość. Szajnert? Za co?

Późnym popołudniem Rędzia wpadł jeszcze do komendy. Wyciągnął portrety pamięciowe zrobione przez grafika na podstawie opisów podanych przez mieszkańca Pogodna i pacjenta, który leżał z enemem, oraz zdjęcie Szajnerta z filmu kręconego sześć lat wcześniej. Gdyby nie wiedział, że to ten sam człowiek, uznałby, że ma przed sobą wizerunki trzech ludzi. Trochę podobnych, głównie ze względu na proporcje twarzy i odległości pomiędzy jej poszczególnymi elementami, ale jednak różnych. Szajnert sprzed sześciu lat był szczupłym, gładko ogolonym mężczyzną z czystymi włosami. „Maciuś” był potarganym lumpem z wielką brodą optycznie powiększającą twarz, a ostatni portret przedstawiał jakby weterana nielegalnych walk w klatkach i to niedługo po zakończeniu ostatniej z nich.

Nie do wiary.

Potem uzmysłowił sobie, że odkąd wprowadzono nakaz noszenia maseczek w miejscu pracy, którego niektórzy przestrzegali, przestał poznawać część ludzi mijanych na korytarzu. Ludzi, których znał już z rok. Wystarczyło, że zakryli pół twarzy, i to te mniej istotne, bo przecież człowiek zwykle skupia się na oczach i to te okolice są zapamiętywane najlepiej, a jednak mózg dawał się tak łatwo oszukać.

Zebrał zdjęcia na kupkę, schował do teczki i pojechał do domu, choć ta sprawa wciąż go nurtowała. Znów zabrał robotę ze sobą.

Jedynie, czym dysponował teraz, to fragment filmu. Był jak soczewka skupiająca światło w punkcie, który go najbardziej interesował, jak zajrzenie w przeszłość, co mogło pomóc mu w jakiś sposób zrozumieć, co wydarzyło się tamtego jesienno-go dnia dwa tysiące cztertnastego roku. Postanowił, że będzie oglądał ten cholerny film, ten konkretny fragment dotąd, aż na coś wpadnie. Na cokolwiek. Nawet teraz, mimo że był już w domu. Poszedł do pokoju synów i zajrzał. Patryk był z Bożeną u dentysty, więc Piotrek siedział sam.

- Synu, lekcje robisz?
- Nie, no co ty, skończyłem na dziś.
- To dobrze, bo komputera potrzebuję.
- Teraz?
- Teraz, teraz.
- Oj, tato, weź się...

- No właśnie chcę go wziąć.
- Ale ja teraz gram, no!
- To daj pauzę.
- Online gram!
- Na pewno wszystkie lekcje skończyłeś?
- Na pewno.

Rędzi skończyły się argumenty. Opuścił ręce i popatrzył na syna poważnym wzrokiem.

- Piotrek, pożycz mi na chwilę kompa...

Ręka chłopca zastygła nad klawiaturą. W milczeniu kliknął w jakiś klawisz i podał laptop ojcu.

– Zaraz ci oddam, to naprawdę ważne – powiedział cicho Rędzia. – Okej?

Piotrek pokiwał głową, nie patrząc na niego, więc po prostu wyjął mu go z rąk i poszedł do dużego pokoju. Usiadł przy stole, położył komputer przed sobą i westchnął, potem wstał i wrócił do pokoju synów.

- Piotrek...
- No?
- Chodź pomożesz mi w śledztwie, chcesz?
- Co ty, naprawdę?
- Naprawdę. Chodź.

Poszli do dużego pokoju i usiedli na kanapie. Rędzia postawił laptopa na stoliku kawowym, włożył pendrive i wszedł w folder „Do HA!TAK-u”.

– Pokażę ci fragment pewnego filmu, a ty powiesz mi, co ci w nim nie gra.

- Ale co?

– No, nie wiem. Ja widziałem go już tyle razy, że znam go na pamięć. Ty spojrzysz na niego świeżym okiem. Zwracaj uwagę na wszystko, co ci nie pasuje. Że ktoś na kogoś krzywo popatrzy, coś powie, nie wiem... Cokolwiek.

- Dobra! – Piotrek zdążył zapomnieć ojcu przymusową przerwę w grze.

– Tylko matce nie mów – ostrzegł go Rędzia. – Bo mnie udusi, że cię wciągają w swoje brudy. My, faceci, musimy się trzymać razem, tak?

– Spoko, tato. – Oczy syna błyszczały dumą, a Rędzia pomyślał, że dla takich widoków się żyje.

– Dobra, oglądaj. – Przesunął znacznik na pasku postępu odtwarzania do czterdziestej drugiej minuty i kliknął play.

Chodziło mu wyłącznie o fragment z Kościoła Gajdamowicza. Nie było sensu, żeby młody oglądał inne rzeczy. Zwłaszcza dymanie orła.

– Ten ma dziwny wzrok – powiedział nagle Piotrek, wskazując jednego z braci.

– Wiem.

– O to ci chodziło?

– Mniej więcej. – Uśmiechnął się. – Ale to sam widziałem. Dawaj dalej, asie.

Oglądali następną minutę. Rędzia znów miał wrażenie, że coś przegapił, choć nie wiedział co.

– Już? – zapytał Piotrek, kiedy fragment się skończył.

– Już. A co, jeszcze raz chcesz?

– Pewnie! Może coś przeoczyłem?

– No dobra. – Rędzia puścił fragment od nowa.

Znów kamera najechała na salę, jej obiektyw przeskanował natchnione twarze, stół, znów miękkie głosy wychwalały pod niebiosa Boga i Ojca.

– Zjadłbym grzyby – powiedział w pewnej chwili Piotrek. – Najlepiej kanię, taką obtaczaną w mące, jak babcia robi.

Rędzia spojrzał na niego rozbawiony.

– To działanie podprogowe. Usłyszałeś „grzyby” i ci się kompas nastawił.

– Nie usłyszałem, tylko zobaczyłem. Przecież ten facet niesie... – Piotrek wskazał laptop.

– Jaki facet?

– No, ten, co się przechodzi koło drzwi...

– Przechodzi koło drzwi, a nie: się przechodzi. – Rędzia wziął do ręki mysz i przeskoczył kilka klatek do tyłu, a potem kliknął pauzę.

– No, masz, tu idzie, ma wiaderko i grzyby z niego wystają. Daj jeszcze raz i kliknij pauzę, jak będzie się... Jak będzie przechodził.

Rędzia poczuł, jak oblewa go fala gorąca albo jakby ktoś kopnął go w tyłek. Spojrzał na syna z absolutnym podziwem, zastanawiając się, jak mógł sam na to nie wpaść. Po pierwsze, nie przepadał za grzybami: nie znał się na nich ani ich nie jadł z wyjątkiem pieczarek. Po drugie, od

samego początku skupiał się na twarzach, ledwie zauważając inne szczegóły, jak na przykład to, co ktoś trzyma w ręku. Gdyby był to jakiś zwracający uwagę detal: nóż czy coś niezwykłego, z pewnością by to zauważył, ale grzyby... Doszedł do wniosku, że ktoś powinien go jednak naprawdę kopnąć w tyłek. A najlepiej, żeby sam to zrobił.

Kliknął pauzę w odpowiednim momencie i aż westchnął. Młody miał rację, ale tylko częściowo.

Widać było wyraźnie, że w małym, białym wiaderku, które mignęło w drzwiach, są grzyby. Rędzia nie mógł mieć pewności, czy były to grzyby jadalne, ale miał mocne podejrzenie, że jednak nie. To musiały być te nieszczęsne sromotniki.

Kolację, którą jedzono na filmie, przygotował Szajnert ze swoich grzybów: z tych, które sam nazbierał. Jadalnych. Na filmie nie widać było co prawda, czy wyznawcy Gajdamowicza jedzą grzyby, ale pojawił się odpowiedni komentarz, który usłyszał Piotrek. I Rędzia też go przecież wcześniej słyszał. Nie dało się na tej podstawie z całą pewnością ustalić dat i następstw, bo Rędzia wiedział, że objawy zatrucia nie występują natychmiast, ale wszystko nagle wskoczyło na swoje miejsce w idealnym porządku. Piotrek dał mu brakujący kawałek układanki. Kluczowy. Poszczególne elementy poukładały się jak na puszczonej od tyłu filmie pokazującym zburzenie wieży z klocków. To nie Szajnert nazbierał trujących grzybów i nie on nieświadomie otruił współwyznawców.

Wiaderko z grzybami niósł Leszek Kublicki. I Szajnert odkrył to na filmie Balińskiego.

Rędzia wyjął z kieszeni komórkę i sprawdził kalendarz dwa tysiące szesnastego roku. Tak myślał, że coś w tym, co powiedział Chesiak, mu nie pasowało... Każdy błąd i każde niedopatrzenie kiedyś się mszcą. Pytanie tylko, czy da się je w porę naprawić. Komisarzowi nie pozostawało nic innego, jak spróbować.

– Dzięki, Sherlocku. – Zamknął laptop, wyciągnął pendrive i oddał komputer synowi. – Komp jest twój.

– Pomogłem? – zapytał Piotrek.

Rędzia przytulił go.

– Chłopie. – Odsunął syna i spojrzał mu w oczy. – Właśnie wykryłeś sprawcę, wiesz?

- Kto? – zapalił się. – Ten w drzwiach, z grzybami?
- On też – powiedział Rędzia. – A może nie też, tylko przede wszystkim on... I pamiętaj, jak powiesz o tym mamie, obetnę ci internet do końca roku.
- To niedługo...
- Szkolnego, synu. Szkolnego.

październik 2020

Kiedy drzwi się uchyliły, Rędzia dopchał kolanem i bez pardonu wcisnął się do mieszkania. Chesiak miał chyba potężnego kaca, bo jego czerwona twarz wyrażała jedynie całkowitą obojętność. Patrzył na komisarza szklanym, pustym wzrokiem, takim samym, jakim patrzy się na drzewo, kamień czy cokolwiek innego niewzbudzającego żadnych emocji. Oddychał chrapliwie przez usta, na wardze miał resztki zaschniętej śliny.

– Ile wypieś? – zapytał Rędzia.

Chesiak coś wybełkotał.

– Ile, kurwa, wypieś?

Komisarz złapał go za ramiona, obrócił, chwycił za kark, zaprowadził do obskurnej łazienki, do której trafił dzięki wiszącej na drzwiach tandetnej plastikowej zawieszce z siusiającym do nocnika chłopczykiem. Chesiak dał mu się prowadzić jak baranek i dopiero kiedy Rędzia przycisnął go do umywalki, wsadził mu głowę pod kran i odkręcił wodę, zaczął się szarpać.

– Zostaw – zajęczał rozpaczliwie. – Zostaw, już...

– Jam jest tylko narzędziem – wycedził Rędzia, rzucając mu ręcznik, który zdjął z haczyka. – Nie będę cię wiozł do komendy i wrzucił do klatki z aspirantem Berdakiem, tylko wpierdolę ci na miejscu, jak nie będziesz współpracował, jasne?

Był nabuzowany. Patrzył, jak Chesiak wyciera twarz i włosy, czując, że się gotuje w środku. Kiedy rozczochrana głowa wyłoniła się spod ręcznika, wyrwał go Chesiakowi z rąk i rzucił na umywalkę.

– Do pokoju – zakomenderował, a Chesiak bez słowa sprzeciwu wykonał polecenie.

Rędzia nie rozglądał się nawet, nie interesowało go wnętrze, nie miał zamiaru bawić się w określanie charakteru mieszkańca po wyglądzie miejsca, w którym mieszka, co zwykle lubił robić.

Rzucił na stół zdjęcie Szajnerta.

– Kto to? – zapytał, kładąc na nim palec.

– Brat Dawid.

Komisarz rzucił drugie.

– A to kto?

– Brat Abraham. Kublicki. – Chesiak spojrzął na Rędzię zdziwiony. – Nie można było tak od razu? Pokazać zdjęć?

Rędzia milczał. Co miał mu powiedzieć; że go chyba zaćmiło?

– Ty wiesz, od początku wiedziałeś, mendo jedna, że to był Kublicki – warknął. – To nie brat Dawid przyrządził sromotniki, tylko on, prawda?

Oczy Chesiaka zwężyły się niedostrzegalnie.

– To dlatego uciekałeś w szpitalu, co? – zapytał Rędzia. – Gdybyś nic nie wiedział, nie bałbyś się. Kiedy zginął Dworzak, nie miałeś jeszcze powodu do strachu, bo siedziałeś w więzieniu i pewnie nawet o tym wszystkim nie wiedziałeś. Potem, po wyjściu, a może nawet i przed, kiedy Laube powiedział ci o śmierci Kublickiego, nie miałeś się już czego bać. Zemsta została dokonana, prawdziwy sprawca zatrucia nie żył. Nie będzie więcej trupów, co? Ale jak przyszła po ciebie policja, to wiedziałeś w jakiej sprawie, co? Opowiadaj, jak było. – Zbliżył twarz do jego twarzy, ignorując smród przetrawionego alkoholu wydobywający się spomiędzy warg z każdym oddechem. – I pomiń choć jedno słowo, to koledzy cię będą wódką przez rurkę poić, rozumiesz? Zaczynamy: to nie Szajnert się pomylił, tylko Kublicki, prawda? Z twojej opowieści wynikało, że Szajnert, czyli Dawid, w niedzielę kończył służbę. Kto miał ją w następnym tygodniu? Kublicki, tak? W aktach było, że zatrucie nastąpiło dwudziestego piątego, ale twoje urodziny, które masz jak sam powiedziałeś dwudziestego szóstego, wypadły wtedy w poniedziałek, więc to nie był już dzień służby Dawida. Coś tu nie gra...

Chesiak nabrał głęboko powietrza i beknął. Potem oklapł na krześle, opuścił głowę i zaczął wpatrywać się w poplamiony podkoszulek.

– Kublicki wcale się nie pomylił...

– Słucham? – Komisarz poczuł, jak tężeje mu twarz.

– Nie pomylił się. Nazbierał sromotników i przyrządził je sam – zaczął powoli Chesiak. – To nie stało się w niedzielę, kiedy był ten kamerzysta, tylko dzień później. Jedliśmy wtedy grzyby, pyszne, te, które przyrządził Dawid. Było ich tak dużo, że starczyły nawet na poniedziałek, ale wtedy faktycznie służbę miał już brat Abraham. To on służył tego dnia do obiadokolacji i to on podawał jedzenie. Dodał swoje grzyby. Trujące. I to on zdecydował, kto zje te dobre, a kto trujące.

Rędzia zamknął oczy i przeleciał w myślach całą historię od początku. Teraz zaczęła mieć sens. Teraz wszystko było jasne. Prawie wszystko.

– Dlaczego to zrobić? – zapytał Chesiaka.

– Nie wiem. – Salowy wzruszył ramionami.

– Jak to nie wiesz? Przecież to kluczowe? A skąd w ogóle wiesz, że zrobił to celowo? Jak się dowiedziałeś o tych grzybach i kiedy? Przed kolacją? Kublicki ci to powiedział?

– Gdybym wiedział przed kolacją, tobym do tego nie dopuścił. Dowiedziałem się tego rok temu, kiedy piliśmy razem z Kublickim w jego warsztacie. Spotkaliśmy się na mieście i zaprosił mnie do siebie. Był już zawiany, ja zresztą też, wspominaliśmy tę kolację i jemu nagle wypnęło się coś za dużo. Nie pamiętam dokładnie, ale chodziło o czerwone i niebieskie półmiski. I ja po prostu skojarzyłem nagle, że ci, którzy zachorowali i umarli, jedli grzyby z czerwonego półmiska, a reszta z niebieskiego. Rzuciło mi się to w oczy już wtedy, w czasie kolacji, choć nie dziwiłem się temu aż tak bardzo, po prostu to zauważyłem, i już. Zwykle jedliśmy w normalnych, białych naczyniach. Praktycznie zawsze. Chyba dlatego, że jak się opróżniało zmywarę, to były gotowe do użycia i nie trzeba było sięgać do szafek, ja przynajmniej zawsze tak robiłem i inni pewnie też, bo wygodniej. I szybciej, a czasu zawsze było mało. I nawet pamiętam, gdzie te kolorowe stały, w której szafce, choć nigdy z nich nie korzystałem. I oprócz białych na stole były też te kolorowe. Ja też jadłem z niebieskiego, choć tamtego wieczoru to nie miało dla mnie kompletnie żadnego znaczenia. I to Kublicki podawał wtedy do kolacji. A dzień wcześniej, wtedy, kiedy przyjechał ten filmowiec, widziałem Kublickiego, jak szedł z wiaderkiem, chociaż Dawid nazbierał przecież

wcześniej mnóstwo grzybów i je przyrządził. Mówiłem, że zostały nawet na poniedziałek. I domyśliłem się, że Kublicki coś wtedy zakombinował. Powiedziałem mu to przy tej wódce rok temu. Ja też już miałem w czubie, wie pan, więc to raczej było takie żartobliwe, ale on się nie śmiał. Za to oczy mu błysnęły tak jakoś źle, aż mi się zimno zrobiło...

– I co on na to?

– Powiedział, że to Bóg zdecydował, bo wszyscy jedliśmy te same grzyby, które przyrządził brat Dawid. Ale przecież gdyby gotowały się razem, wszyscy by się zatruli. Czyli te w czerwonym, zatrute, musiały być przyrządzone osobno, przez niego, bo te Dawida jedliśmy dzień wcześniej. Pamiętałem, że on wziął swoją porcję z niebieskiego, mimo że chwilę wcześniej nałożył siostrze Magdzie z czerwonego. Tego właśnie nie rozumiem, przecież ją kochał... No i tak się skończyło nasze spotkanie po latach, że kazał mi stulić ryj i wypierdalać. To co miałem robić, wyszedłem...

Rędzia przetrawiał w myślach te rewelacje. W głowie mu się nie mieściło, jakie to było proste i niezrozumiałe jednocześnie. I jakie chore.

– Nikomu nie powiedziałaś? – zapytał Chesiaka.

– Tylko Dworzakowi.

– A co on na to?

– Nic. Nawet bardzo się nie zdziwił, bo uważał Abrahama za niezbyt dobrego chrześcijanina. Powiedział, żebym lepiej o tym zapomniał, bo jak komuś powiemy, to Kublicki jeszcze nam coś zrobi. W końcu zabił sześć osób... Jedna więcej to żadna różnica, prawda?

– Czyli nikomu więcej nie mówiłaś?

– No nie... Zresztą, komu jeszcze miałem powiedzieć?

– Gajdamowiczowi?

– Temu zdrajcy? Zaprzańcowi? Przestępcy?

– Jakoś nie przeszkadzało ci to mieszkać w należącym do niego mieszkaniu?

– Nie jest jego, tylko wspólnoty.

– Nie odwiedzałaś go ostatnio w hospicjum?

– Nie.

– Ale wiesz, że jest umierający?

– Wiem. I co z tego?

Chesiak zamilkł. Jego usta poruszały się przez chwilę i Rędzia nie wiedział, czy to modlitwa, czy przekleństwa. Na wszelki wypadek nie pytał.

– Dlaczego nie zgłosiłeś tego do prokuratury, kiedy już się o tym dowiedziałeś? To było zabójstwo. Z premedytacją. Też mogłeś wtedy umrzeć. Wystarczyło, że Kublicki dałby ci porcję z czerwonego naczynia.

– Nie wiem. – Chesiak wzruszył ramionami. – Może się bałem Kublickiego, jak mi tak Sławek nagadał na niego? Albo właśnie dlatego, że mi wtedy nie podał z czerwonego, tylko z niebieskiego? A może to nie był czas? Zresztą siedziałem przecież...

– To czemuś przeszkadzało?

Chesiak milczał, wpatrując się w blat stołu.

– A teraz jest czas? – naciskał Rędzia.

Chciał wiedzieć. Chciał wiedzieć, dlaczego tak się dzieje, że ludzie ukrywają takie rzeczy, jakby nic się nie stało. Pytał o to wielokrotnie zatrzymanych, siedzących po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań: dlaczego nic nie powiedziałeś? I przeważnie odpowiedzią na to pytanie było milczenie. Żadna odpowiedź nie była zadowalająca. Albo nikt z nich jej nie znał. Chesiak też nie.

Salowy wyprostował się nagle z miną, jakby właśnie dokonał jakiegoś odkrycia. Jego czerwona, nabrzmiąta twarz pojaśniała nagle.

– Widocznie tak, skoro panu to opowiedziałem... Widocznie teraz naprawdę jest czas. Nic nie dzieje się bez przyczyny, we wszystkim macza swój palec Bóg. Widać chciał, żeby to było akurat teraz, a nie wtedy, ani nawet ostatnio na komendzie.

Ale ta odpowiedź absolutnie nie zadowoliła Rędzi.

– Nie pieprz mi tu, ostatnio na komendzie stwierdziłeś, że właśnie Bóg kazał ci powiedzieć prawdę, i mnie okłamałeś. Jeśli teraz też wciskasz mi kit, wrócisz za kraty, już ja się o to postaram.

Rędzia przyglądał się przez chwilę Chesiakowi.

Zupełnie nie przekonywała go taka logika. Chesiak był prosty i niezbyt inteligentny, a zasady, według których żył, były raczej nieskomplikowane, jak on sam. Komisarz dziwił się, że człowiek tak żarliwej wiary trafił do więzienia za pospolite przestępstwa. Na ile była to poza, działanie na pokaz, a na ile jakieś rozdwojenie jaźni? I to było nawet zabawne,

przynajmniej w pewnym sensie: według światopoglądu prezentowanego przez salowego, cokolwiek by się działo, widać Bóg tak chciał. I wszystko nagle robiło się o wiele prostsze...

A może to jest właśnie sposób na akceptację pewnych rzeczy w życiu...?

– Nie kłamałem panu na komendzie – odezwał się nagle Chesiak. – To, co powiedziałem panu przed chwilą, to moje domysły. Kublicki nie powiedział mi niczego wprost. Nic byście mu nie zrobili, nawet gdybym to zgłosił. Nie było żadnych dowodów, wyparłby się wszystkiego. A tak Bóg wymierzył Kublickiemu sprawiedliwość i bez ludzkiej pomocy. I cieszę się z tego.

– Zabił go człowiek – stwierdził Rędzia. – Nie wiem, czy można nazwać to pomocą, ale Kublicki zginął z ręki człowieka. Bóg nie zabija. Miłujcie się wzajemnie, jak ja was umiłowałem. To chyba On powiedział, co? Mylę się?

Chesiak spojrzał mu w twarz.

– Morderca był tylko narzędziem, panie komisarzu. Już prościej się nie da, jak pan może nie odczytać takich prostych znaków? Wszystko ma swój sens, rozumie pan? Sens jest we wszystkim.

Rędzia spojrzał na niego uważnie.

– Gdzie jest twój sens? – zapytał powoli.

Chesiak wskazał sufit. Zrobił to bez chwili wahania.

– Tam. To On jest moim sensem. I On nadaje sens wszystkiemu. Bez Niego nie ma niczego.

– Tak nauczał Ojciec?

– Tak od tysięcy lat uczą Pismo Święte.

Rędzi odechciało się nagle wdawać w dysputy teologiczne. Wyciągnął z kieszeni dyktafon i wcisnął „play”. Z urządzenia popłynął cichy głos mordercy.

– Poznajesz? – zapytał Chesiaka.

– Nie.

– Skup się, człowieku. Słuchasz Boga wybiórczo? To mi powiesz, a tamtego nie? Poznajesz?

Puścił nagranie jeszcze raz i położył dyktafon na stole. Chesiak zmarszczył brwi i lekko przekręcił głowę. Sterczące ucho skierowane było

ku dyktafonowi jak czasza anteny szukającej w kosmosie obcych form życia.

– Czy to brat Dawid? – zapytał Rędzia, pochylając się nad nim.

– Ja... Ja nie jestem w stanie powiedzieć, czy to on. Brzmi podobnie, ale nie mogę mieć pewności, rozumie pan? Nie mam prawa skrzywdzić człowieka. Zasada domniemania niewinności.

– Pozwól, że to ja będę stosował tę zasadę.

Chesiak spojrzał mu hardo w oczy.

– Tam, na komendzie, wspominał pan coś o niej, panie komisarzu. Dla pana ona nie istnieje. Zasiał pan wiatr, to teraz zbierze pan burzę. Na zdjęciu, które mi pan pokazał, był brat Dawid, ale teraz nie potwierdzę, czy to on mówi na tym nagraniu, i nic mi pan nie zrobi. Mogę nawet pójść za to siedzieć, ale sumienie będę miał czyste. Nie skażę niewinnego człowieka. Nie będę Piłatem.

– Ty mi będziesz mówił o sumieniu? – prychnął Rędzia. – Ty? Poza tym jesteś Piłatem. Umywasz właśnie ręce, zupełnie jak on.

– Popełniłem błędy, to prawda. Już więcej nie będę ich popełniał.

– To głos mordercy, rozumiesz? To nie jest tak, że ja tylko podejrzewam, że to morderca. To JEST morderca.

– Rozumiem. Ale nie mam pewności, czy to brat Dawid. Żadnej. Nic więcej na ten temat nie powiem. Może pan pytać o inne rzeczy, ale nie o to.

Komisarza mało szlag nie trafił. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zadzwonić po Berdaka. Obiektywnie rzecz biorąc, Chesiakowi mogło faktycznie chodzić o zasady, ale równie dobrze mogła to być prymitywna zemsta za złe traktowanie, która stawiała pod znakiem zapytania wszystkie wcześniejsze deklaracje o roli Boga w jego zasranym życiu. Albo robił to samo co Gajdamowicz w hospicjum. Cieszył się. Cieszył się ze śmierci mordercy i krył mściciela.

A komisarz nagle stwierdził, że sam już nie wie, czy to dobrze, czy źle. Wszystko przestało nagle być czarne i białe, a stało się niemal jednolicie szare. Jak strach i odwaga.

– Ty wiesz, że to on – wycedził powoli. – Kryjesz go, bo według ciebie wymierzył sprawiedliwość. Ale to nie ma znaczenia. Już po wszystkim.

– Nie znajdzie go pan.

– Zdziwisz się. – Rędzia zagryzł wargę, pozbierał zdjęcia ze stołu i wściekły na siebie wyszedł bez słowa z mieszkania Chesiaka.

Znów dopasował sobie rzeczywistość, bazując na niepełnych, choć pozornie oczywistych danych: część z nich było faktami, część hipotezami, ale razem ładnie zagrały i dopiero teraz okazało się, że w tej muzyce słyhać było fałszywą nutę. Szajnert przez kilka lat żył w poczuciu winy z powodu czegoś, czego, jak się okazało, nie zrobił. Przez cały ten czas był przekonany, że jest winny śmierci swojej ukochanej i kilku innych osób. I kiedy w końcu przypadkiem wpadł na to, że mogło być inaczej, nie pozostało mu nic innego, jak dowiedzieć się prawdy, a potem zemścić. Dlatego Kublicki był torturowany, a inni zginęli szybko. Bo celem był on, natomiast pozostali: Dworzak i Baliński byli drogą do celu. Teraz Rędzia był pewien, że kiedy laboratorium kryminalistyczne wrzuci opracowane próbki do systemu, GENOM znajdzie powiązanie między próbką pobraną od enena w szpitalu i tą sprawcy zabójstwa Kublickiego, bo to ta sama osoba. Szajnert. I Szajnert musiał wiedzieć, że Kublicki się nie pomylił, tylko zrobił to z premedytacją. Czy to Dworzak zdążył mu zdradzić tę informację przed śmiercią?

Komisarz nie wiedział jeszcze tylko, dlaczego tyle czasu minęło od momentu, w którym Szajnert zobaczył film w telewizji, a zabójstwami. Wiedział już za to, co przegapił, oglądając kilkanaście razy Do HA!TAK-u! Nie grzyby, choć to oczywiście też. Jeszcze na schodach przy domu Wiącków uświadomił sobie, który szczegół z tła nie zwrócił jego uwagi, choć powinien. Szczegół, ale być może bardzo istotny, równie istotny, jak grzyby niesione przez Kublickiego.

Prosto od Chesiaka od razu pojechał to sprawdzić, nie czekając na nic i nikogo.

Kiedy przejeżdżał przez Dąbie, poczuł wibracje telefonu. Wyjął go z kieszeni, spojrzął na wyświetlacz i przez chwilę zawahał się: numer był mu nieznany. Nie miał go ani w kontaktach, ani w swojej pamięci.

Odebrał.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Podobały się panu zdjęcia?

Głos był sztucznie zmieniony, rozmówca miał pewnie jakąś specjalną przystawkę. Rędzia zacisnął zęby, aż zgrzytnęły. Na końcu języka poczuł coś twardego i ostrego; okruch plomby.

– Nie teraz – warknął.

– Chyba źle pan prowadzi tę rozmowę. Zupełnie nie tak...

Rędzia nabrał głęboko powietrza.

– Kiedy dostałem pierwsze zdjęcie do rąk, byłem w trakcie wykonywania ważnej czynności służbowej, którą wtedy przerwałem. I przez to, że jej nie dokończyłem na czas, ktoś ucierpiał. Nawet nie o to chodzi, że dałem dupy w pracy, tylko o to, że ucierpiał niewinny człowiek. Teraz też nie jest dobry moment, dlatego rozłączam się i zadzwoń jutro, pogadamy na spokojnie. To jest sprawa między nami. Znam zasady, nie wiem, o co wam chodzi, ale znam zasady, rozumiesz? Zrozum to, kurwa, jeśli w ogóle potrafisz. Jutro.

Coś musiało być w jego głosie, bo człowiek po drugiej stronie westchnął tylko i powiedział:

– Jutro, osiemnasta. To będzie bardzo krótka rozmowa, ale niech pan wtedy wyjdzie z domu, po co żona ma słyszeć, prawda?

– Jutro, osiemnasta – wycedził, rozłączył się i rzucił komórkę na siedzenie pasażera.

Przez chwilę oddychał głośno przez nos ze wzrokiem wlepionym w szosę, a potem coś w nim pękło.

– Kurrrrrrwaaaa!!! – wrzasnął, waląc otwartą dłońią w kierownicę i szarpiąc się bezsilnie w fotelu.

Blokada pasa kliknęła i Rędzia opanował się po chwili, zaskoczony swoim wybuchem. Poczł pieczenie w gardle, musiał sobie je nieźle zedrzcć tym krzykiem z samego dna siebie.

Na rondzie uspokoił się trochę, zjechał w Lubczyńską i wrócił na Goleniowską, przerwaną nowym układem komunikacyjnym. Kilka minut później skręcił w Kablową przecinającą las prosto jak strzała, przejechał przez przejazd kolejowy i dotarł do Produkcyjnej. Kiedy leśnym duktem dojechał na miejsce, zaparkował przed domem, który kiedyś był kościołem, wyłączył silnik i trzymając ręce na kierownicy, wziął kilka głębokich wdechów. Obrzucił swój telefon wzrokiem, w którym było nieomal obrzydzenie, a potem wziął go i schował do kieszeni kurtki.

Kiedy wysiadał z samochodu, powietrze przeszył klangor żurawi. Rędzia aż się skulił. Spojrzał w niebo, ale było czyste, stado musiało być daleko,

za drzewami. Westchnął, zamknął drzwi i ruszył w kierunku domu wciśniętego w las jak malina w sernik.

Budynek, tak jak poprzednim razem, znów zrobił na komisarzu przynębiające wrażenie. Rędzia odruchowo się rozejrzył, ale nie zobaczył nikogo. Wśliznął się przez obwieszoną tabliczkami bramę i brnąc przez chaszczę, dotarł do wejścia. Wciąż dziwiło go to, że dom ostał się we w miarę przyzwoitym stanie, zwłaszcza w takim miejscu: na uboczu, ukryty w wysokiej i gęstej zieleni. Ponura sława i moc zabobonu, a być może tabliczki również, chroniły go lepiej niż wynajęta firma ochroniarska. Komisarz rozejrzył się, a potem kopnął w drzwi w okolicy zamka. Coś trzasnęło i uchyliły się cicho, nienaturalnie cicho.

Wszedł do środka.

Wewnątrz panował półmrok, na szczęście jednak było na tyle jasno, że Rędzia nie musiał używać latarki. Nie tracąc czasu, skierował się do sali, do której zaglądał z zewnątrz podczas ostatniej wizyty z Gapińską. Kiedy wszedł do niej i stanął na środku, utwierdził się w przekonaniu, że miał rację.

Na filmie, na jednym z ujęć, widać było wyraźnie dwoje drzwi, tymczasem teraz, zamiast tych po lewej stał wielki, sięgający niemal sufitu kredens, który komisarz widział nawet wtedy przez szybę.

Opuścił jadalnię i obszedł wszystkie sąsiednie pokoje, próbując dotrzeć do tego pomieszczenia, które powinno być za ścianą z kredensem. Nie znalazł go. Wrócił więc do jadalni i podszedł do mebla: wielkiego, poniemieckiego grzmota z ubytkami w drewnianych zdobieniach i oderwanymi fragmentami intarsji. Był cały zakurzony, pozbawiony szyb, na pustych półkach leżały martwe muchy i bure koty z kurzu. Cichy brzęk metalu wyrwał Rędzię z zamyślenia: spojrzął pod nogi i zobaczył kawałek metalowej rurki, która wałała się na podłodze wśród innych śmieci. Schylił się i uważnie obejrzał spód kredensu. Coś mu nie pasowało.

Na ziemiach nazwanych po wojnie zachodnimi albo odzyskanymi wciąż znajdowało się sporo domów, w których dużo jeszcze było takich pozostałości po dawnych niemieckich lokatorach. Wielkość i ciężar tych mebli wymuszały potrzebę solidnej podstawy, która zwykle przyjmowała formę lwich czy smoczych łap, albo przynajmniej sporych rzeźbionych postumentów. Tu niczego takiego nie było, spód korpusu wisiał tuż nad

podłogą, ale na niej nie stał. Rędzia spostrzegł, że wystaje spod niego taka sama metalowa rurka, jaką przed chwilą kopnął. Kucnął, a potem klęknął i zajrzał pod spód, w wąską, góra centymetrową szparę, przyświecając sobie telefonem. Zobaczył jeszcze trzy takie rurki, choć żadna nie wystawała na zewnątrz: wszystkie schowane były pod kredensem, który na nich stał. Nie leżały jednak przypadkowo, tylko równolegle do siebie. Rędzia, wstając, oparł się o mebel i poczuł, jak lekko ucieka mu spod dłoni, przesuwając się nieznacznie w lewo. Pomacał się pod pachą, pod którą tkwiła kabura, i poczuł kopa adrenaliny.

Był podminowany wszystkim, co zdarzyło się w ciągu kilkunastu ostatnich dni: wiadomością o synu, dziwną sprawą z Agnieszką, stagnacją w śledztwie w sprawie morderstw, niepewną sytuacją związaną z epidemią koronawirusa – to wszystko złożyło się na decyzję, którą podjął w jednej chwili. Zamiast zawiadomić kogo trzeba, po prostu mocno pchnął kredens, słuchając cichego hurgotu, z jakim potoczył się po rurkach. Był pełen podziwu dla pomysłowości wykonawcy: żaden wymyślny mechanizm z łożyskami, tylko prosty jak konstrukcja cepa patent do wykonania po jednej wizycie w Castoramie, albo nawet po krótkim rajdzie po śmietnikach na budowach. Miał też nadzieję, że za chwilę potwierdzi się, kim był ów pomysłowy Dobromir, że znajdzie za ścianą jego ślady, a kto wie, może nawet jego samego.

Dla pewności jeszcze raz pomacał się po kaburze.

Prostokątny otwór był ciemny, pozbawiony skrzydła drzwi, wewnątrz niknęło w mroku, widać jednak było pierwsze dwa stopnie schodów prowadzących gdzieś w dół. Rędzia uśmiechnął się, parskając, i dlatego nie usłyszał cichego szmeru za plecami. Chwilę później poczuł za to straszliwy ból na czubku głowy, potem coś ciepłego zalało mu oczy i zaswędziało w nos, a jeszcze później zawirował mu świat. Zdążył tylko wyciągnąć przed siebie ręce i runął w dół schodów, mając przed oczami już wyłącznie ciemność.

wrzesień/październik 2020

Była głęboka noc.

Obudził się nagle. Jeszcze przez chwilę gdzieś z tyłu głowy miał sen, który śnił, ale zanim uświadomił sobie, o czym był, ostatnie jego obrazy uleciały w mrok. Usiadł na łóżku. Czuł się zastanawiająco dobrze jak na stan, w jakim się znajdował. Coś go gnało. Coś kazało mu iść. Robić coś. Załatwić. Sięgnął na blat szafki nocnej i z pudełka wyjął dwie kamienne kule wielkości kurzych jaj, którymi rehabilitant kazał mu przebierać, aby ćwiczyć palce. Robił to często, może nawet za często, ale czuł jakiś wewnętrzny przymus. Miał cel: jak najszybciej odzyskać sprawność. Zżył się z nimi, miał je w dłoniach bezustannie. Obracały się w jego palcach jak wirujące wokół siebie bliźniacze planetki, pomagając mu nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Uspokajały go jak nic innego. Sprawiały, że pędzące w głowie myśli zwalniały do tempa, które pozwalało mu je w ogóle zrozumieć.

Zsunął nogi z łóżka, wsunął stopy w szpitalne kapcie i cicho wyszedł na korytarz. Towarzyszył mu tylko cichy szmer kul ocierających się o siebie w jego palcach.

Pielęgniarka dyżurna drzemała na kozetce, widział ją przez uchylone drzwi gabinetu, kiedy powłócząc nogami, człapał do oddziałowej łazienki dla pacjentów. Stał teraz przed lustrem i przyglądał się sobie uważnie. Jego zgrabny do tej pory nos przypominał kartofel. Na głowie miał gazik przykrywający gojącą się już ranę po trepanacji. Krótka szczecina sterczała sztywno wokół niego, skórę twarzy miał poszarzałą i pomarszczoną, ciało

wychudzone i wiotkie, choć równocześnie czuł napięcie, które było jak ciasny płaszcz zapięty po samą szyję.

Przeszedł wiele i wiedział to. Coś się zmieniło. Nie wiedział, co dokładnie, ale czuł się inaczej. Czuł się mocniejszy, miał o wiele jaśniejszy umysł, a myśli były bardziej precyzyjne, jak gdyby zobaczył je przez okulary i wszystko nabrało nagle ostrości. Kojarzył pobicie. Pamiętał tych dwóch, pamiętał, że chcieli papierosa, a on nie miał, pamiętał ciosy i kopniaki, pamiętał, jak dławił się krwią ze złamanego nosa, i to chrupnięcie, które poczuł aż w głowie, pamiętał ciemność. Pamiętał, jak przebudził się ze śpiączki, pamiętał, kim jest salowy, który przypatrywał mu się ze strachem w oczach. I pamiętał ją. Wiedział też, że jeśli o nią chodziło, jest już za późno. Dwie wielkie jak groch łzy potoczyły się po pobrużdżonych policzkach, zostawiając wilgotny ślad, który po chwili zniknął. I wtedy zobaczył go w lustrze. Ogarnął go nagły spokój, spłynął po nim jak letnia woda, czuł go każdym receptorem, rozluźniał każdy mięsień, którego nie potrzebował do utrzymania pozycji. Widział za sobą człowieka, który miał jego twarz, tę sprzed pobicia. Obraz w lustrze drżał jak krajobraz drogi rozgrzanej słońcem w upalny dzień, falujący od unoszącego się nad nią gorącego powietrza.

– Jestem gotowy – powiedział cicho do samego siebie, stojącego za sobą samym. – Tym razem jestem gotowy, żeby dowiedzieć się wszystkiego i coś z tym zrobić.

Na jego twarzy i twarzy tamtego powoli wykwitł ten sam uśmiech. Nie było w nim jednak krzty radości.

* * *

Kilka dni później, leżąc na łóżku, kątem oka zobaczył, jak do jego sali ktoś wchodzi i staje nieopodal drzwi. Było już po dwudziestej drugiej, ta pora w szpitalu to głęboka noc. Ale nie dla wszystkich.

To był on. Smuga światła wpadająca przez uchylone drzwi z korytarza oświetlała jego twarz zwróconą ku oknu. Znów go tu coś przyniosło, na pewno nie przyszedł posprzątać. Dowiedział się już od personelu, że Dworzak nie sprząta na neurochirurgii. Ale mimo to zjawił się w jego sali, więc teraz mógł z nim porozmawiać. Zapytać. Teraz już mógł, bo teraz był

gotów na rozmowy, teraz był gotów na wszystko. Pawelczyk spał, jego ciche pochrapywanie było regularne, więc mógł być pewien, że to twardy i mocny sen.

– Witaj, bracie – wyszeptał.

Dworzak drgnął, obrócił głowę w jego stronę i uśmiechnął się blado.

– Poznałeś mnie...

– Tak – potwierdził, przyglądając się mu. – Pamięć mi wraca... Jest coraz lepiej. Coraz... lepiej...

Kłamał. Nie stracił pamięci. Pamiętał przecież wszystko, co trzeba, tylko nic nie mówił. Im mniej się mówi, tym mniej się odsłania.

– Jak się czujesz? – zapytał Dworzak.

– Dobrze, bardzo dobrze.

– Cieszę się, bracie, że się wylizaleś. Krucho z tobą było, ale widać Bóg nad tobą czuwa.

Salowy wszedł do środka i stanął przy jego łóżku. Teraz jego twarz rozświetlał blask latarni ulicznych wpadający przez okno. Była blada i miała niepewny wyraz.

– Minęło trochę czasu, co, Dawidzie?

– Musimy porozmawiać.

– Przecież rozmawiamy?

– O kolacji.

– Jakiej kolacji? Przecież dostałeś. – Wypełzające na blade policzki Dworzaka ciemniejsze plamy rumieńców były jednak oczywistym dowodem na to, że dobrze wie, o jaką kolację mu chodzi.

– Chcesz rozmawiać tutaj? – zapytał go.

– Po co do tego wracać? – Dworzak zniżył głos do szeptu. – Stało się.

– Kto naprawdę przyrzędził grzyby? Kto je podmienił?

– S... – Żuchwa salowego zadrżała lekko i cofnęła się. – Skąd...

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Podejrzewał, że Dworzak może wiedzieć, ale w głębi duszy w to nie wierzył. Nie chciał wierzyć. A jednak. Trafił i musiał iść za ciosem. Musiał dowiedzieć się, kim była osoba niosąca grzyby, która mignęła w drzwiach korytarza na filmie o HA!TAK-u.

– A ty? – Zaciśnął zęby. – Skąd TY to wiesz?

Dworzak się rozejrzył. Pacjent na sąsiednim łóżku spał, posapując cicho.

– Pójdźmy gdzieś – zaproponował cicho.

Wstał więc, wsunął kapcie i bez słowa ruszył w kierunku drzwi. Dworzak podążył za nim, a kiedy wyszli na korytarz, minął go i skierował się ku wyjściu z oddziału. Potem przywołał windę i wciąż milcząc, zjechali do piwnicy. Wyszli z kabiny i zobaczył, że są w korytarzu technicznym, prowadzącym do pomieszczeń magazynowych, szatni i tym podobnych. Z boku stało kilka zdezelowanych wózków inwalidzkich. Stał pod ścianą, opierając się o nią plecami i szczerzej zakrywając się szlafrokiem. Dworzak zaczął chodzić przed nim tam i z powrotem, a identyfikator dyndał mu na szyi w takt drobnych, nerwowych kroczków. Przyglądał mu się spokojnie. W kieszeni szlafroka ciążyły mu kule, miał ochotę sięgnąć po nie teraz i pobawić się nimi. Pobawić się swoimi planetami spokoju.

– Skąd wiesz? – zapytał po raz kolejny. – Masz z tym coś wspólnego?

– Nigdy – zachnął się Dworzak; to pytanie zatrzymało go w pół kroku.

– Więc skąd?

– Brat Łukasz mi kiedyś powiedział.

– Skąd on wie?

– Trochę się domyślił, jak ty. I... rozmawiał o tym z nim.

– Z kim?

– Nie mogę powiedzieć.

– Gdzie on teraz jest? Gdzie jest brat Łukasz?

– O ile wiem, siedzi w więzieniu.

– Dlaczego nikomu nie powiedziałaś?

Dworzak spuścił głowę. Palce skubały identyfikator.

– A dlaczego nie powiedziałaś nikomu, kim jestem i jak się nazywam?

– Ja... Nie chciałem do tego wszystkiego wracać. Dopóki miałaś te bandażę na głowie, trudno było cię rozpoznać. Teraz zresztą też. Tylko te oczy zostały takie same...

– A jak już rozpoznałaś?

Znów milczenie.

– Kto? – powtórzył łagodnie, patrząc na Dworzaka spokojnie.

– Nie mogę ci powiedzieć. Zrozum, on mnie zabije. – W głosie i oczach salowego była rozpaczliwa chęć przekonania go, że mówi prawdę, i równocześnie wytłumaczenia się. – Stać go na to, jeden mniej czy

więcej. To zły człowiek. Nie wiem, dlaczego Ojciec tolerował jego obecność w Domu. Musiał wiedzieć, że jest zły.

– Powiedz mi kto. – Wciąż był spokojny i opanowany.

– Nie mogę!

– Inaczej ja to zrobię. – Jego głos zmienił się nagle: był teraz niski, jak warkot psa podchodzącego do osaczonego i zapędzonego w kąt kota, który nie ma dokąd już uciec.

– Co... Co zrobisz?

– Zabiję cię.

Oczy Dworzaka zrobiły się okrągłe, a jego usta wykrzywił uśmiech pełen niedowierzania.

– Ty? Zabijesz? Ty byś muchy nie skrzywdził, Dawidzie...

– Proszę cię po raz ostatni.

– Nie, bracie. – Dworzak zdecydowanie pokręcił głową i zatrzymał się przed nim, a w jego głosie nie było już słycać nawet cienia wyrzutów sumienia, tylko zdecydowanie. – Przykro mi, ale nie.

Ręka sięgnęła do kieszeni szlafroka, a palce zacisnęły się na kuli. Cios był szybki. Ciche chrupnięcie kości zagłuszył krótki krzyk, a potem Dworzak zgiął się wpół jak scyzoryk i bezwładnie osunął na posadzkę. Półprzymknięte powieki i otwarte usta nadawały jego martwej twarzy wyraz niedowierzania, które zdążyło wykwitnąć na niej w ostatniej chwili życia.

– I tak się dowiem. – Mruknięcie było jak niepotrzebne epitafium.

Nie zastanawiał się nad tym, co zrobić. Miał tylko świadomość, że kiedyś przeraziłby się swojego czynu, że nie byłby w stanie w ogóle go popełnić. Ale ta świadomość ledwie rysowała się w jego umyśle, uleciała po chwili jak mgła i przestała go uwierać. Teraz tylko działał; metodycznie i szybko. Schował kulę do kieszeni i obszukał ciało. Ze spodni Dworzaka wyciągnął płaski portfel. Zajrzał do środka i to, co w nim znalazł, tłumaczyło jego skromny rozmiar – były w nim jedynie dowód osobisty i banknot pięćdziesięciozłotowy. Gdy portfel wylądował obok kul w kieszeni, zdjął z szyi Dworzaka identyfikator i zawiesił go na swojej, potem ściągnął mu fartuch i z niemałym trudem wtaszczył jego ciało na wózek. Dworzak był szczupły, ale zwłoki, które nie naddadzą się dźwigającemu, ważą o wiele więcej. Pamiętał o tym, znał to zjawisko

z praktyki, przez lata swojej pracy z Antonim i w „Charonie” miał do czynienia z setkami nieboszczyków, więc wiedział również, gdzie i jak chwycić, żeby wtarganie go na wózek było jak najłatwiejsze. Po operacji i śpiączce był osłabiony, ale jakoś sobie poradził. Kiedy trup siedział już na wózku, poczekał, aż szum w głowie minie, i przepasał ciało pod pachami fartuchem, związując rękawy za oparciem. Gdy już skończył, dla pewności odpoczął jeszcze minutę i ruszył wąskim korytarzem przed siebie.

Czuł dziwny spokój. Wkrótce zapadnie noc i nikogo nie było w pobliżu, ale nie dbał, czy ktoś go zobaczy, i sam był tym zaskoczony. Zależało mu na ustaleniu kolejnych faktów, ale chyba nic by się nie stało, gdyby ktoś go teraz przytapał z trupem na wózku. Trwała w nim wewnętrzna walka między celem: ustaleniem kto i dlaczego a świadomością bezcelowości tego wszystkiego na dłuższą metę, bo nie było powrotu do przeszłości. Pchając wózek z trupem przez pusty korytarz, doszedł do wniosku, że tak po prostu wypada. Dokończyć to, co się zaczęło, a potem się zobaczy. Zobaczy się, gdzie i czy w ogóle jest w tym jakiś sens. W tym, co robił teraz, i w tym, co wydarzy się później.

Skręcił za biblioteką i ciemnym korytarzem dotarł do kolejnych starych drzwi, nad którymi widniał napis: ZAKŁAD MEDYCyny NUKLEARNEJ i do których przyklejono kartkę obwieszczającą, że zakład został przeniesiony do nowego budynku Centrum Diagnostyki i Leczenia Nowotworów Dziedzicznych. Zostawił Dworzaka, podszedł do drzwi i pchnął je. Nie były zamknięte na klucz; uchyliły się, a za nimi była ciemność. Wrócił do wózka i z kieszeni trupa wyjął komórkę. Wiedział, że gdzieś powinna być latarka, ale nie umiał znaleźć włącznika ani dojść, co musi zrobić, żeby dotrzeć do funkcji telefonu. Ostatnio komórkę miał w ręku lata temu, należała do Antoniego i miała klawisze, antenkę i maleńki ekranik. W końcu poddał się i uznał, że wystarczy mu słaby blask ekranu, wzbudzanego każdym ruchem palca. Wyciągnął telefon przed sobą i oświetlił nim wnętrze korytarza. Było puste, pod ścianami majaczyły jakieś stare meble, porzucone razem z pomieszczeniami zakładu. Zobaczył coś w rodzaju wnęki, może po usuniętym kaloryferze, więc podjechał tam wózkiem, ściągnął z niego Dworzaka i wcisnął w nią ciało. Zdjął z szyi identyfikator i rzucił go na ciało, a fartuch złożył ciasno i wsunął pod swoją piżamę. Włożył go dopiero wtedy, kiedy wychodził na zewnątrz. Był tak niedaleko

jej domu, ale zapadła już noc, a on nie chciał się ujawniać. Nocnymi autobusami jakoś dotrze do siebie i do niej. A potem się zobaczy.

* * *

– Dzień dobry, panie mecenasie. – Spuścił wzrok.

Było mu trochę wstyd za to, jak wygląda, i za to, że zniknął na tyle czasu, choć nie ze swojej winy.

– Boże drogi, Dawidzie! – Laube załamał ręce. – Jak... Jak ty wyglądasz? Co ci się stało? Gdzie byłeś tyle czasu!?

– To długa historia. – Pokręcił głową. – Ale już jestem. Już jestem...

– Wejdź, proszę, wejdź...

– Nie chciałbym przeszkadzać.

– Żartujesz? Wejdź do środka! Spokojnie, jestem sam. Nie krępuj się, nikt cię nie zobaczy...

Wszedł. Czuł się nie na miejscu w eleganckiej kancelarii. Laube zaprowadził go do pokoju ze stołem konferencyjnym i posadził na jednym z krzeseł, a potem postawił przed nim butelkę z wodą. Nie dotknął jej. Nie chciało mu się pić.

– Jak Ojciec, panie mecenasie? – zapytał.

Laube westchnął ciężko i szeroko rozłożył ręce.

– Stryj jest w hospicjum, umiera. To już koniec, Dawidzie. Zostało mu niewiele czasu. Góra miesiąc. Może nawet mniej.

– Mogę go odwiedzić?

– Myślę, że będzie szczęśliwy. Boże... Nie mogę uwierzyć. Tak bardzo się martwiliśmy. Myśleliśmy, że oszczędłeś na dobre. Ostatni, najwierniejszy, opiekun schedy...

– Nie, panie mecenasie. Ja nie odchodzę. Ja... Ja tylko... Czy mogę mieć prośbę?

– Tak?

– Czy... Nie wiem, jak to powiedzieć. Czy w komputerze da się znaleźć człowieka?

– Masz na myśli wyszukiwarkę internetową?

– Chyba tak.

– To zależy, jaki to człowiek i o jakie informacje chodzi. Jeśli znany, to pewnie bez problemu, jeśli zwykły człowiek... To w zasadzie chyba nawet jeszcze łatwiej, wiesz?

– No tak. – Pokiwał głową. – Kutasy i pizdy...

– S... Słucham, Dawidzie?

– Nie, nic...

– Co to znaczy: znaleźć? Chodzi ci o adres zamieszkania?

– Niekoniecznie. Dobrze by było, ale jeśli się nie da, to chciałbym chociaż wiedzieć, czy w ogóle żyje i co robi.

– Zobaczymy. Jak się nazywa ten człowiek?

Westchnął. To nazwisko wbiło mu się z jakichś powodów w pamięć. Powód mógł być tylko jeden: ktoś chciał, żeby tak się stało. Tak miało być. I dokonać się.

– Daniel Baliński – powiedział powoli.

* * *

Dwa dni obserwacji wystarczyły, żeby dowiedział się o nim wystarczająco dużo. Nie miał dzieci ani psa, miał żonę, która pracowała najprawdopodobniej gdzieś na etacie i na szczęście nie zdalnie. Dwa dni stania w krzakach przed blokiem bez jedzenia, z butelką wody i pieluchą. Bał się, że kiedy będzie oddawał mocz pod drzewem, ktoś go zauważy i zadzwoni po policję. Ale pielucha ani brak jedzenia nie były problemem. Dla niej był w stanie wytrzymać niemal wszystko. Na noc wracał do siebie, przesypiał kilka godzin, a potem jechał pierwszym autobusem i znów stał pod blokiem, z rękami w kieszeniach, bawiąc się kamiennymi kulami. Jego palce były idealnie zgrane, ich ruchy miękkie i zgrabne, jak palce pianisty, które nigdy nie uderzyły przypadkiem w niewłaściwy klawisz, a w te właściwe uderzały z wyczuciem i precyzją dyktowaną nutami oraz talentem i doświadczeniem. Kule ocierały się o siebie, bardziej czuł na opuszkach, niż słyszał ich delikatny chrzęst. Gładka jak szkło powierzchnia zdążyła z czasem zmatowieć, nie ślizgały się już tak płynnie jak niegdyś, ale to nie miało znaczenia.

Kiedy Baliński wrócił do domu, stwierdził, że nadszedł właściwy moment. Jego żona miała wrócić w ciągu półtorej godziny, więc nie miał

aż tak dużo czasu. Kiedy dziennikarz zniknął za drzwiami wejściowymi do klatki, ruszył w ich stronę i zdążył ich dopaść, zanim się zamknęły. Słyszał jego kroki dwa piętra wyżej, więc lekko przyśpieszył. Jego oddech też, ale tylko z powodu wysiłku. Nie denerwował się, od czasu pobytu w szpitalu w ogóle się nie denerwował. Ten zadziwiający spokój dawało mu przekonanie, że to, co robi, jest słuszne.

Wkładając gumowe rękawiczki, zobaczył, jak drzwi się zamykają, i ostatecznie półpiętro pokonał biegiem. Na klatce nie było nikogo, więc bez wahania podszedł do drzwi i zapukał. Kiedy się otworzyły, zobaczył w nich Balińskiego, już bez płaszcza. Właśnie zdejmował buty.

– Tak?

– Ja w sprawie filmu – powiedział cicho.

– Jakiego filmu?

– O HA!TAK-u.

– Nie bardzo rozumiem.

– Chciałbym go obejrzeć.

– Słucham?

– Chciałbym go zobaczyć. Czy ma pan go w domu?

– Nooo, tak się składa, że mam, ale wie pan, to nie jest chyba najlepszy spos...

Błyskawicznie chwycił dziennikarza za gardło, zacisnął palce, wepchnął go do wnętrza mieszkania, a potem wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

* * *

Na sali było cicho, mąciło ją tylko ledwo słyszalne brzęczenie świetlówek w lampie pod sufitem. Pod ścianą stały dwa łóżka, jedno było puste, starannie zaścielone, na kogoś czekało albo niedawno ktoś je opuścił: i to łóżko, i ten ziemski padół.

Ojciec miał zamknięte oczy, wyglądał, jakby spał. Błada twarz z napiętą na kościach skórą sprawiała upiorne wrażenie martwoty za życia. Podszedł cicho i klęknął przy łóżku. Ojciec drgnął i otworzył oczy. Tylko one były jak dawniej, kiedy ukazywały się zza okularów: błyszcząły energią, choć o wiele mniejszą niż kiedyś.

– Dawidzie – cichy szept wydostał się ze spierzchniętych ust.

Rozejrzał się i na stoliku przy łóżku zobaczył kubek z wodą i wystającą z niego słomką. Sięgnął po niego, przytrzymał krawędź przy twarzy Ojca i pomógł mu włożyć słomkę do ust. Kilka pociągnięć kosztowało go trochę sił, to było widać.

Kiedy Ojciec dał mu znak mrugnięciem, że już wystarczy, odstawił kubek, słuchając jego chrapliwego oddechu. Patrzył, jak oblizuje usta i skupia wzrok na jego twarzy.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział. – Że coś ci się stało... Tyle czasu cię nie było.

– Stało się, Ojcze. – Przysunął się bliżej, niemal kładąc się na łóżku. – Stało się kilka rzeczy. Zostałem pobity i prawie umarłem. Ale Bóg pozwolił mi żyć.

Znów kilka chrapliwych oddechów. Zerknął na butlę z tlenem stojącą obok: na zaworze wisiła maska. Ojciec, widząc to, pokręcił głową.

– Nie trzeba, jest całkiem znośnie. – Uśmiechnął się z widocznym trudem. – Dobrze znów cię widzieć, Dawidzie. Dom w porządku?

– Tak, wszystko w porządku. Nikt tam nie zaglądał. Oprócz mecenasa. Rozmawiałem z nim już.

– Wiem... Jacek też nie wiedział, co się z tobą dzieje... Martwiliśmy się obaj. Masz jeszcze pieniądze?

– Tak. Wciąż jest ich całkiem sporo jak na moje potrzeby. Jak się Ojciec czuje?

– Przecież widzisz... Nie ukrywajmy, to już koniec. Odchodzę do Boga, jeśli zechce mnie przyjąć...

Pokiwał smętnie głową, wpatrzony w podłogę. Poprawił się, przenosząc ciężar na drugie kolano.

– To nie ja ich otrułem, Ojcze – powiedział.

Ojciec wydał głębokie westchnienie.

– Dawidzie, nie wracajmy do tego. Przecież nie chciałeś tego zrobić...

– To brat Abraham.

Spierzchnięte usta rozchyliły się szeroko.

– Co ty powiedziałeś?

– To brat Abraham. Zrobił to specjalnie. Przyrządził trujące grzyby i podał nam na kolację. Nie wiem jeszcze dlaczego, ale się dowiem.

Widział, że Ojciec przeżył wstrząs. Ucieszył się na ten widok, bo to oznaczało, że nie był jednym z tych, który wiedzieli, jak Dworzak. To dobrze, inaczej musiałby użyć kuli. Nie był pewien, czy zdołałby to zrobić. Dzięki Bogu nie musiał się już nad tym zastanawiać.

– Boże jedyny, skąd wiesz, że to on? – wykrztusił Ojciec.

Opowiedział mu, że jakiś czas temu przypadkiem zobaczył na pewnym filmie coś, co wzbudziło jego podejrzenia. Opowiedział również, co zrobił, żeby się dowiedzieć, kto stoi za upadkiem Kościoła.

– Zabiłem ludzi – powiedział cicho.

– Dawidzie...

– Zabiłem ich, bo musiałem dowiedzieć się prawdy. Nie cierpieli, Ojczy, odeszli do Boga bez bólu i w nieświadomości... Nic nie dzieje się bez przyczyny, On z jakichś powodów pozostawił mnie przy życiu. Właśnie po to! Żebym dotarł do prawdy, choć jej cena jest wysoka. Jestem narzędziem w jego rękach, wszyscy jesteśmy, nie tak nas uczyłeś?

– Dawidzie...

Uniósł dłoń i prawie położył ją na wyschniętych ustach Ojca. Chciał być wobec niego uczciwy, uczciwy do końca i nie ukrywać przed nim absolutnie niczego.

– Muszę zabić jeszcze jego, Ojczy, przykro mi. Bóg tego ode mnie wymaga. Zginęło przez niego tylu wartościowych ludzi... Ojciec też prawie umarł, ale Bóg w swej łasce pozwolił ci żyć. Pozwolił ci żyć, żebyś mógł się mną opiekować. Trochę to trwało, ale musiałem zrozumieć pewne rzeczy, musiałem być na nie gotowy i oto jestem. Jestem wreszcie gotowy.

Gajdamowicz zamknął oczy. Jego szybki oddech uspokoił się nieco, napięcie zniknęło i ciało zapadło się w pościel.

– Idź już, Dawidzie, niech cię Bóg prowadzi – powiedział chrapliwym głosem. – Niech cię prowadzi ktokolwiek, bo zemsta to straszna rzecz, która potrafi zniszczyć nie tylko winnych, ale i mścicieli. I pamiętaj o tym. A my już się więcej nie zobaczymy. – Odwrócił twarz w stronę okna, a jego oczy się zaszklily.

– Wrócę jeszcze – obiecał.

– Nie, nie przychodź więcej. – Ojciec chciał chyba pokręcić głową, ale ta ledwie drgnęła na poduszce, a jego twarz wykrzywił paroksyzm bólu. –

Zrób, co musisz, ale nie wracaj tu. Dziękuję, że byłeś ze mną. Jako jedyne z moich dzieci byłeś ze mną do końca. Postawiłem na złego konia, Dawidzie. Ty jesteś wart gór złota, mój synu. Pośród wszystkich ty jeden zasługujesz na to, co najlepsze. Ale już za późno...

Ojciec zamknął oczy, a jego podbródek drżał lekko. On milczał, rozmyślając nad słowami Ojca. Potem pochylił się i pocałował wychudły policzek, czując na ustach szorstką, chłodną skórę. W jego nozdrza wcisnął się drażniący zapach środków dezynfekcyjnych, ale nie skrzywił się ani nie odsunął twarzy. Był przyzwyczajony. Takie rzeczy już od dawna nie robiły na nim wrażenia. A od jakiegoś czasu zaczął zdawać sobie sprawę, że już nic nie robi na nim wrażenia. Był pusty jak skorupa rozbitego dzbana. Wyschnięty niczym ziemia w nieznośnym skwarze upalnego lata. Wyzuty z uczuć jak narkoman po latach ćpania, którego jedynym celem jest zaspokojenie narkotycznego głodu, i nic innego się już nie liczy. Nawet on sam, tylko ten nienasycony głód.

– Żegnaj, Ojczy, w końcu wszyscy, prócz Abrahama, znów spotkamy się tam, u Niego. – Postarał się, żeby jego uśmiech był pełen otuchy, bo wiedział, że tak powinien zrobić.

Wiedział też, że fizyczny ból potrafi zniweczyć radość bliskiego spotkania z Bogiem, i to działało się teraz z Ojcem. W końcu Ojciec był tylko człowiekiem. Ścisnął jeszcze jego rękę, która pozostała luźna i wiotka, a potem wstał z klęczek.

Kiedy szedł w kierunku drzwi, dobiegły go ciche słowa, zapewne ostatnie, jakie miał usłyszeć od człowieka, który zmienił jego życie, a teraz odchodził do Stwórcy.

– Niech on cierpi, Dawidzie, dobrze?

Stanął i odwrócił się do niego.

– Będzie cierpiał, Ojczy, obiecuję ci to. Ostatnie kroki na jego ziemskiej ścieżce życia będą przepięknie niewyobrażalnym bólem, a na to wszystko będą patrzeć z góry brat Grzegorz, brat Daniel, brat Tomasz, brat Maciej i siostra Maria... – zamilkł na chwilę – ...oraz Magdalena. A potem zepchnę go w czeluść piekła. Żegnaj, Ojczy. Do zobaczenia w niebie.

Wyszedł, czując, jak coś staje mu w gardle i nie pozwala oddychać.

* * *

– Jezu miłosierny... Dawid?

Pokiwał głową.

– Ledwo cię poznałem... Co cię do mnie sprowadza, bracie?

Szeroki uśmiech i zmarszczone brwi brata Abrahama nie pasowały do siebie, sprawiając wrażenie, jak gdyby założył źle zrobioną maskę przedstawiającą własną twarz, lecz skleconą z dwóch niewłaściwych połówek: górnej smutnej i dolnej wesołej. Ale ten uśmiech był nieszczerzy. W oczach czaiła się nieufność.

– Przysyłają mnie nasi bracia i siostry, Abrahamie. Ojciec również prosił, żeby cię pozdrowić.

– To już odległa przeszłość, Dawidzie. W zasadzie powinienem zwracać się do ciebie prawdziwym imieniem, co nie, Janusz? Tamte czasy minęły.

– Jak chcesz... – Z jego ust wydobył się ledwo słyszalny szepot.

– Ja teraz nazywam się Bogdański. Wiesz, po tym wszystkim, po całej tej sprawie z prochami, nie chciałem, żeby mnie ktoś z tym kojarzył. Gdzie twoje włosy?

– Miałem wypadek – mruknął. – Mogę wejść?

– Jasne. – Nieufność w oczach ustąpiła miejsce zaciekawieniu. – Zrobić ci herbaty? A może wolałbyś coś mocniejszego? Ojczulek trzymał nas za mordy, co? Tyle lat bez alkoholu, sam się dziwiłem, że dałem radę. Zwłaszcza że w branży funeralnej nie wylewa się za kołnierz, sam to wiesz, nie? To były dziwne czasy, Janusz, tyle ci powiem: fajne, ale dziwne. To co, napijesz się ze mną?

Pokiwał obojętnie głową.

– To chodź do warsztatu. W domu nie piję. Starej nie ma, ale to w warsztacie zrobiłem sobie męski kącik. No, chodź, chodź! Weź tę torbę i chodź...

Poszedł za nim przez podwórze osłonięte od ulicy i sąsiednich działek starym ogrodzeniem z betonowych przęseł i rzędem rozłożystych świerków, na tyłach stał niewielki, choć wysoki, nieotynkowany budynek z małymi oknami. Weszli do środka, Kublicki pacnął otwartą dłonią w kontakt przy drzwiach i pomieszczenie zalało białe światło. Zobaczył płyty meblowe poustawiane pod jedną ze ścian i wielki stół z piłą tarczową sterczącą z metalowego blatu jak płetwa grzbietowa rekina nad taflą gładkiej wody. Pod stołem stały dwa wielkie worki z trocinami.

Gospodarz podszedł do jednej z szafek i wyciągnął ze środka butelkę wódki, a on rozejrzał się jeszcze raz po pomieszczeniu. Wnętrze warsztatu było skromne, ale czyste i zadbane. Nie pamiętał, żeby brat Abraham przejawiał kiedykolwiek jakąś staranność w utrzymaniu czystości czy to swojej, czy to powierzonych rejonów.

Kublicki jakby czytał mu w myślach.

– Poznałem dwa lata temu babkę, wdowę i ożeniłem się z nią – wyjaśnił, wyciągając rękę po szklanki stojące na najwyższej półce. – Trochę choruje, ale już z tego wychodzi, poza tym ogarnięta, porządna, niebiedna i z dużymi cynamonami, czego chcieć więcej? Fajnie, że wpadłeś akurat teraz, bo możemy się spokojnie napić. Wyjechała do swojego syna, do Rajchu, na kilka dni. Jej stary walnął na zawał, był stolarzem, miał fajny warsztacik w garażu za domem i wszystko po nim tu zostało. Miałem trochę wolnej gotówki, którą zainwestowałem w maszyny, podszkoliłem się nieco i teraz robię ludziom szafki, zabudowy, trumnę też mogę sklecić, ale się nie opłaca, bo żółtki nawet trumny z ryżu robią za psie pieniądze. – Skrzywił się. – Ale jakoś da się z tego wyżyć. No, siadaj, Janusz, na co czekasz, chłopie?

Usiadł. Powoli, z namysłem. Patrzył, jak Kublicki nalewa do szklaneczek wódkę. Zapach alkoholu kojarzył mu się wyłącznie z pracą i z żoną.

– Skąd wzięłeś gotówkę na inwestycję w maszyny? – zapytał.

Kublicki zakręcił butelkę i odstawił ją na stół z szerokim uśmiechem, tym razem szczerym. Wyglądało na to, że wyzbył się już wszelkich wątpliwości, spoglądając na swojego gościa przez pryzmat szklanki wypełnionej wódką. To zawsze zmienia obraz.

– Miałem. – Wzruszył ramionami. – Zorganizowałem, no... Więc którzy z naszych dawnych braci cię przystali i po co? – zapytał i uniósł nagle ręce. – Tylko nie mów, że po forszę. Nie dam. Koniec frajerstwa.

– Daniel, Grzegorz, Maciej, Maria, Tomasz – odpowiedział mu, rozglądając się wokół siebie. – I Magdalena.

– To jakiś żart? – Ręce Kublickiego opadły na stół. – Przecież oni nie żyją.

– Zgadza się. – Wziął do ręki kieliszek z wódką, a drugą dłoń schował do kieszeni płaszcza. – Oni wciąż nie żyją.

– Więc po co przylazłeś? – Ton Kublickiego zmienił się, stał się nieco wyższy i zimny, w każdym słowie brzmiały złe nuty, a ręce chciwie zagarnęły butelkę i przycisnęły ją do piersi. – W co ty, kurwa, sobie ze mną pogrywasz, co? Chyba mnie posrało, że cię w ogóle wpuściłem. Z Chesiakiem się spiknąłeś? Mam cię stąd wypierdolić na kopach jak jego, co?

Patrzył na Kublickiego, patrzył w twarz mordercy, którego intencji jeszcze nie znał, ale zamierzał je zaraz poznać. W jego sercu panował absolutny spokój. Wszystkie okoliczności wskazywały, że Bóg sprzyja mu w realizacji planu pod każdym względem.

– Dmuchałeś ją? – zapytał Kublicki, szczerząc zęby. – Powiedz, ty i ona, co? Pod nosem Ojca? Tobie dała, świętoszka pieprzona? No, powiedz...

Palce schowane w kieszeni zacisnęły się na kamiennej kuli, czuł, jak chrzęszczą stawy i nagle jego dłoń, ale ta druga, z kieliszkiem, wystrzeliła do góry. Z niewielkiej odległości chlusnął Kublickiemu wódką w oczy i patrzył, wciąż z niezmaconym spokojem, jak tamten łapie się za twarz.

– Aaach! – ryknął zaskoczony. – Ty skurwielu, jak ci...

Druga dłoń powtórzyła ruch pierwszej, lecz tym razem dosięgła celu. Szorstka powierzchnia kamiennej kuli zetknęła się ze skronią Kublickiego. Cios nie był mocny, włożył w niego tylko tyle siły, żeby go ogłuszyć, nie zabić.

Śmierć miała przyjść później, powoli, wśród jęków i błagań, lecz błagań nie o litość, ale o szybszą śmierć. Taki był plan i zaczął go właśnie realizować. Miał w torbie narzędzia, które zamierzał wykorzystać, ale najwyraźniej Bóg wiedział, co robi, sprawiając, że Kublicki ożenił się z wdową po stolarzu.

Podniósł bezwładne ciało i położył je na stole, na ruchomej części blatu roboczego. Rozchylił jego nogi tak, żeby tarcza piły znalazła się między nimi. Z torby wyciągnął brązową taśmę klejącą i starannie owinął nią nogi swojej ofiary w kostkach, przyklejając je do krawędzi i opasując taśmę od spodu. To samo zrobił z rękami, pętając je w nadgarstkach. Na każdą kończynę zużył całą rolkę. Na koniec wepchnął Kublickiemu w usta szmatę i zakleił je starannie sporym kawałkiem taśmy, a do nozdrzy wprowadził rurki, których Antoni używał do spuszczenia płynów ustrojowych ze

zwłok. Był gotowy. Był gotowy na to, by poznać powody, dla których Kublicki zabił sześć osób. Zaraz miał poznać prawdę.

Założył na siebie pelerynę przeciwdeszczową, zwykłą jednorazową foliową płachtę z kapturem, i zaczął cucić Kublickiego, zastanawiając się, jak powinno brzmieć pierwsze pytanie, jakie mu zada. A miał ich sporo...

* * *

„Kochałem ją”.

To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział Kublicki, zanim potężny cios wielkim, dziesięciokilogramowym młotem w klatkę piersiową, w okolice serca zakończył krwawy akt zemsty. Chrupnęły żebra, klatka zapadła się, a Kublicki wygiął się w łuk i zwiotczał, kiedy serce pękło i stanęło. Jego ciało opadło na stół. Tymczasem on stał i wpatrywał się w nie, nie czując ani satysfakcji, ani obrzydzenia na widok ludzkich resztek, które kiedyś były bratem Abrahamem, czy też do samego siebie za to, co zrobił. Jeszcze kilka godzin temu był przekonany, że akt zemsty i sprawiedliwości, którym chciał zadośćuczynić wszystkim ofiarom Kublickiego, przyniesie mu mnóstwo satysfakcji.

Nie przyniósł.

Może dlatego, że powód, dla którego Kublicki otruł jego współbraci, a przede wszystkim ją, był tak nedorzeczny? Zwykłe nieporozumienie podsycone zawiścią i zazdrością. O stanowisko i o kobietę.

To, że on przeżył, nie wynikało tylko z faktu, że to na niego miała zostać zrzucona wina za pomyłkę z grzybami. Kublicki nie mógł przewidzieć, że Ojciec przeżyje, ani tego, że każe wszystkim ukryć prawdę, która przecież nie była prawdą. On, Dawid, przeżył również dlatego, by dowiedzieć się, jak było naprawdę i by dokonać pomsty. Efektem planu Kublickiego, zamiast przejęcia pełni władzy w Kościele kosztem śmierci kilkorga ludzi, był rychły rozpad Kościoła, czego przewidzieć pewnie nie mógł. Wymyślił więc plan B i wykorzystał okazję na tyle, na ile mógł: okradł Ojca, okradł współbraci i zniknął, a potem zaczął nowe życie.

I jak Krzysztof Kolumb twierdził, cytując fragment Medei Seneki Młodszeo, że odkrycie przez niego nowych lądów przepowiedziane już w starożytności jest zrzędzeniem boskiej Opatrzności, tak on trwał

w przekonaniu, że wszystko, co wydarzyło pomiędzy kolacją sześć lat temu a tą chwilą teraz, gdy stoi w zachlapanej krwi pelerynie w warsztacie brata Abrahama, też tym właśnie było.

I to Seneka powiedział również: ten popełnił zbrodnię, komu przyniosła korzyść... Nie pytał Kublickiego, ile pieniędzy zabrał Ojcu. To nie miało znaczenia. Pieniądze były brudne, choć służyły również im i pomagały w utrzymaniu Kościoła, zresztą wybaczył dawno Ojcu, tak jak Bóg wybaczał innym ludziom. Nie był od oceniania uczynków innych, nie był jak inni, którzy widzieli źdźbło w oku innych, nie widząc belki we własnym. Był tylko narzędziem w rękach Boga.

Nagle ogarnął go niewytłumaczalny smutek i wątpliwości. Nie mógł postąpić inaczej, ale nie tak miało być. Czy to, co zrobił, miało sens? Czy podobało się Bogu? Czy Bóg był, istniał, patrzył, czy żałował jego, czy Kublickiego, czy w ogóle żałował kogokolwiek?

Zdjął z siebie pelerynę, rzucił ją na podłogę i wyszedł, nie gasząc światła.

październik 2020

Rędzia nie był w stanie się ruszyć, a jego powieki były ciężkie jak ołów. Miał wrażenie, że ich otwarcie wymaga nadludzkiego wysiłku, i kiedy wreszcie zdołał je uchylić na tyle, by coś zobaczyć, nie miał pojęcia, co widzi. Obraz był jak pozbawiony kontekstu. Brak jakichkolwiek wspomnień z ostatnich zdarzeń sprawił, że komisarz nie wiedział, na co patrzy, choć to widział. Niezbyt wyraźnie, ale widział.

Ktoś ubrany na biało nachylał się nad kimś siedzącym na krześle i robił mu zastrzyk. Rędzia, czując tępy ból pulsujący na czubku głowy, pomyślał, że może jest w szpitalu, choć nie pasowały mu do tego słowa, które usłyszał: „to już ostatni dzisiaj, kochanie” i kolejne, po chwili przerwy: „jak sobie życzysz”. A potem znów odpłynął w ciszę i mrok. Kiedy ponownie się ocknął, pamiętał o wiele więcej, choć wolałby niczego nie pamiętać. A w zasadzie wolałby, żeby to, co pamiętał, po prostu się nie wydarzyło.

Szajnert siedział teraz przy stole, zgarbiony, oparty o swoje kolana i opatulony peleryną z mlecznobiałej folii, zwieszającą się aż do podłogi i ukrywającą wszystko z wyjątkiem głowy i dłoni. Wyglądał kompletnie inaczej bez długich włosów i brody, które nosił, kiedy Rędzia widział go po raz pierwszy, nie mając jeszcze pojęcia, kim jest. Komisarz utrwalił w pamięci jego obraz jedynie z filmu, a nie z ulicy, kiedy leżał pobity pod samem.

Może gdyby wtedy przyjrzał mu się uważniej i zapamiętał jego twarz, wszystko wyglądałoby inaczej?

– Będzie padać – oznajmił Szajnert, patrząc na Rędzię beznamiętnie.

Komisarz widział go trochę niewyraźnie, jak przez szybę drzwi do łazienki. Zdziwił się lekko na te słowa, pamiętał przecież błękitne niebo, na którym wypatrywał żurawi, a potem uświadomił sobie, że właściwie nie pamięta niczego, co stało się potem. Jak tu trafił i gdzie w ogóle jest? Czuł, że powieki ma zlepione jakąś substancją, która już wyschła i teraz kruszyła się, gdy mrugał, usiłując wyostrzyć wzrok. Kiedy chciał sięgnąć do twarzy dłonią, okazało się, że nie jest w stanie tego zrobić. Uniósł lekko głowę, potrząsnął nią i zobaczył dlaczego. Leżał na łóżku, a całe jego ciało owinięte było brązową taśmą klejącą, jakiej używa się do oklejania paczek. Chryste, sam miał taką taśmę w swoim biurku, w komendzie. Komisarz nie wierzył w to, co widzi. Był nią owinięty tak szczelnie, że niemal nie widać było jego ubrania. Ręce wyciągnięte wzdłuż boków dotykały ud, spomiędzy zwojów mógł wystawić tylko palce, i to nie wszystkie. Wyglądał jak jakaś parodia cholernej egipskiej mumii straszącej dzieci w kreskówce o Scooby-Doo. Pomyślał, że skurwiel użył chyba kilku rolek tej pieprzonej taśmy, a każda miała przecież z pięćdziesiąt metrów. A potem głowa opadła mu na łóżko, kiedy świat zawirował i Rędzia poczuł, że zaraz zwymiotuje.

– Spokojnie – powiedział Szajnert cicho, wciąż go obserwując. – Szarpanie na nic się nie zda.

Rędzia posłuchał go. W całej tej sytuacji musiał zachować spokój. Tylko spokój dawał mu jakąś szansę. Wpadł jak śliwka w kompot, po prostu spierdolił to koncertowo, nie doceniając przeciwnika i dając się mu podejść jak jakiś cholerny żółtodziób. Uległ emocjom, pozwalając im przejąć nad sobą kontrolę, uległ temu cholernemu samczemu przekonaniu o własnej zajebistości, o którym wspominała niedawno Agnieszka. I teraz mogło go to słono kosztować.

Obrzucił szybkim spojrzeniem pokój, Szajnerta i stół, na którym leżało kilka książek, mnóstwo buteleczek i strzykawek, metalowy kubek i zamknięty laptop. Oraz jego glock i telefon. Pomieszczenie było niskie i nie miało okien. W powietrzu czuć było smród czegoś nieokreślonego, wciskał się w nozdrza i kręcił w nich jak drobiny kurzu.

A potem Rędzia zobaczył, że naprzeciwko Szajnerta ktoś siedzi. Kiedy zorientował się, kto to, poczuł, że jego szanse na przeżycie zmalowały

właściwie do zera, a Gajdamowicz, tam, w hospicjum, mylił się jednak, twierdząc, że nie będzie więcej trupów.

Za stołem tkwił trup kobiety, ale to nie jego Rędzia miał na myśli, a siebie. Martwa Arleta Wiącek siedziała na krześle, przywiązana do oparcia w pasie i pod pachami, z odgiętą do tyłu głową i otwartymi ustami ziejącymi pośrodku czeluścią wyschniętego na wiór wnętrza. Jej trup przypominał skórzany manekin, z którym ćwiczą zapaśnicy. Wyglądała jak chłopak na motorowerze z historii, którą opowiedział mu Berdak przy warsztacie Kublickiego. Jej skóra była barwy sinobłękitnej, pomarszczona i ponaciągana, jak opięty na stelażu abażur. Gałki oczne były chyba szklane, bo jedna z nich przekręciła się i spod pomarszczonej powieki łykała pozbawiona plamki tęczówki i źrenicy nienaturalna biel. Włosy przypominały sizal, który ktoś nieporadnie próbował zapleść w warkocz, ale bardziej wyglądało to na wystrzępioną okrętową linę z poluzowanymi od pracy splotami. Kobieta, czy raczej to, co z niej zostało, ubrana była w wełniany sweter. Pod białym Rędzia widział rąbek kolorowej, wzorzystej spódnicy i stopy. Nie wiedział, czy okrywają je stare skarpety, czy są nagie. W głowie mimowolnie błysnęło mu wspomnienie sprzed pół roku i widok zmumifikowanych zwłok Adolfa odkrytych na budowie na Łęknie.

– To moja żona – mruknął Szajnert, widząc, dokąd podąża wzrok komisarza. – Tylko dla niej oddycham.

Rędzia przełknął ślinę. Właśnie zaczynał walkę o życie. Nie miał pojęcia, jak walczyć, ale wiedział, że nie tak, jak robiły to inne ofiary, zwłaszcza Baliński.

– To nie jest twoja żona – powiedział mocnym i zdecydowanym głosem. – To tylko jej zwłoki. Wykopałeś je z grobu.

W oczach Szajnerta coś zamigotało.

– Jeszcze niedawno wyglądała jak żywa. – Pokiwał głową. – Kiedy mnie pobili, miałem zły czas i zaniedbałem ją. Leżałem w szpitalu, nie dawałem jej zastrzyków, które utrzymywały ją przy życiu, nie robiłem kąpieli i umarła drugi raz. Ale wróciłem do normalności i załatwiłem zaległe sprawy. Zostałem narzędziem w Jego rękach. Tylko że dla niej było już za późno. Zepsuła się. Dziś chemia stoi na wysokim poziomie, wszystko jest łatwiejsze niż kiedyś, ale było za późno i nic nie dało się zrobić, choć wciąż

próbuję. – Wskazał podbródkiem stolik. – Ale nie mogłem jej pochować. Nie potrafię... Ja... Przestałbym wtedy oddychać.

Z jego piersi wyrwało się długie, głębokie westchnienie. Znów zastygł w bezruchu. Rędzia myślał gorączkowo, co będzie dalej.

– Co teraz? – zapytał najspokojniejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć, unosząc przy tym głowę na tyle wysoko, na ile mógł.

Zakręciło mu się w niej i znów poczuł mdłości.

– Z czym? – Szajnert ponownie ocknął się z letargu.

Rędzia zamknął oczy.

– Z nią – powiedział cicho. – Ze mną. Z tobą. Co teraz zrobisz z nami wszystkimi?

„Będziesz dalej gadał z trupem i zabijał ludzi?” – chciał dodać, ale wiedział, że to nie byłby dobry pomysł. Wzrok Szajnerta zrobił się odrobinę przytomniejszy, a przynajmniej takie wrażenie odniósł komisarz.

– To ty mnie tropiłeś? – padło pytanie.

– Tak. – Nawet nie zastanawiał się nad odpowiedzią. – Wiem o grzybach, o Kublickim i o reszcie. Zobaczyłeś Kublickiego z wiaderkiem na filmie o HA!TAK-u, prawda? Stąd wiedziałeś? Tylko po co zabiłeś tego dziennikarza?

Szajnert opuścił głowę, wpatrując się w szpary między splecionymi palcami. Drżały.

– Musiałem się upewnić i nie było innego sposobu. Nie zdążyłem wtedy zobaczyć, kto to był. Zauważyłem tylko wiaderko z grzybami.

– A gdyby okazało się, że to nic nie znaczyło? Że Kublicki nie miał z tym jednak nic wspólnego?

– Miał. Zabił siedmioro ludzi.

– Ale dowiedziałeś się o tym dopiero po zabiciu Dworzaka, prawda? To było sprytne posłużyć się jego danymi, żeby nie zostawić po sobie śladu. Ale koszt był niewspółmiernie wysoki. Zabicie Kublickiego jeszcze mogę od biedy zrozumieć, ale Dworzaka? I Balińskiego? Zabiłeś niewinnych ludzi.

Szajnert w milczeniu wzruszył ramionami.

– Jak to siedmioro? – zapytał nagle komisarz. – Było sześć ofiar zatrucia.

– Moja żona była w ciąży.

Szajnert powiedział to spokojnym, wyczerpanym z emocji głosem, jakby go to nic nie kosztowało. Ale to było niemożliwe. To musiało go kosztować naprawdę wiele i Rędzia to wiedział. Więc albo Szajnert zapłacił za to wysoką cenę już wcześniej, a teraz był pustą, wypaloną skorupą, albo operacja neurochirurgiczna bądź skutki pobicia faktycznie sprawiły, że miał coś nie tak z głową. Trudno było stwierdzić, co jest bliższe prawdy.

Ale to było gdybanie. Niczego nie mógł być pewnym.

– Gajdamowicz wiedział? – zapytał Rędzia.

Nie miał pojęcia, co będzie dalej, ale ta ciekawość śledczego, która w nim tkwiła, była silniejsza. Chciał wykorzystać okazję. Chciał poznać całą prawdę.

– Wiedział? – powtórzył pytanie.

– Byłem u niego, zanim poszedłem do Abrahama wszystko zakończyć. Powiedziałem mu, co zrobiłem z tymi dwoma, z bratem Mamertem i tym człowiekiem, który nakręcił film. Nie był szczęśliwy, ale umiera, więc chyba nie pojął do końca, że prowadził mnie Bóg.

Rędzia zamknął oczy. Mocno. Zacisnął powieki i położył głowę, żeby chwilę odpocząć.

– Więc co teraz? – zapytał w końcu, znowu unosząc głowę.

– To chyba koniec. – Kolejne obojętne wzruszenie ramion, splecione dłonie zakotłosały się lekko.

– To nie jej rodzice kazali cię pobić.

– Nawet ich o to nie podejrzewałem. Zresztą co za różnica?

– Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć. Że może to dla ciebie ważne.

– Nic już nie jest ważne. To nawet dobrze się stało, że mnie pobito. Gdyby nie to, nie zdobyłbym się na zrobienie tego. Na zemstę. – Położył dłoń na dłoni trupa żony.

– Ona nie może tak tu zostać – rzekł Rędzia łagodnym tonem, jakim przemawia się do dziecka, chociaż w środku cały się trząsał. – Ty też nie możesz.

– A ty? – Szajnert uniósł lekko głowę.

– Ja? Ja też nie.

– Chciałbyś dalej żyć?

– A jak myślisz?

– Nie wiem. Ja już chyba nie chcę. Może ty też nie? Wielu ludziom odechciewa się żyć. Z różnych powodów. Może ty masz swoje?

– Nie. Ja mam dla kogo żyć. – Rędzia postanowił wziąć go na litość, ale spokojnie i bez emocji.

Tonem głosu i minimalną ekspresją wciąż próbował nastroić się do częstotliwości, na jakiej nadawał Szajnert. Dyskusja z wariatem nigdy nie jest łatwa. Położył głowę na materacu i czekał, co będzie dalej.

I doczekał się.

– Gdzie tkwi sens?

Kiedy padło to pytanie, Rędzia poczuł mrowienie na karku. Teraz musiał być ostrożny. Skupiony i ostrożny. Od dalszej rozmowy zależało jego życie. Jeden fałszywy ruch, jedno fałszywe słowo i będzie po nim. Zakładając, że Szajnert traktuje to jednak jak grę. A może jest po prostu nieobliczalnym świrem, któremu przyjemność sprawia dodatkowe dręczenie ludzi, zanim ich zabije, jak to uczynił z Kublickim?

Ale nie miał wyboru.

– O jaki sens pytasz? – zapytał. – Mój, twój?

Jeszcze nie tak dawno temu to on zadawał pytanie o sens Chesiakowi w pokoju przesłuchań. A teraz niemal słyszał chichot przewrotnego losu. Nie pamiętał też, jak on sam odpowiedział sobie na to pytanie, kiedy usłyszał je z dyktafonu w komendzie. Pewnie wszyscy wtedy się zastanawiali, jak odpowiedzieliby na nie na miejscu ofiary.

Szajnert patrzył na trupa żony, a Rędzia myślał intensywnie. Może to spojrzenie powinien potraktować jak trop? Może w tym kierunku powinien iść? Miłość ponad wszystko? Wtedy przypomniał sobie Balińskiego wspominającego swoją matkę. I Chesiaka wskazującego na sufit.

– O sens – mruknął Szajnert. – Pytam o sens.

W tym momencie Rędzia postawił wszystko na jedną kartę. Miał nadzieję, że to as, a nie blotka.

– Nie ma żadnego sensu – odparł, patrząc Szajnertowi prosto w oczy, choć wiele go to kosztowało. – Żadnego. Ani w życiu, ani w śmierci. I trzeba się z tym pogodzić. Sami się tego sensu doszukujemy: w życiu, żeby nie było puste i jałowe, i w śmierci, żeby ją jakoś oswoić. Żeby było nam łatwiej znieść śmierć bliskich i perspektywę własnej. I tyle. Nie ma

żadnego sensu na tym świecie. Nigdy nie było, choć szukało go wielu. To jak kwiat paproci. Każdy chce go znaleźć, chociaż nie istnieje, ale i tak każdy ma nadzieję, że jednak znajdzie. Po co go szukać? Trzeba cieszyć się życiem, po prostu cieszyć się, póki trwa, bo śmierć to koniec. I ty to wiesz. Dobrze to wiesz, prawda? Pytanie, czego boisz się bardziej: przyznać do tej wiedzy czy po prostu jej samej?

Szajnert oblizał usta. Nie ruszał się.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał Rędzi chrapliwie.

Komisarz zawahał się przez chwilę.

– Tak – powiedział o wiele ciszej. – To straszne, ale taka jest prawda. To wszystko złuda. Życie wieczne, reinkarnacja, inne światy. Jest tu i teraz. A po tamtej stronie nie ma nic. Jej też już nie ma. Przykro mi...

Przez chwilę obaj milczeli. Rędzia słyszał tylko łomot swojego serca.

– Masz rację. – Szajnert wciągnął nagle ze świstem powietrze i pokiwał głową. – Ja zrobiłem, co trzeba. A ona nie może tak tu zostać... Nie może...

Wstał i ciężkim krokiem podszedł do łóżka, na którym leżał oklejony taśmą Rędzia. Komisarz zastygł w bezruchu, napinając wszystkie mięśnie, aż zaszeleściły zwoje jego plastikowych pęt. Oblała go fala zimna, a może gorąca, sam nie wiedział. Wiedział tylko, że to strach. Paraliżujący. Niemal zwierzęcy. To samo musiał czuć Kublicki, zanim Szajnert zaczął.

W sylwetce Szajnerta widać było rezygnację. Jakby skapitulował. Jeżeli był to efekt słów, które przed chwilą usłyszał, to Rędzia nie wiedział, jak to odczytywać: jako szansę dla siebie, czy wręcz przeciwnie, jako zapowiedź rychłej egzekucji. Poniewczasie zaczął się zastanawiać, czy to, co powiedział Szajnertowi o żonie, nie przeważało szali, ale zdawał sobie sprawę, że tu niczego nie mógł być pewien. Wiedział, co spotkało Balińskiego, kiedy podał zapewne prawdziwą i szczerą, choć równocześnie banalną odpowiedź na bardzo trudne pytanie. Nie chciał powtórzyć tego błędu. Mógł pójść tylko we wstrząs.

Więc poszedł. I pomijając fakt, że miał tylko jedną szansę, zaraz miał się dowiedzieć, dokąd tym wstrząsem doszedł. Musiał pamiętać, że rozmawiał z człowiekiem zaburzonym psychicznie i nie mógł być pewny niczego, absolutnie niczego.

Szajnert stał nad Rędzią i wpatrywał się w niego wzrokiem pozbawionym wyrazu. Jego oczy były puste, jak u martwego człowieka,

którego śmierć dopadła tak szybko, że nie zdążył zamknąć powiek. Dolna warga błyszczała wilgocią w mocnym świetle żarówki. Nagle westchnął, jakby się przebudził z letargu, zarzucił sobie na głowę kaptur, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Rędzia poczuł, jak serce przyśpiesza mu jeszcze bardziej i był pewien, że zaraz przebije żebra, skórę i wyskoczy z piersi, kończąc sprawę za Szajnerta. A ten jakby zapomniał o Rędzi. Kroczył ciężko przed siebie; peleryna szeleściła, podeszwy szurały o brudne deski podłogi. Komisarz widział przygarbione ramiona okryte napiętą peleryną i pochyloną głowę okrytą szpiczastym kapturem. Obszerna folia wydymała się przy najmniejszym ruchu jak żagiel. Spod niej wychynęła nagle dłoń, chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi na oścież. Ten ruch, w przeciwieństwie do wszystkich, które Szajnert wykonał wcześniej, cechowały pewność i zdecydowanie. Nie oglądając się za siebie, bez słowa wyszedł z pokoju. Kiedy zniknął za drzwiami, w szczelinie między skrzydłem a ościeżnicą mignął jeszcze targany podmuchem skompresowanego powietrza skraj foliowej peleryny nadętej jak spinaker, a potem w mroku spowijającym schody na górę zniknęła także ona i Rędzia został sam.

Nie czekał. Nie wiedział, co tamten planuje i ile da mu czasu. Jeśli chciał wykopać grób dla żony, mogło to trochę potrwać, lecz jeśli nie... W każdym razie Rędzia miał już swój plan. Przekręcił się na bok, na sam skraj materaca i kiedy poczuł, jak grawitacja zwycięża, pomógł jej, rzucając się jak ryba wyciągnięta na brzeg. Dzięki temu upadł na plecy, a nie na twarz, co mogłoby się skończyć rozbitym nosem. Nie było wysoko, ale nie chciał ryzykować, i tak w głowie mu jeszcze huczało. Poza tym nie miał czasu do stracenia. Przeturlał się w kierunku stołu i kiedy dotarł do jego nóg, spróbował usiąść.

To było niełatwe, wręcz kurewsko trudne. Wiedział już, co czuje niemowlę zapakowane w becik, które robi wszystko, żeby się z niego wyzwolić. Modląc się i klnąc na przemian w duchu, Rędzia obiecywał sobie, że jeśli przeżyje, zapisze się na siłownię. Usiłując unieść tułów do siadu, przysięgał to sobie mocniej niż dwadzieścia lat temu miłość, wierność i uczciwość małżeńską Bożenie. Czuł teraz niemal dokładnie to samo co wtedy w marinie, gdy pochłaniała go woda, a wyciągnięta z brzegu ręka Darka Sudera była tak blisko i zarazem tak daleko.

Bezsilność. Bolesną bezsilność. Kiedy piętnasty raz z rzędu opadł na podłogę, poddał się, wściekły na Szajnerta i na siebie, i sam nie wiedział, na kogo bardziej. Przed oczami miał nogi trupa Arlety przywiązane do nóg krzesła jakimiś szmatami. Teraz widział dokładnie, że nie ma skarpet. Po strupieszalej skórze pełzały białe robaki, kolejne roiły się wokół stóp. Rędzia wolał nie wiedzieć, co działo się wyżej. Zamknął oczy i ignorując smród, pomyślał przez chwilę, skupiając się już wyłącznie na sobie. Kilkanaście sekund później, z nową nadzieją, która wlała się w jego serce niczym balsam, przekręcił się na bok i zgiął w pół. Palce wciąż próbowały zerwać taśmę, ale zrolowane tworzywo tylko boleśnie wrzynało się w ich zgięcia. Ręce miał bezużyteczne. Podpierając się bokiem głowy o nogę stołu i błagając wszystkich świętych, żeby mebel się nie przesunął, gdyż wtedy przestałby być dla niego oparciem, Rędzia konwulsyjnie szarpał ramionami, ślizgając się tyłkiem po podłodze i podsuwając górę ciała o centymetr, dwa, za każdym szarpnięciem. Robił tak do chwili, gdy poczuł, że jeszcze nie siedzi, ale opiera się o stół już w miarę stabilnie. Popracował jeszcze trochę i po chwili siedział wyprostowany na tyle, na ile pozwalały pęta z taśmy klejącej wciskające mu się w brzuch. Błat stołu miał tuż nad głową. Szarpnął biodrami, prostując się na sekundę jeszcze bardziej i uderzył czubkiem głowy od spodu, aż stół lekko podskoczył. Rędzia usłyszał hurgot nóg przesuwających się po podłodze oraz coś jeszcze. To był stukot kilku przedmiotów leżących na blacie. Wiedział, że przesunęły się odrobinę. Nie dbał, w którą stronę, chodziło tylko o to, żeby spadły, choć wolałby, żeby stało się to po tej stronie stołu, po której on się znajdował.

Czas.

Rędzia zdawał sobie sprawę, że potrzebuje tego czasu jak powietrza do życia.

Zaczął podskakiwać na pośladkach i piętach, odbijając się od podłogi z całych sił i używając wszystkich mięśni, które był w stanie zaangażować. Po każdym podskoku uderzał obolałą głową w spód blatu i niemal z rozkoszą słuchał cichego stukotu odbijających się od niego przedmiotów. Szajnert wciąż nie wracał, więc Rędzia podwoił wysiłki, choć był bliski omdlenia. Pot spływał mu po twarzy i karku, a on

zaciskając zęby, balansując całym ciałem, by nie upaść na bok, pracował, żeby ocalić życie. Żeby chociaż spróbować je ocalić...

Pistolet spadł pierwszy, ale komisarz nie przerwał pracy. Glock był w jego obecnej sytuacji równie użyteczny jak jabłko czy cokolwiek innego. Po prostu nie miał jak, a właściwie czym go użyć. Następna spadła książka, uderzając go boleśnie tuż pod rzepeką rogiem twardej okładki. Rędzia syknął, zastanawiając się, kiedy wreszcie ze stołu spadnie coś, co mu się przyda. Miał tylko nadzieję, że coś takiego w ogóle tam jest. Zapalniczka. Nożyczki. Kurwa, nożyk do tapet, cokolwiek, co będzie w stanie przeciąć taśmę klejącą. Albo chociaż jedna ze strzykawek, które zauważył tam wcześniej. Miały ostre igły.

Nagle Rędzia kątem oka zauważył jakiś ruch. Serce prawie stanęło mu w piersi i pomyślał, że to już koniec, ale to nie był Szajnert.

Komisarz przestał podskakiwać. Zastygł w bezruchu i patrzył bezradnie, jak krzesło z przywiązany do niego trupem Arlety popchnięte krawędzią blatu odchyła się coraz bardziej do tyłu, aż wreszcie ciężar ciała przeważył i nic już nie było w stanie odwrócić tego, co się stało chwilę później. Po uderzeniu o podłogę truchło prawie rozsypało się na kawałki, a Rędzi wyszło w ustach jeszcze bardziej. Teraz nie miał odwrotu. Jeśli Szajnert wróci i ujrzy ten widok, kiedy on będzie jeszcze spętany, zniknie ostatnia szansa. Będzie za to śmierć w męczarniach. Ignorując widok trupa i rozsypanych wokół niego robaków, Rędzia znów zaczął rytmicznie podskakiwać w miejscu, jeszcze szybciej i wyżej niż poprzednio. Czuł, że głowa mu zaraz eksploduje, ale nie poddawał się. I wtedy ze stołu spadł długopis. Zwykły, tandetny, plastikowy długopis: cienki i niepozorny, jeden z tych jednorazowych, które wykonane są tak niedbale, że każde mocniejsze wciśnięcie końcówki powoduje jego zepsucie. Rędzia rzucił się w jego kierunku, położył na lewym boku i wypinając biodra, spróbował chwycić go dłonią, wciąż tkwiącą w pętach z taśmy. Lekko wykręcił nadgarstek i poczuł pod palcami długi kształt. Zacisnął je na nim z głośnym westchnieniem ulgi i znów wykręcając rękę w nadgarstku, tym razem mocno i zdecydowanie, zaczął dźgać wkładem taśmę na udzie i biodrze. Słyszał, jak cieniutki, ale wytrzymały plastik trzaska pod naporem ostrej końcówki i poczuł, że ucisk na nodze zelżał. To dało mu mocnego motywacyjnego kopa. Spróbował sięgnąć okolic przegubu i po

chwili poczuł, że zakres ruchów znacznie się powiększył. Napiął mięśnie, długopis szalał, kreśląc w powietrzu esy-floresy, zagłębiając się w ubraniu i, co najważniejsze, przerywając więzy. Kilkanaście sekund później Rędzia jak szalony dźgał taśmę przy prawej dłoni, a kolejne pół minuty później z głośnym trzaskiem odrywającego się od gładkiej powierzchni kleju zrywał z siebie metry brązowego tworzywa. Chwytał glocka i wstał z podłogi, omiatając spojrzeniem pokój. Zachwiał się lekko, wciąż szumiało mu w głowie, zastanawiał się, czy ma wstrząśnienie mózgu, czy to po prostu efekt wysiłku, strachu i kopa koktajlu z adrenaliny i kortyzolu, jaki zafundował mu organizm.

Trup Arlety leżał na podłodze z niemal oderwaną od tułowia głową. Resztę trzymało razem chyba tylko ubranie. Rędzia zobaczył zadartą spódnicę, uniesione nogi, nagie powyżej skarpet, z odłóżką płatami sinobrazową skórą. Ręce szeroko rozpostarte na podłodze, zgięte w łokciach, jakby próbowały chwycić odpadającą głowę i osadzić ją z powrotem na miejscu. Jedna z gałek wypadła i teraz pusty, zapadnięty oczodół wpatrywał się oskarżycielsko w Rędzię. Odstonięte zęby wyszczerzone były groteskowo w upiornym uśmiechu bez udziału ust, które zniknęły; zlały się z resztą w jedną, trupią barwę. Wyglądało to koszmarnie. Rędzia, kierowany jakimś odruchem litości i empatii, nie chciał, żeby Szajnert ujrzał żonę w takim stanie.

A potem przypomniał sobie, co sam przed chwilą przeżył, doszedł do wniosku, że to nie jego pieprzona sprawa, i niewiele myśląc, rzucił się w kierunku drzwi. Macając rękami w kompletnej ciemności, wdrapywał się na górę po schodach. Potem wyciągnął ramiona przed siebie, przypominając sobie kredens zasłaniający zejście do piwnicy. Droga była wolna, bo Szajnert nie zasunął go za sobą. Na górze też było ciemno, a kiedy Rędzia wypadł na zewnątrz, zorientował się z zaskoczeniem, że jest już wieczór, a może nawet noc. Mimo to gnany chęcią odwetu parł przed siebie, chwając się na zdrętwiałych jeszcze lekko nogach, i rozglądał się dookoła, choć nie mógł niczego zobaczyć.

Odbiegł od domu już spory kawałek. Czuł zapach jesiennej wilgoci, a wokół niego panowała niemal absolutna ciemność. Linia lasu odcinała się niewyraźnie od tła chmur odbijających łunę światła miasta i to był jedyny punkt odniesienia, który mógł pozwolić mu choć odrobinę

zorientować się w przestrzeni. Stał nieruchomo, mocno zaciskając palce na kolbie glocka, i nasłuchiwał szelestu, stuknięć, czegokolwiek, co przypominałoby odgłos człowieka przedzierającego się przez chaszczę. Albo kopanie grobu. Nic. Cisza. Rędzia dyszał z wściekłością, resztki strachu spływały z niego wraz z zimnym potem, płynęły po rozpalonym czole i po plecach, wzdłuż kręgosłupa. Gdzieś z daleka dobiegał komisarza monotony metaliczny szum pociągu z mozołem przetaczającego się po torach, aż nagle powietrze przeszył ryk syreny lokomotywy, któremu towarzyszył przenikliwy na wskroś świst metalu ocierającego się o metal.

Rozdzierający i rozpaczliwy wizg hamulców pociągu pruć ciszę, aż nagle zaczął słabnąć, jakby ten, który spowodował zaciśnięcie stalowych szczęk na obręczach kół zwątpił w sens całej procedury, jakby po prostu było już za późno. Dźwięk falował i cichł, aż rozległo się stuknięcie, kiedy odbojniki wagonów uderzyły o siebie, pociąg zatrzymał się i zapadła koszmarna cisza.

Nie mąciło jej już nic.

Rędzia stał z opuszczonymi rękami, czuł, jak drży mu dłoń zaciśnięta na glocku, a ten ciąży mu jak ołów, jak niepotrzebne ani jemu, ani nikomu innemu brzemie. Znow dotarło do niego, jak to wszystko mogło się skończyć i jeszcze raz zadrżał. Wrócił do świata żywych. Czuł się, jakby był już martwy, a jednak los, przypadek i własna pomysłowość sprawiły, że przeżył.

Od strony torów doszło go jakieś wołanie, zapewne maszynisty. Komisarz opuścił głowę, oblizał usta mokre od mgły i słone od potu, wbił wzrok w ciemność przed sobą i ruszył tam, skąd dochodził głos. W głowie miał teraz taką samą ciemność. Nieprzeniknioną i pustą, pozbawioną jakiegokolwiek punktu odniesienia.

Nie miał niczego, czego mógłby się chwycić.

Pilchowo/Szczecin, 06.10.2020 – 07.01.2021

OD AUTORA

Kiedy podczas rozmowy z ekipą z Wydawnictwa Filia pod koniec września 2020 roku przedstawiałem swój pomysł na kolejną powieść z komisarzem Ręzią w roli głównej, widziałem, jak Patryk i Anka usiłują nie wymienić ze sobą porozumiewawczych spojrzeń. Miałem już w głowie całą historię, ale opowiedzenie jej w skrócie sprawiło mi w tamtym czasie dużą trudność, zapewne taką samą, jaką im jej zrozumienie. Cóż, minęło kilka miesięcy, właśnie przeczytaliście, drodzy Państwo, efekt finalny i mam nadzieję, że nie będzie porozumiewawczych spojrzeń i wszystko jest jasne. Lub prawie wszystko...

Fabuła tej historii to patchwork, puzzle. Pomysł na nią, a właściwie kilka pomysłów, czy raczej inspiracji, przyniosło życie. To nieprawdopodobne, ale wszystko zbiegło się niemal w jednym czasie. Po pierwsze: obejrzany przeze mnie fascynujący film dokumentalny o gdańskiej grupie „Totart” („Totart”, czyli odzyskiwanie rozumu Bartosza Paducha, który jednak powinien być odbierany również przez pryzmat listu otwartego napisanego do twórcy przez jednego z bohaterów, tego najważniejszego i zasługującego bez wątpienia na największy, autentyczny szacunek: Zbigniewa Sajnoga). Po drugie: kolejny film (nie wiem nawet po raz który) Mulholland Drive Davida Lyncha, gdzie losy głównego bohatera/głównych bohaterów odczytywać można jako przykład bardzo ciekawego zaburzenia lękowego, czyli fugi dysocjacyjnej. A po trzecie: przechowywana w pamięci historia pewnego naukowca, który nie mogąc pogodzić się ze śmiercią ukochanej żony, usiłował latami utrzymać jej ciało w niezmiennym stanie za pomocą wynalezionych przez siebie preparatów. Efekt tych starań ujawniony w końcu przez

policję był wstrząsający i powiedzenie, że miłość jest ślepa, w tamtym wypadku było koszmarnie wręcz adekwatne.

Janusz Szajnert jest mi najbliższy ze wszystkich spośród negatywnych (choć absolutnie niejednoznacznych) bohaterów moich historii, bliższy nawet niż Tadzik Rudzki z Rykoszetu. W pewnym momencie pisania tej książki stwierdziłem nawet, że jest to poniekąd, przynajmniej w części, historia miłosna. Jest to opowieść o miłości tak wielkiej, że próbowała pokonać wszystko, nawet śmierć.

Nie udało się, bo nie mogło się udać.

Losy Szajnerta w niedużym stopniu są podobne do losów Zbigniewa Sajnoga (wyłącznie w części dotyczącej przynależności do grupy artystycznej i sekty, i to tylko jako faktu, a nie szczegółów), nie oznacza to jednak automatycznie, że te dwie osoby: wymyśloną przeze mnie i prawdziwą należy ze sobą utożsamiać. Nie należy i nie wolno. I tym bardziej chciałbym podkreślić, że przedstawione w tej książce wydarzenia, a przede wszystkim ich korelacja, oparte wprawdzie luźno na zdarzeniach autentycznych, są wytworem wyłącznie mojej wyobraźni i jakiegokolwiek podobieństwo w aspektach mogących urazić uczucia osób autentycznych jest przypadkowe i niezamierzone. W swojej historii użyłem publicznie znanych elementów działalności artystycznej oraz upublicznionych w filmie dokumentalnym sytuacji z życia osobistego artystów, które jako takie podlegają dalszemu przetworzeniu.

Zaciekawionych wierszem Kutasy i pizdy autorstwa Szajnerta (czyli, niestety albo stety, mojego) informuję, że inspiracją dla mnie był wiersz Flupy z pizdy Zbigniewa Sajnoga, opublikowany w „BruLionie” w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, który wzbudził mnóstwo kontrowersji, uważam go jednak (zwłaszcza z perspektywy dzisiejszych czasów) za bardzo ważny i wręcz proroczy.

Jeszcze jedna rzecz. Jako że akcja powieści dzieje się „teraz”, czyli w momencie pierwszej fazy jej pisania (kilka październikowych tygodni), nie mogło zabraknąć w niej (podobnie jak we wcześniejszych Bliznach) tematu pandemii koronawirusa. To był jeszcze ten czas pomiędzy pierwszą falą a drugą i pierwszymi szczepieniami. Nie mogłem tematu uniknąć, jeśli chciałem trzymać się realiów; nie mogłem udawać, że go nie ma, zwłaszcza że pandemiczne okoliczności miały wpływ na przebieg

akcji. Świat się zmienił niespodziewanie i niewiarygodnie, i choć ta historia nie jest i nie miała być żadną kroniką owych zmian, to na pewno będzie niewielkim znakiem tych czasów. I tyle.

A teraz podziękowania. Sporo ich, bo sporo Was, za co pozostaję nieustająco wdzięczny:

– kierownictwo Wydziału Kryminalnego KMP Szczecin, czyli Marcin Gafiuk i Agnieszka Paszkowska – Wam należą się szczególne podziękowania; pani Agnieszko, mam nadzieję, że warto było czekać na kolejną opowieść o komisarzu Rędzi,

– Agnieszka Sobska – za kombinacje z „zaginionymi” pacjentami,

– Magda Bocian Jodel – ze szczególną wdzięcznością za uświadomienie, że zwrócenie się do pielęgniarki przez pacjenta per „siostrę” jest już niezbyt mile widziane, o ile kiedykolwiek było, odkąd pielęgniarki przestały być zakonnice albo na odwrót,

– prokurator Mateusz Michalczyk – czy Ty wiesz, że jesteś ze mną od samego początku?

– Kamil Bulak, kierownik Sekcji Pracy Socjalnej Działu Pomocy Osobom Bezdomnym szczecińskiego MOPR-u,

– Joanna Majdańska – kierownik Referatu Ewidencji Ludności UM Szczecin,

– Aleksandra Polak z firmy pogrzebowej „Herra”,

– Ela Kseniak i pani kierownik Maria Michalak z Wydziału Usług Cmentarnych szczecińskiego ZUK-u,

– Monika Gapińska z „Kurierza Szczecińskiego” – za użyczenie personaliów i nie tylko za to,

– Bartek Limanówka – neurochirurg (czyli wiadomo za co!),

– pani ze sklepu „Pod Gwiazdami” – za kule zdrowia i możliwość wykorzystania sklepu w tej opowieści,

– Sylwia Depa i Kamil Antol – za betatesty, bystre oko i wyłapanie kilku przykrych wpadek.

Za wszystkie pozostałe odpowiadam wyłącznie ja.

A swojej Rodzinie dziękuję za cierpliwość – obsesyjnie wręcz nienawidzę się spóźniać, a ponieważ miałem lekkie omsknięcie z deadline’em, ostatni tydzień to był wyścig z czasem, którego i tak mam jak zwykle za mało.